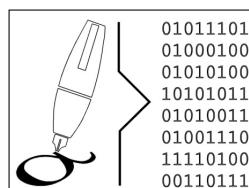


# Anthony Piers

## Dolina Kopaczy

Tłumaczyła: Nela Szurek

Poznań 1994



*Powieść tę dedykuję  
Siostrzeńcom i bratankom,  
Których wcześniej zaniedbałem:  
Erinowi i Karolinie  
Jenifer i Paulowi  
Leigh i Dawidowi*

## Rozdział pierwszy

### Metria

Nie zawsze łatwo jest być synem ogra i nimfy. Czasami ogr rozwała rzeczy — ot tak, dla zabawy — albo jedną ręką wyciska sok z kamienia i w ogóle robi zamieszanie. Czasami nimfa bywa pustogłowa albo ciska złym humorem. Dlatego właśnie Esk wynalazł sobie tę przytulną kryjówkę, o której nikt inny nie wiedział. Jeśli tylko w domu robiło się nie do wytrzymania, przychodził tutaj, żeby się zrelaksować i odprężyć. Kochał rodziców, ale tutaj odkrywał zalety samotności.

Zatrzymał się, żeby rzucić okiem wokoło, i uważnie nadśluchiwał. Nie chciał, żeby jakiegokolwiek stworzenie Xanth, oswojone czy dzikie, zobaczyło, jak tu wchodzi, wtedy bowiem to miejsce nie będzie już żadnym sekretem. A wcześniej czy później rodzina dowie się o tym i straci zaciszne schronienie.

Kryjówka znajdowała się w pustym pniu martwego drzewa beczkowca piwnego. Miał szczęście: przebywał w pobliżu w miesiącu Aw-Ghost\*, kiedy drzewa beczkowe oddają ducha, jeżeli chcą. Widział odejście tego ducha.

— Aw, Ghost!\*\* — wykrzyknął z klasyczną ogrową manierą, co zakłęto drzewo do tego stopnia, że mógł przejąć pusty pień bez zbędnego zamieszania. W grubym pniu wyciął drzwi przylegające tak szczelnie, że nie było ich widać z zewnątrz. Porobił też otworki, żeby unoszące się jeszcze opary piwa mogły wywietrzeć. Jego matka, Tandy, nigdy by nie zrozumiała, dlaczego wraca do domu, cuchnąc piwem! Potem wymościł dno pnia sianem i zniósł poduchy z pobliskiego krzewu poduszkowego, a na ścianach wyrzeźbił dekoracyjne ornamenty. Zrobił to perfekcyjnie. Był dumny z siebie. Żałował jedynie, że nie może pochwalić się swoim osiągnięciem z powodu konieczności zachowania sekretu.

Całość prezentowała się doskonale. Wbił paznokcie w szczelinę i pociągnął drzwi, aż

---

\*Nieprzetłumaczalna gra słów (ang.): August — sierpień, Aw — okrzyk zdziwienia, ghost — duch\*

\*\*Ang. „oj, duchu!”

się otworzyły. Były to małe drzwi o nieregularnym kształcie, więc ich obrys nie był wyraźny. Pochylił się, żeby wejść, i ostrożnie zamknął je za sobą. Wszedł na podłogę i opadł na gniazdo wymoszczone z poduszek.

— Auć!

Esk podskoczył.

— Kto to powiedział? — zapytał.

— Zabierz ze mnie swojego tłustego muła — dobiegł go głos spod spodu.

Spojrzał w tym kierunku, ale zobaczył jedynie poduszki.

— Moje tłuste co?

— Twojego tłustego osła\*! — warknął głos. — Kucyka, konia, bałwana, cokolwiek.

Spadaj!

Esk złapał w końcu przebłysk słowa, którego poszukiwał. Szybko rozrzucił poduszki.

— Gdzie jesteś?

Na środku poduszki uformował się zarys ust.

— Tutaj, ty idioto. A o czym myślałeś, gdy na mojej twarzy umieściłeś taką wielką część swojego ciała?

— Cóż, ja...

— Nie szkodzi. Po prostu nie rób tego więcej, bałwanie.

— Ale od poduszek oczekuje się, że...

— Ach tak? Czy kiedykolwiek pytałeś poduszki o zdanie na ten temat?

— Więc, właściwie, nie, ale...

— Tu cię mam, imbecylny! A teraz wynoś się i pozwól mi spać!

Esk wyniósł się. Kiedy skierował się ku domowi, zastanowił się nad tym, jak to się stało, że mógł rozmawiać z poduszką. Znał tylko jedną osobę, która potrafiła rozmawiać z przedmiotami. Był to król Xanth, Dor. Ponieważ powszechnie było wiadomo, że talenty się nie powtarzają, z wyjątkiem przypadku demoniaków, oznaczało to, że Esk nie mógł go posiadać. Poza tym on miał już talent: protestowanie. Jego matka mawiała niekiedy, że protestuje za często, ale nie zaprzeczała, że jest to magia.

Nie był najmądrzejszą osobą, będąc ćwierćogrem, ale nigdy nie zostawiał nie rozwiązane go problemu, będąc półczłowiekiem. I zazwyczaj był w stanie jakoś umiejscowić ten problem, jakkolwiek nie do końca. Nie była to jego magia, lecz magia poduchy. Musiał, nie zdając sobie z tego sprawy, zerwać jakąś szczególną poduszkę, taką, która była ożywiona. Teraz powinien zanieść ją z powrotem do poduszkowego krzaku i wymienić na inną, a jego problem się rozwiąże.

Uspokojony, maszerował dalej w kierunku domu, zapominając o problemie, który

---

\*Ass (ang.) osioł, lecz także siedzenie, tyłek

sprowadził go do kryjówki. Zbliżając się do domu, poczuł pyszny zapach czerwonego bulionu. Oznaczało to, że jego ojciec, Smash, odrzucił pozory, iż jest w pełni ogrem, i poświęcił się przygotowaniu pożywienia. Smash właściwie był tylko półogrem, ponieważ od tej strony dziadkami Eska byli ogr Crunch i aktorka z demoniaków. Kiedy jednak Smash stawał się ogrowaty, nikt nie potrafił odróżnić go od pełnego ogra. Rozrastał się wtedy horrendalnie, aż spodnie na nim pękały w szwach. Tandy jednak, będąc z gatunku nimf, wołała Smasha jako mężczyznę, jakim zazwyczaj się wydawał.

Esk z własnej woli nie bywał ogrem, ale kiedy za bardzo się wściekał albo był wystarczająco zdesperowany — mógł znaleźć w sobie jego siły. Nigdy nie trwało to długo, ale przecież nie musiało. Jedno uderzenie pięści z siłą ogra potrafiło rozbić w pył twarde klonowo-cukrowe drzewo. Jednocześnie w normalnych warunkach był niezdarny w działaniu, lecz kiedy naprawdę musiał, potrafił być przez chwilę bardzo sprawny. Odziedziczył to po swojej babce demoniaczce. Przez większość czasu przeważało jego ludzkie dziedzictwo, ponieważ po obojgu rodzicach zachował część ludzkiej natury. Był całkiem zwyczajną osobą o szarych oczach i niemożliwie brązowych włosach, ale naprawdę nie miał wyboru. Wydawało się oczywiste, że nie jest mu przeznaczona jakakolwiek sława. Zamartwianie się tym było jednak bez sensu: czekał na niego czerwony bulion!

\* \* \*

Dwa dni później znudzony Esk powrócił do swojej kryjówki. Wszedł i posprawdzał poduchy. Wszystkie wyglądały normalnie.

— Która z was jest tą żywą? — dopytywał się, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Wzruszył ramionami. Wziął całą stertę poduszek, zaniósł je do poduszkowego krzewu i bezceremonialnie cisnął obok. Potem zerwał kilka nowych. Musiał jednak zrobić to dokładnie, żeby się nie pobrudziły i nie zestarzały. Zaniósł je do swojego drzewa i wrzucił do środka.

Zawahał się, potem rozłożył się na nich. Wręcz przeciwnie do tego, co powiedziała żywa poduszka, jego pośladki nie były tłuste. Wspominając to, żałował, iż nie sprostował wypowiedzi poduszki w tej kwestii. Zawsze jednak wymyślał mądre odpowiedzi o wiele za późno. To też było częścią jego dziedzictwa: ani ogry, ani nimfy nie są znane z bystrego umysłu.

Zgłodniał, wyciągnął więc szarlotkę, którą zerwał jakiś czas temu. Była to szarlotka czuła, a one zawsze najlepiej smakują, kiedy są odpowiednio przyprawione. Ta przybrana była rozmoczonymi rodzynkami i miała skorupkę przypominającą lukier, podczas gdy całość wydawała się bardzo sypka. Zdecydowanie nadawała się do skonsumowania.

Podniósł ją do ust, a kiedy jego zęby zagłębiły się w niej, szarlotka wybuchnęła mu

w twarz. Rodzynki wyskoczyły i trafiły go w oczy, a lukier wbił się w wargi.

— Zabieraj stąd swoje paskudne kocisko! — krzyknęła szarlotka.

— Moje paskudne co? — zapytał wstrząśnięty Esk.

— Twojego paskudnego kocura, kota, starą kocicę, kocurzycę.

— Och, masz na myśli mojego brzydkiego kota? — dopytywał się, pojmując, o co chodzi.

— Twoje brzydkie cokolwiek — zgodziła się szarlotka, formując szerokie usta. — Czy ty wiesz, co usiłowałeś zrobić, ogrowa gębo?

— Ogrowa gębo? — powtórzył Esk, doceniając komplement. Wtedy zrozumiał, że szarlotka prawdopodobnie nie to miała na myśli. — Usiłowałem...

— Och tak, usiłowałeś! Więc nie rób tego więcej!

— Ale...

— Nigdy nie pytałeś szarlotki, czy chce być przeżuta, prawda?

— Ależ to jest czuła szarlotka! To oznacza, że jest do zjedzenia!

— Wydumana historyjka. A teraz zabieraj stąd swoją tępą mordę, żebym mogła od-  
począć.

— Posłuchaj, szarlotkowa gębo, to jest moja kryjówka! — powiedział Esk, czując, że zaczyna się w nim gotować. — Wyrzuciłem właśnie pewną nieznośną poduchę i zrobię to samo z tobą! Z pewnością nie jesteś bardzo czuła!

— Spróbuj tylko wyrzucić to ciasto, a pożałujesz, ty fasolo!

To wystarczyło. Esk zaniósł szarlotkę do drzwi, otworzył je i cisnął placek z całej siły do lasu. Potem ułożył się do drzemki na poduszkach.

Dzień był umiarkowanie chłodny. Prawdziwe ogry kochały zimną pogodę, Esk nie. Buszował po kryjówce, aż znalazł podarty, stary koc i nakrył się nim. Koc skręcił się i owinał wokół jego stóp. Potem zacisnął się na nogach Eska i wspinał wyżej, dusząc go coraz bardziej.

— Hej! — wykrzyknął Esk.

— Hej, mów do siebie, ty krowi mózdzku! — powiedział koc, formując usta na swojej powierzchni, ale nie zaprzestał ściskania.

Eskowi zaczęło być niewygodnie. Skoncentrował się i gwałtownym pchnięciem rozwarł nogi. Wróciła mu siła ogra. Koc rozerwał się, a następnie zamglił, uniósł się w górę i zawisł przed Eskiem.

— Słuchaj, gnojowy łbie — powiedziały usta — teraz naprawdę zrobię coś, czego pożałujesz!

Złość ogra uderzyła Eskowi do głowy. Złapał koc obydwoma rękami.

— Jeszcze zobaczymy, utkana gębo!

Mówiąc to, rozdarł go na dwie części. Kawalki znowu się zamgliły. Cały koc rozpływał się. Tym razem uformował się na kształt demonicy.

— Jesteś silniejszy, niż wyglądasz, robaczkowy mózgu. Jak długo potrafisz mi się przeciwstawiać?

— Jaki mózgu? — zapytał Esk, znowu zmieszany.

— Pchli mózdzku, mrówczy mózdzku, pluskwi mózdzku.

— Aa, chodzi o bałwana!

— Coś w tym rodzaju. Dlaczego nie odpowiadasz na pytanie?

Esk w końcu zrozumiał.

— Poducha i szarlotka — one wszystkie były tobą! Przyjęłaś ich postać!

— Oczywiście, że tak, geniuszu — potwierdziła. — Próbowałam łagodnie pozbyć się ciebie. Ale koniec z panną Nice Gal\*. Zamierzam skrócić z ciebie precel i nakarmić nim smoka.

W swojej naturalnej postaci miała ramiona i ręce, które teraz wyciągały się ku niemu.

— Smoki nie jedzą precli — powiedział, pojmując, że wpadł w tarapaty. Demony (albo demonice) były znane z nieludzkiej siły i z tego, że nie miały sumienia. Potrafiły przenikać przez twarde ściany. Gdyby wcześniej zdał sobie sprawę z tego, w co się pakuje, zostawiłby ją w spokoju. Teraz było już za późno.

— Przerobię cię na konfitury — zapowiedziała groźnie. — Może przebaczą mi za stulecie lub dwa.

Zbliżyła się i zacisnęła ręce na szyi Eska. To jednak pobudziło jego siłę. Wbrew powszechnej opinii, ogry naprawdę nie lubiły być skręcane w precle, choć robiły to innym. Esk złapał ją za nadgarstki i oderwał od swojej szyi.

— Kim jesteś? — zapytał.

— Jestem demonica Metria — odparła, ponownie zamieniając się w mgłę. Ręce znowu zmaterializowały się wokół jego szyi, a jego własne dłonie pozostały puste. — Zdrobniale DeMetria. A kim ty jesteś?

Esk znowu złapał ją za kostki i znowu oderwał od szyi.

— Jestem ogr Esk i nie zamierzam pozwolić, żebyś mnie udusiła.

— To ty tak myślisz, śmiertelniku — powiedziała.

Ponownie rozwiała się we mgle i zaraz potem wróciła do cielesnej postaci. Tym razem w rękach trzymała cienką linkę. Zarzuciła mu ją przez głowę i zacisnęła wokół szyi.

— Nie uda ci się z tego wydostać.

— Nie?! — sapnął ze złością Esk. Teraz ona wyglądała na przestraszoną.

— Nie! — Poluzowała zaciśniętą linkę.

---

\*Nieprzetłumaczalna gra słów: nice — miła, gal (sl. girl) dziewczyna. Od nazwiska założycielki zawodu pielęgniarstwa F. Nightingale — wymawianego podobnie jak Nice Gal.

Esk zacisnął pięść i walnął ją w twarz. Cios był mocny, ale jej głowa po prostu odgięła się do tyłu razem z szyją, jakby była na zawiasach, i wróciła na swoje miejsce, kiedy cofnął rękę. Demonica wyglądała na lekko zdenerwowaną.

— Nie — powtórzył. — Oprotestuję to.

— Cóż, może i nie. Przypuszczam, że zabicie ciebie byłoby nonsensem. Twoje ciało zasmrodziłoby tylko tę okolicę, a nie chce mi się odciągnąć go na tyle daleko, żeby smród nie przeszkadzał. — Linka rozpuściła się w mgiełkę i połączyła z jej ramionami. W oczywisty sposób była częścią jej substancji.

— To ja zamierzam cię stąd wyrzucić! — powiedział Esk. Aspekt jego ogrowej natury wciąż był aktywny.

— Chciałabym zobaczyć, jak będziesz próbował, mundańska gębo.

Mundańska gębo! Jej zniewagi wywierały coraz większy skutek. Podtrzymywały aspekt natury ogra.

— Spróbuję!

Spróbował. Złapał ją i zwałił z nóg. Ciało miała człękopodobne, nagie i zmysłowe, teraz mocno przyciśnięte do jego ciała. Było to nowe doświadczenie.

— Więc? — powiedziała, śmiejąc się. — Nie zdawałam sobie sprawy, że chcesz być przyjazny. Pozwól, że ściągnę z ciebie ubranie.

Puścił ją.

— Właśnie, że się wyniesiesz! — krzyknął niezadowolony.

— Zapomnij o tym, juniorze. Znalazłam to miejsce i ono jest moje.

— Ja je zrobiłem i jest moje! — sprzeciwił się. Uniosła jedną brew.

— Ty zrobiłeś beczkowca piwnego?

— Nie, nie to, ale ja przerobiłem go, kiedy oddawał swojego ducha. To niemal to samo.

— Cóż, ono mi się podoba, ale ty mi się nie podobasz, więc zamierzam pozbyć się ciebie.

— Nie.

Milczała, przypatrując mu się.

— Ach, to jest twoja magia, prawda? Kiedy mówisz „nie”, powstrzymujesz istotę od zrobienia tego, co zamierzała. Oto dlaczego zmieniłam swój zamiar, wbrew najgłębszemu przekonaniu.

— Tak.

Jego talent nie dorównywał talentowi maga, ale okazywał się pożyteczny, kiedy go potrzebował.

— Będzie więc lepiej, jak nie wypowiem więcej gróźb, bo ty po prostu powiesz im „nie” — ciągnęła dalej. — Ale założę się, że twój talent nie obejmuje wszystkiego. Nie możesz powiedzieć „nie” na całą kategorię rzeczy, które mogłabym spróbować zrobić,



żeby cię wyrzucić, ale potrafisz mówić to wobec pojedynczej czynności, której próbuję.

Tak. Pojmowała to z przerażającą szybkością. Widać było, że nie miała ani kropli ogrowej krwi wśród swoich przodków.

— Muszę więc poszukać sposobu, żebyś zechciał odejść — dokończyła. — Nie mogę zaszkodzić ci bezpośrednio, ale ty też nie możesz mi zaszkodzić, więc teraz jesteśmy na równi.

— Dlaczego tu jesteś? — zapytał z zalem w głosie.

— Ponieważ tam, skąd przybywam, robi się zbyt denerwująco — powiedziała. — Tam są ogłuszające bucuki, rozumiesz?

— Co takiego?

— To nie ma znaczenia. Większość śmiertelników nie może ich słyszeć. One jednak doprowadzają demony do szaleństwa. Ostatnio jest naprawdę coraz gorzej, mimo że zrobiliśmy tam, w Dolinie Kopaczy, wszystko, by wytepić ogłuszające bucuki. Mam tego dosyć, więc przeniosłam się tutaj, gdzie będzie mi wygodnie, gdy urządzę się po swojemu.

— Ależ ty próbujesz zagarnąć miejsce, w którym mi jest wygodnie, bo urządziłem je po swojemu! — zaprotestował.

— Więc wnieś skargę.

— Co?

— To jest mundańskie określenie. Znaczy: „Co zamierzasz z tym zrobić”, cuchnący nosie?

— Nie rozumiem. Czy Skarga to dziewczyna?

Zaśmiała się, aż całe jej ciało zatrzęsło się od chichotu.

— Myślę, że utknęliśmy tutaj razem, juniorze. Możemy to wykorzystać jak najlepiej. Może nawet zdołamy się polubić. Chyba trzeba pójść na ustępstwa. Chodź, a wprowadzę cię w tajniki demonicznego seksu.

Przysunęła się do niego.

— Nie! — krzyknął. Zatrzymała się.

— Znowu ta twoja magia! Zrozum, tym razem naprawdę nie zamierzałam wyrządzić ci krzywdy. Potrafię być bardzo czuła, jeśli chcę. Pozwól, że ci zademonstruję.

— Nie.

Teraz się jej bał jak nigdy wcześniej i wstydził się tego strachu. Nie dlatego, że mogła użyć pretekstu, by się do niego zbliżyć i znowu spróbować go udusić. A ponieważ się bał, ona rzeczywiście mogła sprawić, że to mu się spodoba. Nie ufał demonstracji.

Oszacowała go spojrzeniem.

— Ile masz lat, Esk?

— Szesnaście.

— A ja sto szesnaście, ale kto by je liczył? Zgodnie z normami śmiertelnymi masz

dosyć lat, a ja według norm nieśmiertelnych jestem wystarczająco młoda. Dlaczego nie pozwolisz mi wykupić tej kryjówki od ciebie i zapłacić doświadczeniem? Mogę ci szczerze pokazać, o co chodzi, żebyś nigdy nie musiał czuć się niezręcznie wobec śmiertelnej dziewczyny.

Esk mocno ją odepchnął, rzucił się do drzwi i pognął w kierunku domu. Dopiero kiedy znalazł się dość daleko od swojej kryjówki, zadał sobie pytanie — dlaczego? Czy bał się, że ona wprawi go w jeszcze gorsze zakłopotanie, niż mógł przypuszczać? Czy uważał, że to, co mu oferowała, jest takie złe? Ale czy jest złe? Nie był pewien.

Pomyślał, że zapyta o to rodziców. Wtedy jednak będzie musiał im powiedzieć o swojej kryjówce, a tego nie chciał. Podejrzał również, że oni po prostu nie zrozumieli by. Matka nigdy nie mówiła wiele na ten temat, ale wiedział, że kiedyś demon czynił jej awanse i była tym przerażona. Mógł odgadnąć, jak zareaguje na wiadomość, że demonica zaleca się do jej syna. Mogła nawet rzucić w niego złym humorem, a to boli. Ojciec kochał te złe humory. Przypominały mu klapsy ogra. Jeden klaps ogra mógł przekrzywić rosnące drzewko albo pokryć siecią pęknięć skałę.

Zachował więc milczenie. Może Metria znudzi się jego kryjówką i odejdzie. Demony mimo wszystko znane są ze swojej niestałości.

\* \* \*

Kilka dni później znowu zaryzykował pójście do kryjówki. Wszedł ostrożnie do środka. Nie było śladu po demonicy, ale wiedział, że równie dobrze mogła się ukrywać. Czas pokaże, czy naprawdę odeszła.

Usiadł na poduszkach, ale nie rozległ się żaden krzyk. Potrząsnął kocem — żadnego protestu. Znalazł kawałek placka z czerwonymi jagodami i zjadł go bez przeszkód.

Zadziwiająco, jak szybko wróciła nuda. Jego przygoda z Metrią miała jedną zaletę: była interesująca nie tylko z jednego powodu. Teraz, kiedy było za późno, zastanawiał się, czy nie popełnił błędu, odrzucając jej ofertę. Mogła zapewnić mu fenomenalne doświadczenie.

Wykopał swoje kamyczki do gry. Ich kolekcja służyła mu w przeszłości do zabijania nudnych godzin. Były różnokolorowe. Wymyślił sobie grę polegającą na wyciąganiu ich po jednym z torby i układaniu wzorów na podłodze. Każdy kamyk musiał być położony obok kamyka w takim samym kolorze, żeby utworzyć linię lub łuk. Celem było otoczenie jednego koloru innym. Zdarzało się, że wyciągał kilka czerwonych kamieni pod rząd. Czerwone posuwały się naprzód przeciwko białym; wtedy białe mogły zrobić kilka ruchów i uzyskać przewagę. Niebieskie, zielone i popielate także walczyły ze sobą. Czasami kolory sprzymierzały się, działając wspólnie przeciw pozostałym. Ta gra stawała się dość ekscytująca, kiedy ożywiał osobowości kolorów w swoim umyśle. Mogły układać się w dość skomplikowane wzory.

Wyciągnął pierwszy kamyk. Połyskiwał czerwienią. Ustawił go na podłodze i zaczął grę.

— Hej, kretyнку, co ty robisz? — zapytał kamień.

Złapał go, wrzucił do torby i mocno zacisnął zamknięcie, próbując nie wypuścić go ze środka. Ale dym przesączył się przez materiał i zawirował przed nim; wkrótce pojawiła się Metria.

— Myślałam, że się poddałeś i zostawiłeś mi kryjówkę — stwierdziła.

— Myślałem, że ty się poddałaś — odparował.

— Demony nigdy się nie poddają, jeżeli tego nie chcą. Słuchaj, ja naprawdę chcę tego miejsca. Nie możemy się dogadać?

— Nie. — Wtedy jednak ta głupia ciekawość zawładnęła nim. — Dlaczego tak bardzo upierasz się przy tym miejscu, zamiast po prostu zamienić się w ptaka i zamieszkać na gałęzi, czy coś w tym rodzaju?

— To miejsce jest odosobnione i wygodne, poza tym inne stworzenia nie wiedzą o nim. My, demony, musimy spędzać większość czasu w materialnej postaci, a najłatwiej to robić podczas snu, zatem dobre prywatne miejsce jest cenne.

— Myślałem, że demony nie muszą spać.

— Nie musimy spać, śmiertelniku, ale możemy spać, kiedy zdecydujemy, i często to robimy. To jest doskonałe miejsce do spania, więc sądzę, że muszę je mieć.

— Tak, ale ja nie sądzę, że pozwolę ci na to. Odęła wargi.

— Próbowałam zrobić to w miły sposób, Esk. Był to pewien wysiłek. Przypuśćmy, że podaruję ci dwa wielkie doświadczenia...

— Dwa?

— Seks i śmierć.

— Już próbowałaś mnie zabić!

— Mam na myśli co innego. Ty możesz mnie zabić, po tym jak mnie zabawisz.

— Demonów nie można zabić.

Stwierdził jednak, że jest zaintrygowany.

— Nie możemy umrzeć, ale potrafimy nadzwyczaj realistycznie naśladować umieranie. Możesz mnie dusić, a ja zakrztuszę się i poczerwienieję, a oczy wyjdą mi na wierzch i będę broniła się coraz słabiej, aż w końcu obwisnę i przestanę oddychać, a ciało zacznie się oziębiać. Będzie tak, jakbyś udusił żywą kobietę.

— Uff — jęknął Esk z niesmakiem.

— Więc czego ty chcesz? Trzech wielkich doświadczeń? Wymień swoją głupią cenę.

Kusiło go, aby zapytać o trzecie doświadczenie, ale pomyślał, że prawdopodobnie podobałoby mu się niewiele bardziej od drugiego.

— Nie.

— Jestem nawet skłonna dorzucić ci pierwsze za darmo — powiedziała. — Wtedy

w pełni będziesz mógł docenić to, co oferuję. Mogę przyjąć każdą postać, jaką sobie życzysz, żeby było interesująco. Czy istnieje jakaś śmiertelna dziewczyna, z którą chciałbyś...

— Nie!

— Nie bądź taki zacofany. — Westchnęła, aż zafalowały jej wspaniałe piersi, i pochyliła się ku niemu.

— Trzy razy powiedziałem: nie — zrzędził Esk. — Dlaczego nie przestaniesz?

— Ponieważ niczego nie robię, tylko cię przekonuję — odparła. — A ty chcesz być przekonywany, prawda Esk?

Bał się, że każda odpowiedź będzie kłamstwem. Wymknął się z kryjówki, wstydząc się sam siebie. Musi pozbyć się demonicy, zanim jej uda się go zdeprawować!

\* \* \*

Trzymał się od niej z daleka przez pełne dziesięć dni. Czuł się jednak wytrącony z równowagi, nie mając możliwości korzystania z kryjówki. Zrozumiał, że oddał ją bez walki. Musi tam pójść i dokuczyć jej, aż sobie pójdzie, zamiast pozwalać, by ona jemu to zrobiła.

Wziął się w garść i ruszył do drzewa beczkowca piwnego. Dookoła było cicho, tak samo w środku, ale wiedział, że nie jest to pewne potwierdzenie jej nieobecności. Usiadł na poduszkach, potrząsnął kocem, odgryzł kawałek sera, wyrzucił kolorowe kamienie na podłogę i poszturchiwał wszystko, co wpadło mu w ręce. Czy to możliwe, że tym razem odeszła? Może tylko zaczaiła się gdzieś, czekając, aż się zrelaksuje, zanim pojawi się z jakąś nową propozycją? Jak wielu takim propozycjom potrafi się oprzeć, zanim ulegnie pokusie? Ilu pokusom chciał się opierać?

Ona już go zdeprawowała, choć nawet jeszcze nie spróbowała!

Jeżeli nie ujawni się, wtedy kryjówka jest jego, nawet gdyby tu była. A jeśli już zawsze będzie obserwowana, co on tutaj robi? Czy jest możliwe, żeby w takich warunkach się zrelaksował? Musi mieć pewność, że odeszła definitywnie, a nie jest po prostu gdzieś na zewnątrz i wyrządza komuś szkody.

Usłyszał jakiś słaby odgłos w oddali. Wstrzymał oddech, nasłuchując.

— Esk! Esk!

To był głos jego matki! Szukała go, wołała po imieniu. Jeżeli nie pokaże się szybko, gotowa odkryć jego kryjówkę!

Wygramolił się z drzewa i pobiegł do niej. Nie wprost, ale klucząc, żeby nie zdradzić lokalizacji sekretnego miejsca.

— O co chodzi, mamó? — zawołał, kiedy ustalił, skąd dochodzi głos.

Tandy odwróciła się do niego. Zachowała wiele z figury nimfy, a teraz miała łagodne kształty kobiety. Znowu było to zepsucie spowodowane przez demonicę. Jak mógł po-

zwolnić sobie na zauważenie czegoś takiego u własnej matki?

— Och, Esk — powiedziała matka. — Musisz natychmiast wracać do domu! To straszne!

Sparaliżował go nagły strach.

— Co jest straszne?

— Twój ojciec... Jakiś ogr go pobił, tak myślę, i...

Strach zamienił się w przerażenie.

— Jest ranny?

— Może nie przeżyć godziny! Musisz przynieść mu uzdrawiający eliksir, zanim będzie za późno!

— Wiem, gdzie jest źródło! — krzyknął. — Pójdę i przyniosę!

Wziął od niej małą butelkę i pobiegł przez las, a serce biło mu mocno. Jego ojciec umiera! Dobiegł do źródła, szybko zanurzył butelkę i zaczerpnął uzdrawiającej wody. Niezwłocznie ruszył z powrotem do domu. Wpadł do środka.

— Gdzie on jest?! — krzyknął, dysząc ciężko.

Tandy odwróciła się od stołu, gdzie przygotowywała zbywającą zupę.

— Gdzie jest kto, kochanie? — zapytała łagodnie.

— Ojciec! Ogr Smash! Mam eliksir!

Smash wyłonił się z drugiego pokoju. Był w ludzkiej postaci.

— Wołałeś mnie, synku?

Esk powiódł spojrzeniem od jednego do drugiego rodzica.

— Ty, ty nie jesteś ranny?!

Tandy zmarszczyła brwi.

— Skąd ci przyszło do głowy, że twój ojciec jest ranny, Esk?

— Ale przecież tam w lesie mówiłaś, że...

— Nie wychodziłam z domu przez całe popołudnie, kochanie — powiedziała z dezaprobatą.

Oczywiście, to była prawda. Matka nigdy nie przerywała przyrządzania zbywającej zupy, z wyjątkiem strasznego zagrożenia, a wydawało się, że nie istnieje nawet najmniejsze niebezpieczeństwo. Jak mógł pomyśleć...

Wtedy zrozumiał. Metria! Potrafiła imitować wszystko i każdego! Udawała jego matkę, a on dał się nabrać.

— Ja... sądzę, że miałem sen — przyznał zawstydzony. — Myślałem, że ojciec jest ranny, więc przyniosłem trochę eliksiru.

— To bardzo miło z twojej strony, kochanie — powiedziała Tandy i znów zajęła się zupą.

— Ale zachowaj eliksir — wtrącił Smash. — Nigdy nie wiadomo, kiedy coś takiego może się przydać.

— Aha, z pewnością — przyznał Esk, szukając czegoś do zatkania buteleczki. Buteleczka jednak rozwiała się w dym, a eliksir wylał na podłogę. Co za głupiec z niego!

\* \* \*

Następnego dnia wrócił do kryjówki.

— Metria! — wrzasnął. — Pokaż się, przeklęta demonico! Pojawiła się.

— Naprawdę wierzyłam, że zmienisz zdanie — powiedziała. — Nigdy wcześniej nie mówiłeś mi takich komplementów.

— Przez ciebie myślałem, że ojciec jest umierający! — oskarżył ją.

— Oczywiście, Esk. Jeżeli jeden sposób nie skutkuje, próbuję innego. Jak inaczej mogę uzyskać tutaj spokój?

— To znaczy, że zamierzasz dalej tak postępować? Sprawiać, żebym myślał, iż rodzice mają kłopoty?

— Ależ nie, Esk! Jest oczywiste, że to też nie poskutkowało, ponieważ znowu tu jesteś.

Nie wierzył temu.

— Zatem, co?

— Będę musiała rzeczywiście coś zrobić twoim rodzicom, żebyś nie miał czasu na sprawianie mi kłopotów.

Zrozumienie tego zajęło mu tylko chwilę, mimo że w jednej czwartej pochodził od ogra.

— Nie!

— To jest nieodwołalne, Esk. Wiesz, że nie uda ci się niczego wymusić. Dostanę twoich rodziców w ten czy inny sposób, w swoim czasie. Nie możesz obserwować ich obojga jednocześnie.

Skoczył na nią. Zaczęła się dematerializować, potem zestaliła się jeszcze raz. Zamiast zniknąć, wyszła mu na spotkanie, otaczając go ramionami.

— Ale nadal pragnę się z tobą targować o kryjówkę i gotowa jestem nawet podarować ci darmową próbkę, jeżeli...

Siła jego skoku odrzuciła ich do przodu i wylądowali razem na poduszkach. Metria owinęła nogami jego ciało, a rękami objęła go za głowę, przyciągając do pocałunku.

— Naprawdę jestem bardziej niż rozsądna, jak na mój gatunek — wyszeptała przy jego policzku. — Wszystko, czego pragnę, to pozostać sama w mojej kryjówce.

— Mojej kryjówce! — sapnął ze złością.

— Za którą proponuję ci wspaniałą zapłatę — powiedziała. — Większość mężczyzn umiałaby wykorzystać taką szansę, nie mówiąc o ciebie. A teraz pozwól, że ściągnę z ciebie to ubranie.

Wyszarpnął się z jej objąć.

— Nie!

Westchnęła.

— Cóż, nikt nie może powiedzieć, że nie próbowałam. Nie mam naprawdę nic przeciwko twoim staruszkom, ponieważ oni nawet nie wiedzą o kryjówce. Ale jeżeli to ma doprowadzić do...

— Nie! Ja... ja zostawię cię w spokoju! A ty zostaw ich w spokoju!

— Jak to miło z twojej strony, Esk — powiedziała. — Stajesz się rozsądny. Będę zadowolona, pozostawiając was wszystkich w spokoju tak długo, jak długo nie będziesz tu przychodził.

Esk wstał, rozejrzył się wokoło i wyszedł. Wiedział, że przegrał, i to go drażniło, ale wydawało się, że nie ma innego sposobu.

Czy mógł jej zaufać i uwierzyć, że zostawi rodziców w spokoju? Im więcej o tym myślał, tym bardziej przestawał w to wierzyć. Demonica może się zorientować, że bardziej lubi dom niż drzewo, i zdecyduje się i tak działać przeciwko jego rodzinie. Demony nie mają sumienia. To stanowiło o ich wielkiej sile i słabości.

Musiał pozbyć się Metrii. Tylko wtedy może być całkowicie pewny, że jego rodzina jest bezpieczna. Ale jak? Za każdym razem, kiedy usiłował ją usunąć, ona próbowała go uwieść. Co gorsze — była bliższa zwycięstwa niż on. Gdzie może znaleźć odpowiedź?

Nagle zrozumiał gdzie. Pójdzie zapytać Dobrego Maga Humfrefy! Humfrey wie wszystko, a za roczną służbę u niego uzyska odpowiedź na każde pytanie. Była to wysoka cena, ale warto było ją zapłacić, aby uratować rodzinę przed demonicą.

Podjęcie tej decyzji sprawiło, że Esk poczuł się lepiej. Jutro wyruszy w podróż do zamku Dobrego Maga.

## Rozdział drugi

### Chex

Tandy oczywiście nie chciała zgodzić się, żeby poszedł, a on nie mógł jej powiedzieć, że robi to, aby ochronić ją i Smasha, i ich dom. Musiał wytłumaczyć to w jakiś inny sposób. Powiedział, że nadszedł czas, aby miał swoje Ogrowe Brawo do Wędrówki (chodziło oczywiście o słowo „prawo”, ale ogry nigdy nie były staranne w wymowie) i wykonał jakiś potężny akt zniszczenia, żeby stać się dorosłym. Dlatego chciał pójść do Dobrego Maga po radę. Smash zaaprobował to z entuzjazmem, więc Tandy naprawdę nie mogła się sprzeciwić. W pewnym sensie była to prawda. To był czas, żeby sprawdził sam siebie i rzeczywiście potrzebował rady. Jeżeli zaś chodzi o wielki akt zniszczenia, który planował, to uległ on odwróceniu. Obecnie chciał mu zapobiec, pozbywając się Metrii, zanim wyrządzi komuś krzywdę. Miał nadzieję, że nie naciągnął faktów zbyt mocno.

— Ale Dobry Mag żąda rocznej służby za każdą odpowiedź! — zaprotestowała Tandy. — Wiem, ponieważ odsłużyłam rok, kiedy...

— Ja przybyłem i cię obroniłem — przypomniał jej Smash.

To zakończyło dyskusję. Nie mogła stwierdzić, że Dobry Mag źle się jej przysłużył. Rzeczywiście rozwiązał jej problem, zapewniając towarzysza potrafiącego przeciwstawić się demonowi, który ją prześladował.

A jakiego towarzystwa ja potrzebuję, żeby przeciwstawić się Metrii? — zastanawiał się Esk.

Naprawdę potrzebował zaklęcia, żeby zmusić ją do odejścia i trzymania się z dala, a nie odpowiedzi na pytanie. Poprosi na samym początku o to, żeby mógł wygnąć ją natychmiast. Potem odsłuży swój rok, spokojny, że nad jego rodziną nie wisi żadna groźba.

Wędrował teraz na zachód przez gęste zarośla, wystrojony w szarą koszulę i szare spodnie, przy których upierała się jego matka, bo ich kolor podkreślał barwę jego oczu. Tego rodzaju rzeczy są ważne dla matek. Szukał jednej z magicznych dróg, które prowadziły do zamku Dobrego Maga. Były zaczarowane, by chronić wszystkich podróżników,



więc wyprawa powinna być dość łatwa. Tutaj, blisko domu, znał wszystkie zakamarki, łatwo mu więc omijać pułapki, ale kiedy znajdzie się na obcym terenie, chce być na takiej magicznej ścieżce. Nawet pomniejsze niedogodności, jak przeklęte rzepy, mogą być złe, jeżeli ktoś nieświadomie wejdzie na ich pole. Główne zagrożenia, takie jak duże smoki — cóż, tych lepiej unikać.

Znalazł jakąś ścieżkę, ale nie ufał jej, ponieważ była zbyt wygodna. Z całą pewnością prowadziła do wikłacza. Jakiś pełnej krwi ogr mógł nią pomaszerować, będąc za głupi, żeby dostrzec różnice. Lecz Esk był tylko w ćwierci ogrem i to zmuszało go do roztropności. Zrezygnował więc z tej ścieżki i w rezultacie popełnił gafę, pakując się na poletko przeklętych rzepów.

— A niech cię licho weźmie! — krzyknął, kiedy jeden przyczepił mu się do nogi.

Rzep się zawahał, potem odpadł. Jego zakłęcie było zbyt łagodne. Fatalnie, że nie miał w sobie ani jednej kropli krwi harpii. Potrafiły one przeklinać tak ohydnie, że nawet roślinność w pobliżu ich brudnych ciał spalała się. Przeklęte rzepy nigdy nie sprawiały kłopotów harpiom.

Ukłuły go następne trzy rzepy.

— Idź, wskocz sobie do jeziora! — krzyknął i jeden odpadł, ale niechętnie. — Twój rodzic to chwast! — Następny dał spokój. — Niech cię smok upiecze! — i trzeci go puścił.

Jego problemem było to, że nigdy nie nauczył się skutecznie przeklinać. Tandy, będąca delikatnym stworzeniem, nie stanowiła w tym względzie odpowiedniego wzoru do naśladowania. Smash nie był zbyt wymowny; kiedy się zdenerwował, stawał się po prostu ogrem i rozwalał to, co sprawiało mu kłopoty. Esk wiedział, że zaniedbano jego edukację w tej dziedzinie, było jednak już za późno, żeby cokolwiek z tym zrobić.

Następne dwa rzepy wczepiły mu się w kostki. Trudno je było dosięgnąć, ponieważ przy schylaniu plecak podjeżdżał mu do góry. Usiadł więc. Niestety, niżej było więcej rzepów i to, co demonica określiła jego mułem, wylądowało na nich.

— ©£\$%Π∅!! — wrzasnął, podskakując do góry. Rzepy odleciały od niego, jak bzy czące świdraki, pozostawiając za sobą małe odrzutowe ślady.

Esk patrzył za nimi. Nie zdawał sobie sprawy, że zna tego rodzaju język! Oczywiście, ukłuły go mocno we wstydlive miejsce, więc zareagował odruchowo.

Jednakże...

Usiłował przywołać w pamięci to, co powiedział, ale nie potrafił. Widocznie zarówno jego siła ogra, jak i działanie na sposób demoniaka pojawiały się tylko w ekstremalnych sytuacjach. Fatalnie.

Podjął dalszą wędrówkę. Wreszcie napotkał obiecującą ścieżkę. Nie prowadziła do wikłacza czy legowiska smoka, więc wyglądała na właściwą. Nie wiedział, jak stwierdzić, czy jest zaczarowana. Założył jednak, że jest zaklęta, ponieważ nie pojawiły się na

niej wrogie stworzenia.

Zatrzymał się na lunch. Tandy przygotowała mu jego ulubione kanapki z borówkami i porażający placek. Zęby doznawały przyjemnego wstrząsu, kiedy ugryzienie placzka powodowało przepływ prądu. Kanapki były wspaniale zimne, ponieważ borówki zebrano wówczas, kiedy błękitniały z zimna, w miesiącu FeBlueberry\*, i zachowały do teraz swój mroźny charakter. Tandy miała szczególny dar do przyrządzania jedzenia. Mówiła, że nauczyła się tego podczas służby u Dobrego Maga.

Być może on też nabędzie pożytecznych umiejętności podczas rocznej służby. Z tego, co ludzie mówią, wynikało, że służba, której wymaga Mag, nie jest ciężka i zazwyczaj bywa dla służącego dobroczynna w skutkach, choć w nieprzewidywany sposób. Potwory, które przychodziły z pytaniami, służyły jako strażnicy, a Tandy służyła kiedyś jako gosposia. Ogr Smash odsłużył ten rok wyprawą, podróżując z Tandy i chroniąc ją przed niebezpieczeństwami. Esk chętnie zgodziłby się na alternatywną służbę w towarzystwie jakiejś młodej kobiety, podobnej pod pewnymi względami do jego matki.

To jednak przypomniało mu Metrię, która ofiarowała mu o wiele za dużo towarzystwa. Nadal się zastanawiał, dlaczego tak zdecydowanie odrzucił jej propozycję. Nie dlatego, że naprawdę cenił swoją kryjówkę, bo przecież mógł sobie przysposobić drugą taką w innym rejonie lasu. Prawdopodobnie stało się tak, ponieważ po prostu nie był gotowy na tego typu doświadczenia, które mu oferowała. Przynajmniej nie z dziewczyną, która była tak cyniczna w tych sprawach. Jakaś prawdziwa dziewczyna, z prawdziwymi uczuciami i wrażliwością, zainteresowana nim — to mogło być nadzwyczaj interesujące. Ale wiekowe, nieludzkie stworzenie uczyniło z tego jedynie element przetargowy — a to było przerażające. Mogła go z łatwością w to wciągnąć, potem zmienić się w harpię albo w coś innego i śmiać się, aż odpadłaby jej demoniczna głowa. Nie ufał jej.

Być może to właśnie był klucz: zaufanie. Demonom nie można było ufać, gdyż nie miały duszy — każdy o tym wiedział. Jedynym właściwym sposobem obchodzenia się z demonem było trzymanie się od niego z daleka, ponieważ nie można było przewidzieć, jakie będzie jego kolejne posunięcie. Metria próbowała go zabić, potem skusić; teraz straszyla jego rodzinę, a to tylko potwierdzało słuszność opinii o demonach. Esk miał nadzieję, że dotrze do zamku Dobrego Maga na tyle szybko, by zdążyć wszystko uporządkować.

Dokończył lunch i ruszył w dalszą drogę. Nie wiedział, jak daleko jest do zamku Maga, ale nie sądził, żeby było bardzo daleko. Oczywiście, słabo orientował się w geografii Xanth. Jego rodzina żyła w sercu Xanth, na południowym wschodzie było Jezioro Ogrów i Pszczół Wodnych, na wschodzie Jezioro Lamentów, a na północy Wielka Roz-

---

\*Nieprzetłumaczalna gra słów: blueberry — borówka, blue — niebieski, FeBlueberry — od nazwy miesiąca February — luty.]\*

padlina. Pozostawał jedynie kierunek zachodni — tam był Dobry Mag, a za nim Zamek Roogna, gdzie mieszkał Król Dor. Król był przyjacielem ogra Smasha, ale dawno się nie widzieli. Krążyły wieści, że Król ma jedno albo dwoje dzieci i oswojonego smoka.

Przed nim rozległ się jakiś hałas. Esk przystanął i nasłuchiwał. Odgłosy przypominały małego smoka, ale nie mógł to być on, ponieważ hałas dobiegał ze ścieżki. Ale kto inny mógł tak łomotać i syczeć? Teraz poczuł dym, a to również oznaczało smoka. Istniały różnorodne odmiany smoków. Przystosowane do życia na lądzie, w wodzie i powietrzu, niektóre ziejące ogniem, inne parowe, a jeszcze inne dymne. Naraz pożałował, że nie jest uzbrojony; dysponował tylko laską.

Stworzenie pokazało się w zasięgu wzroku — i był to smok, mały brązowy smok-palacz z jasnymi łapami i ciemnymi od dymu zębami. Nie była to najgorsza z odmian smoków, ale każda z nich była kłopotliwa, ponieważ wszystkie smoki były brutalne i zazwyczaj głodne. Co ten robił na magicznej ścieżce?

Esk nie miał czasu na rozważania, ponieważ potwór nacierał na niego z otwartą paszczą. Uniósł laskę, ale wobec smoka, choć był raczej małym osobnikiem, wyglądała krucho. Smok jednym chapnięciem mógł rozłupać kij na dwoje. Esk myślał, żeby dać susa w bok, ale wzdłuż ścieżki rosły przekłete rzepy.

Smok szedł prosto na niego, ziejąc dymem. Masą dorównywał Eskowi i był wystarczająco duży, by zagrozić kruchemu ciału człowieka. Szczęki miał duże, a zęby jak małe sztylety.

Te szczęki i zęby celowały w niego.

— Nie! — krzyknął Esk.

Pysk smoka przesunął się w bok i szczęki chapnęły powietrze. Zadymione oczy patrzyły ze zdziwieniem. Stwór zastanawiał się, jak mógł chybić tak łatwego celu. Przemieścił się i przygotował do następnego kłapnięcia.

— Nie!

Znowu chybił. Wściekły kłęb dymu wyleciał z paszczy smoka. Skąpany w dymie Esk zaczął kaszleć. Wachlował się rękami, żeby rozwiać dym, ale ten przywarł do jego ubrania. Teraz będzie cuchnął jak palacz!

Smok, powolny w wysnuwaniu wniosków, zrobił trzecią próbę. Otworzył szeroko szczęki.

— Nie! — powtórzył Esk, pakując mu kij w paszczę.

Szczęki pozostały otwarte. Nie mogły się zacisnąć na lasce z powodu magii Eska. Potwór, niezadowolony, cofnął się. Kiedy to zrobił, udało mu się zamknąć paszczę.

Smok zastanawiał się. Podczas gdy myśl o tym, że mógłby jeszcze raz spróbować, zaczęła przenikać przez nieco gęstą substancję jego głowy, Esk znów powiedział „nie”.

Tym razem myśl sama się sprzeciwiła. Mały smok poczuł się niedobrze i ruszył ścieżką przed siebie, rezygnując z tej szczególnej ofiary.

Esk podjął swoją wędrówkę zaniepokojony. Jeżeli ta ścieżka była zaklęta przeciwko drapieżnikom, dlaczego znalazł się na niej smok? Jeżeli nie była zaklęta, to która była tą właściwą? Nie chciał iść niewłaściwą drogą. Na dodatek ta była jedyną, którą znalazł. Jeżeli była zła, to dokąd prowadziła?

Westchnął. Pójdzie nią dalej. Możliwe, że była nie zaklęta odnogą i w końcu zejdzie się z tą zaczarowaną. Jeżeli nie — cóż, wtedy będzie musiał rozejrzeć się po okolicy w poszukiwaniu tej właściwej.

Dzień zaczął zanikać, a ścieżka dalej nie łączyła się z inną. Zakręcała wokół wznieśień, okrążała duże drzewa, przecinała strumyki, jakby było to celowe. Z pewnością ciągnęła się zbyt daleko, żeby mogła to być fałszywa ścieżka!

Wtem pojawił się następny mały smok. Naturalnie, rzucił się na Eska.

— Nie — powiedział stanowczo Esk kilka razy. Smok w końcu zrezygnował i dymiąc ruszył dalej.

Dwa smoki! Jeden mógł być przypadkiem, ale dwa podobnego rodzaju? Zaklęcie definitywnie zawiodło!

Wniosek był jeden: zaklęcie może naprawdę istniało, ale miało w sobie jakieś przerwy, więc niektórym stworzeniom udawało się przez nie wśliznąć, co mogło oznaczać, że mimo wszystko była to ścieżka właściwa.

Kiedy jednak nadciągnął wieczór, Esk zmartwił się. Jeżeli nawet był na właściwej ścieżce, smoki też na niej były. Jak tu położyć się i zasnąć, jeżeli w pobliżu są smoki? Mógł powiedzieć im „nie” tylko wtedy, kiedy czuwał. Jeśli smok chapnie go w nocy, będzie mógł krzyknąć „nie” i powstrzymać go, ale wcześniej zostanie zraniony. Jeżeli stworzenie ugryzie go wystarczająco mocno, zanim się zbudzi, może umrzeć. Nawet małego smoka nie można ignorować.

Doszedł do wniosku, że nie może sobie pozwolić na sen, dopóki nie będzie pewien, że jest bezpieczny.

Wtem usłyszał przed sobą jakieś poruszenie.

— Odejdź! A kysz! A kysz! Wynoś się!

Głos był kobiecy.

Pobiegł w jego kierunku. Szybko odkrył nie kobietę, a centaury-klacz, bezradnie trzepoczącą skrzydłami i trzymającą w rękach drewnianą pałkę. Zaatakował ją mały smok i z dala trzymała go jedynie ta pałka. Smok oczywiście wiedział, że taka broń nie wystarczy na długo. Wydmuchiwał kłęby dymu, w miarę jak rozpalał się jego wewnętrzny ogień.

Esk chwycił za własny kij.

— Wynoś się stąd! — wrzasnął na smoka.

Zdumione stworzenie okręciło się wokół własnej osi, żeby stanąć przed nim. Dym znikł na chwilę, gdyż smok wstrzymał oddech. Potem zdecydowawszy, że to może być

jego rywal, wypuścił dym z groźnym rykiem i skoczył na Eska.

— Nie!

Szczęki kłapnęły w powietrzu, smok, wściekły, wylądował za Eskiem. Zaczął się wycofywać.

— Nie — powtórzył Esk, a smok odszedł, za głupi, żeby zrozumieć, że to nie była jego decyzja.

— Dziękuję ci, podróżniku — powiedziała klacz. — Nie wiem, co bym zrobiła, gdyby...

— No jasne — przerwał Esk, przypatrując się jej uważnie. Miała szare oczy, brązową grzywę i szare skrzydła, pasujące do jej oczu. Nosiła mały plecaczek i kołczan z przewieszonym na ukos mocnym łukiem. Z kołczana sterczało kilka strzał. Widać smok podszedł ją tak nagle, że nie zdążyła naciągnąć łuku. Głowę miała nieco wyżej niż Esk, a to dlatego, że ludzka część centaura zaczynała się powyżej końskiej. Jej ramiona za to były węższe od jego ramion. Dotarło to do niego z opóźnieniem. Skrzydła?

— Nie gap się na mnie, jakbym była cudakiem! — krzyknęła.

— Ja, hm, po prostu nigdy nie widziałem... To jest...

— Mój ojciec jest hipogryfem — wyjaśniła. — Po nim odziedziczyłam skrzydła.

— A tak, oczywiście — powiedział. — Ale dlaczego po prostu nie odfrunęłaś?

Ukryła twarz w dłoniach i wybuchnęła płaczem. Esk, zupełnie zbity z tropu, stanął na jednej nodze, a potem na drugiej, nie wiedząc, co zrobić.

Po chwili jej nastrój nieco się poprawił.

— Nie potrafię fruwać! — powiedziała zrozpaczona. — Te skrzydła nie wystarczają do uniesienia się w powietrze.

— Och, przepraszam — rzekł zawstydzony.

— W każdym razie dziękuję ci za uratowanie mnie przed smokiem. Nie spodziewałam się czegoś takiego tutaj. Tę ścieżkę uważa się za bezpieczną.

— Ja też tak sądziłem — przyznał Esk. — To jest trzeci mały smok-palacz, którego na niej widzę.

Odrzuciła do tyłu włosy podobne do włosów kobiety. Głęboki oddech podkreślił jej biust, również przypominający kobiecy, tylko wydatniejszy. Centaury oczywiście nie noszą ubrań. Uważają to za ludzką skłonność do sztuczności.

— Cześć! — powiedziała pogodnie. — Jestem Chex.

— Ja jestem Esk.

— Czy zauważyłeś, że pasujemy do siebie?

— Oczy i włosy — zgodził się. I skrzydła, dodał w myślach; pasowały kolorystycznie do jego ubrania. I w pewnej mierze były podobnej faktury.

— Moim ojcem jest hipogryf Xap, a matką centaurzyca Chem.

— Moim ojcem jest ogr Smash, a matką nimfa Tandy.

— Więc ty też jesteś mieszańcem! — wykrzyknęła uszczęśliwiona.

— W ćwierci ogrem, w ćwierci nimfem, a w połowie człowiekiem — potwierdził.

— Ludzka część jest w połowie demoniakiem. Idę zobaczyć się z Dobrym Magiem.

— Tak jak i ja! Co za zbieg okoliczności!

— Więc idziemy tą samą drogą.

— Tylko, że jedno z nas musi podążać w złym kierunku.

— Ja mieszkam na wschód od jego zamku, idę więc na zachód — powiedział Esk.

— A ja mieszkam na zachód od niego, więc idę na wschód. Stali dalej, zastanawiając się.

— Może był jakiś zakręt i jedno z nas go nie zauważyło? — odezwał się Esk po chwili.

— Pewnie tak było — zgodziła się Chex. — Podróżowałam bardzo szybko. Mogłam przegalopować obok niego.

— Ja posuwałem się wolno. Nie sądzę, żebym coś przeoczył.

— Zatem chodźmy na zachód — powiedziała. — I patrzmy na boki.

— Dobrze sobie radzisz — zauważył.

Ruszyli na zachód. Esk szedł przy przedniej części jej ciała, było im więc trochę ciasno na ścieżce. Nie widzieli jednak lepszego sposobu.

— Zmęczyła mnie ta samotna podróż — wyznała. — Ten smok... W jaki sposób udało ci się tak łatwo go pozbyć? Ja nie mogłam sobie z nim poradzić.

— Powiedziałem mu tylko „nie”. Mój talent to protestowanie. Efekt nie trwa długo, ale smoki nie są zbyt mądre, więc działa to wystarczająco.

— Szkoda, że nie mam talentu — powiedziała. — Kiedyś nie oczekiwano się po centaurach posiadania magii, ale teraz dopuszcza się ją u młodszych. Moja matka potrafi tworzyć mapy; może sporządzić mapę obojętnie czego. Powiedziała mi, jak dojść do zamku Dobrego Maga. Trudno sobie wyobrazić, że mogła się pomylić.

— Geografia się zmienia — stwierdził. — Wikłacze bez przerwy robią nowe ścieżki, kiedy stare stają się już za bardzo znane. A strumienie zmieniają bieg, kiedy ich łożyska wypełnią się kamieniami. Ta ścieżka musiała się zmienić od czasu, kiedy twoja matka sporządzała mapę.

— Zapewne tak — zgodziła się.

— A ty prawdopodobnie masz talent, tylko jeszcze się nie ujawnił.

— Ty też świetnie dajesz sobie radę — zauważyła z uśmiechem, z którym było jej bardzo do twarzy.

— Myślę, że ja też jestem zmęczony samotną wędrówką.

Śmiali się razem. Esk zrozumiał z ukłuciem żalu, że o wiele łatwiej było mu zwracać się do tej klaczki niż do prawdziwej dziewczyny. Może dlatego, że po związku pomiędzy człowiekiem a centaurem nie oczekiwano się wiele. Zbliżała się noc.

— Chyba powinniśmy zatrzymać się na kolację i poszukać miejsca do spania — powiedziała Chex. — Myślisz, że pojawią się jeszcze jakieś smoki?

Esk myślał o tym samym. Bolały go nogi.

— Bałem się pozwolić sobie na sen. Teraz możemy czuwać na zmianę.

— Tak! — zgodziła się chętnie.

Przetrzasnęli okolicę, szukając owoców, a potem uzgodnili warty. Chex będzie czuwała, aż stanie się śpiąca, wtedy go zbudzi. Zapewniała, że nie zaśnie. Niektóre centaury spiały na stojąco, ale pod nią nogi się uginały, i wtedy się budziła.

Esk poszedł w krzaki za naturalną potrzebą. Chex uważała tę skromność za zabawną. Zebrał trochę liści i położył się przy ścieżce. Chociaż był zmęczony, nie chciało mu się jeszcze spać.

— Czy idziesz do Dobrego Maga dowiedzieć się, jaki jest twój talent? — zapytał.

Zamachnęła się ogonem, jakby odganiała muchę.

— Nie. Obawiam się, że będę musiała odsłużyć rok za wiedzę, której nie posiadam. Mój problem jest bardziej, hm... wstydlivy.

— Nie chciałem, żebyś wyjawiała swoją tajemnicę.

— W porządku. Mogę ci to powiedzieć. Nie jesteś centaurem.

— Nie jestem centaurem — zgodził się.

— Chcę się nauczyć fruwać.

— Oczywiście! Powinienem być odgadnąć. Wiesz, twoje skrzydła nie wyglądają na tak duże, jak u dużych ptaków — powiedział. — Nie jestem pewien, czy one uniosą cię w powietrzu, nawet jeżeli będą pracowały doskonale. To znaczy, uważam, że mogą unieść mniejsze stworzenie, ale nie centaura.

— To oczywiste — potwierdziła dość chłodno. — Ćwiczyłam machanie nimi przez całe miesiące, rozwijając mięśnie klatki piersiowej, i jak widzisz wypełniły się, ale nadal nie mogę unieść się w powietrze.

Esk był zbyt zażenowany, żeby powiedzieć, iż wziął jej mięśnie za piersi, i to raczej dobrze rozwinięte. Centaury tylko czasami nosiły uprząż albo ochronę przed gorącem czy zimnem i nigdy nie ukrywały swoich seksualnych atrybutów. Piersi żeńskich centaurów były, według ludzkich standardów, imponujące. Być może dlatego, że musiały dostarczać odpowiednie ilości mleka dla potomstwa, którego masa kilkakrotnie przekraczała wagę ludzkich niemowląt. Chex nie wyglądała na starszą, niż była, ale jej piersi można było uważać za bardziej rozwinięte niż u jakiegokolwiek ludzkiej kobiety. Oczywiście, dał się zwieść pozorom.

— Chciałem powiedzieć — odezwał się jakoś nieśmiało — że możliwe jest, iż twoim talentem jest latanie i że twoje mięśnie i skrzydła stanowią jedynie jego małą część, a jego główną częścią jest magia.

— Jeżeli tak jest, to dlaczego nie potrafisz fruwać?

— Dlatego, że machasz skrzydłami, zamiast wykorzystywać swoją magię. Zatem to nie może działać.

— Ale jak mam uruchomić tę magię? — zapytała naiwnie. — Pomyślałam o tym i próbowałam wypracować wolę latania, ale nic się nie wydarzyło.

— Nie wiem. Myślę, że masz rację: musisz zapytać Dobrego Maga. Może będzie mógł podać ci jakieś zaklęcie, które zadziała.

— Mam taką nadzieję — powiedziała. — A dlaczego ty chcesz się z nim zobaczyć?

— Muszę wiedzieć, w jaki sposób pozbyć się demonicy, która zagraża mojej rodzinie.

Opowiedział jej o wszystkim, z wyjątkiem miłosnych propozycji Metrii. Ta sprawa była zbyt wstydliva.

— Jestem zdumiona, że nie usiłowała kusić cię seksualnie — powiedziała Chex. — Ludzcy mężczyźni są znani ze słabej odporności na tego typu prowokacje, a demony nie mają skrupułów.

Poczuł, że czerwieni się w ciemności.

— No właśnie...

— Aa, prawda! Wy, ludzie, jesteście wrażliwi na tym punkcie, nieprawdaż? Jakie to niezwykle!

— Niezwykle — zgodził się.

Potem, nie chcąc dłużej dyskutować nad tą kwestią, zaniknął oczy. W chwilę później już spał.

\* \* \*

Zbudziła go w głębokiej ciemności.

— Esk! Esk! — szeptała ponagłajaco.

Upłynęło parę sekund, zanim zorientował się, gdzie jest.

— O tak, moja kolej na wartę.

— Nie. Myślę, że zbliża się smok.

W jednej chwili rozbudził się całkowicie.

— Gdzie?

— Przed nami. Czuję dym. Po moim poprzednim doświadczeniu jestem bardziej wrażliwa na takie sygnały.

Teraz Esk poczuł go również.

— Oczywiście, to smok! Szkoda, że nie mogę go zobaczyć. Wtedy wiedziałbym, kiedy powiedzieć mu „nie”.

— Użyj swojego kija — zasugerowała. — Ja też użyję swego.

— Ale nie mogę uderzyć smoka, jeżeli go nie widzę!

— Miałam na myśli użycie kijów do wymacania smoka. Trzymaj go przed sobą, a po-



tem...

— Masz rację.

Podniósł kij i wycelował w kierunku, skąd dochodziła woń dymu.

Nasłuchiwali. Rozdrażniony smok zbliżał się. Czy Esk dobrze wycelował swój kij? Wydawało się, że potwór jest bardzo blisko. Woń dymu była mocna. Jeżeli czekał za długo i zostanie pożarty, zanim...

— Nie! — krzyknął.

Sapanie ustało.

— Jest jeszcze dość daleko — zamruczała z dezaprobatą Chex. — Czy twój protest działa na odległość?

— Nie — powiedział Esk zmartwiony.

Smok prawdopodobnie zatrzymał się na dźwięk jego głosu. Teraz wiedział dokładnie, gdzie jest. Ryczał i gotował się do skoku.

— NIE! — krzyknął ponownie Esk. — NIE, NIE, NIE, NIE, NIE, NIE!

Smok wycofał się. Słyszeli drapanie pazurów na ścieżce.

— Jedno z tych „nie” musiało trafić — powiedziała Chex.

— Mhm — zgodził się zmieszany. Wiedział, że wpadł w panikę i niemal zrobił z siebie głupca. Znowu.

— Cieszę się, że jesteś tutaj — wyznała. — Nie potrafiłabym go przegonić w nocy, a może również i za dnia. Musiałabym uciekać, a sama ciemność kryje w sobie różne niebezpieczeństwa.

— Teraz ja będę czuwać — powiedział, woląc zmienić temat.

— Jak sobie życzysz.

Usłyszał lekki łomot, kiedy układał się na ścieżce. Zastanawiał się, w jakiej pozycji śpią centaury. Czy leżą płasko na ziemi, czy pozostają w pozycji pionowej? Ale nie ośmielił się zapytać.

Okazało się, że Chex trzymała straż przez większą część nocy. Teraz niebo zaczynało się rozjaśniać i zbliżał się świt. Kiedy nadszedł, żadne przypuszczenie Eska nie potwierdziło się. Ludzki tułów Chex nie był ani wyprostowany, ani nie leżał płasko. Był w połowie odchylony do tyłu ku końskiej części ciała, ponad złożonymi skrzydłami. Centaurzyca ramionami opłótła tułów poniżej piersi. Brązowe włosy zmieszały się całkowicie z jej grzywą. Miała rację, pomyślał. Odcień jej włosów odpowiadał dokładnie jego własnym, jakby byli rodzeństwem. Czy mogło istnieć rodzeństwo z różnych gatunków? Może nie bezpośrednio, ale jeżeli urodzili się w tym samym czasie, kiedy dla rodzących się zamawiano brązowe włosy i szare oczy... Cóż, magia wszystko mogła. W każdym razie Chex była bardzo ładna.

Promień słońca przedarł się przez szczelinę w listowiu i dotknął jej twarzy. Chex zbudziła się i zamrugowała.

— O, to już rano! — krzyknęła.

Uniosła najpierw górną część, a potem resztę ciała.

— Pozwól, że oddam mocz, i możemy ruszać.

Stała po drugiej stronie ścieżki, rozszerzyła tylne nogi i zrobiła to. Esk był wstrząśnięty. Wiedział, że takie rzeczy nie są ważne dla centaurów i że powinien po prostu przyjąć jej zachowanie bez reakcji. Czuł jednak, że za chwilę z zażenowania obleje się czerwienią. Wtem zaświtała mu pewna myśl.

— Ja też — powiedział i szybko udał się za gęsty krzak, gdzie mógł się załatwić.

Miał nadzieję, że Chex pomyśli, iż to z powodu jego zdumiewającej ludzkiej skromności. To była prawda, ale głównym powodem była chęć ukrycia zaczerwienionej twarzy.

— Naprawdę powinienes zrobić coś z tą twoją słabością — uczyniła niewinną uwagę, kiedy zrywała placek z pobliskiego drzewa.

Jej piersi znajdowały się teraz na wysokości oczu Eska.

Nie odpowiedział, gdyż nie był całkiem pewien, którą jego słabość miała na myśli. Podejrzał jednak, że miała rację. Postanowił spełniać fizjologiczne czynności w zasięgu jej wzroku, bez czerwienienia się. Mimo wszystko, każda kultura miała własne normy, a teraz nie był wśród ludzi. Z całą pewnością nigdy nie chciał, by przyłapano go gapiącego się na coś, czego nie powinien zauważyć.

Wręczyła mu placek i sięgnęła po następny.

— Dziękuję ci — powiedział, wbijając wzrok w placek.

Nawet nie zauważył, jaki on był, po prostu odgryzł kawałek i przeżuł.

Powędrowali dalej i po godzinie doszli do skrzyżowania.

— To jest to! — krzyknęła uszczęśliwiona Chex. Wcale nie wydawała się skonsternowana wobec tego dowodu poprzedniego przeoczenia. — Ścieżka, której nie zauważyłam!

— Ale tutaj są dwie — wskazał Esk. — Którą powinniśmy wybrać: tę biegnącą na północ czy tę na południe?

— To zależy od tego, czy ścieżka, którą idziemy, biegnie na północ czy południe od zamku Dobrego Maga.

— Wiem, że Rozpadlina jest na północy, ale nie orientuję się, jak daleko stąd — powiedział Esk. — Być może, jeżeli wiedzie tam północna ścieżka...

— Wtedy południowa prowadzi do zamku — dokończyła.

— Więc spróbujmy południowej. Jeżeli okaże się niewłaściwa, cóż, wtedy po prostu pójdziemy na północ. To nie może być daleko.

Skierowali się na południe. Drzewa były tu większe. Rzuciły na całą ścieżkę ponury cień. Potem stały się niższe, przepuszczając słoneczne, gorące promienie.

— Mam nadzieję, że wkrótce znajdziemy wodę — powiedziała Chex. — Pocę się.

Esk nie zdawał sobie dotychczas sprawy z tego, że wszystkie kobiety się poca. Brązowa sierść Chex aż błyszczała.

— Może powachlujesz się skrzydłami? — zasugerował.

— Nigdy na to nie wpadłam — przyznała się. — I tak muszę je ćwiczyć. — Rozłożyła skrzydła i poruszyła nimi, wytwarzając powiew, który odczuł na własnej skórze. — Tak. O wiele lepiej. Dziękuję ci.

Droga rozszerzała się teraz i doszli do małego jeziora. Ścieżka prowadziła przez nie po powierzchni wody.

Wymienili spojrzenia.

— Czy droga może prowadzić po wodzie? — zapytała Chex.

— Jeżeli to jest zakłeta ścieżka... — odparł z powątpiewaniem Esk.

— Zobaczymy.

Zrobiła krok do przodu. Przednie kopyta przeszły przez widzialną ścieżkę i z pluskiem zatonęły w wodzie.

W jeziorze natychmiast coś się poruszyło. Na wodzie pojawił się ślad czegoś ogromnego i ciemnego, co z dużą szybkością zbliżało się do centaurzycy. Żadna część nie wystawała ponad powierzchnię, a zarys ciała zaciemniony był załamaniem światła w wodzie. Ale to „coś” wydawało się niesłychanie pewne siebie.

Chex szybko się wycofała.

— Myślę, że powinniśmy obejść jezioro. Jeżeli było zaczarowane i pozwalało przejść podróżnym po wodzie, to magia zniknęła.

— Dobrze myślisz — zgodził się Esk.

Szli brzegiem, ale trzciny rosnące przy krawędzi wygięły się i pochyliły ku nim, ukazując wilgotne powierzchnie, które przypominały nieco zęby. Esk roztrącił parę z nich kijem, a one cofnęły się, wydając słaby, niemiły dla ucha syk. Inne przechyliły się jeszcze bliżej.

— Esk, myślę że lepiej będzie, jeśli wyniesiemy się stąd dość szybko — powiedziała Chex. — Podłoże wygląda tutaj na twarde. Myślę, że mogę cię unieść. Chyba że uważasz, iż nie wypada, byś mnie dosiadał. Wtedy będę mogła galopować...

— Następną dobra myśl — przyznał szybko.

Podał jej swój kij, a ona wyciągnęła prawą rękę do tyłu i pomogła mu wdrapać się na swój grzbiet.

— Chwyć się dobrze moich włosów — poradziła.

Chwytał jej włosy obydwoma rękami. Pobiegła szybko, przechodząc ze stępa w kłus, aż do galopu. Wczepił się w nią niemal rozpaczliwie. Woda rozbryzgiwała się pod jej kopytami.

Gdzieś w połowie drogi wokół jeziora Chex odwróciła głowę, żeby na niego spojrzeć. Esk podziwiał gibkość jej tułowia. Potrafiła tak się obrócić, że widział profil jej syl-

wetki.

— Czy mógłbyś wziąć swój kij? — zapytała.

Nagle zobaczył, co wywołało jej niepokój. Kilka średniej wielkości ptaków leciało w ich kierunku. Szyje miały przekrzywione, dzioby zagięte i wyglądały na głodne.

— Jeżeli będziesz biegła wolno, spróbuję odparować ich ciosy — powiedział, odrywając palce od jej włosów i biorąc kij.

Zwolniła kroku, używając własnego kija do roztrącania trzciny. On balansował na jej grzbiecie i patrzył z ukosa na ptaki. Sądził, że potrafi je powstrzymać, jeśli zejda w dół pojedynczo.

Pięć z nich złożyło skrzydła i zanurkowało w jego kierunku. Ich dzioby wyglądały na bardzo mocne i ostre.

— Nie! — krzyknął, kiedy się zbliżyły.

Było już niemal za późno, żeby zmieniły kurs. Dwa z nich runęły do wody jak kamienie. Pozostałe dwa wykonały pętlę nad jego głową, desperacko starając się unieść wyżej. Piąty skręcił w powietrzu, wykorzystując skrzydła jako hamulce. Zdołał skorygować kurs w ostatniej chwili przed uderzeniem w plecy Chex.

Ślad czegoś płynącego w głębokiej wodzie znowu się do nich zbliżył. Esk wetknął kij pod pachę i chwycił ponownie za grzywę Chex.

— Szybciej! — krzyknął.

Chex pobiegła, machając skrzydłami dla zwiększenia szybkości. Obiegli jezioro dookoła bez dalszych przygód i wrócili na ścieżkę. Esk ześlizgnął się z klaczy.

— Myślę, że tworzymy zgrany zespół — powiedział. — Ty potrafisz biegać, a ja za-trzymywać.

— Ładnie to ująłeś — stwierdziła. — Byłam przerażona!

— Jesteś klaczą. To naturalne, że przeraża cię przemoc.

— A ciebie nie?

— Nie. Nie tego oczekuje się po mnie. — Uśmiechnął się. — Tylko nie pytaj, jak jest naprawdę.

— Żadnych pytań — zgodziła się.

Im lepiej ją poznawał, tym bardziej ją lubił. Mimo różnic kulturowych wydawała się dość dobrze rozumieć fundamentalne zasady.

Znowu szli zwykłym krokiem. Wkrótce doszli do góry. Ścieżka przechodziła przez nią, tworząc wokół siebie ciemny tunel.

Zatrzymali się.

— Wygląda na bezpieczny — powiedział Esk. — Ale po smokach i jeziorze stałem się nieufny.

— Przypuśćmy, że wejdziemy do środka i okaże się, że tunel nie jest bezpieczny...

— Nie wchodźmy więc.

— Podoba mi się twoje rozumowanie.

— Ale jak go okrążymy? Widzę wikłacze na zboczach.

— I mnóstwo ptaków gnieźdzących się tam — powiedziała. — Wiesz co, jestem całkowicie pewna, że na mapie, którą pokazała mi moja samka, nie było takiej góry ani tunelu.

— Twoja co? — zapytał zbulwersowany jej językiem.

— Moja samka. Moja... ty nazywasz ją matką.

— Nigdy nie przeżyłbym mojej matki samka!

Roześmiała się.

— Podejrzewam, że dzieli nas bariera nazewnictwa. Miałam na myśli to, że na mapie matki nie było tej szczególnej osobliwości geograficznej, więc to musi być zła ścieżka.

— O tak. Nie powinniśmy próbować przechodzić przez tę samkę — tę matkę górę.

Popatrzyła na niego jakoś dziwnie. Widocznie bariera nadal działała. Ale zgadzali się. Zawrócą i wypróbują północne odgałęzienie. Nie zachwycała go perspektywa drogi powrotnej wokół jeziora.

## Rozdział trzeci

### Polney

Jezioro nie zaskoczyło ich niczym — tym razem byli przygotowani Okrążyli je bez przeszkód. Zatrzymali się, by zjeść coś i napić się Chex miała filiżankę, którą wyciągnęła z plecaka. Zanurzyła ją u brzegu jeziora i ostrożnie się napiła. Potem ruszyli wolniejszym krokiem na północ. We właściwym czasie dotarli do skrzyżowani; i tym razem wybrali północne odgałęzienie.

Pojawił się następny mały smok.

— Mam tego powyżej uszu! — krzyknął Esk.

Natarł na stwora, wywijając kijem. Poczuł, że jego ogrowa siła manifestuje się spontanicznie. Zdzielił smoka po głowie, potem wepchnął mu kij pod brzuch, podniósł go na nim w górę i cisnął w las Smok nie był w ogóle ranny, ale był tak zdumiony, że czmychnął gdzie pieprz rośnie.

Chex była niebotycznie zdumiona.

— Ten smok ważył tyle co ty! — wykrzyknęła. — Na dodatek cisnąłeś nim jak zabawką!

— Mówiłem ci, że w jednej czwartej jestem ogrem — powiedział rozluźniając się. — Często coś powoduje wyzwolenie się tej siły i wtedy robię coś ogryjskiego.

— Widocznie tak — zgodziła się. — Nie mogę powiedzieć, że kiedykolwiek miałam słabość do ogrow, ale muszę wyznać, że oglądanie spadającego w las smoka sprawiło mi przyjemność.

— Byłoby o wiele przyjemniej, gdybym potrafił przywoływać tę moc — powiedział. — To jednak dzieje się bez udziału mojej woli, tak jak kichanie, i nie trwa długo. Mój ojciec ma więcej z ogra niż ja, a mój dziadek Crunch...

— Cieszę się, że taki jesteś — rzuciła szybko. — Mimo wszystko intelekt ogra jest odwrotnie proporcjonalny do jego siły.

— A jego siła jest wprost proporcjonalna do jego brzydoty — dodał.

— I do jego upodobania do przemocy — stwierdziła.

— Tak, oczywiście. Dobry ogr może sprawić, że średniej wielkości smok pokaże ogon, kiedy ogr tylko się uśmiechnie.

— Dobry ogr może zrobić to samo ze mną!

— A dobra ogrzyca może spowodować, że mleko skwaśnieje, kiedy na nie spojrzysz.

— I zamienić je w twarde ser, kiedy dmuchnie na nie — zakończyła. — Dosyć o ograch. Zobaczmy, czy uda nam się dojść do zamku Dobrego Maga, nim zapadnie noc.

Podjęli wędrówkę. Droga wiła się, co mogło sugerować, że dochodzą do Rozpadliny.

— Nie wygląda to obiecująco — wymruczała Chex.

Esk nie skomentował tego, bo myślał tak samo. Był to już czwarty kierunek, który zbadali, w jedną i drugą stronę; więcej dróg nie było. Ta musiała być właściwa.

Usłyszeli przed sobą jakiś hałas.

— Tylko nie następny smok! — wykrzyknęła zniecierpliwiona Chex. — Te małe potwory stanowczo za bardzo się mnożą!

— Ale to nie ryczy — zauważył Esk.

— Prawda. I nie chodzi jak człowiek czy centaur. Zatrzymali się, oczekując, aż to coś pojawi się w polu widzenia.

W chwilę potem zrobiło to, zadziwiając ich obydwójce.

Był to stwór przewyższający masą ciała Eska, ale mniejszy od Chex. Jego szare ciało miało kształt cytryny z małym pyszczkiem z przodu i maleńkimi stopami.

— Ależ to jest olbrzymi kret — powiedział Esk. Chex aż opadła szczęką.

— Myślałam, że wyginęły! — zawołała.

— Och nie, pod ziemią jest wiele kretów — zapewnił ją Esk. — Widziałem je.

— To nie jest kret! — powiedziała zniecierpliwiona. — To jest polnik-kopacz.

— Co takiego?

Stwór dostrzegł ich już. Uniósł głowę, ukazując maleńkie brązowe oczka ukryte pod futrem.

— Chę? — zapytał.

— Skąd jesteś? — zagadnęła go Chex.

Nie wyglądała na przestraszoną, więc Esk osądził, że stworzenie jest nieszkodliwe.

— Chę! Jakih hentaur — powiedział kopacz-polnik.

— Centaur — poprawiła go Chex. — Jestem centaurzyca Chex. A ty kim jesteś?

Przyjrzał się jej z bliska.

— Jestem polnik Polney. Prohę dajcie mi phejhć.

— Nie wiesz, że uważają cię za wymarły gatunek? — zapytała.

— Polniki nie wymarły — odciął się oburzony stwór.

— On ma kłopoty z wymawianiem „s” — powiedział Esk po zastanowieniu.

Pyszczyk odwrócił się w jego stronę.

— A pan kim jeht?  
— Jestem Esk.  
— Czehć, Ehk. Prohę daj mi phejhć.  
— Nie próbujemy ci w tym przeszkodzić — powiedziała Chex. — Chcieliśmy tylko dowiedzieć się czegoś o tobie.  
— Mam ważny intereh do Dobrego Maga. Prohę mnie phepuhć.  
— My też szukamy Dobrego Maga! — wykrzyknął Esk. — Myśleliśmy, że mieszka przy końcu tej ścieżki.  
— Nie tej hciehżki — zapewnił go stwór. — Tylko Rohpadlina.  
— Zatem nigdzie nie ma zamku Dobrego Maga! — wycedziła Chex wytrącona z równowagi. — Sprawdziliśmy wszystkie pozostałe ścieżki!  
Polnik-kopacz przyjrzał się im uważnie.  
— Brązowy i czarny — zauważył. — Dobre kolory.  
— Racja. Wszyscy do siebie pasujemy! — stwierdziła Chex. — Tylko że ty masz brązowe oczy, a nie futro.  
— To jeht moje mahkujące futro.  
Chex zastanowiła się i przetłumaczyła sobie:  
— To jest twoje maskujące futro.  
— Włahnie to powiedziałem, Chekh.  
Polnik się skłębził i stał się brązowy. Najbardziej zadziwiające było to, że jego oczy zmieniły się na szare. Teraz cała trójka była dopasowana kolorystycznie.  
— Polney, sądzę, że powinniśmy porozmawiać — oznajmiła Chex. — Myślę, że wszyscy wpadliśmy w tarapaty, ponieważ nie potrafimy odszukać Dobrego Maga.  
— Ale ja muhę odhukać Maga — odezwał się polnik-kopacz z nutką desperacji w głosie. — To jeht bardzo ważne!  
— Dla nas również to jest ważne — potwierdziła Chex. — Myślę, że odzujemy go szybciej, jeżeli porównamy spostrzeżenia i potraktujemy to jako wspólną sprawę.  
Polney zastanowił się.  
— Whpólną hprawę — zgodził się.  
Potem znowu się skłębził, powracając do maskującego futra.  
— Posłuchaj, Esk nadszedł ze wschodu w poszukiwaniu Dobrego Maga — powiedziała Chex. — Ja wyruszyłam na poszukiwania z zachodu. Obydwoje podążaliśmy ścieżką na południe, ale tam go nie było. Więc teraz spróbowaliśmy ścieżki na północ.  
— A ja phychodzę z północy — dokończył polnik. — Tam go nie ma.  
— Wygląda więc na to, że mamy problemy — podsumowała. — Wszyscy musimy zobaczyć się z Dobrym Magiem, ale żadne z nas nie potrafi go znaleźć. Czy masz jakiś pomysł?  
— Co znaleźliście na południu?



— Jakąś górę z tunelem. Nie było tego na mapie, którą pokazała mi moja samka.  
— Twoja co? — zapytał polnik.  
— Nieważne! Jestem pewna, że mapa była dokładna.  
— Ale ukhtałtowanie terenu hię zmienia.  
— Tak. Jednak...  
— Muhimy ihć tą hcieżką do końca — zdecydował polnik. — Tam muhi być ten zamek.

Chex westchnęła.

— Sądzę, że masz rację, ale naprawdę nie pociąga nas perspektywa przejścia przez ten tunel. Były sygnały świadczące o tym, że czary ścieżki zostały osłabione i nie jest już całkiem bezpieczna dla podróżników. Jeżeli tunel ma się zawalić...

— Nory kopaczy nigdy hię nie zawalają — powiedział polnik z pewnością w głosie.

— To prawda. Wy byliście gatunkiem ryjącym w ziemi — przyznała. — Musisz się znać na tunelach.

— Wiem o nich whyhtko — potwierdził polnik. — Jehli tunel jeht niebebezpieczny, to po prohtu wykopię nowy.

Chex spojrzała na Eska.

— Zgadzasz się? Czy jeszcze raz spróbujemy ścieżki na południe?

— Myhlę, że tak będzie dla nah lepiej — odpowiedział, naśladowując polnika.

Obrzuciła go wspaniałym ciemnym spojrzeniem, a on zrozumiał, że to nie było zbyt zabawne. Jego usiłowania, aby być dowcipnym, i silenie się na oryginalne myśli były żalosne.

Znowu wędrowali na południe. Chex szła na czele, za nią polnik, potem Esk. Dzień się już kończył i zdali sobie sprawę, że noc zapadnie, nim dojdą do tunelu. Wcale im się to nie podobało. Zatrzymywali się przy bocznych ścieżkach i zjadali owoce. Były one dla Polneya nowością, ponieważ nie był stworzeniem wspinającym się lub dosięgającym. Ale smakowały mu. Potem wywęszył trochę jadalnych korzonków, które z kolei były nowością dla Eska i Chex. Polewali je syropem z orzeszków wodnych, narwanych przez Chex.

Podczas jedzenia rozmawiali. Esk i Chex opowiedzieli o swoich problemach i próbach do Dobrego Maga, a Polney opowiadał o swoich. Wyjaśnił, że cywilizowane polniki nie wyginęły. One jedynie przeniosły się kilka stuleci temu na bardziej zielone pastwiska. Ogromna rodzina kopaczy obejmowała stworzenia ryjące, począwszy od małych, złośliwych larw świdrzaków, do wielkich, sympatycznych świdrowców, poprzez wiele różnorodnych zwijków. Ponieważ cywilizowane kopacze-polniki unikały publiczności, większość stworzeń ledwie o nich słyszała. Zwijki zaś uważano za dominujących przedstawicieli całej tej rodziny. Obszar Xanth pomiędzy Zamkiem Roogna a Rozpadliną stawał się coraz bardziej zaludniony. W rezultacie polniki musiały przenieść się na

bezludne obszary na wschodzie.

Osiedliły się w meandrach, przy brzegu przyjaznej rzeki Pocałuj-Mniee.

— Tak, widziałam ją na mapie mamy — powiedziała Chex. — Rzeka Pocałuj-Mniee łączy jezioro Pocałuj-Mniee z Jeziołem Ogrów i Pszczół Wodnych. Jest to prawie nie zbadany rejon Xanth. Szczegóły jego geografii są mało znane.

— Włahnie to nam hię w nim podoba — dodał Polney. — Od htuleci ryjemy tam z miłym poczuciem odohobnienia. Ale teraz...

— Czy coś się stało? — zapytał Esk z rosnącym zainteresowaniem. Geografia nie była jego ulubionym przedmiotem, ale wszelkie wydarzenia robiły na nim duże wrażenie.

— Katastrofa — powiedział Polney. — To jeht horror, któremu chce zapobiec. Po to tu phyhedłem. Wybrano włahnie mnie z powodu mojej znakomitej znajomohci dziwnego języka htworzeń na powierzchni.

— Tak, władasz nim bardzo dobrze — przyznała szybko Chex, chcąc uprzedzić jakąś mniej rozsądną uwagę Eska.

— Zauważyłem jednak, że macie kłopoty z wymawianiem „ehh” — powiedział polnik.

— Trudność... — zaczął Esk, ale przerwało mu trzaśnięcie ogonem Chex prosto w jego usta.

Uderzenie nie było za mocne, ale sprawiło, że poczuł się dziwnie lekkomyślny. Czasami rozumiała go za dobrze.

— Wszyscy musimy starać się najlepiej, jak możemy — łagodnie przemówiła Chex. — Nawet ci z nas, którzy mają kłopoty z „s”. Co to za katastrofa, której chcesz zapobiec?

— Całkowite znihczenie Doliny Kopaczy — powiedział z przejęciem.

— Doliny Kopaczy?! — powtórzyła Chex. — Cóż za wspaniale dobrana nazwa!

— Ale te głupie demony zdewahtowały ją — dodał polnik Polney ze smutkiem.

Esk uniósł głowę.

— Czuję dym — zakomunikował.

Z całą pewnością następny mały smok nadchodził ścieżką z zachodu. Wyśledził ich i wypuścił kłęb dymu.

— Uciekajcie na ścieżkę południową! — krzyknął Esk.

Chex i Polney rzucili się w tym kierunku, pozostawiając wschodnio-zachodnią ścieżkę pustą.

Esk ustawił się tuż przy skrzyżowaniu i czekał. Kiedy smok rzucił się na niego, mruknął „nie”.

Smok próbował się zatrzymać, ale Esk ponownie powiedział „nie”. Nogi smoka nadal biegły i poniosły go ku skrzyżowaniu. W chwilę potem zniknął im z oczu.

— Bardzo ładnie — powiedziała Chex. — Najpierw powstrzymałeś atak, potem od-

wrót. Musi dalej biec i straci ślad tego, za czym gonił.

Zrozumiała jego wysiłek lepiej od niego samego.

— To jeht htrahliwa magia — potwierdził Polney. — Żałuję, że ja nie mam takiego talentu.

— Czy polniki nie mają magii? — zapytał Esk.

— Niczego hczególnego. Po prohtu umiemy kopać.

— Właśnie miałaś nam powiedzieć, co się wydarzyło w Dolinie Kopaczy — powiedziała Chex.

— A, tak, całą tę hmutną hihtorię.

Polney zaczął opowiadać o tym, jak głupie demony, które wcześniej dzieliły z nimi Dolinę, postanowiły niepostrzeżenie zniszczyć przyjazną rzekę Pocałuj-Mniee. Zapewne nie spodobały się im jej meandry, więc przywołały monstualną magię i wyprostowały rzekę.

— Nie ma już zakrętów? — zapytała zaszokowana Chex. Sama, oczywiście, była stworzeniem o estetycznie wygiętych kształtach.

— Czy to ma znaczenie? — zapytał Esk obojętny na sprawy dotyczące estetyki.

On był stworzeniem o nieregularnie zarysowanej sylwetce, uwypuklonej tu i ówdzie.

— Oczywiście, że to ma znaczenie! — wykrzyknęła Chex, a jej oczy niemal płonęły.

— Czy przypuszczasz, że prosta rzeka może być przyjazna?

— I dla lądu teh jeht niephyjazna — dodał Polney.

Wyjaśnił, że rzeka płynie teraz prostym kanałem i nie zatrzymuje się, by pomóc rybom odizolowanym w dawnych zakolach. Wiele lubiących wodę roślin uschło z tego powodu, żyzna dolina stawała się doliną jałową. Wilgotna gleba, w której ryły kopacze, przemieniała się teraz w wysuszony piach i kurz. A ich tunele ulegały erozji. Raj przekształcał się w zniszczoną ziemię. Rzeka nazywała się teraz Zabij-Mniee.

— Czy nie możecie wykopać nowych zakrętów dla rzeki do całowania? — zapytała Chex. — Czy nie potraficie przywrócić jej pierwotnego kształtu?

Okazało się, że polniki-kopacze nie potrafiły, gdyż demony ustawiły strażę, które zwracały każdego, kto próbował dobrać się do ich wrogiego tworu. Polniki były kopaczami, a nie wojownikami. Były więc bezsilne wobec przemocy demonów. Jeśli nie uda im się zrekonstruować rzeki, będą musiały odejść — ale zdawały sobie sprawę, że żadna inna kraina w Xanth nie będzie tak dobra jak Dolina Kopaczy. Dlatego Polney wędrował teraz do Dobrego Maga po odpowiedź na ich problem: jak powstrzymać demony, by nie wtrącały się do przekształcenia rzeki Zabij-Mniee.

— To jest zabawne — odezwał się Esk. Chex spojrzała na niego.

— Nie znajduję niczego humorystycznego w tej sytuacji — powiedziała poważnie.

— Mam na myśli poszukiwanie Dobrego Maga po to, żeby dowiedzieć się, jak po-

wstrzymać innego demona — wyjaśnił. — Metria przysłała, żeby odebrać mi kryjówkę, ponieważ tam, skąd przybyła, nie dzieje się za dobrze. Jeżeli te demony mieszkają w Dolinie Kopaczy i to miejsce im odpowiada, dlaczego ona musiała stamtąd odejść?

— Może przybyła z jakiegoś innego rejonu — zasugerowała Chex.

— Nie. Wspomniała o Dolinie albo może o Pocałuj-Mniee, tego jestem pewien. Pamiętam to dokładnie, ponieważ ona...

Nie chciał jednak opowiadać o pocałunkach demonicy, które mu proponowała.

— Może ona jeht nieładna — powiedział Polney. — Może dlatego pozohtali przegonili ją.

— Nie, ona jest ładnym stworzeniem — sprostował Esk. — To znaczy, chciałem powiedzieć, że potrafi przyjąć każdą formę, jaką chce, wliczając w to ponętą, to znaczy seksy, hm, to jest...

— Wiemy, o co chodzi — zauważyła Chex sucho. — Ona cię uwodziła, prawda?

— Tak. Proponowała mi, ale ja... ja próbowałem się jej pozbyć. A swoją drogą, co może być brzydkie dla demona zdolnego przyjąć dowolną formę? Nie sądzę, żeby ona musiała odejść z takiego powodu. Wyobraźcie sobie, że przyznała mi się, iż wygoniło ją stamtąd ogłuszające buczenie.

— Czy to były kolibry? — zapytała zdumiona Chex.

— Nie. Chodzi o coś, czego śmiertelnicy nie mogą słyszeć, a co doprowadza demony do szału. Odeszła więc. Jest w tym zapewne szczypta ironii; wyprostowały rzekę, ale nadal nie są zadowolone.

— Hmm... Chyba coh o tym hłyhałem — odezwał się Polney z zadumą w głosie. — Jakich kopacz podhłuchał rozmowę demonów, które mówiły, że wyprohtowały rzekę włahnie dlatego, by hię „ich” pozbyć, lecz nie wiemy, kogo miały na myhli.

— Tak. Wydaje mi się, że gdybyś potrafił dowiedzieć się, co jest źródłem tego hałasu, można byłoby tego czegoś użyć do przepędzenia wszystkich demonów — podsumowała Chex. — Wtedy będziecie mogli przekopać z powrotem koryto rzeki i Dolina Kopaczy będzie znowu przyjazna.

— Może Dobry Mag nam to powie.

Ruszyli ścieżką na południe, biegnącą wśród wysokich drzew. Dużo czasu stracili na odpoczynek i rozmowę; teraz ciemność unosiła się w górę z ponurego poszycia lasu.

— Lepiej poszukajmy dobrego miejsca na nocleg — powiedział Esk. — Może powinniśmy zbudować palisadę, by chroniła nas przed smokami.

Zagrzmiało.

— Będziemy potrzebowali czegoś więcej, żeby nie zmoknąć — uznała Chex.

Esk zerknął na szybko nadciągającą chmurę.

— Nie zmokniemy. To jest kolorowa burza gradowa. Przyjrzała się jej uważniej.

— Ależ tak! Lepiej ukryjmy się gdzieś. Nie da się przewidzieć, jak gwałtowna będzie

ta burza. I oczywiście będziemy przemoczeni, kiedy grad stopnieje.

— Czy ta burza jeht groźna? — zapytał Polney.

— Może być groźna — zgodziła się Chex. — Lepiej się zabezpieczyć i poszukać odpowiedniej osłony. Widzę, że las jest tutaj zbyt rzadki, żeby dać schronienie. Może będziemy musieli ukryć się za drzewami.

— Dlaczego nie pod?

— Pod czym? — zapytał Esk.

— Pod ziemią. My nigdy nie zohtajemy na górze, jeżeli htaje hię tam niewygodnie. Włahciwie rzadko pozohtajemy długo na powiehchni.

— Nie potrafimy zejść pod ziemię! — zaprotestowała Chex.

Rzeczywiście. Cóż za gigantyczny tunel musiałby to być, żeby Chex mogła zejść pod ziemię!

Burza nadciągała szybko, a zasłona pastelowych kolorów opadała coraz niżej. Z całą pewnością zawadzi o nich.

Esk dostrzegł powalone drzewo. Nagle wezbrała w nim siła ogra i pognał w tym kierunku. Uniósł je jak piórko i uderzył nim z całej siły o pień ogromnego, stojącego drzewa. Rozłupało się na kawałki. Wybrał największy i złamał go, potem pozbierał to, co zostało, i połączył, tworząc coś w rodzaju topornej plecionki. Pozostałe, najsolidniejsze kawałki wepchnął pionowo w ziemię, a potem wrzucił na nie przykrycie.

W tym momencie jego siła odpłynęła. Poczł się zmęczony.

— Będiesz musiała to skończyć — westchnął. — To tylko szkielet konstrukcji.

— W zupełności wystarczy! — krzyknęła Chex. Zebrała całą wiązkę gałęzi i cisnęła na dach.

— To powinno powstrzymać grad — powiedziała, zbierając następne. — Kiedy grad się roztopi, przecieknie przez gałęzie, ale potrafię to przetrzymać. Dziękuję ci, Esk.

W tym samym czasie Polney kopał. W miejscu, gdzie stał przed chwilą, znajdował się teraz kopczyk ziemi i dziura. To jasne, że był szybki.

Burza uderzyła. Żółty grad przedarł się przez listowie i runął na ziemię, pozostawiając małe wgłębienia.

Chex weszła pod osłonę. Musiała pochylić głowę, a w końcu się położyć, ponieważ było tu za nisko.

W dziurze pojawiła się morda Polneya.

— Ehk! — zapiszczał. — Chodź tutaj! Jeht dużo miejhca!

Esk wgramolił się do dziury, kiedy grad uderzył wokół niego. Teraz stawał się niebieski. Esk wiedział, że ten jest zimniejszy i twardszy od żółtego. Mógł wyrządzić krzywdę.

Do połowy wślizgnął się do tunelu, który był głęboki na wysokość jego ciała, potem zakręcał, schodził niżej i znowu zakręcał. Dalej tunel się wznosił. Stwierdzał to, dotyka-

jąc ścian, ale nie mógł w ciemności niczego zobaczyć. Posuwał się coraz dalej, aż natrafił na ciepłe futro.

— Tu jeht miejhce dla nah dwóch — powiedział Polney. — Grad i woda zatrzymają hię niżej.

A to dopiero miła, przytulna kryjówka! Polnik wykopał norkę, która była tak skonstruowana, żeby nie mogła jej zalać woda.

— A jeśli nadejdzie smok? — zapytał.

— Wtedy uhunę podpórki i tunel hię zawali — odpowiedział w zaufaniu polnik. — Żaden drapieżca nigdy nie złapał kopacza w jego norce.

I oczywiście smoki nie zapuszczają się tak daleko w czasie burzy pomyślał Esk. Nie lubiły narażać się na bombardowanie gradu, podobnie jak inne stworzenia. To oznaczało, że Chex również powinna być bezpieczna.

Burza wkrótce minęła. Esk pomyślał o powrocie na powierzchnię, ale tunel był całkowicie zablokowany przez gradowe kuleczki.

— Nie ma co hię zahtanawiać — powiedział Polney. — Zrobię nowe wyjście.

Wykopał je błyskawicznie. Tunel biegł w dół, a potem zakręcał i prowadził w górę. Po jednej stronie głównej nory Polney usypał kopczyk z wybieranej ziemi.

Esk posuwał się za polnikiem, zdumiony szybkością kopania.

— W jaki sposób robisz to tak szybko? — zapytał.

Polney zatrzymał się w ciemności, odwracając się w tunelu, chociaż ten miał zaledwie obwód średnicy jego ciała.

— Moje hrebrne pazury — wyjaśnił. — Dotknij.

Esk pomacał ostrożnie i poczuł zimny metal. Zapewne kopacz przywdziewał pazury, tak jak człowiek rękawice.

— Gdzie ty nosisz te rzeczy? Nie widziałem ich u ciebie.

— Mam torbę na niezbędne narzędzia — wyjaśnił Polney. Potem odwrócił się od niego i podjął kopanie. Esk musiał przycisnąć się do lewej ściany, żeby uniknąć przysypiania ziemią wylatującą z prawej strony.

Wkrótce byli na powierzchni. Deszcz topiącego się gradu opadł na ziemię. Przebrnęli przez pokłady gradowych kulek i stanęli — Esk po kolana, Polney po pas — w grząskiej, kolorowej brei. Dużo napadało przez ten krótki okres!

Chex była prawie niewidoczna, ponieważ jej kryjówka została zasypana kuleczkami gradu.

— Martwiłam się, że utopiliście się tam, w dole! — zawołała.

— Nie. Polney ma tam przytulną norkę — powiedział Esk. — On jest naprawdę zdumiewającym kopaczem!

— Nie, tylko hrednim — odparł z przesadną skromnością polnik. — To po prohtu leży w mojej naturze kopacza.

Esk odkrywał, że Polney jest tak samo interesującym i użytecznym kompanem jak Chex. Ta grupka podróżników spotkała się przypadkowo, ale wydawała się tak zgrana, jakby dobrano ją specjalnie na taką wyprawę.

Ustalili kolejność warty. Esk podjął się pierwszej, a Chex ostatniej. Esk nie przypuszczał, że pojawi się jakikolwiek smok, nim ta breja wsiąknie w ziemię. Nie ośmielił się jednak ryzykować, rezygnując z czuwania.

Polney zniknął w swojej norce. Chex usadowiła się na pobliskim wzniesieniu. Kryjówka stała się bezużyteczna, ponieważ topniejący grad przeciekał przez ułożone na górze gałęzie.

Esk chodził tam i z powrotem po ścieżce, rozglądając się dookoła. Pojawiły się gwiazdy i mrugały do niego przez poruszające się listowie. Było mu przyjemnie i wcale nie czuł się osamotniony. Miło było poznać nowych znajomych, którzy mieli podobną misję i różnorodne talenty. Szkoda, że wkrótce znajdą zamek Dobrego Maga i będą musieli się rozłączyć.

Kiedy pomimo wysiłków nie mógł przezwyciężyć senności, podszedł do nory polnika i krzyknął:

— Polney! Polney! Czy jesteś gotów do objęcia warty? Rozległo się podziemne parsknięcie, kiedy kopacz się obudził.

— Gotowy, Ehk.

W blasku gwiazd ukazał się pyszczek.

Esk pogramolił się w dół, potem zakręcił i trafił do norki, gdzie zwinął się w kłębek w ciepłym miejscu pozostawionym przez polnika. Zagłębienie było zaokrąglone, żeby ziemia otaczała zwinięte ciało. Było mu całkiem wygodnie i nawet nie wiedział, kiedy zasnął.

Gdy się obudził, poczuł obok siebie ciepłe ciało. Polney wrócił, a Esk zrozumiał, że kopacz zakończył swoją wachtę i przekazał ją centaurzycy.

Gdy wdrapał się na górę, zobaczył, że już świta. Chex zbierała owoce i układała je na podeście.

— Żadnych smoków! — powiedziała dziarsko, kiedy go ujrzała.

Esk poczuł naturalną potrzebę, a właściwie dwie potrzeby. Wiedząc, że im prędzej przełamie swoje kulturowe opory, tym lepiej dla niego, postanowił załatwić wszystko w jej obecności. Zaczął ściągać spodnie.

— Nie rób tego tutaj — powiedziała. — Nie chcemy, żebyś zasmrodził nam śniadanie.

Tak, zrobił ten gest. Tak było trzeba. Z ulgą wycofał się do bardziej oddalonego miejsca. Teraz nie musiał robić tego w jej obecności. Musiał jedynie być przygotowany na to, że taka chwila przyjdzie.

Zjedli posiłek i popili go wodą, którą Chex nałapała do kubków. Potem pojawił się

Polney, wynosząc kilka bulw, które znalazł gdzieś pod ziemią. W zamian dali mu resztę owoców. Zdumiewająco dobre były te bulwy. Polnik z całą pewnością miał nosa do wyszukiwania takich rzeczy.

Podjęli wędrówkę po ścieżce. Kiedy doszli do jeziora, Polney gwałtownie cofnął się.  
— Nie potrafię pójść tej wody! — zaprotestował.

Z całą pewnością nie potrafił. Esk nie był pewien, czy polniki umieją pływać. Miało to jednak niewielkie znaczenie. Żyjące w jeziorze ogromne potwory sprawiały, że pływanie było ryzykowne. Gdyby polnik spróbował pluskać się przy brzegu, tak jak to robiła Chex, na wódł unosiłby się na wodzie. Jego małe nóżki były za krótkie, żeby dać mu dobre oparcie pod wodą. Trzciny zjadłyby go żywcem. Jeżeli spróbuje się podkopać, to tunel wypełni się mułem, z taką samą szybkością, z jaką będzie go kopał. Nie ulegało wątpliwości, że woda była straszliwą przeszkodą.

Popatrzył na Chex. Wydawało się niemożliwe, żeby potrafiła unieść polnika. Polney był za duży, a poza tym nie był stworzony do jazdy konnej. W dodatku — w jaki sposób on, Esk, miałby przebyć jezioro, jeżeli ona przeniesie kogoś innego?

— Myślę, że powinniśmy zbudować tratwę — powiedziała Chex. — Na brzegu jest dryfujące drewno, kilka masywnych kawałków. Jeżeli użyjemy winorośli, żeby związać je razem, i długich żerdzi do odpychania, będziemy mieli niezłą tratwę.

— Tratwa? — zapytał Polney. — Co to jeht?

— Przypomina łódkę, jest tylko bardziej niezgrabna — powiedział Esk.

— Co to jeht łódka?

Chex spojrzała na Eska, a potem ponownie na Polneya.

— Twój ludek nie przepada za wodą, co?

— Mamy ogromny hacunek do wody — zaprotestował kopacz. — Pijemy ją, używamy do kąpieli, wprowadzamy ją do nanych norek dla nawadniania nanych farm korzeniowych. Meandry rzeki Pocałuj-Mniee były życiodajnym źródłem nahej Doliny.  
— Wąsy opadły mu w dół. — Ale terah, oczywihcie, rzeka Zabij-Mniee zatruwa nah.

— Ale nie poruszacie się po rzece? — dopytywała się. — Nie pływacie ani nie posiadacie statków?

— Htatków?

— Statek, łódź, to urządzenie, które unosi się na powierzchni wody i przewozi przez nią pasażerów. To samo dotyczy tratwy. Żaglówki poruszają się dzięki wiatrowi, który dmucha w płótna rozciągnięte na maszcie. Nie znasz tego rodzaju rzeczy?

— Nahuwa to myhl o najbardziej intrygującej magii. Uśmiechnęła się.

— Właśnie będziemy mieli okazję do zademonstrowania ci tej magii. Opowiesz o tym swoim, kiedy wrócisz. To ułatwi wam korzystanie z rzeki. Teraz powiedz mi, w jaki sposób przechodzicie przez Pocałuj-Mniee?

— Mamy mohty nad nią i tunele pod nią — wyjaśnił Polney. — Mielihmy dużo ro-



boty z ich zbudowaniem, ale dobrze nam hłużyły. Niestety, kiedy te demony wyprohto-  
wały rzekę, to mohty ohiadły na mieliźnie razem z niepothebnymi tunelami. Terah hą  
bezużyteczne. Polniki po jednej htronie nie mają łącznohci z tymi po drugiej.

— Nie możecie zrobić nowych mostów i tuneli? — zapytał Esk.

— Nie terah, kiedy demony hthegą koryta rzeki. Nie pozwalają na tego rodzaju dzia-  
łalnohc.

Chex westchnęła.

— Z całą pewnością potrzebujecie rady Dobrego Maga! Chodźmy więc po nią. Mu-  
simy nazbierać tyle drewna, ile zdołamy. Kawałki muszą być duże i w miarę możliwo-  
ści suche. Musimy je ze sobą powiązać. Powinniśmy zbudować tratwę zdolną pomie-  
ścić nas wszystkich.

— Życyh hobie huchego drewna? — zapytał Polney. — Czy ono nie zamoczy hię,  
kiedy dotknie wody?

— Suchego, to znaczy nie nasiąkniętego wodą. Będzie lepiej unosić się na wodzie.

Wyszukała taki kawałek i podniosła.

— Będziemy składali je na stertę tutaj, obok ścieżki.

— Terah narehcie zrozumiałem — powiedział Polney. Ruszył na poszukiwanie  
drewna.

W okolicy było więcej dryfującego drewna i przewróconych pni drzew, niż się  
w pierwszej chwili wydawało. Wyszukali mocne winorośle. Częściowo użyli je do spo-  
rządzania uprząży dla Chex, żeby mogła pociągnąć większe pnie. Potem wykorzystali te  
pnącza do powiązania razem kawałków drewna.

Do południa była gotowa ogromna, niezgrabna konstrukcja, z wyglądu przypomina-  
jąca stertę śmieci. Kiedy cisnęli ją na głęboką wodę, okazało się, że nie tonie. Wdrapali  
się na pokład. Esk i Chex trzymali w rękach długie żerdzie. Sięgając nimi mulistego dna,  
odepchnęli łódź, aż ruszyła w kierunku środka jeziora.

— Wyspa! — wykrzyknął Polney. — Pływająca wyspa.

— Na to wygląda — zgodziła się Chex.

— Czy nie powinna to być „wyhpa”? — zapytał Esk. Obydwoje gapili się na niego.

— O co ci chodzi? — zapytała Chex.

— Ach, o nic — powiedział zawstydzony. O czym to on myślał?

Potwór z jeziora podpłynął blisko.

— Idź i usmaż się w słońcu! — zawołała do niego niegrzecznie Chex. — Nie wolno  
ci zbliżać się do nas!

Rozwścieczony potwór pognał za tratwą. W wodzie zamajaczyło jego ogromne ciel-  
sko. Gdy Chex pchnęła drągiem słupek jego oka, potwór wycofał się.

— Te samce tracą odwagę, kiedy napotkają coś tak dużego, jak one same — zauwa-  
żyła z satysfakcją.

— Oooooo — zajęczał Polney.

— Co się dzieje? — zapytał Esk. — Ten potwór nie może nas osiągnąć.

— Czuję się chory — powiedział kopacz.

Rzeczywiście, futerko w widoczny sposób nabrało zielonkawego odcienia.

— Masz chorobę morską — powiedziała Chex. — Mam tutaj pigułki na to.

Wyciągnęła jakąś zieloną tabletkę ze swojego plecaczka. Polney przełknął pigułkę.

W chwilę potem jego futerko znowu było popielate.

— O wiele lepiej — powiedział. — Nie lubię być chory na morhką chorobę.

Odepchnęli się żerdziami i powoli, miarowo posuwali się ku drugiemu brzegowi. W połowie drogi zrobili przerwę na posiłek. Chex przezornie nazbierała owoców i umieściła je na tratwie. Gdy osiągnęli cel podróży, zeskoczyli z pluskiem do wody i zaciągnęli tratwę na plażę, tak żeby im nie odpłynęła. Wiedzieli, że mogą jej jeszcze potrzebować.

Ruszyli dalej ścieżką wiodącą ku górze z tunelem. Na budowę tratwy i podróż przez jezioro stracili dużo czasu i sił. Zdecydowali więc, że spędzą następną noc na drodze, zanim zmierzają się z górą. Teraz byli już doświadczonymi podróżnikami, a że nie zbliżała się żadna burza, nie mieli tym razem większych kłopotów.

## Rozdział czwarty

### Tajemnica

Znajdowali się pod górą. Wyglądała tak samo masywnie, jak wcześniej, z tym swoim ciemnym tunelem w głąb. Chex wzruszyła ramionami.

— Niechętnie się do tego przyznaję, ale cierpię na lekką klaustrofobię. Nie sądzę, że-  
bym potrafiła tamtędy przejść, nawet jeśli to będzie bezpieczne. Boję się, że góra zawa-  
li się na mnie.

Polney powąchał wznoszące się w górę zbcze.

— Ale tutaj nie ma żadnej góry — zaprotestował.

— Nie widzisz góry? — zapytał zdumiony Esk.

— Widzę, ale jej tam nie ma.

— To, co mówisz, nie ma sensu.

— Pokażę ci.

Polnik ruszył prosto przed siebie w zbcze — dosłownie. Jego ciało zniknęło w nim.

— Co to? — powiedzieli Esk i Chex równocześnie. Ze zbcza wyrżał pyszczek Po-  
lneya.

— To jeht iluzja — wyjaśnił.

— Iluzja?! — wykrzyknęła Chex.

Wyciągnęła rękę. Ręka przeszła na wylot przez wyraźne zbcze góry.

— A więc to tak!

— Przedtem nawet nie próbowaliśmy jej dotknąć! — powiedział Esk ze smutkiem  
w głosie. — Przyjęliśmy po prostu, że jest prawdziwa!

— To wyjaśnia, dlaczego nie było jej na mapie mojej samki!

— Jakiego rodzaju mapie? — zapytał poruszony Polney. — Na demoniej?

— Nieważne. Po prostu wiedziałam, że tu nie ma być góry — i nie było! Co za ulga!

— Czy to znaczy, że możemy przejść prosto przez nią? — zapytał Esk.

— Jasne, że tak — powiedziała Chex, wchodząc w nią.

Przez chwilę jej dolna, końska część była zakryta, podczas gdy wyższa, ludzka część

pozostała na widoku. Potem zniknęła cała. Zarośnięte zbocze góry pozostało nienaruszone.

Esk wyciągnął rękę, żeby dotknąć widzianej powierzchni. Ręka nie napotkała żadnej przeszkody; zniknęła w skale.

Co za wytrwała iluzja! Wiedzieli już, czym była, a nadal pozostawała tak wyraźna jak przedtem.

— Tutaj jest ciemno — dobiegł go głos Chex.

— Ciemnohć ci phehkadza? — zapytał Polney. — Ja nie mam z nią problemów.

— Przypuszczalnie tu jest mur albo coś podobnego — mówiła. — Nie martwi mnie góra iluzji zwalająca się na mnie, ale nie chcę rozbić sobie nosa.

— Mogę cię poprowadzić — powiedział Polney. — Polniki nigdy nie zderzają się z niczym w nocy.

Szli gęsiego, z Polneyem na czele. Esk zamykał pochód. Maszerowali trasą podobną do ścieżki, ale nie miało to znaczenia, ponieważ góra nie istniała. Czasami Esk dostrzegał przesączające się do tunelu światło oraz wysokie, oświetlone zarysy skał, a także przechodzące przez nie ciało Chex. To wszystko dawało pełen grozy efekt. Kiedy jednak weszli głębiej, światło zniknęło i zapanowała całkowita ciemność.

— Htop! — krzyknął nagle Polney. — Tam jeht rohpadlina!

— Rozpadlina! — powtórzyła jak echo Chex. — Czy możemy ją obejść?

— Zorientuję się.

Czekali, a kopacz ruszył do przodu, badając najpierw jedną, potem drugą stronę.

— Nie, ona rozdziela całą tę okolicę.

— Jesteś pewien, że to nie iluzja? — zapytał Esk na wpół żartobliwie.

— Całkowicie pewien. Nie potrafię powiedzieć, jak jeht głęboka i heroka, ale na pewno jeht przehkoda.

— Może potrafię ją zmierzyć — powiedziała Chex. — Mogę zbadać ją moim kijem. Rozległ się dźwięk stukania kijem.

— Za głęboko. Nie mogę osiągnąć dna. — Po chwili odezwała się znowu: — Ale mogę dotknąć przeciwnego brzegu! Nie jest zbyt daleko. Mogę ją przeskoczyć.

— Ja nie umiem hkakać — oświadczył Polney. — Ale mógłbym wykopać pod nią tunel, jeżeli pod hpodem jest hkała.

— Może tak będzie lepiej — zgodziła się Chex.

Dobiegł ich odgłos gwałtownego kopania. Wtem rozległ się plusk.

— Auu! Nie mogę phekopać się przez wodę!

— Cóż, przeprawiliśmy cię przez jezioro — powiedziała. — Myślę, że możemy przeprowadzić cię także i przez rozpadlinę. Mimo wszystko nie ma zasięgu Rozpadliny.

— Nie możemy tego stwierdzić — rzekł Esk. — Rozpadlina ma odnogi, które wdzierają się daleko w ład, na północ i południe. To może być jedna z nich.

— Niewielką mamy z ciebie pomoc — stwierdziła.

— Może moglibyśmy pomóc mu przez nią przejść — zaproponował Esk. — Mamy nasze kije. Moglibyśmy zrobić prowizoryczny most.

— Nie. Są za krótkie. Sięgam drugiego brzegu tylko, gdy wyciągam rękę.

— Tak, ale jeśli zwiążemy je ze sobą?

— Wtedy wygną się pośrodku, a końce się wyslizną.

— Ale gdybyśmy stanęli po przeciwnych stronach i przytrzymali je?

Zastanowiła się.

— Może tak. Ale musimy być pewni, że je utrzymamy.

— Zaufalichcie mi, jak wah prowadziłem — powiedział Polney. — Zaufam wam, że mnie uthymacie.

Do powiązania końców kijów użyli pieczołowicie przechowywanej przez Chex winorośli. Zabezpieczyli węzły najlepiej jak można. Potem Chex przeskoczyła na odległy, drugi brzeg rozpadliny. Wtedy Esk przepchnął przedłużony drąg na drugą stronę, a ona go złapała.

Polney założył swoje chwytliwe pazury — wyglądało na to, że posiadał kilka różnych zestawów pazurów — i złapał się drąga. Nie był, jak już wcześniej powiedział, wspinaczem, ale potrafił przyczepić się do małego korzenia, a drąg miał podobną średnicę. Posuwał się ostrożnie nad rozpadliną, podczas gdy Esk mocno trzymał koniec kija.

Drąg wygiął się w dół, ponieważ ciężar polnika był ogromny. Wtem jeden z końców zsunął się, tak że kije utworzyły pośrodku literę „V”. Esk pożałował teraz swojej uwagi, że coś się może złamać. W każdej chwili Polney mógł runąć w ciemną przepaść. Na szczęście Esk poczuł, że napływa jego ogryjska siła. Nie pozwoli Polneyowi spaść!

Naprężenie uległo zmianie. Kij Eska przybrał pozycję mniej więcej horyzontalną. Ciężar polnika spoczywał teraz na kiju Chex.

— Hłabnę! — dobiegł ich głos Polneya. — Nie mogę się wspinąć!

— Esk, puść twój koniec! — zawołała Chex.

— Ależ...

— Zamierzam go wciągnąć! Puszczaj!

Mając nadzieję, że postępuje właściwie, Esk puścił. Jego kij natychmiast ześliznął się z brzegu i z łoskotem poleciał w dół.

Chex wykorzystwała swoją siłę centaury do wyciągnięcia kija, którego kurczowo trzymał się polnik. Słysząc było skrobanie i stukanie. Ciekawe, jak im to idzie? Wtedy Esk usłyszał głos Polneya.

— Jehtem tutaj!

Głos dochodził z poziomu Eska. Polnik był po przeciwnej stronie!

— Jestem zadowolona — usłyszał zadyszana Chex. Oznaczało to, że ona również się zmęczyła. Jej ludzkie ramiona były słabe w porównaniu z końskimi nogami.

Reszta była czynnością rutynową. Chex, upewniwszy się, że z Polneyem jest wszystko w porządku, z powrotem przeskoczyła rozpadlinę. Esk wdrapał się na jej grzbiet. Jeszcze jeden skok i znaleźli się po drugiej stronie.

Potem szli dalej przez górę. W końcu wyłonili się w słonecznym świetle dnia po południowej stronie. Esk wiedział, że jego ulga była nie mniejsza niż towarzyszy.

Przed nimi stał zamek. Miał fosę i solidny zewnętrzny mur. Most zwodzony był opuszczony, a na nim postawiono dużą pustą klatkę. Zatrzymali się przed fosą.

— Zamek Dobrego Maga zawsze otoczony jest różnymi pułapkami-wyzwaniami — powiedziała Chex. — Jest tak, ponieważ Mag nie chce, żeby nachodzili go osobnicy, których pytania są niepoważne. Nie wiem jednak, jakie wyzwanie może się kryć w pustej klatce.

— Słyszałem, że wyzwania zawsze są dostosowane do charakteru gości — oświadczył Esk. — Czy pusta klatka oznacza coś dla kogoś z nas?

Wymienili spojrzenia. Żadne nie miało pomysłu.

— Przypuszczam, że po prostu powinniśmy wejść do środka — rzekła Chex. — Boję się jednak tego. Nigdy nie jest łatwo wejść do zamku. Jeżeli tak się wydaje, musi to być fałszywe wrażenie. Wolałabym wiedzieć, w co się pakuję.

Esk zastanowił się przez chwilę.

— Ale skąd możemy to wiedzieć, jeśli nie pójdziemy dalej?

— Powinniśmy być w stanie do pewnego stopnia zrozumieć — powiedziała. — Intelkt zawsze przewyższa działanie na ślepo.

— To nie jest punkt widzenia ogrów.

— My używamy trochę intelektu i trochę działania — wtrącił się Polney. — Jeżeli to pierwe nie zadziała., możemy hpróbować drugiego. Ale htwierdzam, że to dziwne. Po drodze do zamku hpotkaliłmy tak dużo wyzwań, a teraz, tutaj, żadnego.

— To jest dziwne — potwierdził Esk. — Prawie tak, jakby wyzwania były w złym miejscu.

— A może były? — zadała pytanie Chex, machając skrzydłami z podniecenia. — Czy Dobry Mag mógłby zaplanować je w taki sposób?

— Ale czy nie powinny być przy zamku?

— Założyliśmy, że tak, ale skąd możemy to wiedzieć? Dobry Mag sam ustanawia swoje reguły! Mógł postawić pułapki gdziekolwiek.

— One są przeznaczone dla właściwych gości. Jak więc te prawidłowe znalazły się tam, czekając na tych, a nie innych gości? To znaczy na naszą trójkę.

Teraz jednak pracował już jej wspaniały umysł centaura.

— Myślę, że on wiedział o naszym nadejściu i o tym, z którego kierunku przybędziemy. Mógł więc poustawiać te pułapki przed każdym z nas w ten sposób, aby inni na nie trafili.

— Ale tego nie zrobił! — stwierdził Esk. — Wszyscy spotkaliśmy te małe smoki. Centaurzyca spojrzała na klatkę.

— Popatrzcie! Widać tam odchody smoków, a pręty są osmolone. Te małe smoki-palacze były w niej, ale udało im się wydostać!

— Zohtały wypuhczone — powiedział Polney. — Ta klatka ma zathahk, który tylko ludzka ręka może otworzyć. Moja nie mogłaby.

— Dlaczego ktoś miałby je wypuszczać? — zapytał Esk. Chex pokręciła głową.

— Na to nie mam odpowiedzi, ale zastanówmy się nad tym. My troje przyszlismy razem i pomagaliśmy sobie nawzajem w dotarciu tutaj. Czy to wydaje się naturalne?

— Nie — powiedział Esk. — Myślę, że nasze spotkanie było zamierzone.

— Idźmy więc za tą myślą. Gdyby nic się nie wydarzyło, kto przybyłby tutaj pierwszy?

— Chyba ty. Gdybyś nie przeoczyła skrzyżowania, dotarłabyś tutaj pierwsza. Potem ja. Na końcu Polney.

— Wydaje się więc logiczne, że Dobry Mag zajął się najpierw mną. A więc, co dla mnie stanowiłoby dobre wyzwanie?

— Góra! — wykrzyknął Esk. — Cierpisz na klaustrofobię, więc bałabyś się wejść do tunelu, gdybyś nie dowiedziała się, że to iluzja.

— Tak, i to mogło być moje pierwsze wyzwanie — powiedziała. — Zbadać naturę tej góry, co z pewnością powinnam była zrobić. Miałam przecież mapę mojej samki. Przegrałam jednak to wyzwanie i zawróciłam.

— A zatem ja przegrałem je także, ponieważ byłem z tobą.

— Ale gdybyś przyszedł w to miejsce sam, poszedłbyś tunelem, ponieważ nie masz klaustrofobii — dodała. — To wyzwanie nie było przeznaczone dla ciebie. Nie ma więc znaczenia, czy pojąłeś jego charakter, czy nie.

— Rozpadlina w środku — to mogło mnie powstrzymać, przy założeniu, że nie spadłbym do niej.

— Ja zaś nie miałam tam kłopotów — powiedziała podekscytowana. — Może to były nasze wyzwania. Były powiązane, ponieważ oczekiwano, że przybędziemy razem. To ma sens!

— Jezioro! — krzyknął Polney. — Nie mógłbym pzejhć phez wodę! To było moje wyzwanie! Rohpadlina równieh. Pod nią było jehcze więcej wody.

— Tak. Byliśmy z tobą, więc mogliśmy przeprowadzić cię na drugą stronę. Pomagaliśmy sobie wzajemnie przejść przez nasze osobiste wyzwania! Wątpię, czy spodziewano się tego po nas.

— A co z małymi smokami? — zapytał Esk. — To nie my je wypuściliśmy. Chex obejrzała otwartą klatkę.

— Myślę, że ta kolekcja smoków byłaby strasznym wyzwaniem dla każdego z nas. Jak

byśmy sobie z tym poradzili?

— Ja bym spróbował — odezwał się Esk. — Mógłbym wdrapać się na klatkę i przejść, mówiąc „nie” każdemu smokowi, który próbowałby mnie dosięgnąć przez pręty.

— Prawda. Więc mimo wszystko nie było to twoje wyzwanie, ale dla mnie i Polney mogło być ono o wiele trudniejsze, ponieważ my nie potrafimy się wspinać. Zawisnięcie na naszych kijach nad rozpadliną było wszystkim, czego on potrafił dokonać. Sądzę, że ja mogłabym przywiązać linkę do klatki i odciągnąć ją z drogi, ale on...

— Obawiam się, że ja muhałbym zawrócić — powiedział kopacz. — Nie wymyśliłbym użycia tratwy, ale do zahypania hczeliny użyłbym gałęzi. Wtedy bym ją phehedł.

— Tak się jednak złożyło, że ktoś wypuścił smoki i spotkaliśmy kilka z nich na ścieżkach — rzekła Chex. — Musimy zgłębić tę tajemnicę, zanim pojmiemy sens całości.

— Coś tutaj nie pasuje — powiedział Esk. — Te smoki nie miały być puszczane luzem, one były przeznaczone do trzymania w klatkach. Kiedy jednak wyzwania pomieszły się, smoki zostały uwolnione. Ktoś przeciął wyzwanie, zanim się zaczęło.

— Na to wygląda — zgodziła się. — Czy mógł to zrobić sam Dobry Mag?

— Nie pojmuję, dlaczego. Gdyby nie potrzebował smoków tutaj, nie sprowadzałby ich.

— Zatem Gorgona?

— Ona nie robiłaby bałaganu w tym, co on poustawiał.

— Zgadza się — odpowiedziała centaurzyca. — Czy ktoś inny mógł to zrobić?

— Wydaje się to nieprawdopodobne.

— Sprawa pozostaje nie wyjaśniona — dokończyła Chex. — Może teraz jest pora na wejście do zamku, na spotkanie nieoczekiwanego.

Esk przytaknął. Był jednak zdenerwowany. Polney wcale nie wyglądał lepiej.

Odsunęli klatkę i weszli na zwodzony most.

Nagle pojawił się przed nimi ogromny ogr. Był potworny, owłosiony i brzydki. Zarówno Chex, jak i Polney cofnęli się przerażeni.

Reakcja Eska była odwrotna.

— Dziadku! — krzyknął.

Nie był to jednak ogr Crunch, ale jakiś inny samiec. Może nie aż tak brzydki, ale wystarczająco przerażający. Zagroził im drogę.

— Przychodzimy, żeby porozmawiać z Dobrym Magiem — powiedział Esk, wątpiąc jednak, czy uda mu się uzyskać rozsądną odpowiedź. — Czy pozwolisz nam przejść?

Jego obawy okazały się uzasadnione. Ogr rozwarł swoje ociężałe i twarde jak kamień szczęki i wydał ryk wściekłości, który wstrząsnął zamkiem.

Jak przejść obok wraz z towarzyszami? Esk zrozumiał, że to jest wyzwanie, któremu on miał stawić czoło. Prawie nic nie mogło zmusić ogra, żeby usunął się z drogi. Dobrze o tym wiedział. Nic, z wyjątkiem...



Z wyjątkiem innego ogra. Tutaj był klucz!

Esk nie potrafił jednak przywołać swojego ogryjskiego ja na zawołanie. Przychodziło, kiedy chciało, wyzwolone przez kapryśne okoliczności.

Jednak czasami możliwe było zaaranżowanie tego wyzwolenia. Było w tym ryzyko, ale stanął przed ogrem, jakby gotowy do tego, by być zjedzonym.

— Życzcie mi szczęścia — wymruczał do pozostałych. Ruszył w stronę ogra.

Przez chwilę stwór był porażony taką zuchwałością. Następnie sięgnął po niego ogromnym jak bochen łapskiem.

Esk zobaczył, że ta kupa mięsa zbliża się, i jego ogryjska natura zareagowała. Zaryczał, gdy przepełniła go siła ogra:

— Mówię ci, zejdz mi z drogi! — i wałnął w wyciągniętą łapę. Reakcja ogra była zaskakująca. Jakby się skurczył. Kiedy uciekał, stawał się coraz mniejszy, aż zaczął bardziej przypominać człowieka. Esk górował nad nim, ale to go nie satysfakcjonowało. Uderzył z całej siły własną ogromną pięścią.

Coś rozprysło się z hukiem. Posypały się kawałki szkła i ten drugi ogr zniknął. Esk stał przed ramą wielkości człowieka, z której sterczały kawałki szkła.

— To było lustro! — krzyknęła Chex. — Z wyjątkiem...

Eska opuściła natura ogra. Kiedy powrócił do ludzkiej kondycji, wzrosła mu inteligencja i wszystko zrozumiał.

— Przeciwnie lustro! — powiedział. — Ono ukazywało jedynie moją drugą naturę — naturę, którą nie byłem. Kiedy więc ja byłem człowiekiem, ono było moją ogryjską osobowością, a kiedy stałem się ogrem, ono zamieniło się w człowieka. Będąc ogrowato głupi i agresywny, rozbiłem je, choć nie musiałem.

Chex podeszła do niego.

— Nie sądzę, żeby to było tylko lustro — powiedziała. — Polney i ja widzieliśmy go również. Wyglądał i odzywał się jak prawdziwy ogr. Stan, w jakim byłeś, mógł nim zawładnąć, ale on był na swój sposób wystarczająco realny. Podobnie jak iluzja góry. Wystarczyło, żeby wykonać zadanie. Gdybyś go nie przestraszył...

Esk wzruszył ramionami

— Być może. Z pewnością było to wyzwanie tylko dla mnie. Nie było wypuszczone wcześniej!

— Ono nie było żywe — stwierdziła. — Nie ożywione wyzwania pozostają w miejscu; tylko smoki przemieszczały się. Może dotyczy to też innych zwierząt, których się używa do tego.

— On nie był ożywiony, więc nie odszedł — zgodził się Esk. — Nadal więc nie wiemy, czy ktoś kieruje tymi wyzwaniami. Nie podoba mi się to.

— Ani mnie — przyznała.

— A jehli to nie jeht wyzwanie? — zasugerował Polney.

Chex zamyśliła się.

— Ta tajemnica? To jest prawdziwe wyzwanie? Przeznaczone dla naszej trójki do wspólnego rozwiązania?

— Nie wiem. Ja tylko zgaduję — odrzekł polnik.

— To jest najbardziej interesujące przypuszczenie — powiedziała centaurzyca. — Wiemy, że mamy oczekiwać nieoczekiwanego, a było to tak nieoczekiwane, jak tylko mogło być.

Hipoteza, że to jest bardziej wyrafinowane wyzwanie, wydawała się rozsądna. Postawione zostało trojgu tak różniącym się od siebie gościom, którzy przyszli ze swoimi pytaniami.

— Ale dlaczego wszystkim jednocześnie? — zapytał Esk. — Przyszlibyśmy oddzielnie, gdyby nie to, że spotkaliśmy się na ścieżce.

— Prawda. Wygląda to na zbieg okoliczności. — Poruszyła skrzydłami w zamyśleniu. — Czy to możliwe, żeby nasze misje były połączone? I że nie spotkaliśmy się przypadkowo, ale nasza trójka była wyznaczona do współpracy w jakimś większym przedsięwzięciu? I jedna Odpowiedź obsłuży nas wszystkich?

— Ależ wy niczego nie wiecie o rzece Pocałuj-Mniee! — zaprotestował Polney.

— Ale przecież Esk spotkał demonicę o gwałtownym charakterze, pochodzącą z tamtego rejonu — podkreśliła Chex. — Więc jego misja może być zbieżna z twoją. Przyznaję jednak, że moja własna misja nie wydaje się połączona z waszymi. Myślę, że na tym etapie jest zbyt wiele zagadek, żeby połączyć wszystkie te fakty.

— Może Dobry Mag wkrótce nam to powie — odezwał się Esk.

— Może — zgodziła się Chex, ale w jej głosie słychać było powątpiewanie.

Ruszyli do bramy wejściowej. Zamek był milczący i nie zmanifestowało się już żadne wyzwanie.

— Haalooo! — zawołał Esk. — Czy jest ktoś w domu? Żadnej odpowiedzi.

Przeszli do części mieszkalnej. Tutaj powinna być granica wyzwań, ale nikt nie wyszedł im na spotkanie.

— Może poszli poszukać czegoś do jedzenia? — zasugerował żartobliwie Esk, ale żart nie trafił na podatny grunt.

Szli od komnaty do komnaty. Wszystkie wypełnione były magicznymi przedmiotami i sprzętami gospodarstwa domowego. Nigdzie nie było żywych mieszkańców. W kuchni na stole znaleźli jeszcze nie dokończoną serową sałatkę. Przyrządzała ją zapewne Gorgona, kiedy nagle musiała wyjść. Zielenina trochę przywiedła; nie mogła jej zostawić wcześniej niż wczoraj. W sypialni były zabawki i kosze pełne różnorodnych owoców. Z całą pewnością była to robota syna Maga. Hugo, jak słyszała Chex, umiał wyczarowywać owoce. Również po chłopcu nie było nawet śladu. Na górze, w zagraco-nym zaciszu pracowni stał stół, a obok niego wysoki taboret. Na stole leżała rozłożona

ogromna księga: Księga Odpowiedzi — mówiono, że Mag ślęczał nad nią bez ustanku. Nie było jednak śladu po samym Magu. Zauważyli też wskaźnik, ukazujący poszczególne bajty informacji, którą kontemlował. Wydawało się, że wykorzystywano tutaj aerodynamiczne właściwości trzeciego z lewej od środkowego pióra z ogona skarłatego, rockowego ptaka.

— Nie wiedziałem, że istnieje skarłaty rockowy ptak! — zauważył Esk.

— Ty nie jesteś Dobrym Magiem — przypomniała mu Chex.

— Oczywiście, on po prohtu znalazł jego hiedzibę — wyjaśnił Polney. — Włahnie miał badać włahciwohci hkrzydeł centaura.

Chex i Esk gapili się na Polney a.

— To musi być prawda! — powiedział Esk. — Żeby odpowiedzieć na twoje Pytanie!

Chex wyglądała na poruszoną.

— Dlaczego on odszedł? Ja potrzebuję tej Odpowiedzi!

— Wygląda na to, że to jeht nahe wyzwanie. Muhimy je odkryć. W całym zamku wyglądało tak samo: wszędzie ślady właśnie rozpoczętych, normalnych prac, ale nigdzie nie widać było żadnej osoby czy stworzenia. Wszyscy służący, jeżeli byli takowi, wyszli. Wszystkie stworzenia wypuszczono w taki sam sposób, jak te małe smoki przy fosie. Dopiero teraz dotarło do nich, że sama fosa była pusta. Z niej także odeszły potwory. Na dodatek — nigdzie nie było śladów przemocy. Wyglądało to tak, jakby Dobry Mag z rodziną po prostu wyszli na moment — i nie wrócili. Czym mogło to być spowodowane?

Pozostało do sprawdzenia jeszcze jedno pomieszczenie: loch. Mówiło się, że w niektórych zamkach jest to miejsce wzmożonej aktywności. A może po zejściu tam wpadną w jakąś pułapkę?

Schody wiodące w dół nie były zatarasowane; drzwi również były otwarte. To nie mogła być prosta pułapka.

— Jeżeli coś się tam stało — powiedziała nerwowo Chex — to dalej może być niebezpiecznie. Jeżeli, na przykład, on ma twarz demona...

Eskowi na te słowa ciarki przebiegły po plecach.

— Demon może liczy na to — zgodził się. — Niektóre z nich są dokuczliwe, na przykład ten, którego ja spotkałem. Sądzę, że niektóre są straszne. Jeśli Dobry Mag zamierzał trzymać go w zamknięciu, a demon się wydostał...

— Mógł grasować po zamku i zniszczyć na swojej drodze wszystko i wszystkich — dokończyła Chex.

— Ale nie ma znihczeń. Nie widać żadnych oznak gwałtu — zauważył Polney.

— Nie wszystkie demony są gwałtowne — powiedziała Chex. — Niektóre są tylko psotnikami. Przybierają inne kształty i kuszą śmiertelników, wpędzając ich w kłopoty.

Jeśli zmienił się w zapłakaną, bezradną panienkę, stojącą tuż przed zamkiem, wszyscy mogli pośpieszyć jej na pomoc i...

— Demonowi nigdy nie udało się oszukać Dobrego Maga — zaprotestował Esk.

— On jest Magiem Informacji. Wie wszystko!

Chex westchnęła.

— Zgadzam się, to kiepska hipoteza. Weźmy się do dzieła i popatrzmy, co jest na dole.

Zeszli po kamiennych schodach. Tam również nie było żadnych szkód ani niczego służącego do zamknięcia demona. Na półkach w pomieszczeniach magazynowych ustawiano, jedna obok drugiej, małe buteleczki. Wszystkie były starannie zakorkowane. Jakakolwiek szarpanina straciłaby na pewno kilka butelek na podłogę. Ten poziom zamku był, jak pozostałe, normalny. Z wyjątkiem jednej małej komnatki za zamkniętymi drzwiami. Chex zerknęła przez małe zakratowane okienko.

— Ruch — stwierdziła zwięźle.

Esk znowu poczuł lodowate mrowienie.

— Co tam jest?

— Wygląda na... na swego rodzaju eksperyment — stwierdziła. — Trudno jest określić to właściwie. Na palenisku stoi jakieś naczynie i coś się w nim gotuje; widzę parę.

— Pewnie gotował jakiś lek i zapomniał to wyłączyć, nim wyszedł — powiedział Esk.

— Więc my to wyłączmy — rzuciła. — Nie ma sensu, żeby to się wygotowało.

Polney wciągnął powietrze.

— Uwaga — powiedział. — To pachnie jak...

— Co? — ponagliła go Chex. — Czym to pachnie?

— Co czym pachnie?

— To lekarstwo! — rzuciła zniecierpliwiona.

— Lekarstwo?

— To, co właśnie wąchałeś! — powiedziała. — Jak mogłeś tak szybko zapomnieć?

— Ja zapomniałem?! — odezwał się Polney wyraźnie zmieszany. — Co ja tutaj robię?

— Och ty! — rzuciła centaurzyca z oburzeniem. — Polney, nie ma czasu na głupie gry!

— Na co?

Nagle Esk pojął.

— Ambrozja amnezji! — wykrzyknął. — Nos Polneya jest bardziej wrażliwy od naszych i on ma bliżej do podłogi. Te opary muszą się rozprzestrzeniać i przenikają pod drzwiami, więc pierwszy otrzymał dawkę!

— Amnezja! — krzyknęła przerażona. — Musimy stąd uciekać!

— Pośpiesz się, Polney — rzucił Esk. — Wracamy na górę!  
— Gdzie? — zapytał kopacz.  
— Na górę! Na górę! Wydostać się z oparów, zanim one dostaną nas wszystkich.  
Polnik cofnął się.  
— Kim wy jesteście? — zapytał.  
— On zapomniał wszystko! — powiedziała Chex. — Trzeba go stąd wyprowadzić!  
— Jesteśmy przyjaciółmi! — wyjaśnił Polneyowi Esk. — Musimy porozmawiać na górze. Chodź z nami!

Polnik zawahał się, ale nie pamiętał, jak się sprzeciwić, więc poszedł za nimi na górę. Zatraskiwali za sobą każde drzwi a pod ostatnie wepchnęli skrawki materiałów ze szwalni, żeby powstrzymać opary.

— Myślę, że teraz wiemy, co stało się z Magiem i jego rodziną — stwierdziła Chex.  
— Ta mikstura wyrwała się im spod kontroli i zapomnieli, co robili!

— Ale Mag był na górze — powiedział Esk. — Te opary snują się po ziemi; jak mogły go dosięgnąć? One nawet nie wydostały się jeszcze z lochu, a kilka dni temu musiały być rzadsze.

Potaknęła.

— Prawda, prawda. Moje rozumowanie było niedokładne. Te opary prawdopodobnie zostały wywołane jego odejściem, a nie były powodem. Będzie lepiej, jak zdejmemy ten garnek z paleniska!

Co do tego byli zgodni. Ale jak to zrobić?

— Może jest gdzieś odtrutka na tę miksturę — powiedział Esk.

— Coś, co moglibyśmy rozmieszać i wlać do lochu, żeby zneutralizować miksturę. Może jest w Księdze Odpowiedzi.

Wbiegli na piętro i sprawdzili w księdze.

— Pod czym to może figurować? — zapytał Esk, przerzucając stare stronicę.

— Może pod P jak pamięć — powiedziała Chex. Otworzył na literze M.

— Magia — przeczytał. — O, ile tego jest! — Zmarszczył brwi, kiedy zagłębił się w szczegóły. — Nie potrafię tego zrozumieć! Zbyt specjalistyczne!

— Specjalistyczne? — zapytała Chex.

— Tak. Co oznacza „mnemoniczne uwydatnienie zaklęcia”?

Zacisnęła usta.

— To jest specjalistyczne — zgodziła się. — Prawdopodobnie tylko Dobry Mag potrafi to zinterpretować i dlatego jest Magiem.

— Nie mamy czasu — powiedział Esk. — Potrzebujemy czegoś, co moglibyśmy natychmiast zrozumieć.

— Potrzebujemy olśniewającego pomysłu — zgodziła się.

— Mało wiemy o magii — dodał Polney, dochodząc do siebie po zachłyśnięciu się

amnezją. — Czy nie ihtnieje gatunek drzewa zmieniający bieguny magii?

— Bieguny magii? — powtórzył machinalnie Esk.

— No więc, cokolwiek to jeht, nie jeht tym i vice verha.

— Cokolwiek to jest, nie jest tym — uporządkowała to Chex.

— I vice versa — dokończył Esk. — Nie wiem.

— Myślę, że to nazywa hię odwracacz zaklęć.

— Drewno odwracające zaklęcia! — krzyknęli równocześnie Chex i Esk. — To jest to! — dodało któreś z nich.

Pobiegli w dół, żeby przeszukać półki.

— Znajdziemy je! — zawołał Esk, otwierając drzwiczki kredensu. — Gorgona musiała używać go do gotowania, inaczej wszystko, co gotowała, zamieniłoby się w kamień.

Złapał szczapę drewna.

— Ale czy jesteś pewien, że to właściwy kawałek? — zapytała Chex.

— Możemy go sprawdzić — powiedział. — Podejdź do mnie. Jeżeli ono odwróci moją magię...

— Rozumiem.

Ruszała galopem w jego stronę. Podniósł drewno.

— Nie — powiedział, kiedy była już blisko.

Skoczyła na niego. Nagle poczuł, że jest przyciśnięty do ściany przez przednią, raczej miękką część ciała.

— Och! — jęknęła, cofając się. — Nie chciałam tego zrobić.

— Powiedziałem ci „nie”, kiedy się zbliżałaś — rzekł Esk, łapiąc oddech. — Ale ty przyspieszyłaś.

— Więc to jest drewno odwrotności! — stwierdziła.

— Mam nadzieję, że wystarczy. — Popatrzył na szczapę, myśląc o komnatce pełnej oparów amnezji. — Będzie musiało starczyć — dodał stanowczo.

Zeszli w dół do uszczelnionych drzwi, usunęli szmaty i zawahali się.

— Jeżeli podejdziemy bliżej, zapomnimy.

— Niezupełnie — powiedział Polney. — Ten, kto trzyma drewno...

— Odwróci zaklęcie amnezji! — wykrzyknął Esk. — Ja to zrobię! Zbiegł po schodach, trzymając szczapę przed sobą. Kiedy znalazł się na dole, pobiegł do zamkniętej komnaty i gwałtownym ruchem otworzył drzwi. Przedarł się energicznie przez chmurę oparów i wrzucił szczapę do gotującego się garnka. Efekt był niesamowity. Nie tylko odwrócił amnezję, co Esk stwierdził dzięki nagle wyostrzonej pamięci, ale mikstura przestała wrzeć i zamarzła.

Esk wrócił do przyjaciół.

— Misja zakończona — ogłosił.

— Z wyjątkiem tego, że dalej nie wiemy, co przydarzyło się Dobremu Magowi

— przypomniała mu Chex. — I nadal nie mamy Odpowiedzi, po które tu przyszlismy.  
— Może magiczne lustro powie nam, dokąd poszedł Mag — zasugerował Esk.  
Odszukali lustro. Kiedy się zbliżyli, zamigotało.  
— Zamek Roogna wzywa Maga Humfreya — zawołało. — Odezwij się, Humfrey!  
Odbiór!  
— Jego tutaj nie ma — powiedział Esk do lustra.  
— Zamek Roogna wzywa Maga Humfreya — powtarzało lustro. — Odezwij się, Humfrey! Odbiór!  
— Co mam zrobić, żeby ta rzecz mi odpowiedziała? — zapytał Esk.  
Na lustrze utworzyło się oko i przyjrzało mu się.  
— Nie możesz nic zrobić, ogrzy pysku — powiedziało lustro. — Odpowiadam tylko upoważnionym osobom. Powiedz Dobremu Magowi, niech ruszy swój sympatyczny tyłek i pofatyguje się tutaj, żeby odpowiedzieć Królowi.  
— Ale Dobrego Maga tutaj nie ma! — krzyknęła Chex.  
— Nie prosilem o wykręty, ty kluchowata poczwarko — odpyskowało lustro. — Po prostu przyprowadź go tutaj.  
— Słuchaj, ty lustrzana gębo! — krzyknął Esk, podnosząc pięść.  
— Uff, ty mundański mózdzku — odpowiedziało — jestem warte o wiele więcej od ciebie. Rozbicie lustra jest najwyższą zniewagą.  
— Więc przełącz po prostu Króla na nas, a my powiemy mu, co się tutaj dzieje — odparła rozzłoszczona Chex.  
— Przykro mi, ale ty, koński ogonie, nie masz właściwych upoważnień.  
I lustro zgaśło.  
— Teraz rozumiem, dlaczego lustra są rozbijane — wymruczał Esk.  
— To tylko przewrotność nieożywionych — powiedziała Chex. — Obawiam się, że będziemy musieli sami udać się do Zamku Roogna i powiedzieć im, co zastaliśmy tutaj. Wtedy dowiemy się, co oni będą mogli zrobić.  
— Zamek Roogna? — zapytał Polney.  
— To może być jedyny sposób posunięcia się w kierunku rozwiązania naszych problemów — odparła.  
Miała rację.

## Rozdział piąty

### Ivy

Noc spędzili w zamku Maga. Rano wyruszyli do Zamku Roogna. Zabrali za sobą drabinę, którą znaleźli w schowku na narzędzia. Chex wzięła jeden koniec pod ramię, a drugi oparła sobie o zad. Drabina przeszkadzała jej w machaniu ogonem, więc gryzące muchy stały się bardziej dokuczliwe niż zwykle. Na szczęście odległość nie była zbyt duża.

Weszli w górę iluzji. Prowadził ich Polney. Kiedy ogłosił, że są przy rozpadlinie, Chex zdjęła drabinę i przerzuciła ją nad przepaścią. Następnie przytrzymała koniec drabiny, a Esk przeszedł na czworakach na drugą stronę. Tam przytrzymał drugi koniec i Polney podążył jego śladem. Następnie wciągnęli drabinę, a Chex, tak jak poprzednio, przeskoczyła szczelinę z rozbiegu. Tym razem przeprawa poszła im bardzo gładko i znacznie wygodniej niż poprzednio.

Wyszli po północnej stronie i wrócili na ścieżkę.

— Wiecie, zastanawiam się, jak te małe smoki przedostały się przez szczelinę — zauważył Esk. — Czy mogły pokonać taką przeszkodę?

— One są nadzwyczaj ruchliwe — powiedziała Chex. — Podejrzewam, że mogły. Może biegły na oślep i część pokonała ją, a część nie. Nie wiemy, ile ich było w tej klatce.

Jej przypuszczenia wydawały się dość prawdopodobne. Być może mieli szczęście, że tylko nieliczne smoki przeskoczyły rozpadlinę. Doszli do jeziora.

— A jak przedostały się przez wodę? — zapytał Esk. — Czy smoki pływają, a jeżeli tak, to czemu potwory wodne pozwoliły im przepłynąć?

Chex spojrzała na równą taflę wody, gdzie czekały potwory, a potem na drugi brzeg, gdzie rosło krwiożercze sitowie.

— Musiały wyszukać inną drogę.

Polney węszył nad ścieżką schodzącą ku wodzie.

— Jeżeli góra była iluzją, może to też iluzją? — zapytał. — Albo może ihtnieje ja-



kih inny aspekt tej hprawy?

— Inny aspekt iluzji? — zapytała Chex zaintrygowana.

Polnik szedł po wodzie.

Esk i Chex patrzyli za nim zdumieni.

— Ona jest prawdziwa! — krzyknął Esk. Chex klapnęła się po zadzie.

— Grobla prowadząca w jedną stronę! — wykrzyknęła.

— Nie hądzę — powiedział Polney.

Ale oni już wbiegli na ścieżkę. Weszli na nią równocześnie — i obydwójce zagłębili się w niej, dotykając mulistego dna. Polney natomiast pozostawał nad wodą.

— Jak...? — zachnął się Esk.

— Mam zamknięte oczy — wyjaśnił polnik.

— Zamknięte oczy? — powtórzyła bezmyślnie Chex, wygrzebując się z mułu.

— Jeżeli cōh widzimy jako niehtałe — powiedział Polney — to to, czego nie widzimy, jeht htałe.

— To, czego nie widzimy, jest stałe — powtórzył w zamyśleniu Esk.

Chex potaknęła.

— Inny odwracacz. Wydaje się, że Dobry Mag uwielbia tego rodzaju rzeczy.

— Niewątpliwie — zgodził się Esk, który był w nie lepszym niż ona nastroju. Czy pomyśleli wcześniej, że razem potrafią rozwiązać tak dużo problemów?

— Czy potwór z jeziora potrafi się na to wdrapać? — zapytała.

— To jeht zaczarowana hcieżka, prawda? — upewnił się kopacz, ruszając dalej.

Skinęła.

— Prawda. Powinna być bezpieczna. Były na niej smoki, ponieważ są podróżnikami; Dobry Mag pozwolił im wrócić do domu wcześniej, z przyczyn, których jeszcze nie pojęliśmy. Inne potwory powinny być za kratkami — i rzeczywiście nie spotkaliśmy ich na ścieżce. Może więc wodne potwory są zamknięte. — Zadrżała. — Na dodatek znowu zaczynam odczuwać klaustrofobię. W każdym razie nie mam wielkiej ochoty zaufać tej ścieżce na ślepo. A z drugiej strony odrzucam możliwość wycieczki dokoła jeziora po tej błotnistej mazi.

Esk zastanowił się.

— Przypuśćmy, że poniesiesz mnie tak jak wcześniej, a ja będę miał otwarte oczy. Czy wtedy ścieżka stanie się iluzoryczna ze względu na mnie, czy pozostanie realna ze względu na ciebie?

Uśmiechnęła się.

— Przekonajmy się! Nie zrobiłabym tego z nikim innym, ale tobie ufam.

Esk poczuł miłe podniecenie komplementem. Centaury bywały chorobliwie nieufne wobec innych.

Chex zamknęła oczy, kiedy Esk jej dosiadł. Potem poprowadził ją ku ścieżce.

— Prosto przed siebie... nie, lekko w prawo — nakierował ją.

— To jest zbyt czasochłonne — powiedziała. — Po prostu dawaj mi znaki, naciskając kolanami.

— Moimi kolanami?

— Naciskaj kolanem po tej stronie, w którą mam skręcić. Tak będzie o wiele prościej.

Spróbował, a ona szybko odpowiedziała zmianą kierunku. Od tej chwili kierował ją bez słów.

Wprowadził Chex na ścieżkę i ścieżka się utrzymała. Rzeczywiście, określała ją wiza tego, kto nią szedł. Dopóki miała zamknięte oczy, ścieżka pod kopytami była twarda. Kiedy centuarzyca zbaczała z niej nieznacznie, Esk naciskał ją lekko kolanem, a ona natychmiast wracała na środek. Potwory z jeziora obserwowały ich, ale nie zbliżały się. Ścieżka rzeczywiście była zaczarowana. Przejście przez jezioro okazało się zadziwiająco łatwe.

— Tak — powiedziała Chex, kiedy znaleźli się na drugim brzegu. — To rzeczywiście jest ulga.

Esk zeskoczył na ziemię i ruszyli ścieżką w dalszą drogę. Wróciły im dobre humory. Być może w Zamku Roogna znajdą odpowiedź na dziwne zniknięcie Dobrego Maga.

W miarę jak zbliżali się do Zamku, Chex okazywała coraz większe zdenerwowanie.

— Czy coś jest nie w porządku? — zapytał w końcu Esk.

Westchnęła.

— Nie jestem pewna. To sprawa osobista.

— Och. Zatem nie nalegam.

— Może to ciebie też dotyczy, ponieważ możliwe, że wpłynie to na ciebie i Polneya. Polnik nastawił małe uszy.

— Jakich kłopoty w Zamku Roogna?

— W pewnym sensie. Chyba będę musiała zrobić powtórkę z historii, żeby to wyjaśnić.

Esk wzruszył ramionami.

— Posłuchamy.

Bardziej go to zainteresowało, niż ośmielił się przyznać. Co mogło tak zakłopotać stworzenie, które było całkowicie otwarte w kwestii naturalnych potrzeb?

— Jestem, jak zauważyliście, mieszkańcem — powiedziała.

— Tak jak ja — przypomniał jej Esk. — Może nawet mieliśmy wspólnych ludzkich przodków w zamierzchłych czasach.

Uśmiechnęła się przelotnie.

— To jest możliwe. Ale rasa centaurów, bez względu na swoje pochodzenie, uważa się za czysty gatunek i niechętnie spogląda na cudzołożników.

— Och. Więc pewnie nie przepadają za tobą!

— Niektórzy nie za bardzo — zgodziła się ze słabym uśmiechem. — Niestety, tymi, którzy mogliby odnieść się do mnie najmniej przyjaźnie, są mój dziadek i babka ze stro-  
ny centaurów.

— Twoi dziadkowie nie wiedzą? — zapytał Esk zdumiony.

— Moja matka, centaurzyca Chem, nie znalazła partnera z własnej rasy. Poza Wyspą Centaura trudno jest znaleźć centaury, powstaje więc problem. Ona związała się z hipogryfem. To właśnie dlatego mam skrzydła. Ponieważ świadoma była, że tego rodzaju związek może nie uzyskać aprobaty, nie poinformowała o nim swoich rodziców, a jedynie swojego brata Cheta, z którym była bardziej związana. Tak więc do nierozważnego związku doszło kłamstwo wobec dziadka i babki. Centaury nie traktują takich spraw pobłażliwie.

— Ale czy to nie jest jej sprawa osobista? — zapytał Esk. — Przecież nie była zobowiązana do meldowania rodzicom o wszystkim, prawda?

— Chem doszła do takiego samego wniosku — potwierdziła Chex. — Możliwe jednak, że inne centaury mogą się z tym nie zgadzać.

— A twoi dziadkowie są w Zamku Roogna — zakończył Esk, pojmując całość problemu.

— Sądzę, że tak.

— Kiedy zobaczą ciebie z tymi skrzydłami...

— Nie jestem pewna ich reakcji.

— Może ty poczekaasz w lesie, kiedy Polney i ja wejdziemy do środka?

Westchnęła.

— Nie, dziękuję ci, Esk. Myślę, że nadszedł czas, by stawić temu czoło.

— Jeżeli sama tego chcesz.

— Myślę, że nie chodzi o to, czego chcę. Nie znoszę kłamstwa, a całe moje życie jest na nim oparte. Chcę je wyeliminować. Jestem to winna samej sobie.

— Myślę, że masz rację — powiedział Esk.

Centaury znane były ze sztywnych norm etycznych, które dla innych, mających z nimi do czynienia, były zarówno korzystne, jak i niekorzystne.

Szli teraz szybko, nie napotykając więcej smoków. Wydawało się, że smoki udały się w końcu tam, dokąd zmierzały. Nim noc zapadła mieli wrażenie, że są już blisko Zamku Roogna.

Ustalili system całonocnej warty, jak uprzednio, nie mając całkowitego zaufania do ścieżki. Nic się nie wydarzyło i rankiem, po posileniu się owocami i bulwami, ruszyli w dalszą drogę.

Przed sobą usłyszeli odgłos kopyt.

— To jakiś centaur! — wykrzyknęła Chex. — Och, jaka jestem zdenerwowana!

Esk potrafił zrozumieć jej uczucia. On również był zdenerwowany, ale z innej przyczyny. Nigdy nie był w Zamku Roogna. Nie wiedział, jak Król odnosi się do ludzko-ogryjskich mieszańców. Oczywiście, on tylko przynosił wiadomość — wiadomość o nieobecności Dobrego Maga. Mimo to dalej się denerwował. Polnik Polney wcale nie wyglądał lepiej.

Szli skrajem ścieżki, żeby zrobić centaurowi miejsce, gdyby chciał ich wyminąć. Polney zwęszył też coś nad ziemią, wyraźnie zdenerwowany.

— Centaur i smok — ogłosił.

Chex natychmiast wyciągnęła łuk i umieściła w nim strzałę, a Esk zasłonił sobą kopcza, żeby móc powiedzieć „nie”, gdy smok zaatakuje.

— I człowiek — dodał Polney.

Grupa złożona z centaury, smoka i człowieka? To dziwne! Wtem zrozumieli, że ich własna grupa — z centaurem, polnikiem i człowiekiem (prawie) — była tak samo dziwna.

Centaur pojawił się w zasięgu wzroku. Był nim krzepki osobnik rodzaju męskiego z małą dziewczynką na grzbiecie. Zdenerwowanie Eska zwiększyło się; to dopiero będzie kłopot!

— Wujek Chet! — zawołała Chex zadowolona. Centaur zwolnił zdumiony.

— Szare Skrzydło! — krzyknął.

— On tak mnie nazywa — wymruczała, zaczerwieniona lekko z zadowolenia. — Nie przeszkadza mu, że...

— Kto? — zapytała mała dziewczynka, kiedy Chet zatrzymał się przed nimi, a smok zarył łapami w ziemi, wypuszczając kłąb pary.

— Ja przedstawię swoich, a ty swoich — zdecydował Chet. — Ja jestem centaur Chet, z Cherie i Chestera, centaurów, a to jest Ivy, człowiek, córka Króla Dora i Królowej Iren, a ten za nami to Stanley Steamer, dawniej znany jako Smok z Rozpadliny.

Esk omal nie połknął własnego języka. Córka Króla i Smok z Rozpadliny? Teraz Chex dokonywała prezentacji swoich towarzyszy.

— Ja jestem centaur Chex, żrebica z centaurzycy Chem i hipogryfa Xapa, a to jest Esk, człowiek, syn ogra Smasha i nimfy Tandy, a to polnik Polney z Doliny Rzeki Pocałuj-Mniee, nazywanej inaczej Doliną Kopczy.

— Rzeka Pocałuj-Mniee! — wykrzyknęła podniecona Ivy. — Chciałabym ją zobaczyć!

Wyglądała na jedenaście lat i była śliczna jak elf, miała jasnozielone włosy i pasujące do nich oczy.

— Czy to prawda, że każdy, kto dotknie jej wody, staje się tak uczuciowy, że musi pocałować pierwszą napotkaną osobę?

— Juh nie — ponuro stwierdził Polney. — Teraz nazywa się Zabij-Mniee i każdy, kto

jej dotknie, czuje hię tak, jakby zabił hwojego hąhiada.

— Powiedz, Polney, czy masz trudności w... — zaczęła Ivy.

— My troje spotkaliśmy się w drodze do zamku Dobrego Maga — wyjaśniła szybko Chex. — Wszyscy mamy Pytania, ale Maga tam nie było, więc...

— Sami właśnie byliśmy w drodze do Maga Humfrefya — powiedział Chet. — Nie odpowiadał przez swoje lustro, więc zdecydowaliśmy, że pójdziemy i zobaczymy, co się dzieje.

— Może powinniśmy wyszukać jakieś miejsce, żeby zasiąść wygodnie i wymienić informacje — zaproponowała Chex. — Wydaje się, że mamy dużo do przedyskutowania.

— Jasne, że tak, miła siostrzenico — zgodził się Chet. Obejrzał ją od stóp do głów. — Ładnie się zaokrągliłaś od czasu, kiedy cię ostatnio widziałem.

— Ćwiczyłam, żeby rozwinąć mięśnie klatki piersiowej, ale i tak nie potrafię fruwać.

— A ja mogę to załatwić! — wykrzyknęła Ivy. — Pozwól, że dosiędę ciebie zamiast Cheta i...

— Poczekaj, Ivy! — powiedział centaur. — Najpierw chodźmy do tego wygodniejszego miejsca, jak ona zaproponowała. Przedyskutujemy wszystko bez blokowania ruchu na ścieżce.

Ruch na ścieżce! Esk niemal parsknął śmiechem. Na drodze nie było nikogo oprócz nich.

— Wikłaczowicz jest niedaleko nas — wyjaśniła Ivy. — On ma bardzo ładną polankę.

— Kto? — zapytała Chex.

— Wikłaczowicz. On jest drzewem wikłaczem.

— Wikłacz!

— Ale nie martwcie się — dziecko pogodnie mówiło dalej. — On został skierowany na dobrą drogę, odkąd dziadek Tren zamienił go w wesolutkiego zielonego olbrzyma.

Ruszyli w kierunku zagajnika Wikłaczowicza. Musieli przejść przez dżunglę, ale jako że smok szedł przodem, wszelkie drapieżniki w pośpiechu opuszczały ten teren. Dwa centaury szły bok w bok, a Esk i Polnik osłaniali tyły.

Polanka Wikłaczowicza była rzeczywiście przyjemna. W jaki sposób utrzymywało się to wrażenie — tylko wikłacze wiedziały. Sam Wikłaczowicz był ogromnym zielonym mężczyzną, z poskręcanyimi mackami zamiast włosów i w ubraniu przypominającym korę drzewa. Rzeczywiście, wygląd miał przerażający. Na widok Ivy i jej grupy uśmiechnął się szeroko. Widoczne było, że od lat utrzymują serdeczną przyjaźń.

Nastąpiła kolejna runda przedstawiania się. Potem Wikłaczowicz i Stanley zabrali się do gry w rzutki i smoki. Przypominało to bardziej bitwę niż przyjacielskie zapasy. Ponieważ Ivy nie martwiła się tym, inni też przestali.

Porównali swoje spostrzeżenia i wiadomości.

— Więc nikt nie pozostał w zamku Dobrego Maga — powiedział zakłopotany Chet. — Dziwiliśmy się, dlaczego nie możemy się połączyć. Ponieważ czasem te lustra stają się przekorne, postanowiliśmy sprawdzić. Ivy lubi odwiedzać Hugona i Gorgone, a Stanley ma jakieś sprawy do potwora z fosy, więc...

— Potwór z fosy również zniknął — weszła mu w słowo Chex. — Wszystkie stworzenia zostały wypuszczone.

— To bardzo dziwne — powiedział Chet. — Dobry Mag bywa małomówny, ale troszczy się o wszystko, co go otacza. Prawie nigdy nie pozwala stworzeniom odejść przed zakończeniem służby. Wygląda, jakby oni wyprowadzili się na dobre.

— Tak, ale zebrali się bardzo szybko — dodała Chex. — Przerwali to, co wtedy robili.

— Musimy powiedzieć o tym Królowi Dorowi — stwierdził Chet. — Będzie to jednak możliwe dopiero za kilka dni, ponieważ on i Królowa Iren wyjechali w interesach aż do Wodnego Skrzydła. My zamierzaliśmy wybrać się na kilkudniową wycieczkę, ale teraz nie to jest najważniejsze.

— Czy nie chcesz sprawdzić tego, o czym ci powiedzieliśmy? — zapytał Esk.

— Sprawdzić raport centaura? Po co?

Chex roześmiała się.

— On nie miał wiele kontaktów z centaurami, wujku.

Chet zwrócił się do Eska:

— Dokładność obserwacji centaura jest perfekcyjna, a słowo centaura jest niepodważalne. Byłoby stratą czasu sprawdzanie tego, co odkryła moja siostrzenica. To tak, jakbym ja sam zdobył te informacje.

— Myślę, że możemy zatem pójść do Zaniku Roogna — podsumował Esk.

Wiedział o rzetelności centaurów, ale — jak zwykle — powiedział, nim pomyślał. Czasami wstydził się swojego ogryjskiego pochodzenia.

— To również jest bez sensu, dopóki Król nie wróci — stwierdził Chet.

— Chcesz powiedzieć, że powinniśmy poczekać tutaj? — zapytał Esk.

— Oczywiście, że nie — odparł Chet. — To byłaby strata czasu.

— Zatem...

Chex roześmiała się.

— Musimy na kilka dni znaleźć sobie jakieś inne zajęcie — podsumowała.

— Poszukajmy Maga Humfreya — powiedziała krótko Ivy. — Potem będziemy mogli powiedzieć mojemu ojcu, gdzie on jest.

— Masz mapę, która lokalizuje zaginionych magów? — zapytał z kwaśną miną Chet.

— No, niezupełnie, ale wiem, kto ma: Chem. Ona posiada mapy wszystkiego.

— Moja samka! — krzyknęła Chex. — Nie widziałam jej od roku!

— A moja siostra — dodał Chet. — Ja nie widziałem jej jeszcze dłużej. Niezbyt często widuje się ją w pobliżu Zamku Roogna.

— Z mojego powodu — powiedziała Chex, spuszczać wzrok.

— Z takiego powodu, że nasza samka jest odrobinę konserwatywna — poprawił Chet. — Myślę, jest już najwyższy czas, żeby bezpośrednio stawić czoło faktom.

— Taka była i moja konkluzja — powiedziała Chex.

— Oczywiście. Mamy więc dwa powody, aby zobaczyć się z Chem.

— Ale potrzebujemy trzech.

— Trzech? — zapytała Ivy.

— Centaury potrzebują trzech powodów, żeby coś zrobić — wyjaśnił jej Esk.

Poczuł głupią wdzięczność, dlatego że miał szansę pokazać, iż naprawdę wie co nieco na temat tego gatunku. Dziewczynka zastanowiła się.

— O, prawda, zapomniałam. Szliśmy do zamku Maga Humfrefya, ponieważ nie odpowiadał na lustro, a ja chciałam pomagać Gorgonie w zrobieniu następnego kołacza z dwuznacznikami. Stanley zaś miał zamiar iść w zapasy z potworem z fosy. Trzy powody. Teraz, kiedy wiemy, że Humfrefy zniknął, nie mamy już trzech powodów.

— Gdzie jest centaur robiący mapy? — zapytał Polney.

— Sporządza teraz szczegółową mapę Rozpadliny — powiedział Chet.

— Stanley musi zobaczyć Rozpadlinę! — krzyknęła Ivy. — Zamierza objąć ją ponownie w posiadanie za jakiś rok, więc musi być na bieżąco.

Chet skinął głową.

— To prawda.

— I mamy trzy powody! — krzyknęła z entuzjazmem. — Ponieważ Chem jest nad Rozpadliną.

— Ona nadała temu sens, wujku — powiedziała Chex ze śmiechem. — Potrzebujemy mapy i mojej matki, no i musimy zaprowadzić smoka do Rozpadliny.

— Na to wygląda — zgodził się.

— I możemy dowiedzieć się po drodze wszystkiego o każdym z nas — zawołała Ivy. — Ależ to zabawne!

— Nigdy nie zgadzajcie się być chwilowym obrońcą małej czarodziejki — powiedział zrezygnowany Chet.

— A teraz zobaczę, czy mogę pomóc Chex w lataniu — ciągnęła Ivy z niesłychanym entuzjazmem.

Podbiegła do Chex.

— Podnieś mnie!

Chex, ogłupiała, pomogła małej dziewczynce wdrapać się na swój grzbiet.

— A teraz pomachaj skrzydłami! — rozkazała Ivy. — Naprawdę mocno.

— Naprawdę mocno! — powiedzieli Chet i Chex równocześnie.

— Ach, wy, centaury, wszystkie jesteście podobne! Po prostu zrób to!

Chex rozpostarła skrzydła i zamachała. Rzeczywiście, jej klatka piersiowa była bardzo umięśniona. Esk usiłował nie patrzeć, jak podczas tego wysiłku falowały jej piersi.

— Właśnie tak! — krzyczała Ivy. — Mocniej!

Chex zamachała mocniej — i wyraz zdziwienia przemknął po jej twarzy.

— Mam moc unoszenia się! — zawołała radośnie.

— No pewnie, że masz, za przyczyną mojego talentu. Wzmocnienie. Teraz unieś się. Wydawało się, że tak się stanie. Przednie nogi Chex oderwały się od ziemi, ale bez względu na to, jak mocno machała, nie mogła unieść reszty ciała. Tylne nogi pozostawały na ziemi.

— Wystarczy! — rzuciła zdyszana, opadając z powrotem na ziemię. — Jestem wykonńczona!

— Auu! — powiedziała Ivy rozczarowana. — Może musisz jeszcze poćwiczyć?

— Może tak — zgodziła się Chex, dysząc z wysiłku. — Ale po raz pierwszy byłam tak blisko tego! To było cudowne uczucie.

— Dziwne, że masz działające skrzydła, które nie potrafią wykonać swojego zadania — powiedział Chet. — Może wymagają magicznego zaklęcia?

— Sądziłam, że Dobry Mag będzie wiedział — wyznała Chex.

— Z pewnością wie! — potwierdziła Ivy.

— Na pewno — odezwali się równocześnie Chet i Chex.

Ivy zeskoczyła z centaurzycy i podbiegła do grających potworów.

— Czas się ruszyć, chłopcy! — krzyknęła, wdzierając się energicznie na pole walki.

— Idziemy do Rozpadliny!

Te słowa natychmiast przyciągnęły uwagę Stanleya. Przerwali zapasy i obydwaj gotowi byli do drogi.

Grupa skierowała się na północ, ponownie przecinając własne ślady. Raz zbudzili śpiącego smoka, który zionął ogniem. Wikłaczowicz wysunął się do przodu, otworzył usta. Gdy smok zobaczył ogromne drewniane zębiska, czmychnął. Innym razem mały wikłacz — w stadium wzrostu — chciał ich zaatakować. Stanley dmuchnął w niego parą i drzewo szybko się cofnęło.

— Zaczyna mi się podobać tego rodzaju podróżowanie — wymruczał Esk.

— O, tak. Z nimi to prawdziwa zabawa — powiedziała Ivy.

— Tak. To prawda — zawołały obydwie centaury.

Ivy ugryzła się w język. Esk ukrył rozbawienie. Polubił tę małą, mimo że była księżniczką.

Noc zastała ich w pobliżu Rozpadliny. Rozłożyli obozowisko nad strumykiem i nie ustawili straży. Teraz nie było to potrzebne. Esk, ku osobistej satysfakcji, zauważył, że Ivy jest tak samo jak on dyskretna przy załatwianiu swoich naturalnych potrzeb. Spo-



sób centaurów nie był jedyny. W samej rzeczy, Ivy była świetnym antidotum na ich postawę.

\* \* \*

Rankiem dotarli do Rozpadliny. Była to monstrualna wyrwa, której ściany tworzyły strome urwiska schodzące do wąskiej podstawy, daleko, daleko w dole. Esk poczuł zawrót głowy, kiedy zerknął w głąb.

— Będziemy musieli posuwać się wzdłuż niej, aż znajdziemy drogę w dół — powiedział Chet. — To może zabrać trochę czasu. Są ponad nią mosty, ale moja siostra powinna być na dole.

Polney powąchał ziemię.

— Nie trzeba huknąć — stwierdził. — Hą tutaj htare hlady polników; te najwyraźniejsze zaprowadzą nah w dół.

— Polniki-kopacze są bardzo dobre w robieniu tuneli — wyjaśnił Esk pozostałym, kiedy Polney ruszył po śladach.

— Ale on odchodzi od Rozpadliny — zaprotestowała Ivy. Wtedy Polney znalazł to, czego szukał: otwór wejścia do jaskini, prowadzący do wielkiego tunelu.

— Możecie potrzebować hwiatła — powiedział, dając nurka do środka.

— Widziałam w pobliżu kilka świecących pręcików! — zawołała Ivy.

Pobiegła tam i zerwała je. Zajaśniały mocniej, zaczarowane jej magią. Wkrótce każdy, kto chciał, otrzymał świecący pręcik, nawet Wikłaczowicz. Ruszyli w dół za kopaczem.

Tunel był długi, ociekający wilgocią, i miał wiele rozgałęzień, ale z pełnym zaufaniem podążali za Polneyem i w końcu zeszli na dno Rozpadliny. Tunel polników ułatwił im zadanie.

— Teraz poszukamy Chem — powiedział Chet. — Trzymaj się z nami, Stanley; nie chcemy, żeby Stella nas znalazła i wzięła za swój łup.

— Stacey — powiedziała zadowolona z siebie Ivy.

— Co?

— Ona nazywa się Stacey Steamer — odparła Ivy.

— Figuruje w spisie jako Stella.

— Ale ja ją nazwałam tak jak Stanleya. Nic nie mogę na to poradzić, że osioł, który przygotowywał Leksykon, zrobił to źle.

— Ten osioł nie zrobił tego źle; umieścił tam obydwa imiona — powiedziała Chex. — Istnieją pewne nieścistości, to wszystko.

— Ale moje imię jest w porządku — zamknęła dyskusję Ivy.

Chet wzruszył ramionami, niezdolny do obalenia tego stwierdzenia. Znowu mała księżniczka poradziła sobie z centaurem. Esk skrycie się z tego cieszył.

I tym razem nos Polneya ułatwił im sprawę.

— Oni pnehli tędy całkiem niedawno — ogłosił, wskazując na zachód. Poszli więc na zachód i w końcu natknęli się na Stacey i Chem.

Badały odnogę Rozpadliny o wyszczerbionych ścianach, wznoszących się pod ostrym kątem ku górze. Chem wyświetlała jej obrazowe odbicie i porównywała szczegóły z prawdziwym krajobrazem, żeby dopasować je idealnie. Była ładnym, brązowym stworzeniem, z brązowymi włosami i rodzinnym podobieństwem do Chex. Chex uściślała matkę.

— Kochanie, ależ ty wyrosłaś! — wykrzyknęła Chem.

— Ćwiczyłam.

— Co cię tutaj sprowadza? Sądziłam, że uczysz się latać.

— Dlatego w końcu poszłam do Dobrego Maga.

Opowiedziała całą historię, aż doszła do tego, że potrzebuje odpowiedniej mapy.

— Ale ja nie potrafię wskazać Maga na mapie! — zaprotestowała Chem. — Nie wiem, gdzie on jest!

— Myśleliśmy, że możesz pokazać nam szczegółową mapę ze wskazaniem, gdzie on mógłby być — wyjaśniła Chex.

— Sądzę, że to mogłabym zrobić. Z pewnością mogę dokładnie pokazać szczegóły geografii tamtego rejonu każdemu, kto życzy sobie go odszukać.

Chem niechętnie zgodziła się towarzyszyć im w drodze powrotnej do Zamku Rogna. Brat i córka rozumieli jej powściągliwość. Nie marzyła o tym, żeby powiadomić swoich rodziców o mieszanym gatunkowo związku, którego owocem była Chex. Wszyscy jednak zgodzili się z tym, że nadszedł już właściwy czas.

Stanley zdecydował, że zostanie chwilę w Rozpadlinie i odwiedzi Stacey. Ivy nadaśała się, ale w końcu pogodziła się z tym. Nie mogła utrzymać Smoka z Wyrwy daleko od Rozpadliny na zawsze.

Znajdowali się teraz blisko zaczarowanych przejść, więc nie potrzebowali ochrony. Szybko dotarli na wyższy poziom.

Na tym specjalnym odcinku nie było tuneli kopaczy, ale Chem miała mapę tego rejonu i знаła dobrą drogę wyjścia. Wiodła przez boczną wyrwę na północnym zboczu. Wspinali się stromo w górę po wyszczerbionej, skalnej rynnie, podążając tylko tymi rozgałęzieniami, które wskazywała Chem. Przeszli przez labirynt szczelin przypominających łamigłówkę i znaleźli się na powierzchni. Potem odszukali niewidzialny most, który dla Eska był nowym doświadczeniem. Zerknął w dół pod swoje stopy, które nie opierały się na niczym, i miał zawroty głowy. Poszedł więc w ślady Polneya i zamknął oczy.

Wikłaczowicz wrócił na swoją polankę, pozostawiając trójkę centaurów, dwie ludzkie istoty i jednego polnika. Rozłożyli się obozem na noc, a kiedy zaczęło padać, przenieśli się pod wielkie drzewo parasolowe. Polney oczywiście nie potrzebował go i za-

grzebał się po prostu w przytulnej norce. Ivy, ku irytacji Eska, upierała się, żeby spędzić tu noc. W końcu Chem wyświetliła mapę, która pokazała, gdzie w tej okolicy rośnie dobry krzak poduszkowy. Potem Esk nazbierał cały stos poduszek i wymościł sobie wygodne legowisko.

Rano nie śpieszyli się. W istocie nie było ku temu powodu. Król Dor i Królowa Iren nie wracali przecież następnego dnia. Chester i Cherie mieli nadzorować przypałacowe tereny w czasie ich nieobecności oraz mieć oko na młodszego braciszka Ivy, księcia Dolpha. To ostatnie, jak zauważył Chet, było wystarczającym wyzwaniem, ponieważ mały Dolph potrafił w jednej chwili przyjąć dowolną postać. Na przykład stawał się myszą i wymykał się, kiedy oczekiwała go nudna lekcja historii Xanth.

Ponieważ centaury są centaurami — nie śpieszyły się, ale też nie mitrężyły czasu. Przybyli do Zamku Roogna w południe.

Esk był pod wrażeniem. Widział zamek Dobrego Maga, znał więc charakter takich budowli, ale ten zamek był naprawdę ogromny. Mury wznosiły się wysoko ponad fosą, w której pływało kilka wielkich potworów. Przy pałacu rozciągał się duży sad, z wszystkimi gatunkami egzotycznych drzew, nawet takimi, które potrafiły poruszać gałęziami, żeby nie przepuścić nie chcianych gości. Po drugiej stronie było cmentarzysko zombi, którego mieszkańcy powstawali, kiedy trzeba było bronić posiadłości, prezentując przerażające, rozpadające się ciała. W zamku, jak zapewniał Chet, mieszkało nawet kilka duchów. Te jednak były zupełnie nieszkodliwe, czekały tylko, żeby móc opowiadać swoje historie.

Przy zwodzonym moście stał maleńki człowieczek.

— Koński zad ze skrzydłami! — krzyknęła figurka. — Poczekaj, aż dozorczy cię zobaczą!

— Idź, powiedz im, Grundy! — krzyknęła uszczęśliwiona Ivy. Nie uświadamiała sobie powagi sytuacji.

Golem pobiegł rącho do zamku. W chwilę potem zobaczyli parę starych centaurów. Równocześnie one dostrzegły Chex.

— Wspaniałe! — wykrzyknął centaur.

— Przerazające! — wyszeptała centaurzyca.

— Tato, mam, to mój potomek — oświadczyła Chem, wskazując na Chex, która zamarła w miejscu, jakby w oczekiwaniu uderzenia.

— I ona prawie umie latać! — powiedziała Ivy.

Babka Chex nie odezwała się więcej. Odwróciła się i poszła do zamku. Dziadek zawahał się.

— To wymaga trochę czasu — wyjaśnił i pobiegł za swoją partnerką.

Trzy centaury popatrzyły na siebie z podobnym wyrazem bólu w oczach i odeszły od zamku. Ivy popatrzyła na Eska.

— Czy nie wydaje ci się to bezsensowne?

— To mi się nie podoba — odparł.

— Myślałam, że Cherie ucieszy się ze spotkania ze swoją wnuczką!

— Wiem, że centaury nie aprobują mieszańców.

— Phi! Wszyscy w Xanth są mieszańcami!

Esk wzruszył ramionami.

— Obawiam się, że centaurzyca Cherie nie traktuje tego w ten sposób.

— Ona nie lubi magii u centaurów — powiedziała Ivy w zamyśleniu. — Chester jest bardziej wyrozumiały; on ma talent, tak samo jak Chet.

Chet znalazł dla Chem i Chex miejsce na noc, a Esk i Polney dołączyli do nich. Żadne z nich nie powiedziało słowa na temat tego, co się zdarzyło, a mimo to uczucie smutku było niemal namacalne. Esk, podobnie jak pozostali, miał nadzieję, że Cherie zaakceptuje tę sytuację. Ale centaury, jak zaczynał rozumieć, były najbardziej upartymi ze stworzeń.

\* \* \*

Następnego dnia powrócił Król Dor i Królowa Iren. Po południu udzielili audiencji trojgu podróżnikom. Widać było, że nie mają uprzedzeń do mieszańców. Rzeczywiście, otwarcie podziwiali skrzydła Chex. Była tam też Ivy, ubrana jak mała księżniczka. Był również jej mały, sześciolatek, braciszek, książę Dolph.

Wysłuchali uważnie sprawozdania Eska o tajemniczej nieobecności Maga. Potem wysłuchali opowieści Polneya o Dolinie Kopaczy. Zdawało się, że już wiedzieli coś o obydwu sprawach, a decyzję podjęli, nim audyencja dobiegła końca.

— Zrobilibyśmy, co w naszej mocy, żeby pomóc kopaczom — zaczął Król Dor — ale ta sprawa, wobec problemów z Dobrym Magiem, musi poczekać. Sprawą dla nas pierwszorzędną jest odnalezienie Maga Humfrefya.

— Och, tatusiu! — krzyknęła Ivy z oburzeniem. — Czy nie zamierzasz im pomóc choć trochę?

— Nie teraz, Ivy. Najpierw odnajdziemy Dobrego Maga. Wtedy on będzie mógł pomóc kopaczom. Polney szedł, żeby go o to poprosić.

— Ale złe demony właśnie teraz niszczą tę przyjazną rzekę! — zaprotestowała Ivy. — Pozwól przynajmniej mnie pójść z nimi!

— Nie — powiedział Król Dor.

— Ależ, tatusiu!

Królowa Iren zwróciła się do córki.

— Nie — powtórzyła łagodnie, ale dziewczynka szarpnęła się gwałtownie, jakby udzielono jej nagany.

Tak było. Z Zamku Roogna nie można było oczekiwać żadnej pomocy. Esk też nie

mógł jej udzielić, ale zastanawiał się, czy centaurzyca Cherie nie miała czegoś wspólnego z tą okrutną decyzją.

Zostali odprawieni. Teraz Polney był przygnębiony tak samo jak Chex. Co mogli zrobić? Misje każdego z nich są zawieszona, dopóki nie znajdą Dobrego Maga.

Kiedy opuszczali zamek, wybiegła za nimi Ivy.

— Może ktoś inny będzie mógł pomóc! — krzyknęła. — Inne centaury, a może ogry, albo jeszcze ktoś inny! Może ty mógłbyś ich poprosić! Przecież wy troje sami możecie coś zrobić!

Esk rozchmurzył się. Jego własna wyprawa do Dobrego Maga wydawała się o wiele mniej ważna. Z pewnością rozumował logicznie, kiedy sądził, że demonica może wyrzucić krzywdę jego rodzinie, ale przecież spełnił jej życzenie i zostawił ją samą w jego kryjówce. Tę podróż odbył przede wszystkim dla samego siebie, a o to właśnie jej chodziło.

— Jestem spokrewniony z ogami i demoniakami oraz z nimfami i faunami — powiedział. — Mógłbym zapytać ich wszystkich, czy nie mogliby pomóc w pozbyciu się demonów z Doliny Kopaczy. Nie sądzę, żeby mój własny problem był choć w przybliżeniu tak ważny, jak problem kopaczy.

— Ja jestem spokrewniona z centaurami i latającymi potworami — powiedziała Chex, już rozpogodzona. — Chcę nauczyć się latać, ale dopóki Dobry Mag nie zostanie odnaleziony, mogę również zrobić coś dla innych. Myślę, że polniki bardziej potrzebują pomocy niż ja, i dlatego poproszę o nią swoich krewniaków. Z pewnością nic mi nie przyjdzie z pozostania tutaj.

— Ja spokrewniony jestem z stworzeniami wielkiej rodziny myhowatych — dorzucił Polney. — Hwidrowcami i wijkami. Mogę ich poprosić o pomoc. Może Cię zgoda. Z pewnością nie ma sensu, żebym czekał na Dobrego Maga, kiedy moi rodacy cierpią.

— Zróbmy tak! — podsumował Esk. — Chodźmy wszyscy i poprośmy naszych dalekich krewnych, a dowiemy się, na jaką pomoc możemy liczyć! Może nie potrzebujemy Dobrego Maga i Zamku Roogna!

— To jest sposób — powiedziała rozpromieniona Ivy.

W jej obecności wszystko nabierało sensu. Może sami rozwiążą problem rzeki Pocałuj-Mniee

## Rozdział szósty

### Centaur

Chex biegła kłusem wzdłuż traktu oznaczonego na mapie matki. Spodziewała się, że do Wyspy Centaura dotrze za dwa dni. Spędzi tam jeden dzień i wróci za następne dwa. To mnóstwo czasu, żeby zdążyć na spotkanie z Eskiem i Polneyem, którzy wyruszyli w innych kierunkach. Uzgodnili, że spotkają się wszyscy za siedem dni. Mieli nadzieję, że przynajmniej jedno z nich uzyska pomoc dla Doliny Kopaczy i nieszczęsnej rzeki Pocałuj-Mniee. Trzeba było dołożyć dwa dni na margines błędu. Centaury były rzetelnymi stworzeniami, które rzadko popełniały błędy, jeśli w ogóle im się to zdarzało. W przeciwieństwie do niepozobieranych ludzkich stworzeń.

Trakt biegł równoległe do zachodniego wybrzeża Xanth. Nie był ani dobrze oznakowany, ani też dobrze utrzymany, ale ochronne zaklęcie działało. Droga powinna więc być bezpieczna przed drapieżnikami. Poza tym była z nią Ivy.

— Ojej, ale zabawa! — wykrzyknęła Ivy.

Siedziała na grzbiecie Chex i wszystko było dla niej zabawne. Magią Ivy było wzmacnianie, a talent tego rodzaju posiadali tylko magowie. Postrzegła Chex jako cudowne stworzenie, które prawie umie fruwać, gdyż ta poruszała się kłusem z szybkością pełnego galopu. Magia dziecka niezwykle ją wzmacniała. Chex biegła, jakby rzeczywiście fruwała, ponieważ jej siła była ogromna, a kopyta lekkie. Dziewczynka była dobrym kompanem i nie wysuwała żadnych nierozsądnych żądań; poza tym była znakomitym jeźdźcem. Babka Chex, Cherie, nauczyła ją wiele, przekazując wiedzę na poziomie akademickim.

Myśl o centauryzycy Cherie zasmuciła Chex. Ze wszech miar Cherie była znakomitym centaurem. Kształciła Króla Dora i Królową Iren, a teraz była nauczycielką następnego pokolenia. Pewnych rzeczy jednakże nie akceptowała, jak na przykład magii centaurów i krzyżowania gatunków. Centaur Chester, wprost przeciwnie, miał reputację brutala, zawsze gotowego bić się z lada powodu, ale był tolerancyjny co do magii i mieszańców. Wuj Chet mówił, że powodem tej tolerancji był wujek Chestera, pustelnik

Herman. Herman miał magiczną zdolność komunikowania się z błędnymi ognikami. Zginął jak bohater w obronie Xanth przed świrdzakami. Chester nie był także zdolny do postrzegania czegokolwiek złego w tym, co robili jego potomkowie. Ale tak jak Chester miał mięśnie, tak Cherie miała silną wolę, która się teraz zmanifestowała. Delikatnie dano Chex do zrozumienia, że nie jest mile widziana w okolicach Zamku Roogna.

Mała Ivy była z innej gliny, a jej moc stanowiła o jej racji. Kiedy podjęli decyzję, że pomoc dla kopaczy uzyskają gdzie indziej, Ivy uparła się, by uczestniczyć w wyprawie. Mogła być pomocna w przekonaniu do tej misji centaurów z Wyspy. Prócz tego potrzebowała dalszej edukacji, a wizyta na Wyspie Centaura mogła być jej częścią. Nawet Cherie nie umiała podważyć tej logiki. Ivy zwyciężyła i teraz brała udział w podróży.

— Ależ ty jesteś małomówna — odezwała się Ivy po pewnym czasie. — Czy zrobiłam coś złego?

— Nie ty, kochanie — zapewniła ją Chex. — Po prostu myślałam.

— O Cherie — powiedziała rezolutnie Ivy.

— Tak.

— Chester pracuje nad nią, ale wiesz, jakie są centaury. Nie ma nikogo bardziej uparłego niż... Przepraszam. Nie zamierzałam cię obrazić!

— Nie zrobiłaś tego — powiedziała Chex. — My wolimy nazywać to stanowczością.

— Kiedy dokonasz czegoś wielkiego, jak na przykład uratowanie Pocałuj-Mniee, może ona zmienić nastawienie. Powiedz, czy napicie się wody z tej rzeki sprawia, że czujesz się przyjemnie?

Dziewczynka już wcześniej poruszała tę kwestię, ale w oczywisty sposób nadal była tym zaintrygowana.

— W języku miejscowym oznacza to...

— Niestandardowe zachowanie — zakończyła Ivy. — Wy, centaury, jesteście takie staroświeckie!

— Ale przypuszcza się, że prawdą jest, z punktu widzenia historii, iż ta rzeka była bardzo uczuciowa. Jednakże wydaje się, że ostatnio ucierpiała na radykalnej zmianie osobowości. To dlatego chcemy przywrócić to, co było naturalnym stanem.

— Tak. A teraz stała się rzeką Zabij-Mniee. To zabawne!

Ivy zaczęła się śmiać, a Chex musiała roześmiać się razem z nią.

Podróżowały o wiele szybciej, niż Chex planowała. Czy jej kopyta nigdy się nie zmęczą? Widocznie nie, dopóki będzie niosła małą czarodziejkę!

— Co tak śmiesz? — zapytała w pewnej chwili Ivy. Chex pociągnęła nosem.

— Coś się rozkłada — powiedziała. — Jakieś małe zwierzątko zmarło niedawno. Wkrótce je miniemy.

W miarę jak posuwały się na południe, odór stawał się coraz bardziej intensywny.

— Oo, fuj! — mówiła Ivy, zatykając sobie zadarty nasek. — To musi być duże zwie-

rzę!

— Zgadzam się — powiedziała Chex. — Wszystkie żyjące stworzenia w końcu umierają.

— Ale nie Dobry Mag — rzekła Ivy.

— Tak, on zwleka, ale nie możemy wyeliminować do końca możliwości, że...

— O nie! On po prostu gdzieś sobie poszedł, żeby nie zawracano mu głowy.

Chex też chciała być tego pewna. Nie spierała się. Okropny zapach stał się naprawdę nie do wytrzymania.

— Jakiś potwór! — powiedziała krztusząc się Ivy.

Jedyne, co mogła zrobić Chex, to trzymać usta zamknięte. Nigdy wcześniej nie napotkała podobnych wyziewów!

— Potwór — zgodziła się. — Wkrótce przejdziemy obok niego! Stało się jednak inaczej. Smród stawał się teraz prawie namacalny.

Ivy zaniósł się kaszlem.

— Ale cuchnie! — krzyknęła. — Szczypie mnie w oczy! Nic nie widzę!

Chex zwolniła, zbyt wytrącona z równowagi, żeby zaprotestować. Sama miała kłopoty z widzeniem. Wydawało się, że płynęły wśród gnilnych wyziewów.

— Będziemy musiały to okrążyć — powiedziała.

— Zamek zombi! — krzyknęła Ivy. — To niedaleko stąd!

— Ten odór? Zombi?

— Nie. One śmierdzą, ale nie tak. Myślałam, żeby pójść tam, a one pokażą nam, jak to okrążyć. One wiedzą wszystko o śmierci i gniciu.

Chex zdecydowała, że lepiej nie poprawiać tego stwierdzenia. Zombi były stworzeniami śmierci i rozkładu. Nie pałała entuzjazmem na myśl o wizycie w tym zamku, ale coś musiały zrobić. Pamiętała, że mapa Chem pokazywała zamek. Dziewczynka miała rację — był blisko.

Centaurzyca zawróciła i pobiegła truchtem w kierunku bocznej drogi, którą zauważyła wcześniej. Ta dróżka powinna zaprowadzić je do zamku zombi. W miarę posuwania się nią, okropny zapach ustępował. Co to była za ulga! Czuła się tak, jakby jej płuca napełniły się cuchnącym szlamem.

Ivy miała rację. Wokół zamku zombi unosił się odór, ale był do zniesienia po tym, którego doświadczyły. Może zombi konserwowały lepiej swoje gnijące ciała, nie dopuszczając, żeby uciekały w postaci gazów. Wielu zombi pracowało na polach przyzamikowych przy uprawie nadgniętej roślinności.

Sam zamek wyglądał, jakby miał się rozpaść, ale Chex wiedziała, że to głównie sprawka iluzji. Była to stosunkowo nowa budowla. Fosa napełniona była szlamem i pływał w niej zombi-wodny potwór.

— Cześć, Sleaze! — zawołała wesoło Ivy, a potwór z fosy odkłonił się.



Wszyscy lubili Ivy!

Wyszła pani zamku, by je przywitać. Nie było na niej śladów jakiegokolwiek zombio-watości.

— Cześć, Millie! — zawołała Ivy tak samo radośnie.

— Witaj, Ivy! — odpowiedziała kobieta. — Kim jest twoja przyjaciółka?

— To jest Chex. Chem jest jej ma... samką. Ona ma skrzydła!

— Zauważyłam. — Kobieta uśmiechnęła się do Chex. — Jesteś tutaj mile widziana, Chex. Może zechcesz wejść do środka...

Chex zawahała się przez chwilę, zastanawiając się, jak może wyglądać wnętrze zamku, ale Ivy natychmiast krzyknęła:

— Zechcemy!

Millie znowu się uśmiechnęła.

— Tak bardzo przypominasz swoją matkę w tym wieku, ale jesteś również tak niepodobna.

— Wiem — odparła Ivy. — Ona była bardziej poważna. I bardziej... — Wykonała rękami gest sugerujący zmysłowość.

— Bądź młoda, jak długo możesz, kochanie — powiedziała Millie.

— Kiedy cała się zaokrąglę, będę mogła fascynować mężczyzn tak jak ty? — zapytała niewinnie dziewczynka.

— W swoim czasie znajdziesz tego jednego, którego będziesz chciała zafascynować — zapewniła ją Millie.

— A co ze mną? — zapytała Chex z cieniem uśmiechu. — Jestem jedyna w swoim rodzaju.

— Tak jak Rapunzel — odparła Millie. — Ona jest już zamężna.

— Z golemem Grundym — dorzuciła Ivy. — To mi coś przypomniało: kiedy wraca Snortimer?

Taki przeskok myślowy; tego było za wiele dla Chex.

— Kto to jest Snortimer? Co on ma wspólnego z unikatowymi stworzeniami poszukującymi partnerów?

— On jest moim Potworem Spod Łóżka — wyjaśniła Ivy. — Grundy go wypożyczył i nigdy nie zwrócił, a teraz jest przeraźliwie cicho pod moim łóżkiem.

Potem po krótkiej przerwie dodała:

— Okropnie cicho.

— Oo! — Chex była bardziej zakłopotana niż przedtem.

— Pod łóżkiem Lacuny jest zombi-potwór — powiedziała Millie. — Myślę, że jest samotny, teraz, kiedy ona urosła.

— Ojej! Pójdę się z nim pobawić! — Ivy szybko wybiegła.

Millie zwróciła się do Chex.

— Zakładam, że to jest nie tylko grzecznościowa wizyta?

— To przypadkowa wizyta — wyznała Chex. — Szliśmy do Wyspy Centaura po pomoc dla kopaczy, które mają poważne kłopoty, ale tam na ścieżce jest tak horrendalnie nieprzyjemny zapach, że...

— Aaa! To musi być sfinks! Jonathan mówił, że wygląda na chorego.

— Jonathan?

— Mój mąż. Mistrz zombi. Sfinksy żyją bardzo długo, ale w końcu one też umierają.

— To może być on — przytaknęła Chex. — Czy można coś z tym zrobić?

— O tak, oczywiście. Jonathan zechce odszukać tego sfinksa i zrobić z niego zombi, zanim posunie się to za daleko. Teraz wiemy, gdzie go szukać. Jonathan weźmie ze sobą oddział zombi i przeobrazi go. Ten proces zajmie kilka dni, ponieważ sfinks jest ogromnym stworzeniem. Mąż będzie wam wdzięczny za tę informację.

— Ale my mamy ograniczony czas na dotarcie do Wyspy Centaura i powrót — powiedziała Chex. — Nie możemy czekać kilka dni. Ivy sądziła, że ty możesz znać inne przejście.

— Jest taka droga, ale bardzo trudna. Będziecie potrzebowały przewodnika.

— Byłabym szczęśliwa, mając przewodnika, jeżeli taka możliwość istnieje.

— Zombi-przewodnik.

Chex zamilkła. Nie miała wcześniejszego doświadczenia z zombi i nie wykazała entuzjazmu.

— Czy będę musiała nieść zombi?

— Och, nie! Oczywiście, że nie! Możemy dać ci centaura.

— Zombi-centaura?

To też nie było pociągające.

— Zwykle stworzenia mają pewne trudności z akceptowaniem zombi jako pełnoprawnych obywateli — powiedziała Millie.

Chex przypomniała sobie trudności, z jakimi niektórzy akceptowali także mieszańców.

— Zombi-przewodnik będzie doskonały — stwierdziła, podejmując nagle decyzję.

— Bardzo dobrze. Zapytam Horacego.

Chex zawołała:

— Ivy! Musimy zaraz ruszać w drogę!

— Auu! — odrzyknęła Ivy. — Ten potwór jest zabawny!

Millie mrugnęła do Chex.

— Może chcesz zostać i zjeść posiłek z zombi, kochanie?

Nagle Ivy zbiegła po schodach.

— Jestem gotowa, jeszcze raz dziękuję ci, Millie.

— Ale my mamy takie naprawdę wspaniale przegniłe jedzenie! — zaprotestowała

Millie z uśmiechem. — Wyborową pleśń i nawet kilka martwych larw. Czy jesteś pewna?

— Całkowicie. Dziękujemy ci — pospieszyła z odpowiedzią Ivy.

— Więc może innym razem — powiedziała Millie z widocznym żalem.

Widać było, że miała wcześniejsze doświadczenie z dziećmi. Odprowadziła ich do wyjścia.

Horacy okazał się centaurem w niezbyt zaawansowanym stanie rozkładu. Tam, gdzie wypadły włosy, ciało było połatane i miał twarz jakby lekko nagryzioną przez robaki, ale reszta była w porządku.

— Pokaż, proszę, Chex inną drogę do Wyspy Centaura — zwróciła się do niego Millie. — I czekaj na nią, aż wróci. Zrozumiałeś?

— Tak, Millie Dusyczo — potwierdził Horacy na tyle dobrze, na ile pozwalały mu zgniłe wargi i język.

Chex pomogła Ivy dosiąść się.

— Dziękuję ci, Millie. Naprawdę to doceniam.

— Wszystko dla dobrej sprawy — odpowiedziała Millie. — Miło mi było cię poznać, Chex.

Horacy ruszył w drogę i Chex musiała przyspieszyć, żeby się z nim zrównać.

— Pa, Millie! — zawołała Ivy, machając zawzięcie na pożegnanie. — Pa, zombi!

Millie i kilku zombi odmachowało.

— Millie z pewnością nie wygląda jak zombi — zauważyła Chex.

— Ona jest duchem! — powiedziała Ivy.

— Duchem?! — wykrzyknęła Chex. Przypomniała sobie, że Horacy nazwał ją: duszycą.

— Ona już nie jest prawdziwym duchem — wyjaśniła Ivy. — Ale była nim przez osiemset lat, więc dalej nazywamy ją Millie Duszyca.

— Osiemset lat!

— Tak, a potem wygrała jakąś nagrodę i znowu stała się żywa i opiekowała się tatusem, kiedy był mały. Potem wyszła za mąż za Mistrza zombi i odtąd żyją szczęśliwie. Ona jest naprawdę miła.

Ivy wzięła oddech.

— Naprawdę miła! — powtórzyła równocześnie z Chex. I roześmiały się.

Horacy odwrócił głowę.

— Czo jest miłe?

— Millie duszyca — odpowiedziała Ivy natychmiast, wstrzymując chichot.

— Tak — zgodził się zombi.

— One nie są zbyt błyskotliwe — wyszeptła Ivy do ucha centaurzycy. — Ale są naprawdę miłe, kiedy się je pozna. Obroniły Zamek Roogna, wiesz o tym.

Chex wiedziała, ponieważ był tam cmentarz zombi. Dowiadywała się od tego dziecka o wielu interesujących sprawach.

Ścieżka, którą szli, nie sprawiała im żadnych kłopotów. Chex zastanawiała się, dlaczego Millie uważała, że potrzebuje przewodnika. Wtem Horacy raptownie się zatrzymał.

— Zmok jeszt przed nami — ogłosił, gubiąc ściemniały ząb. To były te trudności! Chex wzięła łuk.

— Czy duży?

— Mnóstwo dużych — powiedział. — Muszimy je ominąć.

— Sądziłam, że już idziemy naokoło.

Prowadził je przez gęstą płataninę roślin. Wyglądały na monstrualne winoroślą.

— One wyrastają na smoczym nawozie — zauważyła Ivy. — Pewnie dlatego są takie duże! Ale wiesz, one wyglądają jak...

Nagle natrafili na największą tykwę, jaką Chex mogła sobie kiedykolwiek wyobrazić.

— Ależ to przecież jest... — zaczęła zaszokowana.

— ...hipnotykwa — zakończyła Ivy, a Horacy wskoczył tymczasem do gigantycznej dziury zombi-tykwy.

— Nie możemy — zaprotestowała przerażona Chex. — Nikt sam nie wydostanie się z tykwy! Nawet nie oczekuje się żadnego fizycznego wejścia — wszystko jest duchowe. Ale on właśnie...

— Sądzę, że dlatego potrzebujemy przewodnika — powiedziała Ivy.

Chex przytaknęła. Może to miało sens. Jeżeli nie chciała stracić kontaktu z przewodnikiem, musiała działać natychmiast.

Zmusiła się i wskoczyła do dziury.

Wylądowała na gęstej roślinności, bardzo podobnej do tej, którą właśnie opuściła. Liście roślin gniły, a łodygi pokryte były pleśnią. Jednak winoroślą pięły się w kierunku wgłębień, które wyglądały jak zapadnięte groby. Pnącza usiłowały raczej wryć się w ziemię, niż pięć do góry, jak zazwyczaj to czynią.

Nie mogła jednak zatrzymać się, by zbadać tę anomalię. Horacy zniknął im z oczu za kolejnym zakrętem drogi, która wiła się przed nimi. Pogalopowała za nim.

— Zabawne. One rosna w niewłaściwy sposób — powiedziała Ivy. — Ale nie jest tak strasznie, jak wtedy, kiedy byłam tu ostatnio.

— Byłaś już w tykwie? — zapytała Chex zdumiona.

— Tak. Było tam ogromne jezioro oleju rycynowego. Potrójne, fe! I pokój z pluskwami! Nienawidziłam tego. A tutaj są tylko rośliny wrastające w groby zombi.

— To horror dla zombi! — wykrzyknęła Chex. — Rzeczy, które przerażają zombi, takie, jak rośliny wdzierające się im do grobów i wysysające ich witalność.

— Na pewno o to chodzi! — zgodziła się pogodnie Ivy. — Polowanie na zombi!

Przed nimi coś ostro zasyczało. Był to jadowity wąż mierzący w nogę Horacego. Centaur jednak zdążył odskoczyć i zęby jadowe zacisnęły się, zamiast na nodze, na schorowanej róży.

Roślina natychmiast zmieniła kolor. Stała się zdrowa i prężna. Rozkwitła pięknymi czerwonymi kwiatami.

— Co w tym było złego? — zapytała Ivy. — Gdyby wąż ukąsił Horacego, ten byłby znowu zdrowy, prawda?

— Dla zombi może to być największy koszmar — wyjaśniła Chex. — Taki, jakim dla nas byłoby ugryzienie zmieniające w zombi.

Z pewnością było to dziwne!

Horacy dotarł do następnego niebezpieczeństwa: obszaru tnących noży. Nie widać było stworzeń, które by nimi kierowały. Noże cięły po prostu z własnej woli. Było to niegodne zarówno dla stworzeń żywych, jak i dla zombi. Jak przez to przejdą?

Horacy wyciągnął z plecaka zardzewiały nóż i rzucił go do bitwy.

Natychmiast zaatakowały go inne noże. Poleciały iskry, kiedy metal uderzał o metal. Wkrótce magiczne noże, ogarnięte bitewnym szaleństwem, rzuciły się na siebie. Po chwili wszystkie były połamane. Zniszczyły siebie same. Wydawało się, że teraz łatwo przejdą przez ten rejon.

Jakby na dany sygnał, Horacy nagle zawrócił i ruszył w kierunku, z którego przybyli. Zaalarmowana Chex pobiegła za nim. Co to był za labirynt?!

Ścieżka za nimi zmieniła się. Zombi-rośliny stały się teraz zombi-minerałami. Rozsypane się kamienie, rdzewiejące metale i rozkładające się sztuczne tworzywa. Horacy szedł pomiędzy nimi, nie dotykając niczego z wyjątkiem gruntu, aż nagle uderzył przednim; kopytem o rozmiękły zielony kamień.

Kamień eksplodował. Okruchy spadły na ziemię i zagrzebały się znikając z pola widzenia. Sama ziemia zapaliła się, płonąc chorobliwie zielonkawym płomieniem. Ogniem zombi.

W miarę jak ziemia na górze spalała się, odsłaniało się drewniane ostemplowanie. Samo drewno w dziwny sposób było nie tknięte przez płomienie, które tańczyły wokół.

Horacy postawił kopyto na końcu najbliższej belki, a ta obniżyła się. Drugi jej koniec uniósł się; pośrodku na zawiasach była umocowana kłapa. Odsłoniła drewniane schody prowadzące do oświetlonej piwnicy.

— Coś takiego! — wyszeptała zaintrygowana Ivy.

Horacy zawrócił i cofnął się tą samą drogą, którą przyszedł, ignorując schody. Ogłupiała Chex szła za nim.

Sceneria znowu uległa zmianie. Teraz składała się z zombi-zwierząt, przypominających szczury, które rozbiegły się we wszystkie strony, gubiąc kawałki ciała.

Horacy wszedł pomiędzy nie, starając się nie rozgnieść żadnego kopytem. Chex naśladowała go, stąpając równie ostrożnie. Potrafiła odgadnąć, co się stanie teraz. Centaur wybierze jedno stworzenie i kiedy to zrobi, otworzy się nowa droga, którą on zignoruje. Było to dziwne miejsce — niczego nie można było przewidzieć.

Horacy kopnął szczura. Stworzenie pisnęło. Pozostałe natychmiast stanęły na tylnych łapkach i również zapisały. Potem zamieniły się w liczby i uleciały w powietrze. Ziemia stała się kratą, na której kwadracikach tańczyły cienie liczb.

Horacy położył się; jego ciało pokryło się wielką ilością kwadratów. Liczby ponad kwadratami wyostrzyły się wściekle i zaatakowały. Rozciągnęły się, a na końcach zaostrzyły jak sztylety, wbijając mu się w ciało.

Chex z powątpiewaniem, ale ani trochę nie zmartwiona, również się położyła.

— Mam nadzieję, że ten zombi wie, co robi — wymruczała.

— Ja też mam taką nadzieję — wyszeptła Ivy. — Nie podobają mi się te liczby!

Rzeczywiście, liczby atakowały je teraz. Bzykały jak rozszoszczone pszczoły i przechodziły przez ich ciało, nie wyrządzając jednak krzywdy.

Chex roześmiała się.

— To muszą być liczby urojone!

— Co? — zapytała Ivy.

— Liczby, które nie są rzeczywiście używane w matematyce — wyjaśniła Chex.

— Czasami jednak okazują się potrzebne.

— Dla mnie nie ma to wielkiego sensu — odburknęła Ivy.

— Jestem pewna, że nie ma! Ale tutaj musi być dom tych liczb. Prawdopodobnie są złymi snami matematyków.

Horacy odchylił swój ludzki tors do tyłu i zasnął.

Chex zawahała się. Czy ten zombi naprawdę wiedział, co robi, czy się poddał? Jeżeli to pierwsze, czy mogła pozwolić sobie na pójście w jego ślady? Z pewnością istniały tutaj niebezpieczeństwa, i to była hipnotyka. Mogli wpaść w prawdziwe kłopoty, jeśli...

— Myślę, że nie mamy wielkiego wyboru — powiedziała Ivy, po raz pierwszy bez entuzjazmu.

— Na to wygląda, kochanie — zgodziła się Chex.

Obydwie ułożyły się do snu i zamknęły oczy. Zasnęły natychmiast.

Chex otworzyła oczy. Był dzień i leżały na plaży. Na horyzoncie widoczny był zarys jakiejś dużej wyspy. Zamrugła oczami.

— Czy możliwe, że to Wyspa Centaura? — zapytała głośno.

— Oczywiście — dobiegł ją z tyłu głos Horacego. Ivy obudziła się.

— Jak się tutaj dostaliśmy?

— Zasnęliśmy w tykwie — powiedziała Chex, sama sobie nie dowierzając. — Mogę jedynie zakładać, że zaśnięcie w królestwie snów jest równe zbudzeniu się w królestwie

zwykłej świadomości.

— Może być, że naprawdę potrzebowaliśmy przewodnika — zauważyła dziewczynka.

— Może być — zgodziła się Chex,

— Ale heca! — wykrzyknęła Ivy. — Mówisz moim językiem!

— Po tym, co przeszliśmy, twój język wydaje się łatwiejszy. — Chex podniosła się.

— Czy to naprawdę jest Wyspa Centaura, czy tylko sen o niej? — zapytała Horacego.

— Ona jest prawdziwa — zapewnił ją. — Szkrót.

Tak się wydawało. Chex postanowiła, że będzie przyjmowała rzeczy, jakimi się wyda- ją, i ruszyła wypełnić swą misję. Ivy ześlizgnęła się z jej grzbietu.

— Chciałam poczuć prawdziwy piasek pod stopami — powiedziała.

Chex zrozumiała — doświadczenie w tykwie było wstrząsem, nawet dla małej cza- rodziejki.

Teraz musiała przeprowić się na wyspę. W miejscu, dokąd dochodził trakt, powinien być prom.

— Rozejrzę się za jakimś przejściem.

— Ja zostanę tutaj — powiedziała Ivy. — Będę wystarczająco bezpieczna z Horacym.

A poza tym, mamusia dała mi ochronny czar.

Chex musiała się upewnić.

— Poczekasz tutaj na mnie? — zapytała Horacego.

— Jasne — odpowiedział.

Ruszyła kłusem wzdłuż plaży, kierując się na wschód, ponieważ wydawało się, że naj- bliżej do wyspy jest w tym kierunku. Wkrótce jej przypuszczenia potwierdziły się. Przy brzegu była tratwa z żaglem. Pocwałowała tam.

— Halooo! — zawołała.

Z szalasu wyszedł centaur w średnim wieku.

— Ktoś do przewiezienia? — zapytał.

— Tak. Muszę się dostać na Wyspę Centaura, a potem wrócić... — Urwała, ponieważ centaur wpatrywał się w jej skrzydła.

— O, mieszaniec — powiedział z głębokim niesmakiem. — Zapomnij o tym.

— Ale ja muszę porozmawiać ze Starszyzną Centaurów o...

— Nie rozmawiamy z mieszającami — odezwał się szorstko. — A teraz wynoś się stąd, zanim ktoś cię zobaczy!

— Ale...

Sięgnął po swój łuk.

— Posłuchaj! — zaprotestowała. — Mam prawo być wysłuchana! Łuk znalazł się w jego rękach.

— Mieszaniec nie mają prawa do istnienia, a co dopiero do wysłuchania — skomen-

tował opryskliwie. — Nikt nie będzie z tobą rozmawiał. Zostaniesz stracona bez sądu, jeżeli postawisz nogę na wyspie. A teraz odfrunń stąd, zanim narobisz mi kłopotów z grzebaniem twojego ciała.

Przestraszona Chex zrozumiała, że on nie żartuje. Nastawienie jej babki było zaledwie echem uprzedzenia większej społeczności centaurów. Nie były zdolne do tolerowania jakiegokolwiek odchylenia od ich norm.

Przez chwilę owładnęła nią pokusa, by upierać się przy swoim i sprawić mu kłopot z grzebaniem jej ciała. Wiedziała jednak, że w ten sposób nie osiągnie niczego. Stanowisko centaurów było ostateczne. Jak powiedziała Ivy: centaury były uparte.

Odwróciła się i pokłusowała z powrotem, sfrustrowana i pełna niesmaku. Teraz doceniała to, że jej samka wychowywała ją w dużej izolacji od jej własnego gatunku. Wuj Chet często był w pobliżu. Pokazywał jej swoją magię z głazami i kamykami. Czasami odwiedzały ich żyjące jak pustelnicy centaury leśne, ale nigdy centaury z osady na północ od Rozpadliny czy z Wyspy Centaura. Jej edukacja stawała się brutalna. O centaurach mówiło się, że są najbardziej błyskotliwe spośród wszystkich stworzeń Xanth i że zawsze można na nich polegać. Jak gatunek będący krzyżówką pomiędzy człekokształtnymi i koniokształtnymi mógł być tak nieustępliwy wobec dalszych krzyżówek?

Po dłuższym zastanowieniu zrozumiała, dlaczego tak jest. Jeżeli centaury zgodziłyby się na dowolne krzyżowanie gatunków, jak to robiły koniowate, zostałyby w końcu zróżnicowane gatunkowo tak jak koniowate. W Xanth nie było już żadnych prawdziwych koni. Spotkać je można było już tylko w Mundanii, gdzie nie mogły krzyżować się z innymi gatunkami. W Xanth, gdzie były nocne mary i puki, koniołaki, morskie konie i hipogryfy, centaury, jednorożce i latające konie, nie istniała czysta rasa. Centaury ochraniały swoją odmianę jako zdolną do samodzielnego życia.

Nadal jednak istniało więcej krzyżówek ludzkiej rasy niż końskiej, poczynając od elfów, przez ogry, aż do wielokrotnego mieszańca, jakim był sfinks. A jednak oryginalna rasa, z której pochodzili, nadal występowała. Ludzie nie zachęcali do krzyżowania gatunków, ale kiedy to się już zdarzyło, zachowywali rozsądną tolerancję. Centaury były przyjmowane w Zamku Roogna. Zakaz nie musiał być absolutny.

Starając się usilnie dowieść obiektywności centaurów, przypomniała sobie, że gatunek ludzki posiada stałe źródło zasilające — Mundanię. Wiele było Fal Kolonizacyjnych z Mundanii, każda odnawiała ludzką populację Xanth. Centaury nie miały podobnej szansy, ponieważ występowały tylko w Xanth. Zatem sytuacja obydwu gatunków nie była dokładnie taka sama.

Wszystkie te przemyślenia wcale nie poprawiły jej samopoczucia. Potrafiła zrozumieć stanowisko centaurów, bez oceniania go. Ona sama potrzebowała jakiegoś gatunku podobnego do niej. Zaśmiała się do siebie gorzko. Wiedziała, że jest w Xanth jedyną w swoim rodzaju istotą.



Zawróciła do miejsca, gdzie czekali Ivy i Horacy.

— Powiodło się? — zapytała dziewczynka pogodnie.

— Nie — odparła Chez zmienionym głosem. — Nawet nie chcę ze mną rozmawiać, ponieważ jestem mieszańcem.

Ivy zagryzła wargi.

— Tak jak Cherie?

— Tak.

— Może ja mogę to załatwić?

Chex zastanowiła się. Ivy była dzieckiem, ale była również córką Króla i czarodziejką. Może centaury udzielią jej audiencji. Musiałaby jednak dostać się na wyspę sama, a w ten sposób Chex złamie swoją obietnicę ochraniającej ją. Poza tym, skoro centaury nie chciały nawet rozmawiać z odmianą własnego gatunku, czy zechcą pomóc kompletnie odmiennemu gatunkowi, takiemu jak polniki-kopacze? Szczerze w to wątpiła.

— Myślę, że powinniśmy to odrzucić jako niedobry pomysł — powiedziała. — Nie doceniłam oporu centaurów wobec naszego wysiłku.

Ivy wzruszyła ramionami.

— W porządku. Może uda nam się uzyskać pomoc od krajan twojego ojca.

— Skrzydlatych potworów? — zastanowiła się Chex.

Ta możliwość wydawała się bardziej interesująca teraz, gdy główna zawiodła.

— Tak. Z pewnością mogę pójść do ojca i zapytać. Mieszka on jednak bliżej środkowego Xanth. Musimy zawrócić najpierw do Zamku Roogna, a tam dowiemy się, co osiągnęli Esk i Polney. Może jeden z nich już uzyskał pomoc.

— Aha — zgodziła się Ivy, patrząc na nią wyczekująco. Horacy prowadził je przez dżunglę, innym szlakiem, który wyglądał na nie uczęszczany. Chex zrozumiała, że pozostałe stworzenia! raczej unikały dróg używanych przez zombi. Zważywszy na poprzednie doświadczenie, też by ich unikała. Po odepchnięciu jej przez żyjące centaury stwierdziła, że zombi-centaur jest lepszym kompanem. Zombi pomagali, jak mogli. Horacy zaoszczędził jej tym skrótem wiele godzin podróży na południe.

Kiedy trakt zaprowadził ich do niezbyt gęstego lasu, szły przy jego boku.

— Czy mogę zadać ci pytanie, Horacy?

— Oczywiście.

— Jak doszło do tego, że stałeś się zombi?

— Zmarłem.

Ewidentnie nie lubił podawać szczegółów!

— Jak umarłeś?

— Ludzkie buty.

— Proszę?

— Prosie?

Nie zna również zwrotów grzecznościowych, ale trudno tego oczekiwać po tych, których mózgi są zgniłe.

— W jaki sposób umarłeś? — powtórzyła.

— Niektórzy nazywają to podżkowami.

— Nie rozumiem.

— Myślę, że mówił coś o końskim... — zaczęła Ivy.

— Nie mów tego słowa.

— Nawozie — znalazła wyjście Ivy. — Księżniczka nawet nie zna innego słowa.

— Miejmy nadzieję, że nie! Ale w jaki sposób coś takiego mogło przyczynić się do jego śmierci.

— Jestem pewna, że wyjaśni nam, jeżeli go o to zapytamy — powiedziała Ivy z przekonaniem. — Słuchaj, pozwól, że się na nim przejadę.

— Naprawdę, nie sądzę...

— Och! On potrafi mnie unieść. Rozmawiałam z nim, kiedy czekaliśmy na ciebie. On jest dość miły jak na zombi. — Przechyliła się i Chex musiała przysunąć się do niego bliżej, żeby ułatwić dziewczynce przejście.

Ivy wgramoliła się na grzbiet Horacego.

— Horacy, jesteś bardzo silny — powiedziała i rzeczywiście zombi wydawał się w lepszej kondycji niż przedtem. — Możesz również wyraźniej mówić, wiem to.

— Dziękuję czy — odezwał się Horacy i rzeczywiście głos mu się poprawił. To magia dziecka go wzmocniła.

— Jak umarłeś? — zapytała Ivy.

— Ludzkie bhuty.

— Ludzkie buty! — krzyknęła Ivy. — W Mundanii tak nazywają podkowy! Rzucałeś tymi metalowymi butami?

— Taak. — Wymawiał już nie tak niewyraźnie.

Tylko wielkie czary mogły tego dokonać, kiedy wargi gniły, a zęby wypadły.

— Jak taka gra mogła ciebie zabić, Horacy? — zapytała Ivy.

— Trafiony butem.

— Ach, wypadek! — krzyknęła Chex. — Jeden z tych twardych metalowych butów uderzył cię w głowę.

— Zgadza się. Ciężki ludzki bhut, z końszkimi podkówkami.

— A potem Mistrz zombi ożywił cię jako zombi.

— Taak.

— Jak się czujesz, będąc zombi?

— Nie jeszt tak źle. Ale moi starzy kumple nie chcą że mną gracz.

— Boję się, że żyjący nie przepadają za niemartwymi — powiedziała Chex.

Ona właśnie przeszła dobrą lekcję o uprzedzeniach.

— Taak.

— Ale zombi Zora jest miła — powiedziała Ivy, przenosząc się z powrotem na Chex.

— Ona jest prawie żywa.

— Zora jest twoją przyjaciółką?

— Tak. Pomagała mamusi poszerzyć jej wiedzę o zombi. Potem wyszła za mąż za Xaviera.

— Xavier! — krzyknęła Chex. — Znam go! Dosiada Kapa!

— Tak. Xap jest wspaniały. On jest hipogryfem.

— Wiem. Jest moim ojcem.

— O! — pisnęła zadowolona Ivy. — Nie wiedziałam! To dlatego masz skrzydła!

— Dlatego — potwierdziła Chex. — Znam Xaviera, ponieważ on przebywa w towarzystwie Xapa, ale nie wiedziałam, że jest żonaty. Nigdy o tym nie wspominał.

— Myślę, że dla mężczyzn jest to mniej ważne niż dla kobiet — powiedziała Ivy.

— Może wstydzi się, że ma żonę zombi.

— Nie sądzę — podsumowała Ivy. — On zawsze wydawał się prawdziwie dumny z niej, kiedy byli razem.

— Może więc boi się, że inni mogą mieć o niej złe wyobrażenie, kiedy dowiedzą się, że jest zombi, a nie znają jej.

— Może. Trudno się domyślić, że ona jest zombi. Wiemy, że zombi nie są źli; ona była moją niańką i jest wspaniała.

Horacy skręcił w bok.

— Tykwa — oznajmił.

Była to inna odmiana ogromnych pnączy, która wyrastała na smoczym nawozie. Horacy dał nurka do dziury, a Chex poszła za nim.

Wewnątrz było tak samo, jak poprzednim razem. Chex myślała, że znajdują się w miejscu liczb urojonych, które opuścili, ale byli w pierwszym etapie — z zombi-roślinnością. Z nożami poradzili sobie w taki sam sposób jak poprzednio.

— Ciekawa jestem, co jest za tymi nożami — rzuciła Ivy.

— Być może niczego nie ma — odpowiedziała Chex. — Może to tylko rytuał, gdzie poszczególne akcje wymagane są do zmiany ustawienia labiryntu. Jakiś nie uświadomiony intruz mógłby podążać w złym kierunku.

Doszli do zasypanych, zapadkowych drzwi.

— Bardzo chciałabym wiedzieć, co jest za nimi! — odezwała się Ivy.

Chex też była zaintrygowana: schody wyglądały tak zapraszająco. Była jednak pewna, że to pułapka. Gdyby zboczyła z trasy, którą prowadził ich przewodnik, z pewnością zostałyby uwięzione w tykwie.

Dotarli do liczb i znowu położyli się i zasnęli. Zbudzili się niedaleko zamku zombi. Nie było tutaj gigantycznej tykwy, tak jak nie było jej na południowej plaży. Pojawili się

tutaj dzięki jakiemuś innemu mechanizmowi.

Zbliżała się noc. Dotarli prawie do Wyspy Centaura i wrócili w ciągu jednego dnia. Taka podróż zazwyczaj zabierała trzy dni. Chex stanęła wobec perspektywy powrotu do Zamku Roogna dwa dni wcześniej. Byłoby świetnie, gdyby Esk i Polney również przybyli wcześniej.

Była pogrążona w myślach do czasu, kiedy na widnokręgu pojawił się zamek zombi. Wtedy podjęła decyzję.

— Ivy, jeżeli Millie i Mistrz zombi są tacy gościnni, czy nie mogłybyśmy spędzić tutaj dwóch dni?

— Ooo, wspaniale! — krzyknęła Ivy, klaszcząc w dłonie. — Będę mogła pobawić się z Zomonsterem.

Poszło więc gładko. Zamek zombi wydał się jej teraz zdecydowanie bardziej atrakcyjny.

## Rozdział siódmy

### Brama

Esk wyciągnął pigułkę pełen wątpliwości. Ivy wzięła trzy takie ze zbrojowni Zamku Roogna. Mówiła, że jest ich tam mnóstwo i ona używa ich zawsze, kiedy się śpieszy. Nie miał odwagi powiedzieć, że dziewczynka nie mówi prawdy, więc je przyjął. Teraz, kiedy Chex galopowała na południe z Ivy, a Polney przekopywał się pod ziemią, by spełnić swoją misję, on się zamartwiał. Przypuśćmy, że one nie działają?

W takim przypadku będzie musiał pokonać drogę w stary sposób, mając nadzieję, że zdąży na czas. Przeszedł już drogę od domu do Zamku Roogna, więc dowlecze się i do Jeziora Ogrów i Pszczół Wodnych. Miał jednak nadzieję, że pigułki zadziałają!

Włożył jedną do ust i przełknął. Nic się nie zmieniło. Miała umożliwić mu podróżowanie w postaci prawie bezcielesnej, żeby mógł przebyć dużą odległość bez przeszkód czy zmęczenia. Być może to zaklęcie działało tylko na dziecko, którego talentem było wzmacnianie.

Zrobił krok — i przeszedł prosto przez drzewo. Przystanął na ścieżce która prowadziła do jeziora. Ścieżka zakręcała, więc drzewo było przedtem w pewnej odległości przed nim. Teraz było za nim.

Czy on naprawdę przeszedł przez drzewo? Powoli wyciągnął rękę do tyłu i napotkał tylko nieznaczny opór. Tak, jakby drzewo stało się iluzją.

Tak właśnie miała działać pigułka. Drzewo było prawdziwe cały czas. To Esk był tym, który bardziej upodobił się do iluzji. Masa jego ciała została wyzerowana, chociaż wyglądał i czuł się tak samo jak poprzednio. Ivy mówiła prawdę.

Gdyby Chex zażyła taką pigułkę, mogłaby fruwać! Oczywiście ona pragnęła posiadać umiejętność latania na stałe, nie tylko podczas działania tabletki.

Skierował się na południowy wschód. Stopy dotykały ziemi i lekko się w niej zagłębiały, na tyle, żeby się od niej odbić.

Jego ciało przebywało drogę szybko i z łatwością, jakby ważyło nie więcej niż piórko. Oczywiście, było to tylko złudzenie, ale czuł taką lekkość. Mięśnie nóg napotyka-

ły teraz jedynie nieznaczny opór. W ten sposób dysponował ogromnym zapasem dodatkowej energii. Kiedy chciał przyspieszyć, robił ogromny skok i dosłownie przenosił się w powietrzu, o wiele dalej niż przy normalnym skoku. Miał kłopoty z utrzymaniem równowagi, ponieważ to, co uważał za nieznaczne przyspieszenie, zamieniało się w długie susy. Pędził przez drzewa, które przypominały teraz widmowy las.

Wkrótce jednak opanował technikę szybkiego przenoszenia się. Nie musiał trzymać się ścieżki; równie dobrze mógł przechodzić przez; gęste krzaki i inne przeszkody. Kiedy spróbował przejść przez wzgórze zwolnił, ponieważ opór, który stawiała jego ciału ziemia, był większy. Musiał przesuwać się ruchem pływaka, a to było mniej wygodne. Pozostał więc na powierzchni, unikając drzew, żeby go nie hamowały.

Podziwiał scenerię wokół siebie. Drzewa obok niego migąły tak gwałtownie, że wyglądały jak rozmazane. Te w oddali przesuwały się wolniej, a odległe góry stały prawie na miejscu. Przez góry przedzierał się, a potem unosił się w powietrzu, schodząc po stromym zboczu.

Widział dzikie stworzenia, które zamierały, niezdolne do poruszenia się, kiedy był nad nimi. Decydowały się, co zrobić, kiedy był już daleko. Spotkał gryfa, który uciał sobie drzemkę, i kopnął go bezkarnie w nos. Stworzenie podniosło głowę, ale on był już daleko. To dopiero zabawa!

Podróżował bardzo szybko, ale miał jeszcze spory kawałek drogi do pokonania. Zapadała już noc, kiedy dotarł do szerokiego brzegu Jeziora Ogrów i Pszczół Wodnych. W końcu działanie pigułki skończyło się i wracał do normalnej masy ciała. Teraz żałował, że tak roztrwonił nadmiar energii. Mięśnie nóg i stóp były niezwykle zmęczone, ponieważ nie podróżował w zwykły sposób. Im bardziej efekt pigułki się wyczerpywał, tym gorzej się czuł; cały był obolały!

Rozejrzał się za jedzeniem i miejscem na nocleg, nie za blisko wody, ponieważ nie lubił patrzeć na pływające w niej zielone gady. Czuł się teraz samotny; przywykł do towarzystwa i stwierdził, że już nie odpowiada mu samotność. W końcu usadowił się do snu na drzewie. Nie było mu wygodnie, ale za to w miarę bezpiecznie. Mógł powiedzieć „nie” każdemu stworzeniu, ale musiał się zbudzić w odpowiednim momencie. Powinien usłyszeć, gdyby coś próbowało w nocy wdrapać się na drzewo albo gdyby wylądowało na gałęzi.

\* \* \*

Rano cały odrętwiały wykonał codzienne czynności, następnie zastanowił się nad problemem wejścia do Zamku za Bramą. Problem polegał na tym, że był on pod wodą. Jedyne dojście wiodło przez ogromny wir wodny, a nie miał do niego zaufania. Mógł wziąć następną pigułkę, stać się bardziej rozrzedzony od wody i zejść w głąb, ale wtedy nie mógłby, w środku, porozmawiać z mieszkańcami. A kiedy zakończy się działanie pi-

gułki, oni mogą nie zaakceptować sposobu jego wtargnięcia. Lepiej zakołatać do frontowej bramy i być wpuszczonym legalnie. Gdzie jest ta frontowa brama?

Taak. Musiała przecież istnieć droga zaopatrzeniowa. Mówiło się, że demoniaki są ludem wyspiarskim, którego mało obchodzą inne stworzenia. Musiały jednak wychodzić po żywność, drewno i inne niezbędne rzeczy. Odszuka więc drogę zaopatrzeniową, spotka kogoś i wyjaśni swoją misję. Ponieważ był spokrewniony z tymi ludźmi, powinni poświęcić mu trochę uwagi.

Szedł wzdłuż brzegu, wypatrując uważnie śladów jakiejś aktywności. Jezioro było ogromne, a spacer długi. Pszczoły wodne wyszły w jego kierunku, telepiąc się na swoich tłustych, zielonych nóżkach. Ich zęby były nieszkodliwe, ale nie ufał im. Wolał wycofać się do lasu i przeczekać, aż przestaną za nim leżeć.

W końcu odkrył ślady jakiejś działalności. Był to obszar pielęgnowanych drzew, co oznaczało, że ktoś o nie dbał. Były tu drzewa niebieskie, czerwone i pomarańczowe o pięknie dojrzewających owocach. Były też żółte, zielone i niebieskie krzewy jagód. Rosły różnorodne odmiany drzew szarlotkowych i kocowych oraz wszystkich innych artykułów rolnych, których potrzebowała społeczność ludzkich istot. Z całą pewnością był w dobrym miejscu!

Zanim zdążył całkiem się co do tego upewnić, usłyszał głosy i wyszedł naprzeciw młodym kobietom zbierającym pantofelki z drzew butowych. Ubrane były w proste bluzki i spódnice, świadczące o tym, że zebrano je z innych drzew w innym czasie, z asortymentu pastelowych kolorów. Włosy miały przewiązane dopasowanymi kolorystycznie chustkami.

Podszedł do nich.

— Przepraszam! — zawołał. — Szukam Zamku za Bramą.

— Aaaa! Jakiś człowiek! — krzyczały, zwracając uwagę innych. Potem zaczęły liczyć. — Raz, dwa...

— Nie! — krzyknął, pojmując, na co się zanosi.

Demoniaki, w przeciwieństwie do pozostałych stworzeń, posiadały wspólny talent: talent rzucania klątwy. Zmasowana klątwa mogła być niszcząca. Nawet pociski złego humoru jego matki były dość groźne. Nie chciał zostać ugodzony przez kilka dziewcząt działających wspólnie.

Jego „nie” oczywiście powstrzymało je. Pogubiły się w liczeniu i nie próbowały go przekląć. Nadal jednak nie ufały mu i cofnęły się.

— Niech pan nam nie robi krzywdy, sir! Jesteśmy tylko pracującymi dziewczynami — wykrzyknęły.

— A ja jestem tylko podróżnikiem szukającym drogi do Zamku za Bramą. — Nie wiem, jak się tam dostać.

— Czy na pewno jesteś nieszkodliwy? — zapytała jedna z nich.

— Zupełnie nieszkodliwy — zapewnił ją.

— Więc zabierzemy cię ze sobą, kiedy będziemy tam wracać — powiedziała. — Będziesz musiał jednak wytłumaczyć się władzom.

— Oczywiście. Dziękuję — odparł. — A czy tymczasem mogę pomóc wam w zniwach?

Zachichotały i zdecydowały, że zgodzą się na jego propozycję. Przez następne dwie godziny pomagał im wybierać dojrzałe buty. Ważne było, żeby pary dopasowane były rozmiarem, fasonem i kolorem. Musieli pozostawić wiele znakomitych okazów, ponieważ nie miały pary. Nie była to tak łatwa praca, jak się wydawało. Rzeczywiście, czasami wydawało się, że tak łatwo jest wyhodować pasujące buty i odnaleźć parę. Wykonywanie tej pracy było zabawne, nie dlatego, żeby Esk miał jakiś szczególny pociąg do pracy, ale z powodu dziewczyn, które były w jego wieku. Flirtowały z nim bezustannie, wypowiadając uwagi na temat pań — pantofli bez partnerów. Esk zrozumiał, że Zamek za Bramą to dla niego coś więcej niż tylko misja. Mimo wszystko jego babka pochodziła stamtąd.

Nadszedł czas powrotu do zamku. Podreptały, niosąc kosze z butami, a Esk poszedł za nimi. Był zdrtwiałym po noclegu, kiedy je spotkał, ale teraz to minęło. W samej rzeczy, czuł się bardzo dobrze.

Weszły na pomost, który ciągnął się dość daleko w głąb jeziora. Zatrzymały się i czekały. Wkrótce coś uniosło się z głębin. Przypominało łódź i wyglądało jak zrobione z drewna, ale przystosowane raczej do pływania pod niż nad wodą. Eskowi wydawało się, to dość dziwne, ale dziewczyny popchnęły go bez wahania w kierunku tego czegoś.

Górna część otworzyła się i zobaczył prowadzący w głąb tunel. Dziewczyny odwracały się i schodziły tyłem. Trzymając się uchwytów wewnątrz tunelu, podawały sobie kosze. Potem zawołały Eska. On również wszedł do środka i zobaczył drabinę. Schodził po niej, aż znalazł się pod powierzchnią wody, a jego stopy dotknęły podłogi. Wtedy jedna z dziewcząt z powrotem weszła po drabinie. Podniósł głowę, żeby zobaczyć, co ona robi, i musiał odwrócić wzrok, zanim się zaczerwieni i zawstydzi. Zaglądał jej pod spódniczkę.

— Zatrzaśnij ją dokładnie, Doris! — zawołała inna dziewczyna. Dokładnie? Kiedy światło zniknęło, zrozumiał, co ona robi: przyciągała i zamykała klapę łodzi. W ciemności, która nagle zapadła, ktoś go złapał, a ktoś inny pocałował w policzek, chichocząc przy tym. Wtem zapłonęła latarnia i zobaczył wszystkie dziewczyny stojące wokół niego w kuszących pozach, choć nie było widać, żeby któraś z nich zrobiła coś niestosownego. Lampę trzymała sroga kobieta, która wyszła z innego pomieszczenia w łodzi.

— Wszyscy na pokładzie? — zapytała energicznym głosem.

— Tak, proszę pani. Plus jeden! — Znowu rozległ się chichot. Kobieta uniosła lampę i dostrzegła Eska.



— Jakiś mężczyzna! — wykrzyknęła z dezaprobatą.

— Znalazłyśmy go przy butowych drzewach — powiedziała Doris. — Możemy go zatrzymać, matrono?

— Oczywiście, że nie. Ma wrócić, skąd...

— Nie — mruknął Esk.

Kobieta wyglądała na zakłopotaną.

— Więc władze będą musiały zdecydować. Teraz zamknijcie go pod pokładem.

Zaprowadzono Eska pod pokład, który był po prostu ładownią towarową łodzi. Usiadł na koszach z butami, a dziewczyny zerkały na niego ukradkiem z sąsiedniego przedziału.

Łódź zaczęła się poruszać. Znalazła się niżej. Esk wiedział, że woda jest nawet ponad klapą wejściową. Było to niesamowite. Potem ślizgała się do przodu, napędzana jakimś nieznanym mechanizmem. Nie potrafił stwierdzić, czy w jakimś innym pomieszczeniu byli mężczyźni, którzy odpychali łódź żerdziami, tak jak on z Chex, gdy poruszali się tratwą. A może była to magia.

W końcu łódź przyhamowała i zatrzymała się. Jedna z dziewczyn wdrapała się do klapy, otworzyła ją i wpłynęło świeże powietrze. Pozostałe wzięły swoje koszyki i wyniosły je ze statku.

— Do widzenia, Esk — wymruczała każda, przechodząc obok niego. Mówiły cicho, żeby matrona ich nie usłyszała.

Kiedy wszystkie odeszły, zbliżyła się matrona.

— Chodź, intruzie! — wysyczała. — Staniesz przed Sędzią.

Szedł, gdzie wskazała — po drabinie do góry i przez klapę. Znalazł się w pomieszczeniu, którego podłogą była woda. Łódź unosiła się na niej, a właz był obok następnego pomostu. Tym razem mógł rozejrzeć się dookoła, ponieważ woda była oświetlona i przejrzysta. Zobaczył teraz, jak działał mechanizm poruszający łodzią. Był tam kołowrót z nawiniętą na niego liną! Łódź po prostu została przyholowana do podwodnego miasta. Prawdopodobnie tak samo doholowano ją do brzegu jeziora. Oczywiście, nikt nie mógł się wślizgnąć w nocy, bo nie wysłano by łodzi po obcych. Miał szczęście, że spotkał dziewczyny-ogrodniczki. Nie dlatego, żeby miał coś przeciwko takiemu urozmaiceniu; wcześniej nie zdawał sobie sprawy, jak przyjemne może być towarzystwo innych!

Matrona poprowadziła go na górę do ponurego biura. Był tam Sędzia, który groźnie marszczył brwi zza biurka.

— Co zamierzałeś osiągnąć, wdzierając się tutaj, gdzie cię nie zapraszano? — zapytał mężczyzna.

Esk odczuł pokusę, żeby odpowiedzieć, jak zapraszały go dziewczyny, ale podejrzewał, że to nie byłoby mądre.

— Moja babka była demoniaczką — powiedział. — Przyszedłem prosić moich krewnych o przysługę.

— Przysługę? Przysługę? — dopytywał się mężczyzna, robiąc się coraz bardziej czerwony. — Nie robimy nikomu żadnych przysług; my zaklinamy!

— Nawet krewnym nie pomagacie?

Sędzia sapnął z oburzenia, ale z racji urzędu poczuł się zobligowany do przebadania tej sprawy.

— Kto był twoją babką?

— Nie wiem, jak nazywała się tutaj, ponieważ zrezygnowała ze swojego imienia, kiedy poślubiła mojego dziadka. Może pan zna ten przypadek. Była znakomitą aktorką...

— Wszyscy jesteśmy znakomitymi aktorami dramatycznymi! — powiedział sztywno. — Teatr jest naszym powołaniem.

— ...która wcieliła się w ogrzycę — dokończył Esk. — Mój dziadek był ogrem.

— Ogrem? — zapytał z oburzeniem. — Żaden z naszych obywateli nawet nie tknąłby tak brutalnej bestii.

— Sądzę, że ją porwał ze sceny, ale ona wyszła za niego z własnego wyboru.

Mężczyzna spojrział na półkę za sobą i ściągnął potężne tomisko. położył je na biurku i przewracał kartki, wodząc palcem w dół po marginesach.

— Ogr, ogr — mruzczał podczas tych poszukiwań.

— Ogr Crunch — podpowiedział Esk. Sędzia skrzywił się.

— Tak, mam ich tutaj. Bezradna panienska porwana przez łajdackiego ogra. Cisnęliśmy w niego potężnym zaklęciem, które zabiło wszystkie drzewa w okolicy, ale widocznie bydlak uciekł.

— Został wegetarianinem — powiedział Esk. — Zaklęcie nie mogło go znaleźć, ponieważ szukało miazdźcyela kości.

— Wykręty — powiedział Sędzia z potępieniem w głosie.

— Mieli syna imieniem Smash, który poślubił nimfę zwaną Tandy, a ja jestem ich dzieckiem — kontynuował Esk. — Jestem więc spokrewniony z demoniakami i teraz przychodzę prosić o przysługę.

— Może i jesteś spokrewniony, ale tylko w nieznacnym, cielesnym sensie. Daje ci to jedynie prawo do wizyty, a nie do wysuwania żądań wobec nas. Wydam ci dwudniową wizę; potem zostaniesz deportowany.

— Nie zamierzam zostać tutaj dłużej. Proszę jedynie o pomoc dla...

— Nie opowiadaj mi o swoich interesach! — wykrzyknął mężczyzna. — Nie masz prawa prosić o cokolwiek, zanim na to nie zapracujesz.

— Zapracujesz? Jak mam zapracować?

— Dostarczając nam czegoś, czego potrzebujemy. Co potrafisz?

Esk zastanowił się. Jasne było, że nie zaimponuje im, stając się ogrem, nawet gdyby

mu się to udało. Wątpił zresztą, czy jego czasowa zdolność siłowego działania cokolwiek tutaj znaczy. Przypomniawszy sobie coś, o czym babka kiedyś wspominała, a co on brał za żart.

— Mogę być publicznością.

— Ktoś musiał ci to powiedzieć — gderał Sędzia.

— Moja babka — potwierdził z zadowoloną miną Esk, zdziwiony, że to zadziało.

— Macie wszystko, czego potrzebujecie, z wyjątkiem inteligentnej publiczności, prawda? Potrebujecie zwykłych ludzi, żeby zobaczyć, jak reagują na wasze sztuki, zanim rozpoczniecie sezon, by mieć pewność, że repertuar dobrany jest prawidłowo. Tak, ja jestem właśnie takim zwyczajnym człowiekiem, jakiego potrzebujecie.

— Przyznaję ci to prawo, młodzieńcze. Bardzo dobrze. Oczywiście jest, że masz w rodzinie linię demoniaków, nawet jeśli zły z ciebie aktor. Tutaj jest twoja wiza. Masz dwa dni na to, byś okazał się dobrą publicznością i usprawiedliwił uwagę, którą ci poświęcamy. Nie zmarnuj ich.

— Nie zmarnuję — obiecał Esk. — Proszę, powiedz, gdzie mam Pójść, by zabrać się do roboty.

— Najpierw musisz się oczyścić. Czy wyobrażasz sobie, że będziesz odgrywał publiczność w takim stanie?

Sędzia zmarszczył nos. Pstryknął palcami i pojawiła się dziewczyna.

Esk rozpoznał ją. Była to Doris — ta, którą widział na drabinie.

— Zaprowadź tę osobę do gościnnego pokoju, wymyj i ubierz odpowiednio — powiedział Sędzia.

— Tak, sir — odparła posłusznie. Zwróciła się do Eska.

— Pozwól za mną, osobo.

— Ma na imię Esk — powiedział Sędzia. — Będzie przykładową publicznością przez dwa dni.

— Tak, sir — powtórzyła Doris. — Proszę iść za mną, Desk.

— Esk! — ryknął Sędzia. — Czy wy, służący, niczego nie możecie wykonać dobrze?

— Nie, sir — powiedziała Doris.

Esk poszedł za nią, zaintrygowany. Doris znała jego imię; dlaczego udawała, że nie zna?

Gdy tylko znaleźli się w holu, wszystko się wyjaśniło.

— Zastąpiłam dziewczynę, która ma dyżur — wyznała Doris. — Gdyby Sędzia się połapał, zaraz by mnie zwolnił.

— Dlaczego? Już odsłużyłaś dzień pracy przy zbiorze butów.

— Jesteś miły. Myślałam, że jeżeli pokażę ci nogi, polubisz mnie. Teraz cię umyję. To będzie zabawa!

— Ty... tam, na drabinie... celowo? — zapytał niemal się krztusząc.

— Czyż nie byłam nieprzyzwoita? — zachichotała. — Wiedziałam, że patrzysz. Dopiero teraz dotarła do niego jej druga uwaga.

— Ty masz zamiar mnie myć?!

— To część moich obowiązków. Jesteśmy pannami służącymi dopóki nie odśłużymy naszego terminu. Wtedy te, które otrzymają właściwe referencje, próbują znaleźć sobie partnerów. Staramy się wyjść za kogoś z wyższego stanu. A jaki jest twój stan?

Teraz wyjaśniło się. Próbowwała znaleźć sposób dostania się do wyższej klasy społecznej. Jej zainteresowanie było czymś więcej ni impulsem, wykorzystywała okazję. Zafascynowały go jej nogi, których większą część zobaczył, ale jej motywy wydały mu się mniej niewinne

— Mój stan jest bardzo niski — powiedział. — Jestem mieszkańcem, Popatrzyła na niego z przerażeniem.

— Co za brudne słowo!

— Tak. Pewnie nie zechcesz mieć więcej do czynienia ze mną.

— To prawda! Możesz się umyć sam! — Wskazała na otwarte drzwi.

— Dziękuję ci — powiedział Esk, wchodząc do komnaty.

Był pewien, że postąpił właściwie, ale w pewien sposób był rozczarowany. Jej nogi wywierały duże wrażenie.

Metodą prób i błędów ustalił, jak korzystać z pokoju kąpielowego. Znajdowało się tu coś w rodzaju miniaturowego wodospadu, który uruchamiało się przekręceniem rączki, a zatrzymywało, przesuwając ją z powrotem. To była magia nowego rodzaju.

Kiedy wyszedł z pokoju z wodospadem, w miejscu starych ubrań znalazł nowe. Rzeczy należące do niego były porządnie ułożone obok. Nie stracił pozostałych dwóch pigułek podróżnych i ręcznego noża. Co za ulga!

Nałożył nowe ubranie, jakiego oczekiwano od przykładowej publiczności. Był to jasnoniebieski komplet, składający się ze spodni i dopasowanej do nich koszuli z długimi rękawami. Dobrze na nim leżał. Demoniaki z pewnością wiedziały, jak zabawić gościa albo publiczność.

Wyszedł z komnaty i rozejrzał się dookoła. Natychmiast pojawiła się dziewczyna. Nie była to Doris. To musiała być ta, która naprawdę miała służbę. Nie była ani tak ładna, ani nie flirtowała; po prostu była taka jak trzeba. On nie chciał zapomnieć, po co tu przyszedł. Naprawdę chciał pomóc polnikom, jeżeli zdoła.

— Teraz musisz się posilić — poinformowała go dziewczyna. Zaprowadziła go do przytulnego pokoiku, gdzie czekał nań obfity posiłek, złożony z owoców i ciasta. Esk zjadł, szanując miejscowe zwyczaje, chociaż niezupełnie mu to odpowiadało. Dziewczyna otarła mu twarz i uczesała włosy. Potem zaprowadziła go do cichego, ciemnego pomieszczenia. Zastanawiał się, czy zamierzała pokazać mu nogi. Wskazała mu krzesło, na którym miał usiąść. Było drewniane, miało oparcie dla rąk i leżała na nim brązowa po-

duszka.

— Sztuka zacznie się za moment — powiedziała i odeszła.

Dotąd było bardzo dobrze. Zrozumiał, że będzie musiał patrzeć i słuchać uważnie oraz wyrobić sobie jakieś zdanie, żeby mógł wygłosić kompetentną opinię publiczności. A co się stanie, jeżeli sztuka mu się nie spodoba? Czy go wyrzucą? Miał nadzieję, że jednak mu się spodoba.

Zabrzmiała muzyka. Dobiegała z przyległego pomieszczenia. Musiało tam być wiele instrumentów strunowych, dętych i perkusji, znakomicie zgranych. Esk nie był zbyt muzykalny, ale teraz zdał sobie sprawę, że nigdy nie słyszał tak harmonijnej muzyki. Była bardzo nastrojowa i wprawiła go w dobry humor.

Przed nim znajdowała się scena, niemal całkowicie zakryta ogromną kurtyną, która zwieszała się z sufitu. Teraz kurtyna pojaśniała, widocznie podświetlono ją z dom. Uniosła się, ukazując resztę sceny. Esk zaintrygowany pochylił się do przodu. Jego zainteresowanie Pogłębił dramatyzm muzyki.

Na scenie był model Zamku Roogna! Była to miniatura sugerująca, że obiekt oglądany jest z daleka. Znajdowała się tam frontowa brama i fosa z modelowym, wężowatym potworem.

Jakiś młody mężczyzna, mniej więcej w wieku Eska, wyszedł na środek sceny. Nosił zwykłe ubranie, ale na głowie miał małą opaskę przypominającą koronę. Wydawało się, że mimo iż fosa była dość szeroka, jest tam mnóstwo miejsca do stania. Esk zrozumiał, że fosa mogła być namalowana, aby nie istniało niebezpieczeństwo wpadnięcia aktorów do wody. Z pewnością jednak wyglądała realnie. To była znakomita dekoracja.

— Co tam słyhać, foso? — zapytał młody mężczyzna, mówiąc wyraźnie i dobitnie. Esk słyszał go bardzo dobrze.

— Potwór znowu się we mnie załatwiał, Dor — skarżyła się fosa. Esk roześmiał się; żart kompletnie go zaskoczył. Nagle pojął, że młody mężczyzna miał przedstawiać Króla Dora, który potrafił rozmawiać z nieożywionymi. To była magia, którą posiadali tylko magowie, i ona kwalifikowała go na ten urząd. Przedstawiano Dora nie jako Króla, ale z okresu, kiedy był jeszcze młodzieńcem, przed objęciem tronu.

— Tak, to właśnie robią potwory, kiedy nie zagryzają ludzi — stwierdził rozsądnie Dor.

— Jak możesz się więc spodziewać po mnie, że utrzymam czystość? — dopytywała się fosa. — Nie jestem kanałem ściekowym!

Muzyka wydała dźwięk: „bul, bul”.

— Jestem pewien, że potrafisz sobie poradzić.

Dor spacerował po scenie, wymieniając pozdrowienia z innymi przedmiotami.

Dokładnie w momencie, kiedy to mogło stać się już nużące, na scenę wyszła młoda kobieta. Była dość ładna, o jasnozielonych oczach, ubrana prowokująco; wyglądała na

niecو młodszą od Dora. Ona z pewnością grała główną rolę, ponieważ, kiedy pojawiła się na scenie, muzyka zmieniła się na niezwykle podniecającą.

— Cześć, Dor! — wykrzyknęła.

Głos miała tak samo dobrze wyszkolony jak on. Esk żałował, że prawdziwi ludzie nie mówią tak wyraźnie!

— Cześć, Iren! — odpowiedział Dor z wyraźnym brakiem entuzjazmu.

To była następna sprawa; z łatwością można było odczytać uczucia ludzi na scenie.

— Chodźmy gdzieś i będziemy się całować — powiedziała Iren i motyw muzyczny zmienił się w brzącający nieprzyzwoicie. Esk przypomniał sobie Doris, chociaż ta nie była do niej podobna. To wyzwoliło łańcuch myśli. Czy Doris mogła być tak nazwana na cześć Króla Dora? Widoczne było, że demoniaki interesowały się mieszkańcami Zamku Roogna, ponieważ sztuka była o nich.

— Nie. Muszę pójść porozmawiać z innymi przedmiotami — powiedział Dor.

— Bardziej troszczysz się o nieożywione niż o mnie! — wybuchnęła Iren.

Towarzyszył temu wybuch muzycznego gniewu.

— Tak, pewnie, że to robię! — odpyskował. — Ty jesteś tylko dziewczyną.

— Jestem kobietą! — wykrzyknęła.

— Ha! — odpowiedział z wyraźnym zadowoleniem.

Esk złapał się na tym, że sam próbuje powtórzyć tę sylabę tak, żeby uzyskać podobną modulację. Znakomity sposób na odebranie komuś ostatniego słowa!

— Ja ci pokażę! — krzyknęła. Objęła go ramionami, podniosła i cisnęła do fosy.

Rozległ się plusk. Esk niemal spadł z krzesła. To jednak była prawdziwa woda i Dor był w niej. Jaka niespodzianka! Pojął, że plusk został wzmocniony dzięki muzyce, przyczyniając się do jego reakcji.

— Oberwiesz za to! — bełkotał Dor, gramoląc się z fosy.

— Ha!

Użycie przez nią tego samego słowa było również efektowne.

— Nie możesz mnie dotknąć, bo jestem dziewczyną. Rzeczywiście nią była i wykazała trochę sprytu, żeby się tym osłonić.

— Ach tak? — Dor zbliżał się do niej z groźbą w oczach. Nie ruszała się z miejsca, ukazując obraz kobiecej pewności.

— Taak.

Wysunęła biust jeszcze bardziej, oddziałując raczej na Eska niż Dora. Dor złapał ją i cisnął do fosy.

— Oooo!

Esk stwierdził, że oddycha szybciej, ponownie zdziwiony, że Dor nie blefuje. Widocznie muzyka też tak myślała, bo rozdzwoniła się teraz ze zdumieniem.

— Ty, ty... człowieku, ty! — krzyczała Iren.

Włosy przylepiły się jej do szyi i wyglądała jak wodorost.

— Odpłacę ci się za to!

— Ja właśnie ci się odwdzieczyłem — stwierdził Dor.

Iren wspięła się na brzeg fosy. Sukienka przylepiła się jej do ciała, podkreślając kształty, które wyglądały na bardziej pełne, niż można było wcześniej przypuszczać.

— Żadnego wybaczenia!

Dor, wystraszony, zaczął wycofywać się ze sceny, ale Iren pobiegła za nim i złapała go. Przywlokła go z powrotem w kierunku fosy.

— Nie, nie rób tego! — wołał Dor, usiłując się wyrwać. Ich ciała splotły się ze sobą i wpadli do wody oboje.

— Ty! Ty! — krzyczała Iren, targając na nim ubranie.

— To właśnie mówisz! — odpyskował Dor, atakując jej odzienie. Walczyli teraz w fosie, a ich odzież była coraz bardziej podarta.

Mógł przyjrzeć się ciału Iren. Czy ta dziewczyna ma piętnaście lat? Walczyli zaciekle w wodzie sięgającej im po pachy, a potwór z fosy przypatrywał się im szyderczo. Nagle Iren zmieniła swoją taktykę. Zbliżyła swoją twarz do Dora i pocałowała go. Muzyka rozbrzmiała podnieceniem.

— Ooo! — westchnął Esk, kiedy zobaczył, jak Dor nieruchomieje, potem odpręża się i oddaje pocałunek.

Łatwo mógł wyobrazić sobie siebie w takiej sytuacji. On również oddałby pocałunek, gdyby jakaś dziewczyna zrobiła to tak pięknie, jak ta na scenie.

Na scenę wgalopowała nowa postać. Był to centaur. Widać było, że odgrywa go dwóch aktorów w kostiumie centaury. Był rodzaju żeńskiego, o czym świadczyły dwie olbrzymie piersi wystające z przodu. Muzyka stała się posępna. Nie była to osoba, którą można lekko traktować!

— Dor — powiedziała, trzymając w górze kartkę papieru — oceniłam twoje wypracowanie. Chcę omówić twoją pisownię. Pozwól, że przeczytam to, co napisałeś.

Dor i Iren dalej całowali się w fosie, niepomni na obecność centaury. Esk uśmiechnął się. Rozumiał, jak to może być.

Centaurzyca odchrząknęła i zaczęła czytać. W tym samym czasie zza sceny pojawił się zwój podtrzymywany przez dwie ręce, pokazujący, jak on to pisał: „Jażyję fy krainie Zanth, ftóra tym ruźni się od Mundanii, rze fy Zanth jezd magia a fy Mundanii nie ma rządnej”.

Wtem centaurzyca spojrzała na fosę i dopiero teraz zdała sobie sprawę z tego, co się dzieje.

— Dor! Co robisz z tą dziewczyną?

Zamarli z poczuciem winy. Muzyka umilkła raptownie, pozostawiając niezręczną ciszę. Dwoje przemoczonych młodych ludzi w poszarpanej odzieży stało w fosie do po-

łowy zanurzonych w wodzie.

— Po prostu, hm, posprzeczaliśmy się — powiedział zawstydzony Dor.

— Sprzeczką! W takim razie chciałabym zobaczyć, co uważacie za przyjazne uczucia!

— Dochodzimy do tego, Cherie — powiedziała Iren z nieokreślonym i nie okazującym skruchy uśmiechem.

— Oczywiście, że nie! — rzekła surowo centaurzyca Cherie. Pochyliła się i złapała Dora za ucho.

— Idziesz porozmawiać z Królem, młody człowieku!

Kiedy biednego Dora wyciągano z fosy, kurtyna opadła. Ten akt był skończony.

Esk odprężył się. Oczekiwał, że znudzi go sztuka demoniaków, a był zafascynowany. Oni byli bardzo dobrzy! Zastanawiał się, czy scenariusz był oparty na prawdziwym wydarzeniu. Czy Dor naprawdę zdarł z Iren ubranie w fosie? Król i Królowa wydawali mu się dość ustatkowani, kiedy był u nich na audiencji. Może w młodości byli całkiem inni i pełni wigoru. Czy mała Ivy stanie się konserwatywna i surowa, kiedy dorośnie? A jaki będzie on sam? Co za okropna perspektywa!

Wkrótce kurtyna odsłoniła drugą scenkę. Była tam sala tronowa w Zamku Roogna. Król siedział na tronie, a Królowa obok niego. Obydwoje w każdym calu byli tak surowi, jak ich pokolenie. Muzyka była teraz uroczysta i poważna, jak przystało królewskiemu majestatowi.

— Kochanie, musimy coś zrobić z naszą córką Iren — powiedziała Królowa.

— Nie na darmo nazywają mnie Królem Zmian — powiedział Król uroczyście i poważnie. — Co się dzieje z tą dziewczyną?

— Ona jest samotna.

— Przyzwyczaj się do tego, Iris. My przyzwyczailiśmy się. Samotność jest dobra dla sprawowania władzy królewskiej.

— Myślę, że musimy gdzieś ją wysłać, tam, gdzie są inne dziewczyny w jej wieku. Tutaj nie ma się z kim bawić.

— A co z Dorem? Jest od niej zaledwie rok starszy.

— On nie zwraca na nią uwagi. Zbyt zajęty jest rozmowami z nieożywionymi.

— Powinien zajmować się odrabianiem wypracowań. Ma zostać Królem po mnie. Musi się wiele nauczyć.

— Wiem, kochanie. Ale...

W tej samej chwili Król wygłosił mowę — długą i dość nudną — o odpowiedzialności królowania. Esk zniecierpliwiał się, potem znudził. Nigdy nie miał perspektyw zostania Królem, więc mało interesował go ten temat.

Wtem wbiegła na scenę centaurzyca Cherie. Ciągnęła za sobą Dora, trzymając go za ucho.



— Czy wiesz, Wasza Wysokość, na czym złapałam dzisiaj tego nikczemnika? — powiedziała z naganą w głosie.

— Z pewnością opowiesz mi ze szczegółami — mruknął Król. Esk uśmiechnął się: znał to uczucie.

— Zdierał ubranie z twojej córki! — rzuciła oskarżycielsko Cherie.

Esk zmarszczył czoło. To nie brzmiało zbyt prawdziwie. Centaury nie troszczyły się zbyt o to, czy ciała są odsłonięte, jako że same nie nosiły ubrań. Gdyby nawet Dor i Iren robili coś więcej poza pocałunkami, centaur nie miałby nic przeciwko temu. Centaury uważały zbliżenie fizyczne za jeszcze jedną naturalną potrzebę. To nędzna ortografia Dora powinna była wzniecić gniew Cherie.

— Co? — zapytał Król.

— W fosie — ciągnęła dalej Cherie. — Gdybym się wtedy nie pojawiła...

Król wbił w Dora stalowe spojrzenie.

— Tak, a co ty masz do powiedzenia w tej kwestii, młody człowieku?

— Ona zaczęła! — zaprotestował Dor.

— A jego pisownia jest skandaliczna — dokończyła Cherie.

— Tego za wiele! — wykrzyknął Król Trent. — Niniejszym skazuję tego nicponia na wygnanie do Mundanii!

— Proszę, nie! — zaszlochał Dor, padając na podłogę w ponizającym błaganu.

— Król powiedział — stwierdziła Królowa Iris z satysfakcją. — Nigdy nie podobał mi się sposób, w jaki ten chłopak marnuje swój czas na rozmowach z przedmiotami.

— Nie powinna nazywać swojej córki przedmiotem — wymruczał Esk do siebie, jako głos publiczności.

Muzyka zaśmiała się fałszywie.

Wszedł strażnik i wyprowadził Dora. Kurtyna opadła.

Esk doszedł do wniosku, że ten akt mu się nie podoba. Poza tym, Iren naprawdę zaczęła całować Dora. Dor był stosunkowo niewinny. Właśnie odkrył, jak interesująca może być Iren — i został wygnany do najgorszej z krain, strasznej Mundanii. Czy demoniaki usiłowały pokazać, jak niesprawiedliwe potrafią być czasami ludzkie istoty?

Rozpoczął się trzeci akt. Sztuka ciągnęła się dalej, ukazując Dora w Mundanii, niezdolnego do używania swojej magii, rozżalonego. W tym samym czasie Iren smuciła się w Zamku Roogna. Zakazana miłość. Esk przeżywał to, chociaż wiedział, że to tylko imitacja historii, coś, co mogło, ale nie musiało przydarzyć się poprzedniemu pokoleniu. Chciałby znaleźć się w pierwszym akcie tej tragedii i mieć dziewczynę do pokochania.

W końcu, w tej sztuce, Dor pomaszerował z powrotem do Xanth i stanął przed obliczem Króla Trenta.

— Kocham twoją córkę Iren i zamierzam ją poślubić! — powiedział, biorąc Iren w ramiona.

To zadziwiające, że przypadkowo była tak blisko.

— Dlaczego nie powiedziałeś tego przedtem? — zapytał gderliwie Król pod koniec aktu.

Esk wiedział, że to wszystko zostało zaaranżowane i przećwiczone wcześniej, ale Dor naprawdę ożenił się z Iren, a teraz mieli dwoje dzieci, więc do tego mogło dojść w podobny sposób. W każdym razie poczuł się rozweselony, dochodząc do tej konkluzji. Był zadowolony, że ci dwoje są w końcu razem.

W tej samej chwili pojawił się jakiś mężczyzna.

— Bardzo dobrze — powiedział. — Myślę, że byłeś znakomitą próbką publiczności. Mam tylko jedno pytanie.

— Jak mi się podobała sztuka? — powiedział Esk za niego. — Cóż, naprawdę...

— Zapytam cię, jeżeli będę potrzebował takiej informacji — przerwał mu szorstko mężczyzna.

— Ależ ja próbuję ci powiedzieć...

— To nie jest potrzebne.

— Skąd możesz wiedzieć, czy podobała mi się sztuka, jeżeli ci nie powiem?

— Wiemy, jak ci się podobała ta sztuka. Interesuje mnie jedynie kwestia techniczna.

— Kwestia techniczna?

— Widzę, że muszę ci wyjaśnić — mruknął mężczyzna. — Bardzo dobrze, uważaj. Nie musimy pytać, jak reagowałeś na sztukę, ponieważ byłeś pod naszą stałą obserwacją. Twoje reakcje zostały zanotowane i porównane z kartą reakcji standardowych. Wiemy, że jesteś w normie dla twojego wieku i płci oraz kultury. Możesz być kompetentną publicznością.

— Obserwowaliście mnie? Nie zauważyłem.

— Naturalnie, że nie. Ta kurtyna jest jednostronna. Notowaliśmy każde twoje zderzenie, każde zmarszczenie nosa, każdy uśmiech i grymas, każdy dźwięk, jaki wydałeś. Wiemy, co ci się podobało, a co nie. Teraz, kiedy porównaliśmy twoje reakcje indywidualne ze standardowymi zestawieniami, możemy zweryfikować zastosowanie ich do tych sztuk, których jeszcze nie wciągnęliśmy do repertuaru. Uwzględniliśmy w tym ciebie.

— Uwzględniliście mnie? — powtórzył Esk, zastanawiając się, ile razy marszczył nos, kiedy oglądał sztukę. — Mówisz, że to była stara sztuka?

— Standard: chłopiec spotyka dziewczynę, chłopiec traci dziewczynę, chłopiec odzyskuje dziewczynę — to jest zawsze dobre dla prostej publiczności. Teraz mam do ciebie jedyne pytanie: Dlaczego krzywiłeś się w złym miejscu w akcie drugim, kiedy centaurzyca Cherie donosiła, że Dor zrywał ubranie z Iren? Czy uważasz to za nieściskość wobec historii?

Mężczyzna z pewnością go obserwował! Rzeczywiście Esk miał wtedy obiekcje.

— Centaury nie są takie — powiedział. — Nie dbają o to, że ludzkie ciało jest obnażone. Nawet by tego nie zauważyły, nie obesłoby ich wcale, gdyby Dor i Iren byli kompletnie nadzy w tej fosie.

— Czy znasz zwyczaje centaurów?

— Tak, wiem o nich trochę.

— Ile centaurów znasz dobrze?

— Cóż, właściwie tylko jednego. Jest wnuczką Cherie.

— Tylko jednego? — powtórzył chłodno mężczyzna. — I na tej podstawie przenosisz jego cechy na cały gatunek?

Teraz, kiedy tamten to powiedział, jego wiedza o centaurach wydawała mu się niedostateczna.

— Pytałeś mnie, dlaczego się skrzywiłem — przypomniał mu Esk. — Oto dlaczego.

— Powinno się zanotować tę uwagę. — Mężczyzna odwrócił się. — To wystarczy. Jutro znowu będziesz publicznością. Ta dziewczucha zaprowadzi cię do pokoju.

— Dziewucha? — powtórzył bezmyślnie Esk.

— Służąca, która przyprowadziła cię tutaj.

Mężczyzna pstryknął palcami i oddalił się natychmiast, gdy pojawiła się dziewczyna.

Zaprowadziła Eska z powrotem do jego pokoju. Dobrze zrobiła, bo sam zagubiłby się w labiryncie korytarzy.

— Czy to było skomplikowane? — zapytała.

— Przeżyję to jakoś — odparł Esk.

Obdarzyła go przelotnym uśmiechem.

— Zbudzę cię rano.

Odeszła. Z całą pewnością nie była uwodzicielką, ale tylko jedną z nic nie znaczących służących w tym królestwie.

\* \* \*

Następne dwa dni wypełnione były przedstawieniami. Ogólnie podobały się Eskowi. Szybko przywykł do świadomości, że jest tak samo badawczo obserwowany, jak on obserwował sztuki. Czuł, że naprawdę wyświadcza tej społeczności przysługę, a jego reakcje pomagają w udoskonaleniu przedstawień, nim wyruszą w tournée. Odnosiło się wrażenie, że demoniaki, chociaż w przeważającej mierze ekonomicznie samowystarczalne, desperacko potrzebowały aprobaty innych w wybranej przez nie formie sztuki. Chciały, żeby ich przedstawienia cieszyły się niezwykłą popularnością i pragnęły, by publiczność z niecierpliwością oczekiwała przedstawień w przyszłym sezonie. Na tym właśnie opierał się awans w ich hierarchii społecznej. Odnoszący sukcesy aktor stawał się przywódcą ich społeczności.

Dlaczego nie? W takim systemie mógłby sam żyć. Żałował, że spławił Doris. Taka dziewczyna jak ona, w takim wygodnym miejscu jak to...

On jednak miał misję do wypełnienia i inne społeczeństwo do uratowania. Myśl o pozostaniu tutaj była nęcąca, ale demoniaki i tak mogły go nie zaakceptować. Teraz traktowały go uprzejmie tylko dlatego, że doceniały jego wkład jako przykładowej publiczności. Wkrótce to się skończy, ponieważ kończył się przegląd ich bieżącego repertuaru.

Ostatnia sztuka wywarła na nim duże wrażenie, jednak z powodów innych, niż zakładały demoniaki. Była o nieporozumieniu pomiędzy człowiekiem a demonem. Esk obejrzał ją bardzo uważnie. Było to typowe opowiadanie o pakcie z demonem. Młody mężczyzna, z którym Esk chętnie się identyfikował, poszedł do Dobrego Maga Humfrya z Pytaniem: Jak można bezpiecznie oswoić demona? Odsłużył swoją roczną służbę i otrzymał Odpowiedź: Talizman. Był to diagram z wypisanym zaklęciem i pergamin z wypisaną na nim umową.

— Teraz uważaj. Zadziała on tylko raz, ponieważ te elementy są samozniszczalne — ostrzegł go Dobry Mag. — Ta kombinacja zapanuje nad demonem, który będzie musiał negocjować z tobą swoją wolność. Będziesz mógł zmusić go do robienia wszystkiego, czego sobie zażyczysz.

— Wszystkiego? — podchwycił skwapliwie młodzieniec.

— Wszystkiego, co leży w zasięgu jego możliwości. Przedmiot, który ci powierzyłem, potrafi sobie poradzić z najpotężniejszym z demonów, więc będziesz w stanie działać wiele, ale zaklęcie nie jest wszechmocne. I nie będzie cię mógł oszukać, kiedy masz to zaklęcie. Możesz więc zapytać go o jego możliwości, zanim się zdecydujesz. Upewnij się, czy w umowie wpisane są twoje szczegółowe wobec niego życzenia, zanim ją podpisze.

— Zrobię tak! — wykrzyknął młodzian.

Esk poczuł się tak, jakby sam rozmawiał z Dobrym Magiem. Jak by to było miło, gdyby on sam mógł zadać podobne Pytanie. Problem z Doliną Kopaczy polegał jednak na tym, że tam było wiele demonów. Kontrolowanie jednego demona nie zapewniało władzy nad innymi. Akcja sztuki bardzo go wciągnęła, liczył na to, że może dowie się czegoś pomocnego.

Chłopiec zabrał się do roboty. Najpierw narysował na podłodze diagram, który był dziwną pięcioboczną figurą. Kiedy upewnił się, że zrobił to dokładnie, pociągnął kontury farbą. Potem wziął talizman i uniósł go wysoko.

— Demonie Dnia, wzywam cię! — zaintonował. — Dzięki mocy tego zaklęcia pojawi się w pentagramie!

I wymówił zaklęcie, które dla Eska zabrzmiało niezrozumiale.

Scena pociemniała. Muzyka zabrzmiała złowieszczo. Powietrze nad pentagramem zasnuło się dymem. Rozległ się straszliwy ryk, od którego Esk zadrżał. Był pewien, że

ten, kto go obserwuje, napisał uwagę: Efekty specjalne wywołały na publiczności duże wrażenie.

Dym się rozwiął, a w środku pentagramu stał ognisty demon. Esk dostrzegł, że był nim aktor w stroju demona, a nie prawdziwy demon Oczywiście, żaden z nich nie współpracuje, jeżeli nie zostanie naprawdę wezwany przez magię. W każdym razie postać była odpowiednio straszliwa i Esk zastanawiał się, w jaki sposób wprowadzono ją na scenę. Być może dym zakrywał zapadkowe wejście.

— Ha! Mam cię! — wykrzyknął chłopiec. — Teraz musisz spełnić moje rozkazy.

Demon zaryczał w odpowiedzi i z ust wystrzelił mu płomień. Esk był zadowolony — następny cudowny efekt specjalny. Metria nigdy tego nie robiła. Teraz zastanawiał się, czy potrafiła to zrobić! Smoki odpowiedniej odmiany mogły ziać ogniem, ale nie miał pewności, czy demony umiały to samo. Mogła to być pomyłka.

Młodzieniec, w widomy sposób przestraszony tym pokazem — to co działo się na scenie, było doskonale widoczne — zebrał całą swoją odwagę.

— Nie możesz wyjść z tego pentagramu, dopóki cię nie wypuszczę?! Potem, kiedy demon napęczniał ze złości, rzucił:

— A co, możesz?!

Demon zwinął dłoń w pięść nad pentagramem i uderzył tak, jakby znajdowała się tam niewidzialna ściana. Walił na oślep dookoła, to w podłogę, to w sufit, ale wszędzie napotykał opór. Był tak zdesperowany, że sam Esk zmartwił się, iż demon odkryje jakąś nieznaczną szczelinę w magicznej bryle, zdoła się wydostać i dokona dzieła destrukcji.

Pentagram był jednak szczelny. Demon nie mógł uciec. W końcu uspokoił się, poddał i stał tam obrażony.

— Czego chcesz, kapuściany łbie? — zapytał chłopca.

Esk uśmiechnął się. Zawsze zabawnie było słyszeć na scenie język którego używało się w życiu codziennym.

— Chcę pięknego domu, w którym zamieszkać do końca życia, rogu obfitości, który nigdy się nie wyczerpie i doskonale pięknej; kobiety, która będzie mnie zawsze kochała — wyrecytował dzielnie chłopiec.

— Co? To jest niemożliwe!

— Nie. To jest możliwe. Sprawdziłem. Demon z twoją mocą potrafi uczynić takie rzeczy, a ja nie pozwolę ci odejść, dopóki nie podpiszesz umowy, która wyszczególnia, wszystko, co zrobisz dla mnie.

— Nigdy! — zaklinał się demon.

— Więc zostaniesz tutaj na zawsze — powiedział młodzieniec i odwrócił się, jakby zamierzał odejść.

— Bądź rozsądny! — krzyknął demon. — Wybudowanie ładnego domu wymaga czasu i ekspertyz, a ja nie wiem nic na temat budowania.

— Ty nie musisz tego robić; po prostu dostarcz mi go. Nie obchodzi mnie, jak to zrobisz.

Esk docenił zdobycie tej przewagi, ale tracił sympatię dla chłopca. W oczywisty sposób nie dbał o to, że inni cierpią tak długo, dopóki nie osiągnie tego, czego pragnie.

— Rogi obfitości nie rosną na drzewach, wiesz o tym — ciągnął demon. — Jedyny, o jakim wiem, jest używany w sierocińcu do wykarmiania dzieci.

— Nie obchodzi mnie, gdzie go dostaniesz, po prostu przynieś mi go — powiedział chłopiec.

Esk dalej tracił do niego sympatię.

— A piękne kobiety nie zakochują się w takich jak ty — powiedział demon. — Mogę zrobić trochę fizycznych rzeczy, ale nie potrafię zmienić serca kobiety!

— Znajdź jakiś sposób — rzekł zimno chłopiec.

— Mówię ci, nie ma sposobu! Mógłbym zmusić kobietę, żeby powiedziała, że cię kocha, ale jej serce dalej należeć będzie do niej.

Esk kiwnął głową. Ten demon mówił zupełnie sensownie. Niemal poczuł do niego sympatię. Młodzian zastanowił się.

— Jeżeli o to chodzi, naprawdę nie dbam, co dzieje się z jej sercem. Chcę tylko mieć ją doskonale piękną i robiącą wszystko, o co ją poproszę, zawsze i z uśmiechem na twarzy, a jej serce może sobie wyrabiać, co chce.

— Więc zamieszkas z powierzchowną kobietą, która będzie musiała działać zgodnie z twoimi życzeniami.

— Dokładnie tak. Żadnych pytań!

Chłopiec podał umowę, a demon podpisał. Dobito interesu. Kurtyna opadła.

Esk poświęcił krótkie przerwy pomiędzy aktami na rozmyślenia nad swoją własną sytuacją wobec demonicy Metrii. On jej nie wzywał, przyszła nieproszona do jego kryjówki, wszczynając całą tę awanturę. Ona również była kobietą powierzchowną. Proponowała interes, żeby nakłonić go do opuszczenia jego posiadłości. Czy powinien był na to przystać? Może ta sztuka pomoże mu dojść do jakiegoś wniosku.

Kiedy kurtyna ponownie się uniosła, młodzieniec leżał rozparty na poduszkach w otwartej makiecie pięknego domu. Boczny wejściem wszedł demon, niosąc ogromny róg obfitości, z którego wysypywały się świeże owoce. Z oddali dobiegał płacz jakby jakiejś głodnej sierotki. Demon złożył róg obfitości w ręce młodzieńca.

— Tak? — zapytał młodzian.

— Sir... — odezwał się z szacunkiem demon.

— A gdzie jest kobieta?

— Powierzchnowa kobieta — wymruczał demon.

— Nie obchodzi mnie, jak ją zwiesz! Umowa nie jest ważna, dopóki nie dostarczysz kobiety, a wtedy zostawisz nas samych na zawsze. Nie możesz mi nic zrobić z powodu

zastrzeżenia w umowie.

— To prawda, sir — powiedział demon. — Przyślę tę kobietę.

Do tego czasu sympatia Eska przeniosła się prawie w całości na demona. Młodzieniec był zepsutym smarkaczem, podczas gdy demon honorował literę umowy.

Demon zszedł ze sceny, a chłopiec zaczął wyjmować pyszne owoce z rogu obfitości, zjadać jeden po drugim; ciskał przy tym dookoła ogryzkami.

W tym momencie na scenę weszła naprawdę olśniewająca kobieta.. Szła rozkołysanym krokiem, ubrana w przezroczystry szlafroczek. Była najbardziej kuszącym stworzeniem, jakie Esk widział w całym swoim życiu. On sam był porażony i ogłupiały. Demoniaki przedstawiły taką aktorkę, żeby sportretować doskonale piękną kobietę — i ona nią była.

— Przybyłam, żeby cię zadowolić, przystojniaczku — oznajmiła kobieta zmysłowym tonem.

Młodzieniec popatrzył na nią. W jego oczach pojawił się błysk aprobaty.

— Jesteś jedyną?

— Jestem jedyną — powiedziała, robiąc piruet, który rozwiął jej szlafrok, ukazując olśniewające nogi.

— Czy zrobisz wszystko, czego zachcę?

— Wszystko — szepnęła.

— Zdejmij szlafrok.

— Jak sobie życzysz. Jesteś taki męski — powiedziała i zaczęła; rozpinać górne guziki.

Światło stopniowo gasło, kurtyna opadła. Esk wychylił się do przodu, żeby zobaczyć jej ciało, ale dostrzegł jedynie maleńki fragment najbardziej prowokującej scenki. Resztę zasłoniła kurtyna.

Kiedy ponownie poszła w górę, tych dwoje było w łóżku. Scena; którą Esk chciał obejrzeć, już się zakończyła. Była to sztuka zaliczana do kategorii familijnych, gdzie suggestia przeważała nad rzeczywistością. Spał tylko młodzieniec. Kobieta mówiła mu do ucha scenicznym szeptem:

— Czy umowa jest bezpieczna? Czy umowa jest bezpieczna?

Młodzieniec poruszył się.

— Umowa... — wymamrotał niewyraźnie.

Zerwał się i ruszył chwiejnym krokiem do gabinetu, gdzie rozwinął papier.

— Czy to jest ten właściwy? Czy to jest ten właściwy? — szeptała kobieta.

Młodzieniec zerknął na niego.

— Nie mogę go odczytać przy tym świetle! — wykrzyknął. — A jeśli ktoś go ukradł i podłożył tu inny dokument!

Wymacał świecę i zapalił ją od rozżarzonego węgla w kominku, brudząc sobie przy

tym palce. Przytrzymał świecę nad pergaminem.

— Taak, to ten właściwy — powiedział, przebiegając go wzrokiem.

— Czy on chroni cię przed demonem? Czy on chroni cię przed demonem? — szep-  
tała kobieta.

Przyjrzał mu się z bliska. Świeca przechyliła się niebezpiecznie.

— Tu jest napisane... że demon nie może zaszkodzić w żaden sposób swojemu do-  
broczyńcy ani poszukać kogokolwiek, żeby zrobił to za niego. To jest określone precy-  
zyjnie: demon nie może mnie dotknąć.

— Czy jesteś pewien? Czy jesteś pewien? — wyszeptała kobieta.

— Jestem pewien! — krzyknął zirytowany. — Spójrz, tutaj jest napisane...

Kropla wosku spadła z pochylonej świecy i z pacnięciem wylądowała na pergaminie.  
Kiedy gorący wosk połączył się z atramentem, uniosła się smużka dymu.

Z przekleństwem irytacji młodzieniec złapał krzepnący wosk w palce i odrzucił na  
bok.

— Tylko plamka — wymruczał.

— Gdzie spadł? Gdzie spadł? — szeptała kobieta.

— Cholera! Kleks zakrył słowo! Teraz jest napisane... napisane, że demon... szkodę  
dobroczyńcy. Słowo „nie” zniknęło.

— Tak. Czyż to nie jest zbieg okoliczności?! — powiedziała kobieta.

Już nie była kobietą. Z łóżka uniosła się straszliwa postać demona.

— Zastanawiam się, jak kropla wosku mogła wylądować dokładnie na tym szczegó-  
lnym miejscu?

Młodzieniec popatrzył na niego z przestachem i nagle zrozumiał.

— Ty to zrobiłeś! — krzyknął. — Użyłeś swojej magii, żeby wosk spadł tam, gdzie  
trzeba! Oszukiwałeś!

— Nie zrobiłem ci krzywdy — powiedział demon. — Ja tylko poprowadziłem tro-  
chę wosku, żeby nie oparzył ci dłoni. Przestrzegałem warunków umowy i będę dalej to  
robił.

— Będziesz? — zapytał młodzieniec z nagłym napływem nadziei. — Więc zwróć mi  
kobietę!

— Teraz umowa ma dla mnie nowe dyrektywy — rzekł demon. — Poleca mi, żebym  
cię skrzywdził. Więc...

Młodzieniec wrzeszczał, kiedy demon zbliżał się do niego z groźbą w oczach, ale  
kurtyna opadła, zakrywając to, co wydarzyło się potem. Sztuka dobiegła końca.

Teraz Esk był zadowolony, że nie dobił targu z Metrią. Demony były zbyt mądre,  
zbyt sprytnie! Młodzieniec ze sztuki zasłużył wprawdzie na swój los, ale była to strasz-  
na przestroga.

Dolina Kopaczy opanowana była przez demony. Teraz Esk dogłębnie zrozumiał cel



wyprawy Polneya. Musieli pozbyć się tych demonów

\* \* \*

— Twoja wiza wygasła — poinformował go Sędzia. — Teras musisz odejść.

— Przedtem jednak muszę poprosić o przysługę — przypomniał mu Esk.

— Dobrze, wysłuchamy cię.

— Chcę, żeby demoniaki pomogły uwolnić Dolinę Kopaczy od demonów.

— Pozbyć się demonów? Dlaczego?

— Po to, żeby polniki mogły odtworzyć ładne zakola rzek Pocałuj-Mniee.

Sędzia roześmiał się.

— Dlaczego mamy troszczyć się o polniki? Mamy wystarczające dużo problemów tutaj, w Zamku za Bramą! Poziom jeziora podnosi się i opada w sposób kapryśny. Raz zalewa nasze farmy, a kiedy indziej odwadnia je. Cierpią na tym nasze zbiory, a dzikie zwierzęta wpadają w szal. Naprawdę ostatnią rzeczą, której poświęcilibyśmy naszą cenną moc, jest pomaganie głupim zwierzętom w robieniu zakoli na jakiejś głupiej rzece!

— Przecież służyłem jako dobra przykładowa publiczność przez dwa dni! — przypomniał mu Esk. — Teraz wiecie, jak przykroić nowe sztuki w sposób bardziej korzystny dla publiczności. Czy nie uważacie, że coś jesteście mi winni?

Sędzia zmarszczył brwi.

— Być może istnieje jakiś mały dług. Dobrze więc. Przydzielimy ci jakąś osobę, żeby zbadała sytuację.

— Jaką osobę? — zapytał Esk z powątpiewaniem.

— Jestem pewien, że ona dobrze się z tego wywiąże — powiedział Sędzia z cieniem uśmiechu.

— Ona?

— Na imię ma Latia. Będzie czekała na ciebie przy wyjściu. Esk jęknął w duchu. W jaki sposób jedna kobieta może pomóc w walce przeciwko demonom? Uznał jednak, że więcej nie uzyska.

— Dziękuję — powiedział na tyle grzecznie, na ile wymagało poczucie przyzwoitości.

— Opuuszczasz nasze posiadłości rano. Jestem upoważniony do przekazania ci wyrazów uznania od Zamku za Bramą za twoje usługi.

— Proszę bardzo — odparł krótko Esk, jako że możliwości jego kurtuazji wyczerpały się.

Pozostało mu trochę wolnego czasu, wybrał się więc na wycieczkę po zamku. Dziewczyna — służąca była szczęśliwa, że może go oprowadzić. Zamek był całkowicie pod wodą. Za oknami przepływały ryby, a pośrodku była masywna ściana, która otaczała wgłębienie w wodzie. Praktycznie był to wir wodny, który zwijał się z ogromną szybko-

ścią w dół, do obszarów poniżej dna jeziora.

— Gdzie on dociera? — zapytał Esk.

— Nikt tego nie wie — odparła dziewczyna.

To było to: nie tylko nie wiedziała, nie była nawet ciekawa. Widocznie ta cecha charakteru była powszechnie pielęgnowana przez demoniaki.

Kobieta czekała na niego przy pływającym doku. Była stara, przygarbiona i brzydka. Włosy miała cieniutkie jak przędza i siwe, a skórę tak pomarszczoną, że nie dostrzegano się rysów jej twarzy.

— Ruszamy więc, młodzieńcze — wy stękała.

— A czy wiesz, o co prosiłem?

— Nie. Ma to jakieś znaczenie?

Esk westchnął. Może nie miało. Nie wydawało się, aby mógł mieć z niej wielki pożytek.

Wsiedli do łodzi. Wkrótce dołączyło do nich stadko dziewcząt, pokazujących śliczne nogi, kiedy schodziły po drabinie.

— Patrz, to Esk! — wykrzyknęła jedna.

— I starucha Latia — dodała inna z niesmakiem.

— To nie twoje zmartwienie, dziewczko — zasyczała stara kobieta. — Opuszczam Bramę.

Dziewczyna zmieszała się.

— W takim razie życzę powodzenia.

— Nie bądź taka dowcipna.

Po tych słowach zapanował nastrój przygnębienia i podróżowali w milczeniu. Lina holowała łódź ku molo na brzegu jeziora. Potem dziewczyny wyszły po drabinie i ruszyły do swoich żniwnych obowiązków, a Esk i Latia udali się w drogę do Zamku Rogna.

— Mam dwie pigułki — powiedział Esk. — Umożliwią nam podróż bez większych trudności i w ciągu tylko jednego dnia.

— Hmm — mruknęła. — Uwierzę, kiedy tego doświadczę.

Dał więc jej pigułkę, a sam zażył ostatnią. Uwierzyła. Podróżowali bardzo szybko w kierunku północno-zachodnim, ale ona była stara i nie wytrzymała takiego tempa. Esk próbował ją poganiać, wiedząc, że następnego dnia będą poruszali się znacznie wolniej. Chciał teraz dojść jak najdalej, kiedy było to łatwe. Ona jednak nie przyspieszyła i kiedy nadszedł wieczór, wciąż znajdowali się dość daleko od Zamku Rogna.

Zatrzymali się na przyjemnej polanie blisko źródła i rozbili obóz. Latia nieco złagodniała. Znajdowali się teraz dość daleko od domu demoniaków.

— Czy wiesz, dlaczego wyznaczyli mnie, żebym poszła z tobą? — zapytała.

— Nie. Ale nie ukrywam, że ciekawi mnie to.

— Ponieważ chcieli się mnie pozbyć i wierzą w to, że nie wrócę z takiej szalonej misji. — Popatrzyła jakoś tak obok niego.

— Co to za misja?

— Mająca na celu pozbycie się demonów, po to, żeby rzeka Pocałuj-Mniee mogła znowu meandrować i żeby Dolina Kopaczy była ładna.

Parsknęła.

— To mi pasuje. Śmiertelnicy nic nie mogą zrobić demonom.

— Dopóki nie zdobędą odpowiedniego talizmanu, zaklęcia, diagramu i umowy.

— A te posiada tylko Dobry Mag, który jest tak gderliwy, jak ja. I te przedmioty działają niekoniecznie tak, jak są reklamowane.

— Wiem. Widziałem sztukę.

— Hm, spróbuję ci pomóc. Jestem tutaj po to, aby udzielić ci rady wobec ryzyka.

— Ryzyka? — zapytał Esk.

— Czy wiesz, że my, demoniaki, wszystkie mamy ten sam talent? Talent rzucania klątwy.

— Tak. Nie zdarzyło mi się widzieć go w akcji, ale rozumiem, że może być bardzo groźny. Moja babka była jedną z was.

— Była? — Stara kobieta okazała zwiększone zainteresowanie. — Jak się nazywała?

— Nie znam jej demoniakowatego imienia. Wyszła za mąż za mojego dziadka, ogra.

— Ach to ta! Pamiętam ją. Świetna aktorka, ale nie miała szacunku dla konwencji.

— Znałaś ją? — zapytał zdziwiony Esk.

— Oczywiście, że ją znałam! Jak myślisz, ile mam lat? Cieszę się, że zdołała się dobrze urządzić w życiu.

— Uważasz poślubienie ogra za dobrą rzecz?

— Z pewnością. Ogry mają swoje zalety.

Esk stopniowo zaczynał lubić tę kobietę.

— Więc nie patrzysz na mnie z góry, ponieważ jestem wnukiem ogra?

— Nie, jeżeli ty nie będziesz się wywyższał z powodu wybrakowanego talentu.

— Wybrakowany talent?

— Miałam zamiar opowiedzieć ci o tym zagrożeniu. Moje klątwy są kapryśne. Jedna na trzy obraca się w błogosławieństwo.

Esk roześmiał się.

— Błogosławieństwo! Co w tym złego?

— Przeszkadza w normalnej egzystencji. Raz, kiedy zostaliśmy ogłuszeni przez plądrującego okolicę smoka i zbieraliśmy się, żeby wspólnie uderzyć go najsilniejszą z możliwych klątw, moje błogosławieństwo zasiało spustoszenie wśród zaklęć. Smok nie tylko przeżył, ale stał się silniejszy. Mieliśmy szczęście, że byliśmy blisko molo i mogli-

śmy uciec pod wodę.

— Ach, teraz rozumiem, w czym problem.

— Jeżeli więc coś zaatakuje, a ja to zaklnę, może to jedynie pogorszyć sytuację. Oczywiście, ten defekt występuje dość regularnie. Dwa moje ostatnie wysiłki okazały się silnymi zaklęciami, więc teraz muszę powstrzymać się przez sześć miesięcy, zanim wykorzystam następne. Sędzia wiedział o tym i pragnął się mnie pozbyć z Bramy.

— Mądre z jego strony — stwierdził cynicznie Esk. — Może mogłabyś błogosławić nas i uczynić tym samym resztę drogi łatwiejszą.

— Nie mogę zaklinać czy błogosławić samej siebie, tylko innych.

— Może więc powinnaś zakląć mnie.

— To byłoby jak smocza ruletka — powiedziała. — Nie mogę być absolutnie pewna, że to będzie błogosławieństwo. Cokolwiek by to było, okaże się ekstremalnie potężne z powodu skumulowanej zaległości w pracy.

To niesłychanie zaintrygowało Eska.

— Zaryzykuję. Zaklnij mnie.

— Nie, zawsze istnieje element ryzyka.

— Jeżeli mnie zaklniesz i to będzie błogosławieństwo, wtedy będziesz wiedziała, że twoje następne dwa zaklęcia będą prawdziwymi klątwami. I możesz polegać na nich w razie konieczności ochrony. Będzie z tego korzyść, ponieważ mamy jeszcze do przebycia spory kawałek drogi po niebezpiecznej okolicy.

Zamyśliła się.

— Może jest coś w tym, co mówisz. Przemyślę to przez noc i jeżeli rano nadal będziesz chciał poeksperymentować, zrobię to.

Poszli spać.

Rano Esk ponowił prośbę. Latia wahała się, ale w końcu zakręciła się i rzuciła okrągłe zaklęcie.

Coś go owiało i sprawiło, że jego włosy uniosły się trochę, ale nie było to bolesne.

— Co to jest? — zapytał Esk. — Nie czuję się ani lepiej, ani gorzej.

— To dziwne — powiedziała Latia również zdumiona. — Jeszcze nigdy przedtem tak nie chybiłam. Może mój talent doszedł w końcu do etapu całkowitego zaniku i już nie potrafię ani zaklinać, ani błogosławić.

— Może — zgodził się Esk z mieszaniną ulgi i żalu. — Pozwól, że oddalę się na stronę, a potem ruszymy dalej.

Kiwnęła głową. Zwyczaje demoniaków były w tym względzie bardziej podobne do ludzkich niż centaurzych. Bardzo był z tego zadowolony. Udał się do upatrzonej gęstwiny i załatwił swoje potrzeby.

Nagle ziemia osunęła mu się spod stóp. Za późno zrozumiał, że gęste krzaki ukrywały dół kloaczny. Zaczął się rozpaczliwie miotać, usiłując się czegoś złapać, ale nie udało

się. Zanurkował do dołu.

Był to stary dół. Docierało tam światło i wszędzie rosły pnącza. Esk stoczył się gładko po emaliowanej powierzchni na samo dno. Zobaczył rów odprowadzający ścieki, na szczęście zatkany pnączami. W końcu podźwignął się i wystawił głowę ponad chłodną ściankę dołu. Zamrugął i popatrzył.

Była tam hipnotyka, a jego prawe oko znajdowało się dokładnie przy dziurce do zagłądania. Zanim zdał sobie z tego sprawę, już do niej zaglądał — i został złapany; jego świadomość ugrzęzła w dyni.

Jedynie odsunięcie dziurki z pola widzenia jego oka mogło przerwać ten trans, ponieważ taka była natura tykwy. Nie było prawdopodobne, że Latia odnajdzie go w tym ukrytym w ziemi dole. Dół kloaczny był niewidoczny nawet w niewielkiej odległości od krawędzi.

Teraz charakter zaklęcia Latii był przynajmniej jasny: mimo wszystko było to potężne zaklęcie. Jego działanie opóźniło się na tyle, żeby osiągnąć prawdziwie skuteczny efekt. Esk utknął tutaj na dłuższy czas.

## Rozdział ósmy

### Świdrowiec

Polney przełknął jedną ze wzmacniających pigułek, które podarowała mu Ivy. Założył przeznaczone do ciężkich prac pazury i zaczął kopać. Rezultat był zdumiewający. Ziemia fruwała do tyłu i posuwał się dwa razy szybciej niż normalnie. Gdyby miał taką pigułkę wtedy, gdy próbowali przejść przez rozpadlinę w iluzorycznej górze, w drodze do zamku Dobrego Maga — byłby w stanie podkopać się poniżej poziomu wody i przejść pod nią. Jak miło ze strony tej małej, ludzkiej dziewczynki, że wyświadczyła mu tę grzeczność. Nie miał jakiegoś szczególnego sentymentu do ludzi, ale naprawdę polubił Eska, a teraz to dziecko.

Zbliżał się do królestwa mniejszych kopaczy. Królestwo Ryjowców w Xanth składało się z wszelkiego rodzaju stworzeń kopiących, począwszy od monstualnych świdrowców, poprzez rozmaite odmiany zwijek, a skończywszy na maleńkich larwach świdraków. W mrokach aktu stworzenia, jak było powiedziane, demon Litho, stwórca Ziemi, przeznaczył do zamieszkiwania żyzny obszar ziemi pomiędzy wietrzną powierzchnią a najgłębszymi rejonami dla wszystkich tych gatunków. Ogromne świdrowce wzięły w posiadanie rozległe obszary skały głęboko pod ziemią, a luźną, powierzchniową ziemię zajęły szybkie zwijki. Świdrzaki wybrały ograniczone żyły super twardej skały kruszcowej. Wybranymi przez Litho stworzeniami były polniki. Im pozostawił wybórowolnego obszaru całej ziemi i żyło im się szczęśliwie, ponad całą resztą. Wszystkie ryjące w ziemi istoty, w kategorii specjalizacji, były kopaczami, ale kopacze z Doliny były pierwowzorem i obiektem zazdrości wszystkich pozostałych.

Ale Litho przeliczył się, jeżeli chodzi o demony. Podobnie jak kopacze, różniły się one typem i rangą. Oryginalne demony były istotami wszechmocnymi, ale pomniejsze, niestety, mogły narobić wiele złego. To była przyczyna, dla której Polney wyruszył po pomoc. Gdybyż tylko Dobry Mag był w domu!

Polney poruszał się teraz z wspaniałą szybkością, ale miał przed sobą jeszcze spory kawałek drogi do przebycia. Po raz pierwszy pomyślał o największych stworzeniach

— świdrowcach. Kopały tunele bez użycia pazurów, przenikały przez skały w magiczny sposób. Mogły pozostawiać za sobą tunel, mogły też pozostawiać skałę tak samo zagęszczoną, jak wcześniej. Zależało to od ich nastroju. Zazwyczaj pozostawiały ją nie naruszoną, żeby mieć przyjemność ponownego przez nią przenikania. Gdyby zgodziły się przyjść do Doliny i wywiercić kanały, demony nie mogłyby im przeszkodzić, ponieważ robiący tunel świdrowiec był w postaci niematerialnej. Istotnie, świdrowce mogłyby wywiercić dla rzeki nowe i zakręcające kanały szybciej, niż demony potrafiłyby je wyprostować. Może demony zniechęcą się do tego bezowocnego wysiłku i znajdą sobie jakieś inne miejsce do zamieszkania.

Dotarł do głębokiego obszaru świdrowców. Teraz chciał wytropić jednego z nich i poprosić go o zaprowadzenie do ich przywódcy.

Łatwiej pomyśleć niż wykonać. Nie miał pojęcia, według jakiego rozkładu podróżują pojedyncze świdrowce. Musi po prostu poczekać, aż któryś minie go w zasięgu głosu.

Miał czas, by pomyśleć o posiłku. Przyniósł trochę owoców z powierzchni; coraz bardziej rozsmakowywał się w nich. Kiedy odtworzą Dolinę, będzie musiał rozejrzeć się za drzewami owocowymi i orzechami. Zdjął pazury do ciężkiego kopania i jadł.

Odgryzł kęs i jego małe uszy zadrgały. Polniki w znacznej mierze nie były zależne od dźwięków, ale czasami mogło to być ważne. W tunelu, który pozostawił za sobą, słychać było jakieś drapanie.

Nasłuchiwał uważnie, usiłując zidentyfikować źródło dźwięku. Czy do jego tunelu dostał się przypadkowo jakiś drapieźnik z powierzchni i gonił go? Jeśli tak, to musi walczyć. Oczywiście zatkał koniec tunelu, żeby jakieś stworzenie przez przypadek nie wykryło go, ale duży drapieźny wąż mógł go zwęszyć. W tej chwili tutaj, głęboko pod ziemią, przewaga była po stronie polnika, ponieważ drapieźnik nie miał możliwości manewrowania, a sztuczne pazury polnika mogły rozłupać ciało napastnika tak samo łatwo, jak ziemię. Niewiele stworzeń polowało na polniki głęboko pod ziemią. Inaczej sprawy się miały na powierzchni, gdzie przestrzeń była nieograniczona, a drapieźniki mogły osiągać gigantyczne rozmiary. Oto dlaczego polniki normalnie trzymały się z dala od powierzchni. Poza tym tam, na górze, światło było za jasne. Zastanawiał się, jak powierzchniowe stworzenia mogły to znosić. Jedynie jego polnikowa zdolność do zmiany futra i oczu (w warunkach powierzchniowych) pozwalała mu to przetrzymać. Teraz, w swoim brązowym, podziemnym futrze i szarych soczewkach nastawionych na efekt maksymalny w otaczającej ciemności, czuł się o wiele lepiej.

To nie był hałas robiony przez węża. Było to drapanie wielu małych pazurków, jakby nóżek insektów...

Nagle dotarło do niego, co to jest. Niklasy! To była katastrofa. Na nic mu sztuczne pazury przeciwko tym małym drapieźnikom. Niklasy były zbyt małe i było ich za dużo. Przedrą się przez strefę jego obrony i zaczną rozdzierać go na krążki wielkości nikłó-

wiek, dobierając się do wrażliwych części jego ciała. Dyskusja z nimi była niemożliwa: zawsze kierowało nimi uczucie głodu. Jego tunel musiał przebiegać blisko ich gniazd, więc kiedy go usłyszały, zaczęły szperać, aż odnalazły jego dziurę. Były teraz na jego tropie, podążając do końca tunelu.

Nie mógł mieć nadziei, że uciekną im, szybko wycofując się tunelem. Kiedy będzie przechodził, obsiądą go całego. Nie mógł ukryć się przed nimi w ciemnościach, ponieważ one nie potrzebowały światła. Jasne światło wręcz zabijało je. Będą kierowały się zmysłem dotyku i zapachu i pójdą wszędzie, gdzie on się przekopie.

Musi pójść do przodu. Jeśli napotka po drodze inny tunel, będzie mógł nim pójść i zwiększyć odległość od nich, ponieważ były za małe, żeby szybko podróżować. Ale jaki inny tunel mógłby tutaj być? Był poniżej normalnego poziomu polników, na poziomie świdrowców, a świdrowce pozostawiły te skały nienaruszone. Potrafił to stwierdzić po dźwięku, kiedy zastukał. Będzie musiał wykopać swój własny tunel, a to spowolni jego ucieczkę przed niklasami. W końcu się zmęczy, nawet jeśli zażyje następną wzmacniającą pigułkę. Złapią go i zjedzą. Jego sytuacja stawała się coraz bardziej rozpacзлиwa.

Hałas się wzmacniał. Jeden niklas wyprzedził współtowarzyszy i naprowadzał ich na niego. Polney nałożył swoje zaczarowane pazury i wściekle uderzył w dół. Jego głębi-no-lokalizator był bezbłądny. Pazur rozerwał niklasa. Trudno było go zabić. Uderzenie musiało być bardzo dokładne, zadane z odpowiednią siłą, bo inaczej tylko odbijało się od jego twardej skorupy.

Jeden załatwiony — pozostały tysiące! Musiał się spieszyć.

Połknął następną pigułkę. Natychmiast rozpląnęła się po nim energia. Podjął kopanie, mając świadomość, że to tylko przedłuży pościg. Był o wiele za daleko od powierzchni, żeby dotrzeć tam, nim się zmęczy. Zwolni i zostanie złapany. Nie mógł jednak czekać i dać się pożreć żywcem!

Gdyby tak przyszedł jakiś świdrowiec! Wtedy mógłby poprosić o podwiezienie i razem ze świdrowcem przeniknąć przez skały, jakby to było powietrze. Wtedy miniaturowe potwory chwyciłyby w swoje szczypce pustkę i pozostały głodne. Podróżom świdrowców towarzyszył charakterystyczny dźwięk, a takiego tutaj nie słyszał. Nie mógł liczyć na to, że spotka świdrowca.

Odłamki skały fruwały w tyle. Normalnie pozwalał, żeby rumowisko gromadziło się za nim, luźno zalegając tunel. Niklasy jednak bez kłopotu poruszały się pomiędzy tym. Przełaziły po prostu między szczelinami wśród rozkruszonych kawałków skały. Gdyby mógł jakoś zatkać ten tunel, układając ściślej kamienie. Małe rozmiary stanowiły o przewadze tych rozpruwaczy. Gdyby tylko zdołał poupychać rumowisko, żeby znowu było całkowicie nie do przejścia, ale to leżało poza jego mocą. To, co robił, było maksymalną możliwością jego gatunku. Tylko magia mogła odtworzyć przewierconą skałę.

Przerwał na chwilę i nasłuchiwał. Hałas był blisko, goniły go. Uzyskał jedynie nie-



znaczną przewagę. Musiał znaleźć jakiś lepszy sposób! Ale jaki sposób był lepszy w tych warunkach? Pomyślał o zataczaniu kółek.

Wtem wpadł na pomysł. Nie wiedział, czy to zadziała, ale mogło. Z pewnością musiał tego spróbować.

Wrócił do kopania. Przedzierając się przez skałę, nawet nie próbował jej za sobą uszczelnić. Pragnął szybkości, ponieważ niklasy mogły zyskać na czasie. Wkopał się w zakręt, zachowując kierunek w lewo.

W końcu, dzięki swojemu wyczuciu lokacyjnemu i ze sposobu, w jaki skała ponad jego głową wibrowała, mógł stwierdzić, że już dochodzi do przecięcia się z własnym tunelem. Kopał dalej i niebawem tylko cieniutka ścianka oddzielała oba tunele. Potem dotarł wyżej, wydrążył na górze dziurę i utworzył pionowy tunel. Zrobił go tak, żeby podążał prosto do góry na pewnym odcinku, a potem skręcił go do poziomu, ponad pierwotnym tunelem. Pracował tak szybko, jak potrafił, chociaż był zmęczony. Nie miał czasu do stracenia.

Gdy pierwsze niklasy dotarły do końca niższego tunelu, pognał szybko z powrotem w dół. Natychmiast zaczął kopać, przedzierając się przez cienką ściankę i kończąc przecięcie się tuneli na niższym poziomie.

Niklasy zgromadziły się oczywiście w drugim tunelu. Zawróciły. Wywęszyły go i zwały z powrotem do jego nowego otworu. Polney wspiał się jednak do góry i za chwilę połączenie było gotowe; prowadziło do jego pionowego tunelu. Wbiegł do poziomego górnego tunelu, potem uszczelnił za sobą dostęp do niego. Pozostawał więc tunel w górę ze ślepyim końcem.

Teraz usiadł, czekał i odpoczywał. Jeżeli to zadziała, jest uratowany. Jeżeli nie...

Zadziałało. Niklasy nie były najmądrzejszymi ze stworzeń. Śledziły go, biegnąc za nim tunelem. Dopóki czuły jego zapach, mogły go ścigać aż do końca. Był to system, który zazwyczaj skutkowało, ale teraz tunel był pętlą, więc nigdy się nie kończył. Chodziły w kółko. Gdyby któryś spróbował zrobić dziurkę w suficie, mogłyby odkryć, że prowadzi donikąd. Oczywiście jego tam nie ma. Kilka z nich może się przedrzeć przez uszczelnienie i dotrzeć do jego kryjówki, ale te kilka rozerwie szponami. Olbrzymia większość utknęła w pułapce, którą im przyszykował.

Polney odpoczywał, odzyskując siły. Ważne było, żeby nie zwracał na siebie uwagi. Gdyby za bardzo się poruszał, niklasy mogłyby wyczuć wibracje i zacząć go szukać. Kilka przyszło do niego i te załatwił cicho pazurami. Kiedy był pewien, że jest wyczulony na ich wejście, zasnął. Cokolwiek przejdzie przez uszczelnienie, zbudzi go na tyle wcześnie, żeby mógł przygotować się do obrony.

Wtem usłyszał świdrowca. Jego oczekiwanie skończyło się. Nie miało już znaczenia, czy niklasy zwęszą jego obecność.

Zaczął kopać w kierunku, który ściśle pokrywał się ze ścieżką świdrowca. Kiedy tam

dotarł, poczekał.

Świdrowiec poruszał się wolno. Wreszcie jego pysk pojawił się w norce, którą wykopał Polney.

— O, świder! — krzyknął we wspólnym dla wszystkich członków wielkiej rodziny kopaczy języku. Magia Xanth sprawiała, że komunikacja językowa była zrozumiała dla wszystkich członków poszczególnych grup, takich jak ryjowce, albo człekowatych lub smoków. Niestety, nie działało to pomiędzy grupami. Dlatego właśnie Polney był niezwykły. Nauczył się ludzkich konwenansów. Była to potworna walka — opanowanie do perfekcji szczególnych konwenansów obcego systemu — ale wytrwał i osiągnął lepsze wyniki niż inne polniki z jego klasy. Wiedzieli, że Dobry Mag był humanoidem, więc studia tego rodzaju były koniecznością. Gdyby, tak wiedzieli również, że Dobry Mag jest nieobecny!

Przez ten czas świdrowiec rozmyślał. Świdrowce nie miały szczególnie bystrego rozumu. Teraz odpowiedział:

— O, kopacz!

— Zabierz mnie do waszego przywódcy. Świdrowiec znowu się zastanowił.

— Gdzie masz piosenkę?

Świdrowce lubiły piosenki. Na nieszczęście nie była to mocna strona Polneya. Co powinien zrobić?

Niklasy wdrapywały się za nim. Jego działalność przyciągnęła ich uwagę i teraz małe potwory tłumnie wypełniały jego kryjówkę.

— Piosenka! — krzyknął Polney na ludzki sposób. — Piosenka, piosenka, pioosenkaaaa!

Świdrowiec poczuł się usatysfakcjonowany. Nie dotarło do niego, że to nie jest bardzo dobra piosenka.

Polney wdrapał się na walcowaty grzbiet świdrowca i wczepił w niego swoimi pazurami. Było to konieczne, żeby utrzymać się na grzbiecie. Skóra świdrowca była tak gruba i twarda, że nie wyrządził mu żadnej krzywdy. Zdematerializowali się.

— Piosenka, piosenka, pioosenkaaaa, piosenka! — kontynuował Polney, poddając się kołysaniu świdrowca.

Świdrowiec przenikał przez skały i stłoczone niklasy, jakby jedno i drugie było mgłą... Zakręcił, kierując się w stronę szefa świdrowców.

Wkrótce byli na miejscu. Przywódca, będąc stary, już nie mógł tak łatwo przenikać przez skały. Wolał przebywać w siatce wykopanych tuneli. Polney był z tego bardzo zadowolony. Stawiało go to na równej z nim stopie.

— Przyszedłem prosić o pomoc świdrowców dla polników — powiedział w języku kopaczy.

— Ależ kopacze rozmawiają tylko pomiędzy sobą! — zaprotestował przywódca.

Rzeczywiście, wśród gatunków kopiących krążyły opinie, że zwijki rozmawiają tylko ze świdrowcami, Świdrowce tylko z polnikami, a polniki ich ignorują.

— Ta sytuacja uległa nieznacznej zmianie — wyjaśnił Polney. Przeszedł do opowiadania o problemie Doliny Kopaczy.

— Chciałbyś więc, żebyśmy poszli i wywiercili nowe zakręty, żeby rzeka znowu była przyjazna?

— Dokładnie tak. Demony nie mogą was powstrzymać, ponieważ jesteście nie-fizyczni, kiedy wiercie.

Przywódca świdrowców zamyślił się na sposób swojego gatunku. Po godzinie dał odpowiedź:

— My, Świdrowce, nie mamy zatargu z demonami i nie życzymy sobie popaść z nimi w konflikt. Zatem nie włączymy się do tej sprawy.

Rozczarowanie wstrząsnęło Polneyem. Wiedział, że ta decyzja była ostateczna.

— Dziękuję ci za poświęcenie mi uwagi — powiedział ciężko.

— Może zwijki będą miały inne nastawienie — podsunął świdrowiec. — Są mniejsze od nas i poruszają się szybciej, więc i umysły mają bardziej giętkie. Dam ci przewodnika, żebyś mógł odszukać ich przywódcę.

— Dziękuję ci za tę uwagę — odparł Polney.

Planował już wcześniej, że poprosi zwijki w następnej kolejności.

Świdrowiec dał mu kamyczek.

— Jego smak cię poprowadzi.

Polney włożył go do ust. Zatoczył koło. Kiedy zwracał się w jednym kierunku, smak stawał się coraz lepszy, kiedy w innym — stawał się okropny. Nie będzie żadnego problemu ze zrozumieniem tego przewodnika!

Skorzystał z rady przywódcy świdrowców i ruszył w kierunku dobrego smaku.

Trasa, ku jego zaskoczeniu, biegła bardziej poziomo niż do góry. Na ogół zwijki żyły bardzo blisko powierzchni — tak blisko, że często wyrzucały swoje odpadki na powierzchnię, zamiast uszczelniać nimi tunele. Głęboko leżące pokłady skały nie były ich specjalnością. Rozpulchniona ziemia i nie uszczelniony tunel decydowały o ich szybkości. Gęsta, twarda skała powstrzymywała je. Może więc była to głęboka kotlina lub jakieś odgałęzienie Rozpadliny, które doprowadzało powierzchnię do tego poziomu. Przywódca zwijek mógł rzeczywiście preferować rezydowanie w takim odizolowanym rejonie.

Było coraz cieplej. Polney odkrył, że ciężko oddycha. Powierzchniowe stworzenia, takie jak człekowate i centaury, miały odrażający sposób rozpraszania gorąca: wydalały wilgoć przez skórę; ten płyn parował i ochładzał ich. To prowadziło do powstawania osadu na ich ciałach, futrze albo ubraniu i tworzyło typową, ale niekoniecznie przyjemną woń. Polniki, podobnie jak większość innych stworzeń, robiły to w bardziej delikat-

ny sposób — wysuwając języki i pozwalając, żeby oddech zneutralizował gorąco. Jednakże, trzeba to przyznać, bywało i tak, że ludzka kąpiel we własnym pocie mogła lepiej spełnić swoje zadanie.

Przystanął, żeby zmniejszyć wytwarzanie ciepła przez swoje ciało, ale gorąco pozostało. Promieniowało na niego ze skały. To było zdumiewające! Spodziewał się, że ten poziom będzie chłodny. Skąd to się bierze? Z pewnością zwijki nie lubiły takiego gorąca!

Odwrócił się, ale kamyk w jego ustach natychmiast przybrał okropny smak. To nie był ten kierunek! Więc znowu odwrócił się i podjął kopanie.

Upał jeszcze bardziej wzrósł, a w skale rozlegało się jakieś dudnienie, którego naturze nie ufał. Słyszał o wulkanach, które były wielkimi lokalnymi wytryskami z rozgałęzionych głębin ziemi. Czy jeden z nich mógł znajdować się w bliskiej odległości? A jeżeli tak było, to dlaczego zwijki wybrały do zamieszkania niebezpieczny obszar?

Kiedy w końcu wymacał zarys jakiegoś otworu w skale, gorąco stało się prawie nie do zniesienia. W samą porę! Wszedł do niego i znalazł się w ogromnej podziemnej jaskini.

Znowu się zatrzymał. Nie było śladu po zwijkach.

Łuki i komory były całkowicie naturalne, podobnie jak nieregularne wyźłobienia w podłodze, które mogły być wydrążone przez gorącą ciecz skapującą z sufitu. Kapiące krople stężały w słupki kolorowego kamienia, który w świetle z pewnością był bardzo ładny. Źródło gorąca znajdowało się ponad nim.

Kamyczek wskazywał, że tam były zwijki. Kiedy podniósł głowę, poczuł słodycz, kiedy węszył przy podłodze, czuł kwaśny smak. Istotnie, było to dziwne!

Cóż, albo zaakceptuje prawdziwość tego przewodnika, albo nie. Polney uniósł się na tylnych łapach i zaczął kopać w suficie. Kamień tutaj był stosunkowo miękki i jego pazury szybko wyrwały dziurę znacznych rozmiarów. Kopanie stawało się coraz łatwiejsze. Wkrótce mógł się podźwignąć do dziury. Opierając tylne łapy o kamienne ściany, odrzucił w dół duże, okrągłe okruchy z sufitu.

Było jednak coraz bardziej gorąco. Język Polneya zwieszał się aż na futro. Na próżno, nie mógł pozostawać dłużej w tym otoczeniu. Drapnął po raz ostatni pazurami i ześlizgnął się z powrotem w dół; musiał się ochłodzić.

Skała ponad nim wyrzuszyła się i roztopiła. Bryła roztopionej skały spadła. Polney ledwie zdążył uskoczyć. To była roztopiona substancja!

Wylądował na znośnie chłodnej podłodze, dysząc ciężko. Z dziury opadło więcej roztopionej skały, rozpryskując się na podłodze. To stawało się coraz gorsze! Z całą pewnością tam, w górze, nie istniały warunki dla stworzeń żyjących.

Coś puściło. Z dziury wylała się gorąca lava, oświetlając jaskinię. Zestalone strumyczki cieczy były rzeczywiście piękne, zanim nie zalała ich krzepnąca lava. Polney

rzucił się do ucieczki i kamyk w ustach nabrał okropnego smaku.

Coś się tutaj nie zgadzało! Ten kamyk doprowadził go do płonącej śmierci w sadzawce roztopionej skały! Gdyby nie wycofał się szybko z dziury, którą wygrzebał, usmażyłby się żywcem. Teraz, kiedy schronił się w bezpieczne miejsce, kamyk miał obiekcje!

Lawa nie dała mu czasu na zastanawianie się nad ukrytymi znaczeniami. Wylewało się jej coraz więcej — coraz gorętszej, coraz bardziej płynnej i jasnej. Płynęła po podłodze i zalewała tunel.

Polney postanowił, że zapomni o paskudnym smaku i wycofa się drogą, którą przyszedł. Przez jego niefortunną omyłkę płynęła teraz lawa, tworząc strumyk pomiędzy nim a jego tunelem. Odcinała mu drogę]

Czy powinien próbować przekopać się pod nią? Podłoga była chłodniejsza od sufitu, mógł więc to zrobić. Nie miał pewności, że lawa nie wpłynie do tunelu, który wykopał, i nie dopadnie go tam. Nie mógł ryzykować w ten sposób!

Gdyby był stworzeniem, które umiało skakać, tak jak centaurzyca Chex! Mógłby ją przeskoczyć i uciec stąd. Ten strumyk, stosunkowo wąski, stał się dla niego barierą nie do pokonania. Mógł się dotkliwie poparzyć.

Jeszcze raz przyjrzał się dziurce w suficie. Zamieniła się teraz w fontannę lawy, rozpryskującą się w dole i rozszerzającą w kilka kanałów, które przypominały macki ognistego krakena. Wkrótce odetnie mu jakąkolwiek drogę ucieczki.

Pośpieszył w jedynym kierunku, jaki mu pozostał, mijając ognistą kolumnę spadającej lawy, w dół nieznacznego nachylenia podłogi jaskini. Po jego prawej stronie zbierał się rozżarzony strumyk lawy.

Nagle lawa skręciła w jego kierunku. Polney zamarł, porażony strachem. Gdyby się nie zatrzymał, lawa osmolilaby mu stopy, ponieważ zdążyła prosto do miejsca, w którym on był. Czując powracające gorąco jej bliskości, cofnął się w lewo, żeby ją ominąć.

Lawa popłynęła w lewo, odcinając mu drogę.

Polney znowu przystanął. Było to niemal tak, jakby lawa zawróciła w jego kierunku.

Polney podszedł bardzo blisko, chcąc ją przeskoczyć. Uniósł przednie łapy, żeby nie dosięgła ich lawa, i wyciągnął się w lewo. Lawa rozlała się tam, gdzie były jego łapy. Małeńki kłębek futerka rozwiął się w dym, kiedy dotknęła go roztopiona skała.

Pobiegł do przodu, starając się wyminąć lawę, ale nowy strumień zaczął zbierać się od lewej strony. Uskoczył w prawo, a pierwszy strumień wycofał się, jakby ponownie zamierzał odciąć mu drogę.

Istotnie tak było! Ta lawa ścigała go świadomie i usiłowała złapać. Sytuacja stawała się coraz bardziej niewygodna!

Pobiegł w drugą stronę, ale drogę zagrodziło mu kilka nitek ognia! Zdecydowanie próbowały go złapać w pułapkę. Jeśli ta jaskinia się skończy, to nie ma dla niego drogi ucieczki! Nie było czasu na kopanie nowego tunelu. Strumyki lawy oddzielały go od

każdej ściany. Jeśli spróbuje podkopać się pod podłogę, lawa po prostu wleje się za nim. Co do tego nie miał żadnych wątpliwości. Sufit — nie, tego nie mógł ryzykować!

Przed sobą dostrzegł jakieś migotanie. Och, nie — więcej lawy! Jeszcze więcej strumieni lawy napływało z innego kierunku. Był zgubiony.

Wtedy pojął, że ogień przed nim jest odbiciem. Tam była woda — podziemne jezioro. Wypełniało wgłębienie powstałe w tej części jaskini. Bulgotało łagodnie.

Polney nie umiał pływać.

Zbliżył się do jego krawędzi i zanurzył łapę. Woda była przyjemnie chłodna. Bąbelki pochodziły od powietrza unoszącego się w niej do góry, a nie od wrzenia. Nie było głębokie. Światło od lawy prześwieślało wodę, ukazując, że jest to tylko duża kałuża. Mógł przejść ją w bród, gdyby musiał.

Lawa rozlewała się coraz bardziej. Bliźniacze macki rozciągały się prosto w jego kierunku, z prawa i z lewa, sycząc przy zetknięciu z jeziorem. Teraz nie miał wyboru — musiał przejść przez wodę.

Wszedł do wody. Lawa nie poszła w jego ślady. Nie lubiła wody. Cofnęła się ze złością do brzegu i stwardniała. Czuł, jak bąbelki otaczają jego ciało i przyjemnie go łaskoczą. W końcu odroczył wyrok!

Światło stawało się coraz jaśniejsze. Polney obejrzał się do tyłu i ku swojemu przerażeniu zobaczył, że ogromna tafla lawy ześlizguje się do jeziora w pogoni za nim. Wyraźnie zamierzała przecisnąć się przez jezioro, doprowadzając je do stanu wrzenia. W ten sposób dopadnie w końcu swoją ofiarę. Musiał wydostać się poza jej zasięg.

Strumienie lawy już okrążyły jezioro po obydwu stronach, zamykając je. Polney przyspieszył, ale mimo to był zbyt powolny. Nim dobrnie do brzegu, strumienie lawy połączą się ze sobą i odetną mu drogę ucieczki. Gdyby umiał pływać, szybciej znalazłby się na brzegu!

Spróbował. Machał zawzięcie łapkami, ale udało mu się jedynie spowodować rozsączonego syka tam, gdzie wylądowały krople. To było na nic. W żaden sposób nie mógł się szybciej poruszać. Przegrał ten wyścig.

Spojrzał w górę. Tam było jeszcze gorzej. Sufit sam zaczynał się żarzyć. Oznaczało to, że główna masa roztopionego potwora wylewała się ze swojego horrendalnego zbiornika, gotowa przeniknąć przez sufit i wylać się na niego.

Nie było ucieczki. Nad nim i dookoła czaiła się zguba, a pod nim była woda. Utonie, jeśli spróbuje ukryć się pod jej powierzchnią; spłonie, gdy tego nie zrobi.

Istniała jednak pewna szansa. Wziął głęboki oddech i zanurkował pod wodę. Jednym z powodów, dla których nie potrafił pływać, było to, że był zbyt gruby. Łapy zawsze dotykały mu dna. Polniki musiały mieć masywne ciało, żeby móc wiercić w skale. W tej chwili ta właściwość jego ciała dobrze mu posłużyła. Mógł kopać na dnie tak samo dobrze, jak w suchej ziemi. Odkopał błoto i w krótkim czasie napotkał twardy kamień. Ten

staw był tylko kałużą, woda zebrała się w zagłębieniu jaskini.

Bąbelki wciąż uciekały do góry. Skała była tu porowata i woda razem z powietrzem przenikały przez nią. Teraz było to ważne.

Dokonał tyle, ile mógł za jednym oddechem, następnie odbił się i wystawił głowę z wody. Pierścień ognia wystrzelał wyżej, a sufit był rozżarzony. Nie pozostało wiele czasu! Polney wziął następny oddech i znowu zanurkował.

Wywiercił większą dziurę. Woda była teraz zmacona. Na szczęście dla siebie, polegał tylko na zmyśle dotyku, a nie widzenia. Dotarł tak daleko, jak potrafił, potem znowu wyskoczył nad wodę dla zaczerpnięcia powietrza.

Pracował dalej, oddech po oddechu. Dziura pogłębiała się szybko, ale śmiertelność lawa zaciskała swoje kleszcze coraz bardziej. Krawędź zbiornika syczała bez przerwy, kiedy lawa wdzierała się do wody i niszczyła ją, zamieniając w parę. Wkrótce lawa zrobi decydujący ruch i zaleje jezioro całkowicie.

Polney kopał tak głęboko, jak mógł. Potem zakręcił tunel, jak wtedy, gdy zostawił za sobą pierścień dla niklasów. Kopał poziomo, a potem ukośnie w górę. Coraz trudniej mu było zachować tempo przy wstrzymywanym oddechu, ponieważ część czasu zabierało czołganie się w tunelu. A jeśli to zda egzamin...

Zdało. Bąbelkowa te powietrze zbierało się w górnej części nowego tunelu, tworząc raczej większe bąble, niż przenikając wprost przez skałę. Powietrze, podobnie jak woda, zawsze wybierało łatwiejszą drogę. Przy każdym powrocie Polneya bąbel był większy, aż był na tyle duży, że mógł wetknąć swój nos i oddychać. Teraz nie musiał już przebywać całej tej drogi do powierzchni stawu, bo mógł korzystać z powietrza tutaj.

W samą porę, ponieważ lawa uderzyła. Rozległo się tak okropne syczenie, że słyszał je przez skałę. Nie mógł już tam wrócić.

Polney kopał dalej. Szło mu szybciej, ponieważ bliżej było do zapasu powietrza. Miał jednak jeszcze dużo pracy i nie był wcale bezpieczny przed lawą, ale wiedział, że wydostał się ze ślepego zaułka, był w drodze do ocalenia.

Teraz zastanawiał się nad sprawą kamyczka-przewodnika. Zaprowadził go dokładnie w złe miejsce. Jak to możliwe?!

Czy przywódca świdrowców zdradził go i wysłał na śmierć w żywej lawie? Stwierdził, że trudno to zaakceptować. Świdrowce były powolne, ale honorowe. Działanie podstępne było dla nich czymś zbyt skomplikowanym. Ten kamyk był przykładem. Świdrowiec mógł nie rozumieć zawiłości kierunków i z całą pewnością by się zgubił, gdyby polegał na instrukcjach. Kamyczki natomiast były łatwe do zrozumienia. Po prostu podążało się w kierunku dobrego smaku. Nawet najbardziej nierozgarnięte Świdrowce mogły posługiwać się tą metodą. Kiedy dotarły tam, gdzie miały dotrzeć, mogły wziąć nowy kamyk, który prowadził do nowego miejsca. Najmądrzejsze świdrowce mogły nadzorować rozdział kamyczków, kierując w ten sposób ruchem. Świdrowiec-przy-

wódca zrobił dla Polneya to, co robił dla własnego gatunku — dał mu kamyk zorientowany na jego szczególny cel.

Jak więc zatem mógł go tak źle poprowadzić? Musiał to zrozumieć, jeżeli nie chciał więcej spotkań z płynącą lawą. Czy ten kamień był niewłaściwy? Wydaje się, że działał dobrze, tylko zaprowadził go nie do jego celu, lecz do miejsca, którego świdrowce, tak samo jak polniki, powinny unikać za wszelką cenę.

Kamyk musiał działać odwrotnie! Robił się coraz bardziej słodki w zakazanych rejonach i bardziej kwaśny w tych właściwych. Dlaczego tak się działo?

Zastanowił się i doszedł do wniosku, że musiał paść ofiarą różnicy smaków. Świdrowce były podobne do robaków i wyobrażeniem ucztą była dla nich żyła węgla. Polniki były bardziej powierzchniowymi stworzeniami i wołały słodkie owoce. Zatem dla świdrowca gorzkie lub kwaśne mogło być dobre, podczas gdy słodkie odpowiadało ze psutemu. Kamyk ostrzegał go przesłodzonym smakiem, że idzie w złym kierunku, ale to było nieporozumienie.

Jaką różnicę może powodować smak! Ta różnica w rozumieniu smaku pomiędzy świdrowcami i polnikami niemal go zabiła.

Polney kierował się złym smakiem. Było to okropne doświadczenie, ale teraz był zadowolony, że przez to przeszedł. Teraz miał nadzieję, że pójdzie w dobrym kierunku.

Dość szybko dotarł do głównych siedzib zwijek. Te stworzenia były o tyle od niego mniejsze, o ile świdrowce były od niego większe. Poza tym wykazywały się większą czujnością. Nie musiał czekać, aż pojawi się choć jeden — zrobiły tunel, idąc mu na spotkanie.

— Co cię tutaj sprowadza, polnikowaty? — zapytały, kłapiąc wyczekująco kleszczami.

Polney wyjaśnił, że szuka pomocy dla Doliny Kopaczy. Ich przywódca grzecznie, ale stanowczo wyjaśnił, że chociaż on osobiście chciałby pomóc, nie bardzo wie, w jaki sposób mógłby to zrobić. Wśród zwijek były również i takie, które mówiły, że najwyższy czas, by zadzierające nosa polniki zostały zepchnięte do mniejszych tuneli. Sam przywódca nie podzielał tej opinii, ale jasne było, że zwijki czuły animozję do polników, jeszcze z czasów historycznych, jako tych, które zagarnęły dla siebie lepsze pastwisko. I ta niechęć sięgała dnia dzisiejszego. Tak więc zwijki prawdopodobnie nie pomogą, nawet jeżeli miałyby taką możliwość. Polney naprawdę nie mógł ich za to obwiniać.

Zwijki powiedziały jednak, że będą szczęśliwe, mogąc dać mu kamyczek, żeby zaprowadził go do najbliższego świdrzaka, który, tak się szczęśliwie złożyło, był żeńską larwą przybyłą w swaty. Polney obruszył się — polniki nie miały wspólnych szlaków ze świdrzakami! Wziął jednak kamyk, gdyż nalegali na to, tak na wypadek, gdyby zmienił zdanie. Żeby nie być niegrzecznym, polnik przyjął kamyk i włożył do torby podróżnej.

Potem, z ciężkim sercem z powodu niepowodzenia misji, zaczął kopać w kierunku



powierzchni.

\* \* \*

Wykopał się z ziemi w pewnej odległości od miejsca, z którego wyruszył. Jeszcze pod powierzchnią zmienił futerko i oczy na powierzchniowe. Ponieważ miał dobre wyczuwanie kierunku, wiedział, gdzie jest Zamek Roogna. Wprawdzie nie bawiło go szwendanie się po powierzchni, ale w ten sposób mógł poruszać się szybciej, niż robiąc tunele. I nie pozostało mu wiele czasu. Jego bezowocne podróże zabrały mu większą część tygodnia.

Dotarł na czas do wyznaczonego miejsca spotkania w sadzie. Chex już tam była i również mała Ivy, która, jak się wydaje, zawsze była wszędzie tam, gdzie się coś działo.

— Jest Polney! — krzyknęła uradowana Ivy i podbiegła do niego, żeby go uściskać. Nie rozumiał, jak jej się to udało, ale zrobiła to.

— Gdzie jeht Ehk? — zapytał.

Chex rozłożyła ręce.

— Nie ma po nim śladu — powiedziała z charakterystycznym dla powierzchniowych stworzeń syczeniem. — Jessem jednak pewna, jesst już w drodze.

Wymienili wrażenia o swoich poszukiwaniach. Polney był zdumiony, że weszła do tytkwy.

— Nie hądziłem, że jeht to możliwe — zauważył.

— Jesst, z pewnością — potwierdziła gorliwie Ivy. — Ja to zrobiłam! Miałam podkową nocnej mary, która pozwoliła mi wejść do środka, i wyszłam przy zamku Dobrego Maga, ale zgubiłam to.

— Zgubiłaś zamek? — zapytał przerażony Polney.

— Podkową nocnej mary, głupku! Fatalnie. W tykwie tak jesst interesująco, jeżeli wytrzymasz coś takiego, jak dom robaków i jezioro oleju rycynowego. Tam jesst ogród cukierków i...

— To dla ciebie nie powinno być sstraszszne! — wykrzyknęła Chex

— Ale było, bo myślałam, że jak zjem choć jeden, to zosstanę tam na zawszsz. Musiałam więc go minąć i była to najsstraszszniejsza rzecz, jaka mi ssie kiedykolwiek zdarzyła!

— Taak.

Gdy Chex zaczęła mówić „tak”, Ivy wpadła jej w słowo. I chichotały. Czas mijał, a Esk nie wracał. Było już po wyznaczonym terminie spotkania i zaczęli się denerwować.

— Jeżeli coś ssie sstało, nic na to nie poradzimy! — powiedziała nerwowo Chex.

— Tak — zgodził się Polney.

— Moglibyśmy wyjść na spotkanie, jeżeli on ssie sspóźnia.

— Dokąd?

Esk mógł wybrać jakąkolwiek trasę do Jeziora Ogrów i Pszczół Wodnych i wracać inną drogą. Mieli raczej małą szansę spotkania się z nim.

Wtem nadeszła jakaś stara kobieta i wtrąciła się do ich rozmowy.

— O, centaur ze skrzydłami i wymarły polnik! — wykrzyknęła. — Musicie być przyjaciółmi Esska.

— Jesteśmy! — odpowiedzieli chórem.

— Ja jestem Latia, z demoniaków. Zakłęłam go bez zamiaru zrobienia mu krzywdy, a teraz on zniknął. Szukałam wszędzie, ale nie potrafiłam go odnaleźć. W końcu przyszedłam tutaj, mając nadzieję, że wiecie, jak go zlokalizować.

Polney popatrzył na Chex. Esk zaginął!

— W zbrojowni jest zakęcie odnajdywania! — krzyknęła Ivy. — Przyniosę je wam!

Polney odprężył się. Może jednak wszystko dobrze się skończy.

## Rozdział dziewiąty

### Hipnotykwa

Esk znalazł się w skłębionej dżungli podzielonej polankami. Była dziwna w sposób, którego nie mógł do końca zgłębić. Co do jednej rzeczy nie miał wątpliwości: znalazł się w świecie tykwy. Nigdy wcześniej nie był tutaj, ale ojciec ostrzegał go przed tym. Kiedy jakaś osoba popatrzyła w dziurkę, jej duch wchodził do tykwy i nie mógł się z niej wydostać, dopóki jakaś inna osoba nie przyszła i nie przerwała linii widzenia. Gdyby nikt nie przyszedł, mógł pozostać tutaj, aż jego ciało powoli się wyczerpie. Według Smasha, w tykwie można się było nieźle zabawić, ale Smash był półogrem, a to, co ogr uważał za zabawne, niekoniecznie musiało bawić Eska.

Został uderzony zaklęciem, wpadł do dołu i wylądował naprzeciw tykwy. To oznaczało, że Latia będzie miała kłopot z odszukaniem go. Jej klątwa okazała się naprawdę klątwą zamiast błogosławieństwem, a według jej własnej oceny — dość skuteczną. Był w poważnych tarapatach.

Czy może uciec stąd o własnych siłach? Usilnie starał się przypomnieć sobie, co Smash mówił o tykwie. Była ojczyzną nocnych mar, które są kurierami złych snów. Mary dostarczały je śpiącym, którzy na nie zasłużyli. Mogły swobodnie przechodzić tam i z powrotem. Żadne inne stworzenia oprócz nich nie mogły tego robić.

Może poszuka nocnej mary i poprosi ją o pomoc? Gdyby wyszła na zewnątrz i zesłała na Latię sen, który pokaże dokładnie, gdzie on jest, stara kobieta mogłaby go odnaleźć. Zajmie to trochę czasu, ale przynajmniej była jakaś szansa.

Cena, jakiej zażąda mara za taką przysługę, wydawała mu się straszna. Co to było? Nie mógł sobie przypomnieć. Dowie się.

Gdzie szukać nocnej mary? Smash mówił coś o pastwisku, gdzie się pasły, za nawiedzonym domem i miastem ruchomych budynków, gdzie żyli mosiężni. Esk nie wiedział, co to może być ten mosiędz, ale miał nadzieję, że rozpozna go, jak zobaczy. Trzeba się rozejrzeć.

Zaczął starannie przyglądać się otoczeniu. Dostrzegł płataninę ścieżek. Czy jedna

z nich prowadziła do nawiedzonego domu albo do mosiężnych, albo do nocnych mar?

Był tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić. Postawił stopę na najbliższej ścieżce i ruszył przed siebie. Poplątana okolica jakby lekko zaczęła się cofać, przystosowując do perspektywy ścieżki, którą wybrał.

Esk był ostrożny. Nie ufał, ze względów zasadniczych, żadnej ścieżce, która była za łatwa. Ponieważ ścieżki tego rodzaju mogły prowadzić do...

I tak było: wikłacz. Właśnie tego się obawiał.

Cofnął się i odkrył, że jest to ścieżka jednokierunkowa. Była nie zarośnięta i otwarta przed nim, a nie istniała za nim. Krzaki zbliżyły się do siebie, wysunęły połyskujące kolce i pokryte śluzem liście. W normalnym Xanth takie listowie było niebezpieczne, a tutaj, w tykwie, z pewnością było jeszcze gorsze.

Zawahał się. Nie chciał iść do przodu, ku wikłaczowi, ale nie mógł się cofnąć. Boki wyglądały nie mniej zniechęcająco.

Wikłacz nie miał takich wątpliwości. Już wyciągał po niego macki. Były mocne i zielone, poruszały się z przerażającą zręcznością. Był to największy i najagresywniejszy wikłacz, jakiego kiedykolwiek widział. Koszmar ze złych snów.

Zły sen! Oczywiście! Tykwa była magazynem złych snów. Nocne mary przychodziły tutaj, żeby zbierać sny o wikłaczach, które potem roznosiły śpiącym w Xanth. Sny, podobnie jak inne formy sztuki, wymagały efektownych, oryginalnych modeli.

Może to jest dobre miejsce do poczekania na nocną marę. Kiedy ta; przyjdzie, poprosi ją o zabranie wiadomości.

Pierwsza macka sięgnęła do jego twarzy. Esk uchylił się, ale podążała za nim. Złapała go za włosy, mocno się na nich zacisnęła i zaczęła ciągnąć w górę. Esk sięgnął po swój nóż do polowania. Podniósł rękę i odciął końcówkę macki, uwalniając włosy. Z uszkodzonej macki trysnęła zielona posoka. Wtedy, na złość, drzewo wzmoгло wysiłki. Nagle runęło na niego sześć innych macek.

Esk wiedział, że nie poradzi sobie z nimi wszystkimi naraz za pomocą noża, zanurkował więc pod nie i pobiegł wprost na drzewo. Ścieżka za nim natychmiast zanikała.

Nagle wikłacz uwikłał się w walkę z kolczastymi pnączami i liśćmi z zatrutym śluzem. Horror po horrorze! Esk biegł przed siebie, prosto w objęcia drzewa, a drzewo w tym czasie zajęte było akcją zewnętrzną. Wikłacze, jak większość roślin, nie były zbyt bystre. Kiedy raz wystrzeliły macki do łapania, walczyły o łup bez względu na naturę tego, co usiłowały schwytać.

Ścieżka wiodła prosto do ogromnego drewnianego pyska drzewa, które teraz krzywiło się od wysiłku myślenia. Ponad nim był sęk, na którym osadzone było gigantyczne oko. Esk wiedział, że zwykle wikłacze nie miały oczu. To nie była roślina — to był zły sen! Przystanął, mając nadzieję, że oko go nie szpieguje.

Dobiegł go dźwięk rozdierania. Macki wyrwały kolczaste rośliny z zatrutymi liść-

mi i ciągnęły je do drewnianej paszczy. Drzewo otworzyło paszczę i zapchało ją kolcami i śluzem.

Teraz był najlepszy czas na wysłiznięcie się. Esk schował nóż i przebiegł na następną ścieżkę, jedną z kilku, które wiodły do drzewa. W chwili, kiedy dotknął jej stopami, zniknęła. Wszystkie prowadziły w jedną stronę. Jak się wydostanie?

Będzie musiał użyć swojej magii. Wybrał inną ścieżkę i kiedy postawił na niej stopę, mruknął „nie”. Udaremniło to naturalną skłonność ścieżki i nie zniknęła. Esk nie pomyślał wcześniej, żeby użyć swojego talentu w ten sposób. Nie był pewien, czy to zadziała w tykwie. Teraz nabrał tej pewności. Ścieżka malała w miarę oddalania się od drzewa, aż w końcu wtopiła się w płataninę, od której zaczął. Niczego nie osiągnął oprócz nabrania pewności, że najłatwiejsza ścieżka niekoniecznie musi być najlepsza.

Przyjrzał się innym ścieżkom. Nie mogły prowadzić do wikłaczy, ponieważ wikłacze były notorycznymi izolacjonistami. Strzegły swoich terenów łowieckich i przeciwdziały wdzieraniu się innych z tego gatunku.

Wzruszył ramionami i wszedł na najlepiej ze wszystkich wyglądającą ścieżkę. Niemożliwe, żeby prowadziła do czegoś gorszego niż poprzednio.

Otoczenie ponownie przeobrażało się, żeby przystosować się do nowej perspektywy. Wydawało się, że jest to jedyna naturalna ścieżka, którą może przejść każda osoba. Ale Esk był ostrożniejszy niż poprzednio. Zawrócił i poszedł z powrotem tą samą drogą. Nie zniknęła, była to ścieżka dwukierunkowa. Zawrócił znowu i ruszył w poprzednim kierunku.

Dość szybko odkrył jej zły sen. Był to monstrualny (oczywiście!) kraken, niegodziwy wodorostowy potwór, który czyhał na nieświadomych pływaków. Ten pływał w powietrzu ponad ścieżką. Jego macki były tak długie i zwinne jak u wikłacza i miał ssawki w kształcie panewek.

W tej chwili potwór również go dostrzegł. Podpłynął do Eska i wyciągnął ku niemu macki.

Esk ponownie sięgnął po nóż, wiedząc, że dla takiego stworzenia nie jest zbyt groźny. Pobiegł ścieżką, zdając sobie sprawę, że ta ucieczka jest daremna. Miał rację w obydwu przypadkach: kraken ścigał go bez widocznego wysiłku, wyciągając macki bez pośpiechu. Wiedział, że go ma. Najwyraźniej nie martwił się, czy Esk będzie walczył, czy uciekał!

Oczywiście Esk mógł mu powiedzieć „nie”. Ale był rozzłoszczony tymi prowadzącymi do kłopotów ścieżkami. Teraz jego złość przeszła w wybuch wściekłości.

Kiedy macki go dotknęły, schował nóż i złapał je gołymi rękami. Zamanifestowała się jego siła ogra. Chwycił jedną mackę i zmiażdżył ją i jej ssawkę. Złapał następną i gwałtownie szarpnął.

Kraken zareagował tak samo jak drzewo: rozwścieczony przejmującym bólem rzu-

cił na ofiarę kilka macek naraz. Tym razem Esk ich nie unikał. Wyłapał je i powiązał ze sobą. Wiedział, że wyładowuje swoją osobistą frustrację na zielsku, które próbowało jedynie wykonać swoją robotę, ale jego ogrowa natura nie dbała o to. Nic, co ma rozum we właściwym miejscu, nie wchodzi w konflikt z ogrem.

Bardzo szybko kraken miał tej walki dosyć. Zły sen obrócił się przeciwko niemu. Szarpnął się do tyłu i odpłynął, pozostawiając ścieżkę Eskowi.

Esk rozluźnił się, ale ogarnęło go poczucie winy. Powinien był powiedzieć zielsku „nie” i przejść bez przeszkód. Nie powinien wyładowywać swojej frustracji z powodu uwięzienia w tykwie stosunkowo niewinnym stworzeniu.

Wkrótce doszedł do końca ścieżki. Zatrzymywała się po prostu w gęstwinie kolców i zatrutych liści. Zawrócił i doszedł do drugiego końca, który był taki sam. Ta ścieżka prowadziła donikąd. Po prostu była wybiegiem dla krakena. Znowu niczego nie osiągnął.

Były jednak inne ścieżki. Ruszył z powrotem, kierując się ku środkowi tej ograniczonej, na której był. Przypatrywał się uważnie, aż dostrzegł inną, która dochodziła do niej pod kątem prostym. Znalazł kij i użył go do odgarnięcia kolców i liści; przeszedł przez nie ostrożnie.

Perspektywa jeszcze raz się zmieniła. Ta ścieżka, którą właśnie opuścił, była teraz prawie niewidoczna. Postrzegał ją jako krętą, kiedy poprzednio była doskonale prosta. Nigdzie nie było widać unoszącego się krakena. Ten teren z pewnością był zwodniczy!

Obecna ścieżka wiła się przyjemnie, podążając to w górę, to w dół, czego wcześniej nie zauważył. Wkrótce pojawiło się źródło, a woda połyskiwała w nim tylko i była nieruchoma.

Gdyby Esk nie wiedział, że jest to rejon złych snów, doświadczenia z dwóch poprzednich ścieżek ostrzegłyby go. Nie ufał wodzie! Oczywiście, oczekiwano, że podróżnik napije się wody. Gdzie była pułapka? Co w niej było złego, że składała się na część bazy sennych okropności?

Usłyszał jakiś ruch. Coś szło ścieżką w jego kierunku. Ostrożnie zszedł ze ścieżki, uważając na duże kolce i starając się nie hałasować.

Był to zdesperowany króliczek ścigany przez dużego, zmęczonego wilka. Króliczek kicał po ścieżce; jego miękkie różowe uszy frunęły za nim na wietrze, a mały nosek drżał. Wilk był tuż-tuż za nim, z obnażonymi kłami.

Esk mógł powstrzymać pościg wilka mówiąc mu „nie”, ale para zwierząt była już obok niego, nim zdołał zebrać myśli. Po prostu musiał patrzeć na to, jak króliczek dobiega do źródła, wskakuje do niego, ledwie umykając przed wilkiem, który zarył pazurami w brzegu. Widocznie wilk ze złych snów nie lubił wody. Króliczek więc był bezpieczny.

Króliczek wskoczywszy do wody uległ transformacji. Jego wygląd wprawdzie nie zmienił się w widoczny sposób, ale wydał z siebie szczególnie przejmujący warkot i z determinacją popłynął w kierunku oczekującego wilka. Wilk niemal nie wierzył we

własne szczęście. Szalony króliczek wracał do jego paszczy!

Króliczek wdrapał się na brzeg i otrząsnął. Znowu zaryczał, a oczy jarzyły mu się czerwienią. Potem skoczył na wilka, który tak był zdumiony, że się nie ruszył. Króliczek obnażył zęby. Zęby zacisnęły się na jednym uchu wilka, a dwie łapy mocno walnęły wilka w nos.

Króliczek z wściekłością zaatakował wilka!

Zdumiony wilk dał susa do tyłu. Uwolnione od zębów królika ucho wilka zalało się krwią. Królik znowu skoczył na wilka, kłapiąc zębami. Wilk był w stanie zabić królika, ale był tak wytracony z równowagi, że podwinął ogon pod siebie i uciekł.

Esk był tak samo zdumiony jak wilk. Co było w tej wodzie?

Królik poruszył nosem i zwietrzył Eska. Ruszył w jego kierunku. Znowu warczał, a jego oczy płonęły. Skoczył.

— Nie! — krzyknął Esk.

Królik był w powietrzu, więc nie mógł zmienić kursu, ale zmienił zamiar. Zamiast ugryźć Eska, wylądował na jego piersi i natychmiast zeskoczył. Następnie wrócił na ścieżkę i pognał za wilkiem.

Esk spojrział na źródło. Tylko jeden wniosek nasuwał się po tym, co zobaczył. Znał źródła miłości, które sprawiały, że stworzenia, które się z nich napiły, zakochiwały się gwałtownie w pierwszej napotkanej istocie płci przeciwnej. Zrozumiałe było, że większość znaczących krzyżówek powstała dzięki natrafieniu na źródło miłości: centaury, harpie, wodni ludzie i tak dalej. Ale tutaj, w królestwie złych snów, musiało być przeciwnie: było to źródło nienawiści. Dlatego królik był tak zawzięty i przepełniony nienawiścią, że stracił cały swój strach przed wilkiem. Nienawidził również Eska. Nie był już delikatny i wystraszony. Teraz był złośliwy i zuchwały. Jego osobowość uległa radykalnej zmianie.

Esk doszedł do wniosku, że nie napije się z tego źródła. Wracał powoli ścieżką, rozglądając się za inną trasą.

Wypróbował trzy dobrze utrzymane ścieżki i każda prowadziła go donikąd. Czas to zmienić. A może wypróbować ukrytą, odległą ścieżkę?

Niemal ją minął. Ścieżka była tak niepozorna, że dosłownie gubili się w gąszczu. Może to wcale nie była ścieżka. Postanowił jednak spróbować. Ostrożnie wszedł na nią.

Perspektywa zmieniła się jeszcze raz i ścieżka stała się lepiej widoczna. Była jednak w kiepskim stanie i tak poskręcana, że miejscami wydawało się, iż zatacza koła. Krzaki wrastały w nią, a kamienie wystawały. Musiał uważać na każdy swój krok. Czy była tego warta?

Zdecydował, że tak. Poza tym, jeżeli nikt nie używał ostatnio tej ścieżki, to nie była ona prawdopodobnie wykorzystywana przez jakiegoś potwora do złego snu. Trudno

o bezpieczniejszą. Posuwał się do przodu z rosnącą pewnością siebie.

Wtedy nagle zobaczył ludzki szkielet. Leżał w poprzek drogi, czaszka z jednej strony, kości nóg z drugiej strony. Nie pozostał na nim ani kawałek ciała.

Esk westchnął. Ta ścieżka również nie jest bezpieczna. Ten biedny człowiek... Trącił kość miednicy czubkiem buta.

Szkielet poruszył się. Esk odskoczył, chociaż wiedział, że to on spowodował, iż kości uniosły się i opadły. Przecież kości nie mogą poruszać się samodzielnie.

Szkielet obrócił się i usiadł.

Esk w strachu zrejterował. On się porusza!

Szkielet wstał, ale jakoś niepewnie.

— W porządku! — krzyknął Esk. — Opuszczam twoją ścieżkę. Nie chcę walczyć z następnym złym snem!

Czaszka obróciła się na kościanej szyi i skierowała na niego puste oczodoły.

— Szukałeś mnie? — zapytała kościana szczeka.

— Znalazłem cię i teraz opuszczam — zgodził się Esk. — Naprawdę nie szukam kłopotów, rozglądam się tylko za drogą wyjścia. Nie musisz mnie ścigać.

— Chce pójść z tobą, bardzo proszę — mówiła czaszka, poruszając dolną szczęką.

Esk nie rozumiał, jak można mówić bez ciała wprowadzającego powietrze, ale tak było.

— Pójść ze mną? — powtórzył bezmyślnie Esk. — Po co?

— Żeby nie zgubił się więcej.

— Zgubiłeś się? A ja myślałem, że jesteś martwy!

— Nie. Zgubiłem się — powtórzył stanowczo szkielet. — To jest zgubna Ścieżka Zatracenia.

— Jak ścieżka może się zgubić?

— Kiedy nikt jej nie odnajduje — odparł szkielet. — Proszę cię. Muszę znaleźć powrotną drogę do Nawiedzanego Ogrodu, ale nie mogę sam się odgubić. Weź mnie za rękę i pomóż się odnaleźć.

Początkowy strach przed szkieletem zaczął zanikać. Przecież to było miejsce złych snów, a szkielet nie był gorszy od innych.

— Ale ja też jestem zgubiony.

— Nie. Widzę, że jesteś śmiertelnym stworzeniem. Musisz zaglądać w tej chwili do dziurki.

— Taak — potwierdził Esk. — Spadłem, a moje oko znalazło się naprzeciw tykwy. Próbuję odszukać nocną marę, żeby wyniosła wiadomość na zewnątrz i żeby linia łącząca moje oko z tykwą mogła zostać przerwana. Dopóki to nie nastąpi, będę tkwił tutaj.

— Tak, ty jesteś jedynie czasowo uwięziony, ale ja jestem zgubiony właściwie. Dłate-



go muszę błagać cię o pomoc. Jeżeli mnie nie odgubisz, nigdy nie będę mógł odzyskać swojej pozycji.

— Twojej pozycji?

— Jestem częścią zespołu szkieletów z Ogrodu sąsiadującego z Nawiedzonym Domostwem. Pewien straszny ogr przeszedł przez niego i...

— To był mój ojciec! — wykrzyknął Esk, przypominając sobie opowiadanie Sma-sha.

Szkielet odsunął się od niego przestraszony.

— O nie! Sądziłem, że możesz być moim wybawcą!

— Poczekaj, szkielecie — powiedział szybko Esk. — Myślę, że jeżeli mój ojciec był przyczyną twojego zgubienia, ja powinienem sprawić, żebyś się odnalazł. Jak się nazywasz?

— Kościej Marrow — odparł szkielet.

— Ja mam na imię Esk.

Trochę się ociągając, wyciągnął rękę. Szkielet chwycił ją.

— Och, dziękuję ci Esk! Ja też ci pomogę! Jestem zgubiony, ale wiem coś o otoczeniu. Jeżeli istnieje jakaś droga, mogę być użyteczny...

— Myślę, że już mi pomogłeś — powiedział Esk, wyciągając dłoń z kościstego uścisku, ale nie za szybko, żeby nie urazić szkieletu. — Szukam nawiedzonego, hmm, zespołu, ponieważ ojciec wspomniał mi o tym. Jeśli możesz go odnaleźć, to może idąc tą trasą dotrę do pastwiska nocnych mar.

— To z pewnością jest możliwe! — powiedział Marrow z kościanym entuzjazmem. — Nie mogę pokazać ci drogi, ponieważ jestem zgubiony, ale mogę powiedzieć ci o wszystkim. Jestem pewien, że moi kumple też posiadają te informacje.

— Dobrze, ruszajmy więc. Szkielet jednak znowu oklapł.

— Musisz wziąć mnie za rękę. Ja sam nie mogę się odgubić. Esk znowu wziął go za rękę, rozumiejąc, że musi się poddać dziwnym regułom tego miejsca. Kości były jednak twarde i suche, a nie oślizłe, jak się obawiał.

— Czy znasz właściwy kierunek?

— Niestety, nie — odparł Marrow. — Wtedy, kiedy ogr zaczął rozrzucać kości — nie zamierzam cię urazić — uciekłem i straciłem orientację. Próbowałem znaleźć drogę powrotną, ale przez przypadek wdepnąłem na tę ścieżkę i to wszystko. Od tego czasu pozostaję zgubiony. W końcu położyłem się na drodze, żeby dać odpocząć swoim zmęczonym kościom i wtedy ty nadszedłeś.

— Kiedy znalazłeś się na ścieżce, nie powinna być już zgubiona — powiedział Esk.

— To nie jest tak. Kiedy raz się na niej znalazłem, stałem się jej częścią, ponieważ ja jej nie znalazłem. Przypadkowo ją spotkałem.

— Nie jestem pewien, czy ja zrobiłem to lepiej. Próbowałem trzech innych ścieżek

i wszystkie były złe, więc rozejrzałem się za niepodobną do tamtych.

— I znalazłeś ją! — krzyknął Marrow. — Nie jesteś więc zgubiony. Mimo że nie możesz bezpośrednio uciec z tego świata, możesz znaleźć drogę wyjścia z tej ścieżki.

— Jesteś pewien?

— Nie — przyznał Marrow.

Esk wzruszył ramionami. Te hipotezy były tak samo dobre, jak inne. Wolał też wierzyć w szansę ucieczki stąd niż w brak jakiegokolwiek szansy.

Dżungla rozrzedziła się, bardziej przypominała teraz las. To była ulga. Esk czuł się w lesie jak w domu. Może znajdzie drogę wyjścia. Gdyby doprowadził Marrowa do ogrodu chodzących szkieletów i gdyby któryś z nich wiedział, jak dojść do pastwiska nocnych mar.

Coś posuwało się skokami po ścieżce. Esk przestraszył się. To przypominało mundańskiego jelenia, ale było jasnoczerwone.

— Co to jest?

— To tylko sarna — powiedział Marrow. — Czy widziałeś ten kolor?

— Tak. To dlatego nie byłem pewien, co to jest.

— Sarny są czerwone — powiedział Marrow. — Myślałem, że każdy to wie.

— Tak się składa, że ja jestem tutaj obcy — stwierdził krótko Esk.

Napotkali zasadzoną w doniczce roślinę. Była jasnoniebieska, a na końcach łodyżek miała wypukłości. Kiedy się zbliżyli, uniosła ostrzegawczo te gałki. Nie było wątpliwości, że zamierzała nimi uderzyć każdego, kto podejdzie za blisko.

— Co to jest?

— Fiołek — powiedział Marrow. — Nie zauważyłeś koloru?

— Tak, widziałem — odparł zirytowany Esk. — Sarny są czerwone, fiołki niebieskie.

— Myślę, że on to ma! — wykrzyknął Marrow.

— Z kim ty rozmawiałeś?

— Z fiołkiem, oczywiście. Nie słyszałeś?

— Myślę, że nie umiem mówić miejscowym dialektem. Co on mówi?

— Mówi, że to nie jego wina, iż się zgubił. Sadzili fiołki na miedzach, pomiędzy głównymi ścieżkami, ale tego odrzucili.

Esk poczuł współczucie dla niebieskiej rośliny.

— Dlaczego go odrzucili?

— Ponieważ nie chcieli więcej fiołków na miedzach.

— Oo!

Powinien wiedzieć, że żadne wyjaśnienie nie ma tutaj większego sensu. Poszli dalej. Musieli przejść pod pnączem takiego rodzaju winorośli, która miała osadzone na łodyżkach oczy.

— Powiedz, czy to nie jest oczorośl? — odezwał się Esk. — Mój ojciec spotkał się

z czymś takim. Uczyniło go na jakiś czas mądrzejszym. Co ono tutaj robi?

— Może potrafię się dowiedzieć — powiedział Marrow. Wyciągnął rękę, złapał pnącze i położył sobie na szczycie czaszki. — Twierdzi, że zgubiło się z Leksykonu — przekazał.

— Z Leksykonu?! A co to jest? — zapytał Esk.

— Oczorośl mówi, że jakiś osioł z Mundanii przyszedł tutaj z sekretarką i spisali wszystkich z Xanth — z wyjątkiem oczorośli, no i właśnie dlatego jest zgubiona.

— Fatalnie — stwierdził Esk. — Teraz nikt nie będzie mądry.

Marrow wyszedł spod winorośli, a ta wróciła na swoje miejsce nad ścieżką. Widocznie nie mogła stopić się z czaszką, ponieważ prawdopodobnie nie było tam mózgu do wzmocnienia.

Idąc dalej, napotkali jakiegoś zakrętasa, ledwie widocznego gołym okiem.

— Co to jest? — zapytał Esk.

— Zgubiona witamina. Tak sądzę. Pozwól, że się dowiem. — Marrow wyciągnął kościany palec, żeby tego czegoś dotknąć. — Tak, to witamina F.

— Na co ona jest?

— Och. Ma potężny eF-ekt.

— Potężny efekt?

— Z F każdy wysilek jest F-antastyczny.

— Znajdźmy zamiast niej witaminę X — powiedział ponuro Esk. — Może wtedy stabilibyśmy się eX-pertami w odszukiwaniu eX-tra wyjścia, jeżeli takie gdzieś eX-ystuje.

— EX-tra pomysł — zgodził się Marrow, nie wyczuwając ironii Eska.

Po drodze mijali następne zgubione rzeczy. Zgubioną kopalną kość, którą Marrow otwarcie podziwiał, jako że pochodziła z gatunku nie znanego w Xanth czy Mundanii, a jego odkrycie zrewolucjonizowałoby zrozumienie obydwu krain; zgubiony strumień świadomości i zgubioną sytuację bez wyjścia. Eska te wszystkie rzeczy bardziej by interesowały, gdyby nie był silnie skupiony na poszukiwaniu sposobu wyjścia z tykwy, zanim jego ciało w Xanth wpadnie w tarapaty. Przypuśćmy, że wywęszy go jakiś smok? Mógł obudzić się zjadany przez smoka.

Wtem doszli do młodej kobiety siedzącej w wannie. Miała bardzo ładne kształty i metaliczny odcień skóry. Esk mógł to stwierdzić, ponieważ jedynym jej ubiorem, tak się wydawało, była metalowa przepaska na piersiach. Podskoczyła, kiedy do niej doszli.

— O, dobrze! — wykrzyknęła. — Odnaleziona! W końcu!

— Dzień dobry — powiedział Esk, usiłując patrzeć powyżej jej piersi. Wiedział, że centaurzyca Chex nazwałaby takie zachowanie głupim, ale grzeczność była jedną z rzeczy, które się nie zgubiły. — Jestem Esk, a to jest Marrow.

— Cześć, Esk! Cześć, Marrow! — zawołała wesoło. — Jestem mosiężna Bria.

— Jesteś mosiężnikiem?! — wykrzyknął Esk.

— Jestem mosiężną — poprawiła go. — Jestem kobietą, czego ewidentnie nie zauważyłeś. Mężczyzna jest mosiężnikiem.

— Przepraszam. Ja... zauważyłem, ale...

— To nie wystarczy za przeprosiny — mruknęła.

Esk brnął dalej.

— Szukałem ciebie!

— Więc mnie znalazłeś. Czy spotkaliśmy się wcześniej? — Potrząsnęła mosiężnymi włosami, które pięknie zabłyszczały.

— Chciałem powiedzieć, że szukam miejsca, gdzie mieszkasz, ponieważ sędzę, że stamtąd jest blisko do pastwiska nocnych mar. Czy wiesz, gdzie...

— Nie. Jestem beznadziejnie zgubiona. Myślałam, że ty wiesz. Czy nie przyszedłeś po to, żeby mnie stąd wyprowadzić?

— Znalazłem się tu przypadkowo — przyznał się Esk, spuszczać wzrok, potem znowu spojrział w górę. Nie było to lepsze, ponieważ biust miała pełny, a stanik skąpy.

— On jest podglądaczem — wyjaśnił Marrow.

Esk poczuł, że zaczyna się czerwienić, chociaż wiedział, że szkielet mówi o tykwie, a nie o tym, na co Esk się zagapił.

— Tak, tak — powiedział szybko. — Upadłem i wylądowałem naprzeciw tykwy, i zanim się zorientowałem — dostałem się tutaj. — Powiódł spojrzeniem dookoła, żeby wskazać na otoczenie.

— Czy masz kłopoty z oczami? — zapytała Bria.

— A, tak... chyba tak. Czy masz jakąś informację o tym rejonie? Może wiesz coś, co pomogłoby nam się odgubić?

Odwróciła się od niego. Podczas tego ruchu pokazała swoje zadarte mosiężne piersi, które zafalowały, jakby były z prawdziwego ciała.

— Obawiam się, że nie. Lubię podróżować do nowych miejsc i szukałam drogi do zwiedzenia zewnętrznego świata, ale, jak możecie stwierdzić, zgubiłam się.

Zakończyła swój obrót i Esk ponownie podniósł oczy.

— Czy jesteś pewien, że dobrze się czujesz? — zapytała z troską. — Jesteś zaczerwieniony, co, jak rozumiem, jest oznaką zmartwienia u żywych stworzeń.

— O, tak. Jestem zmartwiony — potwierdził Esk szybko. — Moje ciało utknęło w tym dole i bardzo się niepokoję, że coś się z nim stanie, zanim zostaną wyratowani. Gdybym mógł dotrzeć do nocnej mary!

— Tak, bycie żywym musi być dużym problemem — powiedziała Bria. — Czy to prawda, że musisz jeść i wydalac, żeby utrzymać się na chodzie?

— Mosiężni nie muszą?

— Oczywiście, że nie. Po co kłopotac się wszystkimi tymi niedogodnościami, gdy się nie musi? Myślę również, że nosicie to niewygodne ubranie, żeby utrzymać ciepło.

— Nie powinnaś zawstydząć go uwagami o słabościach jego ciała — upomniął ją Marrow.

— Tak, masz rację — zgodziła się. — Wybacz mi, Esk. Podeszła do niego, objęła ramionami i pocałowała w usta.

— Czy to wystarczy?

Esk, porażony, po prostu stał przez chwilę jak metalowy posąg.

— Wydaje się, że to nie wystarczy — powiedział Marrow.

— Muszę więc bardziej się postarać — zauważyła wesoło. — Esk, przepraszam cię za wszystko, co powiedziałam i co mogło cię obrazić lub zakłopotać. Mam nadzieję, że mi wybaczysz to wykroczenie.

Następnie tak mocno przytuliła się do niego, że straciłby równowagę, gdyby jej nie objął. Wtedy ona znowu go pocałowała, namiętnie i długo. Była zrobiona z metalu, ale wargi miała ciepłe, miękkie i sprężyste, podobnie jak całe ciało.

W końcu Eskowi udało się trochę odsunąć głowę.

— Czy to wystarczy? — zapytała ponownie.

Esk poczuł się tak, jakby unosił się ponad wierzchołkami drzew. Wtem pod jego dłonią ugiął się jakiś wzgórek i zrozumiał, za co ją trzymał. Znowu zamarł.

— Widocznie nie dosyć się starasz — powiedział Marrow.

Bria zrobiła ładny grymas.

— Widocznie. Dobrze, Upewnię się, że teraz to już wystarczy. Wciągnęła powietrze, przygotowując się do maksymalnego wysiłku.

— Nie, nie! — wybąkał Esk — ja... ja... ja przyjmuję twoje... przeprosiny!

Odsunęła od niego głowę, a jej włosy rozsypały się z miedzianym połyskiem.

— Jesteś pewien? Dalej jesteś zaczerwieniony.

— Ab... absolutnie pewien — odparł niepewnym głosem.

— Co za ulga! Musisz obiecać, że mi powiesz, kiedy następnym razem wprawię cię w zakłopotanie

— O tak, z pewnością — Zgodził się.

— Przepraszanie jest tak niewdzięcznym zadaniem — powiedział Marrow. — Nie wiem, czy jest gorsze dla obrażającego, czy obrażanego.

Teraz należało surowo powściągnąć nie tylko wzrok, ale i wyobraźnię. Doświadczenia Eska z kobietami były bardzo ograniczone, ale odkrywał, że niuanse takiego wzajemnego oddziaływania na siebie; mogły przynieść straszliwe zmiany. Spotkał Brię zaledwie kilka minut temu, ale już otworzyła w jego wyobraźni całkowicie nowe obszary.

— Chodźmy dalej tą ścieżką — odezwała się Bria. — Ponieważ Esk nie przynależy do naszego świata, powinien zdołać nas odgubić, jeżeli pozostaniemy z nim w kontakcie.

— Mam takie samo zdanie — powiedział Marrow.

Bria wzięła Eska za prawą rękę, Marrow za lewą i ruszyli wzdłuż ścieżki, która była dość szeroka na tym etapie, żeby pomieścić ich wszerek. Esk nie cierpiał z tego powodu, że był prowadzony, ponieważ jego myśli były gdzie indziej, istota z metalu może być tak miękka?

Ścieżka była nierówna i kręta. Raz była węższa, potem znowu się rozszerzała, ale oni zachowywali szyk i trzymali się jej uparcie.

Bria dostrzegła coś na ścieżce chyba mały kamyczek. Schyliła się szybko i podniosła go wolno.

— Właśnie tego mi było potrzeba! — wykrzyknęła.

— Oo? Co to jest? — zapytał Esk.

Popatrzyła na niego.

— Nic ważnego. Po prostu następna zgubiona rzecz. Myślę, że zachowam to na wypadek, gdybym kiedyś tego potrzebowała.

Esk wzruszył ramionami. Mogła oczywiście podnosić, co chciała. Chociaż tak mały kamień nie był wart wysiłku.

Sceneria zmieniała się, wiedzieli więc, że gdzieś dochodzą. Odnieśli wrażenie, że zbliżają się do obszaru bardziej uporządkowanej roślinności, że...

Zabłysnęło światło, przerywając ich obserwacje.

— Och, jestem tak zadowolona, że znaleźliśmy cię na czas! — wykrzyknęła Chex.

— Czy wszystko w porządku Esk?

— Co to jeht? — zapytał Polney.

— Na pół naga dziewczyna, ladaco! — wykrzyknęła Latia. — I kupa kości!

Esk zareagował szybko.

— Nie mów niczego obraźliwego! — krzyknął. — Oni są moimi towarzyszami podróży w tykwie!

Marrow i Bria byli z nim i wciąż trzymali go za ręce.

— To prawda — powiedziała Chex. — Wszystko, z czym ma kontakt przybysz z tykwy, towarzyszy mu, kiedy ją opuszcza. Oni są mieszkańcami hipnotykwy.

Szkielet i mosiężna wyglądali na oszołomionych. Teraz Esk musiał się o nich zatroszczyć.

— Po mojej prawej stronie jest mosiężna Bria — powiedział. — Po lewej: kościej Marrow. Byli na Ścieżce Zatracenia. — Z kolei zwrócił się do Brii i Marrowa: — A to są moi przyjaciele z normalnego Xanth: centaurzyca Chex, polnik Polney i Latia z Demoniaków.

Wszyscy wymienieni skinęli głowami. Teraz Chex przejęła inicjatywę.

— Sądzę, że możemy wyprowadzić Marrowa i Brię z powrotem do ich świata. Esk, musisz wziąć ich tylko za ręce i popatrzeć do dziurki. Potem, w środku, opuścisz ich, a my przerwiemy kontakt twojego oka z tykwą. W ten sposób powrócisz sam.

— Gdzie nas zostawisz? — zapytała z naciskiem Bria. — Czy na Ścieżce Zatracenia, z której nie ma ucieczki?

— Ale ten świat nie jest twoim światem! — zaprotestowała Chex. — Wszystko tutaj jest inne.

— Zawsze chciałam zbadać ten świat — powiedziała Bria.

Marrow wzruszył ramionami.

— Myślę, że nie jestem tutaj bardziej zgubiony, niż byłem na Ścieżce Zatracenia. W związku z tym, gdyby ktoś z was zerknął do tykwy i zlokalizował Nawiedzany Ogród, może tam mnie wysłać.

— Ale tykwa otwiera się na tę samą scenę — powiedziała Chex. — Za każdym razem, gdy Esk tam zagładnie, znajdzie się dokładnie w tym samym miejscu, w którym był poprzednio.

— Zgoda — przytaknął Marrow. — Ale wy, pozostali, traficie na inne sceny i być może jedna z nich okaże się tą, której potrzebuję.

Chex skinęła na zgodę.

— Tak, możemy to zrobić teraz. Normalnie nie zagładałabym z własnej woli do hipnotykwy, ale to wydaje się konstruktywnym wyjątkiem. — Schyliła się i podniosła tykwę. — Proszę, uwolnijcie mnie za chwilę — powiedziała i przyłożyła jedno oko do dziurki.

Zamarła w miejscu. Esk, odłączony od Brii i Marrowa, położył rękę na dziurce, przerywając wizję Chex. Centaurzyca poruszyła się.

— Byłam w krainie papierowych przedmiotów — wyznała. — Niektóre są niesamowicie wypracowanymi konstrukcjami. Nie miałam pojęcia, że można osiągnąć takie kształty z papieru.

— Niewłaściwa sceneria — stwierdził Esk.

Wziął tykwę i podał Polneyowi. Polney zerknął i zamarł. Potem Esk nakrył dziurkę i Polney wrócił do życia.

— Nie kończąca się tafla cieczy — doniósł. — Bardzo to ładne, ale nie hądzę, żeby była odpowiednia dla tych tutaj.

Esk wręczył tykwę Latii, Spojrzała i zamarła. Kiedy Esk przerwał linię widzenia, skrzywiła się.

— Wielka, rozległa równina z czarnymi końskimi sylwetkami na horyzoncie — powiedziała.

— Pastwisko nocnych mar! — wykrzyknął Esk. — Właśnie tego szukałem!

— Zdaje się, że nie możemy pomóc gościom w tej chwili — odezwała się Chex. — Jeśli nie mają nic przeciwko pozostaniu z nami przez jakiś czas, może potrafimy znaleźć inną osobę, której lokalizacja w tykwie okaże się trafniejsza.

— Świetnie — rzuciła Bria. — Będę szczęśliwa, mogąc spędzić tutaj trochę czasu.

— Ale będziesz musiała przyzwyciężyć się ubrać — zwróciła się do niej Latia.

— Co?

— Inne konwenanse! — wyjaśnił szybko Esk. — Ona ma na myśli tylko to, że będzie lepiej, jeśli ubierzesz sukienkę.

— Racja — potwierdził Marrow. — Tutaj musisz nosić ubrania.

— Ja nie noszę — odezwała się Chex.

— Człękokształtni na ogół noszą ubrania — wszedł jej w słowo Esk.

— Przypuszczam, że nie powinniśmy wprawiać w zakłopotanie świata, który zwiedzamy — rzekła z ociąganiem Bria.

— W pobliżu jest drzewo z popeliną — powiedziała Latia. — Chętnie zrobię ci z tego ubranie. Popatrzyła na Marrowa. — A jeśli zdołam znaleźć trochę materiału z wzorkiem w rybie ości, będzie do ciebie ładnie pasował.

Latia ruszyła w stronę materiałowego drzewa, a w ślad za nią dwoje z tykwy.

— Popelina i wzór w rybie ości — wymruczała Chex. — Ona ma szczególną skłonność do ustawiania wszystkich w jednym szeregu.

— Demoniaki są bardzo wyczulone na nakazy przyzwoitości — zgodził się Esk.

— Domyślam się, że natrafiła na ciebie i Polneya, a potem kopacz wywęszył mnie.

— Dokładnie tak. Nie wiedzieliśmy, że wrócisz w towarzystwie, ale może wyjdzie to na dobre. Podejrzewam, że nie odniosłeś sukcesu w twojej misji rozwiązania problemu rzeki Pocałuj-Mniee...

— Niestety, masz rację. Chcę jednak poprosić ogry o pomoc.

— Musimy posilić się i opowiedzieć o swoich przeżyciach — zarządziła centaurzyca.

— Potem zdecydujemy, co robić rano.

— Tak. Ciekaw jestem, jak wam obojgu się powiodło.

Esk był rad z powrotu do znajomego towarzystwa, ale jego myśli nadal flirtowały z doświadczeniem, które miał z Brią, kiedy go przeproszała. Wrócił z tykwy z nietkniętym ciałem, ale umysł jeszcze miał rozproszony. Żałował, że nie może z nikim o tym porozmawiać.

— Wygląda na całkiem miłą dziewczynę i jest dobrze zbudowana — zauważyła Chex, jakby czytała w jego myślach. — Ale ona nie jest z twojego świata, Esk.



## Rozdział dziesiąty

### Cheiron

Chex kłusowała na południe, niosąc Marrowa na grzbiecie. Kierowała się ku okolicy swojego ojca. Szkielet nie nadążyłby za nią pieszo.

W tej chwili Marrow nie wyglądał jak szkielet. Latia sporządziła efektowny garnitur z materiału w rybie ości, zerwała dla niego parę mocnych pantofli i parę cienkich rękawiczek, które dobrze zakrywały mu nadgarstki. Bardziej przypominał teraz żywego człowieka, z wyjątkiem czaszki, ale nawet to można było zamaskować kapeluszem i szalem. Na szczęście niewiele ważył, nawet omotany w ten sposób, ponieważ cały był z kości.

Przedyskutowali to poprzedniej nocy, kiedy już opowiedzieli swoje ostatnie przygody. Zdecydowali, że rozdzielą nowych członków grupy pomiędzy siebie: demoniaczka i mosiężna dziewczyna towarzyszyły Eskowi, a szkielet — Chex. Kopacz drążył tunele samotnie. Dla pozostałych byłoby za trudne dotrzymanie mu kroku głęboko pod ziemią. Może tym razem zdołają uzyskać porozumienie w sprawie pomocy. Spotkają się za siedem dni, tak jak poprzednio, i w tym samym miejscu. Postanowili, że w ten czy inny sposób wyratują rzekę Pocałuj-Mniee.

Możliwe, że Marrow nie pozostanie z Chex długo, ponieważ uzgodnili, że będą prosili każdego, kogo spotkają, o zagładnięcie do ze tykwy i zaprowadzenie tam Marrowa — albo do Nawiedzanego Domostwa, albo do Nawiedzanego Ogrodu, sąsiadowały bowiem ze sobą. W tej chwili Chex była szczęśliwa, mogąc z nim rozmawiać, ponieważ — jak każdego centaury — ciekawiło ją wszystko, co było niezwykle.

— Jak wy utrzymujecie się w całości bez ciała i ścięgien? — dopytywała się.

— Taka jest natura szkieletowej magii — wyjaśnił. — Kości palców są połączone z kośćmi stopy, stopa połączona jest z kostką, a kostka jest połączona z kością nogi.

— Pojęłam to — przerwała z kwaśną miną. — Przypuszczam, że ta sama magia cię ożywia.

— Oczywiście. Dokładnie tak, jak magia życia ożywia twoje ciało. Czy nie jest wam

za gorąco z tak wielką masą ciała, które was pokrywa?

— Przyzwyczailiśmy się do tego — powiedziała, uśmiechając się do siebie. — Jak to możliwe, że mówisz, choć nie masz płuc, gardła ani ust?

— To właśnie jest częścią magii. Ruchy szczęki produkują pewne dźwięki. Kiedy jesteśmy młodzi, uczymy się panować nad nimi, aż stajemy się w tym biegli. Cały proces zabiera kilka lat, ale uważamy to za część sztuki dorastania.

— Dorastania? Chcesz powiedzieć, że są również dziecięce szkielety?

— Oczywiście. Czy uważasz, że zostaliśmy stworzeni z powietrza?

— Myślałam, że jesteście szczątkami dawniej żyjących ludzi.

— Szczątki żywych ludzi? Co za straszny pomysł!

— Nie zamierzałam cię obrazić — zauważyła szybko. — My, istoty z zewnętrznego świata, nie mamy bezpośredniego kontaktu z wami, żyjącymi w tykwie, jesteśmy więc ignorantami w wielu dziedzinach. Przepraszam, jeżeli...

— Niepotrzebne są żadne przeprosiny — przerwał jej szybko. — Oczywiście, nie wiedziałas, dlatego zapytałaś.

Chex przypomniała sobie, że Esk wspomniał o czymś takim mimochodem.

— Co do przeprosin... Czy to prawda, że twój gatunek robi to przez pocałunek?

— Oczywiście, że nie! Co ci nasunęło ten pomysł?

— Może mylnie zinterpretowałam aluzję. Esk mówił coś o mosiężnych.

— Oni robią to właśnie w ten sposób. Bria obraziła Eska, więc pocałowała go.

— Szkielety nie robią tego w ten sposób? To byłoby interesujące!

— Z pewnością nie. Jak moglibyśmy całować?

— Rozumiem twój punkt widzenia. Jednak w takim razie...

— Pukamy się czaszkami.

— Czy to boli?

— Boli?

Zdawała sobie sprawę, że ból może być obcym pojęciem dla stworzeń, które nie mają delikatnego ciała.

— Myślę, że rozumiem. Ale przypuśćmy, że szkielet obrazi mosiężną? Czy wtedy się pocałują, czy stukną głowami?

— W jaki sposób szkielet mógłby obrazić mosiężną? – zapytał.

To zapędziło ją w kozi róg i zmieniła temat.

— Mówiłeś, że są małe szkieleciki. Jak szkielety się rozmnażają?

— Bardzo prosto. On uderza ją tak mocno, że ona się rozlatuje. Nazywa się to zno-kautowaniem jej. Potem on wybiera trochę mniejszych kości i łączy je w szkielet dziecka.

— Ale czy ona nie potrzebuje tych kości dla siebie?

— No a jak reprodukują się żyjące stworzenia?

— On umieszcza swoje nasienie w niej, a ona hoduje źrebię ze swojego ciała.

— Czy ona nie potrzebuje tego ciała dla siebie?

Chex zamyśliła się. Doszła do wniosku, że Marrow zdobył przewagę. W końcu dobiegli do terenu oznakowanego przez Xapa. Hipogryf był tam. Ucinał sobie drzemkę. Miał ciało centaura, przednią część gryfa, ogromne złociste skrzydła i złocistą głowę drapieżnego ptaka. Widać było, że lata młodości miał już za sobą, ale nadal był potężnym skrzydlatym potworem.

— Dzień dobry, ojcze! — zawołała Chex.

Xap wyszarpnął głowę spod skrzydła i wydał skrzekliwy

— On nie mówi za dużo — wyjaśniła Chex Marrowowi. Ale rozumiem go całkiem dobrze. — Zwróciła się do hipogryfa: — Ojcze to jest kościej Marrow z tykwy. Chciałby wrócić, gdyby mógł znaleźć jakąś osobę zorientowaną na jego okolicę.

Xap znowu zaskrzeczał. Chex zwróciła się do Marrowa, który pozostawał na jej grzbiecie zakutany w materiał w rybie ości.

— Wybacz. Mój ojciec mówi, że kiedy ostatnim razem zaglądał do tykwy, zobaczył tam jedynie jezioro szkarłatnego gnoju. Nie sądzę, żebyś chciał się tam znaleźć.

Szkielet pokiwał przytakująco głową. Gnoj sprawiał, wydawały z siebie nieprzyjemną woń.

— Ojcze — ciągnęła — szukam pomocy dla przyjaciela. Chciałabym poprosić o pomoc skrzydlate potwory. Czy sądzisz, że mogłabym się z nimi spotkać.

Xap odskrzeczał.

— Kto? Cheiron? — zapytała. — Nie, nie znam jego czy jej, ale wątpię, czy tego właśnie potrzebuję. Ojcze, chcę, żebyś zaprzestał swatania! Mówiłam ci wcześniej, że żaden zwykły centaur nie chce być partnerem uskrzydłonego centaura. Większość nie chce ze mną rozmawiać, nawet moja centaurza babka, a ona jest typowym centaurem. Lepiej się czuję ze skrzydlatymi potworami. Przynajmniej nie traktują mnie jak wybryku natury. Dlatego mam nadzieję, że one mogłyby pomóc, skoro centaury odmówiły.

Xap znowu zaskrzeczał.

— Ale ja nie mogę tam się dostać, to jest wysoko! — sprzeciwiła się Chex. — Jest niedostępne dla związanych z ziemią stworzeń!

Okazało się, że skrzydlate potwory mają twarde reguły. Wchodzą w układy tylko z tymi stworzeniami, z którymi spotykają się na swoim własnym terenie.

Chex zachowała zimną krew. Obawiała się tego wysiłku, ale wiedziała, że jest to jedyny sposób. Znała trasę, ale wątpiła, czy może nią podróżować. Najlepsze, co mogła zrobić, to zacisnąć zęby i spróbować. Wyjaśniła to Marrowowi, kiedy ruszyła górkim szlakiem.

— Czy to nie jest zabójcze dla stworzeń posiadających ciało? — zapytał.

— Bardzo.

— Czy zatem takie ryzyko wymaga od cielesnych stworzeń odwagi?

— Sądzę, że tak — zgodziła się.

Na szczęście centaury znane są ze swojej odwagi. Język wysechł jej w ustach. Bardzo żałowała, że nie udało się jej odnaleźć Dobrego Maga i nauczyć latania!

U stóp góry przystanęła, żeby oddać kał i mocz. Nie miało sensu wnoszenie zbędnego balastu do góry! Marrow stwierdził, że ten proces jest dość interesujący. Jego gatunek nie miał takiego doświadczenia.

— Życie wydaje się przypominać jakieś niewygodne przedsięwzięcie — zauważył.

Szlak prowadził stromo w górę. Wkrótce doprowadził ją do wezbranego strumienia wody, który był rezultatem oddawania moczu przez górę.

— Trzymaj się — ostrzegła Marrowa Chex. — Tutaj nie ma mostu. Muszę się przeprawić w bród.

Marrow przytrzymał się, a centaurzyca weszła do strumienia. Woda była lodowata; w jednej chwili zdrętwiały jej nogi. Strumień był coraz bardziej rwący. Poruszała się z dużym wysiłkiem.

Wtem, na środku, rzeka raptownie pogłębiła się. Chex nie potrafiła znaleźć odpowiedniego podparcia dla kopyt, a wartki strumień wody był zbyt gwałtowny, żeby mogła pływać.

Sfrustrowana i drżąca wycofała się.

— Nie mogę go przebyć! — powiedziała, niepewna, czy krople na jej twarzy pochodziły od kąpieli w rzece, czy z jej oczu.

— Pozwól mi zbadać tę sytuację — odezwał się Marrow.

Zsiadł z jej grzbietu, ściągnął ubranie i szedł wzdłuż brzegu, kręcąc czaszką w obie strony.

— Tak. Jest tak, jak myślałem. Tam jest jaskinia.

— Jaskinia? Tutaj? — zapytała. — Skąd wiedziałeś?

— Szkielety posiadają zmysł rozpoznawania rzeczy podziemnych — wyjaśnił. — W tej jaskini jest woda, nie tak zimna jak w rzece, o bardzo łagodnym prądzie i nie za głęboka dla ciebie. Poprowadzę cię przez nią, jeśli sobie życzysz.

— Tak! — wykrzyknęła zadowolona. Wtedy zdała sobie sprawę, że był szczegół, który on mógł przeoczyć. — Ale ja muszę oddychać. Czy tam jest powietrze?

Marrow pochylił czaszkę, kierując ją ku ukrytej jaskini.

— Trochę, w bąbelkach. Kilka kroków dalej. Mogę cię poprowadzić.

Chex zdecydowała się na ten krok.

— Zatem prowadź mnie! Tylko pamiętaj: potrzebuję oddechu, przynajmniej co minutę, w przeciwnym razie utonę.

— Co to jest utonięcie?

— Śmierć z powodu braku powietrza.

— Ach, tak! To nie jest wygodne. Spróbuję zapamiętać: powietrze co minutę.

— Gdzie dokładnie jest ta jaskinia? — zapytała niezupełnie spokojna, ale nie widziała lepszego rozwiązania.

— Tylko kilka kroków w górę strumienia. Jest dość poskręcany.

Uświadomiła sobie następny problem.

— To znaczy, że będziesz musiał mnie prowadzić, ale jeżeli to jest pod wodą, nie będziesz mógł mówić.

— Ja mogę mówić. Możesz jedynie mieć kłopoty z usłyszeniem mnie.

— Doceniam tę różnicę. Pozwól, że wyjaśnię ci, jak kierować mną bez słów. — Poinstruowała go, jak poprzednio Eska. Mógł prowadzić ją precyzyjnie z pomocą kości kolana i stóp. To wyeliminuje ryzyko zatonięcia. Może Marrow niezbyt się skupiał na tym, co mu tłumaczyła, ale ona i tak odczuła wielką ulgę.

— Prr! — powiedziały kości jego nóg. Chex przystanąła.

— Tutaj? Nic jednak nie widzę.

— Skręć! — powiedziało lewe kolano. Marrow był już w tym bardzo dobry! Skręciła do strumienia.

— Uwaga! — powiedziało jego kolano.

On stawał się coraz lepszy! Nie przypuszczała, że może być z niego taki jeździec! Weszła do rzeki, doświadczając jej śmiertelnego chłodu.

Łożysko rzeki raptownie się obniżyło. Było tutaj zadziwiająco głębokie. Kierowana kośćmi jego nóg, zatoczyła koło i ruszyła w dół rzeki, odkrywając dużą dziurę pod powierzchnią wody, pochyloną ukośnie względem brzegu i zakręcającą równoległe do rzeki. Tutaj była jaskinia!

Musiła pochylić głowę, żeby się do niej dostać. Zanim to zrobiła, po raz ostatni odwróciła się twarzą do szkieletu.

— Pamiętaj, musisz prowadzić mnie do powietrza co minutę. Jak z twoim wycuciem czasu?

— Jest znakomite — zapewnił ją. — Musimy być precyzyjni, jeżeli chodzi o czas, zarówno wtedy, kiedy tańczymy, jak i wówczas, kiedy uprawiamy hazard.

— Uprawiacie hazard? Jak to robicie?

— Rzucamy kości, oczywiście. To wspaniały sposób spędzania czasu pomiędzy kołowrotami.

— Kołowrotami?

— Przydzielone zadania. Kiedy napływa jakieś zamówienie na zły sen i my musimy to odegrać. Nigdy nie zawiadamiają nas z wystarczającym wyprzedzeniem, więc to może być prawdziwe szaleństwo. Nasza egzystencja składa się więc z długich okresów nudy poprzedzielanych krótkimi wstrząsami panicznego strachu. Jak na wojnie.

— Paniczny strach? Tego się obawiacie?

— Nie my, odbiorcy złych snów.

— Tak, ale nie uprawiaj teraz hazardu z określeniem czasu! Sama już prawie wpadłam w paniczny strach i nie potrzebuję do tego niczyjej pomocy!

— Pierwszy bąbel powietrzny jest w odległości zaledwie pięćdziesięciu dwóch sekund — powiedział.

Chex zrozumiała, że po prostu będzie musiała mu zaufać! Wciągnęła haust powietrza i zanurkowała pod powierzchnię do jaskini.

Przypomniała sobie teraz o swojej klaustrofobii. Kierowała się przecież do ograniczonego obszaru! Wypełnia go woda, powiedziała sobie. To stanowiło różnicę. Jaskinia nie mogła się zawalić, ponieważ nie była pod naciskiem — woda podtrzymywała ją. Musiała w to uwierzyć!

Unosiła się wbrew woli, co sprawiało jej trudność. Musiała podnieść ręce i raz mocniej, raz słabiej odpychać się od sufitu jaskini. Mocne naciski kolan Marrowa prowadziły ją, więc nie wchodziła w ślepe odnogi czy przewężenia. Miał rację co do temperatury wody. Nie była tak zimna, jak w rzece, chociaż nadal nie była przyjemna. Skrzydła również jej pomagały; pióra izolowały i chroniły górną część jej torsu. Czy on zakładał, że będzie posuwała się tak samo szybko, jak na łądzie, kiedy oszacował czas dotarcia do powietrznej bańki? Jeżeli tak, zajmie jej to kilka razy więcej czasu, a to oznaczało katastrofę! Czy nie powinna zawrócić, kiedy jeszcze czas?

Zdecydowała się na hazard. Poza wszystkim, jeżeli okaże się, że powietrze jest za daleko, nie będzie miała możliwości przebycia rzeki. Oprócz tego, jeżeli teraz zawróci, jej klaustrofobia pomyśli, że odniosła zwycięstwo, i nigdy więcej nie pozwoli jej spróbować. Zatem wszystko albo nic. Bańka musiała być w jej zasięgu.

Precyzyjnie, pięćdziesiąt dwie sekundy po wyruszeniu, jej głowa wyłoniła się w bańce powietrza. Chciwie wciągnęła powietrze; emocjonalna ulga była nawet większa od cielesnej. Marrow miał rację co do swojego znakomitego wyczucia czasu!

Powietrze szybko się zepsuło; nie był to duży bąbel. Ponownie wzięła oddech i ruszyła dalej, tym razem pamiętając, żeby zużyte powietrze wypuszczać ustami powoli. Oszczędzi jej to czasu, kiedy zderzy się z następną bańką, a także doda jej stopniowo rosnącego ciężaru, żeby kopyta mogły mieć lekkie tarcie.

Chłód wody sprawiał teraz, że drętwiały jej gałki oczne, powodując rozmazaną wizję. Było tutaj tak ciemno, że naprawdę nie mogła niczego dostrzec. Zmądrzała więc i zamknęła oczy dla ochrony. Teraz była całkowicie zależna od prowadzenia ją przez szkielec. Co dziwne, zmniejszyło to jej strach przed zamknięciem w ciasnej przestrzeni. Już nie była sobą, ale jakby wehikułem odpowiadającym na polecenia kierującego.

W ciągu czterdziestu jeden sekund doszła do następnego bąbla powietrza. Ten był większy, mogła więc pooddychać więcej, zanim ruszyła dalej.

Teraz Marrow poprowadził ją ostrym zwrotem w prawo. Jaskinia obniżyła się, potem

wystrzeliła w górę w samą porę, żeby dać jej następną bańkę powietrza. Zrozumiała, że nie podążają najkrótszą trasą, ale raczej tą, która gwarantowała powietrzne bąbelki co każdą minutę. Szkielet znakomicie wypełniał swoje zadanie!

Niemal dokładnie o czasie, kiedy obawiała się, że traci kontrolę nad swoimi kończynami z powodu pogłębiającego się zimna, jaskinia zakręciła w górę i jej głowa wyłoniła się z rzeki, blisko drugiego brzegu. Widocznie musieli ją przebyć!

Chex wdrapała się na brzeg i stała wstrząsana dreszczami. Jej ciało było w okropnym stanie, ale rozgrzewała ją wdzięczność dla Marrowa za przeprowadzenie jej przez to. Przebrnęła przez niemożliwą do przejścia barierę! Przewyciężyła nie tylko wyzwanie, jakim była rzeka, ale również zimno i własną klaustrofobię. Było to na swój sposób potrójne zwycięstwo.

— Wiesz — wykrztusiła, kiedy odtajała jej szyja — jeśli znajdziemy kogoś tam, w górze, kto nakierowany jest na Nawiedzany Ogród, może będziemy musieli poczekać z odesłaniem cię do tykwy, żebyś mógł przeprowadzić mnie przez jaskinię w powrotnej drodze.

Marrow wzruszył ramionami.

— Dlaczego nie? To bardzo przyjemna jaskinia.

Przyjemna jaskinia! Szkielet był oczywiście odporny na zimno i przyzwyczajony do działania w ciemności.

Podjęli wędrówkę na szczyt góry. Minęło bardzo niewiele czasu, a jej wydawało się, że minął rok, kiedy brnęła przez jaskinię od jednego bąbla do drugiego. Już rozgrzała się od wysiłku. Może naprawdę zdoła dojść do szczytu!

Czas — ile dokładnie go ma? Jeden dzień zajęło jej dotarcie do ojca, następny dojście do podstawy góry. Gdyby dotarła do szczytu w jeden dzień, zostawał jej jeden dzień na przekonanie skrzydlatych potworów do udzielenia pomocy. Potem trzydniowa droga powrotna na spotkanie z Eskiem i Polneyem. Wynikało z tego wyliczenia, że do tej pory mieściła się w czasie.

Myśl o Esku przypomniawszy jej, że spóźnił się na poprzednie spotkanie. To była paskudna przygoda! Gdyby demoniaczka Latia nie miała dość rozumu, żeby sama ich poszukać, już mogło być po Esku! Wszystko z tego powodu, że poprosił ją głupio o zakłęcie go, myśląc, iż będzie to błogosławieństwo. Ludzkie istoty kierowały się naprawdę szalonymi impulsami, które popychały je do irracjonalnych działań. Jakieś błogosławieństwo!

Przeżył to jednak i nawet sprowadził mieszkańca tykwy, który teraz okazał się dla niej znaczącą pomocą. Co mogło być przekleństwem dla Eska, okazało się — o ironio! — błogosławieństwem dla Chex.

Drugą osobą, którą Esk sprowadził, była mosiężna dziewczyna. Jej gatunek, jak się okazało, odrabiał pocałunkiem przypadkowe obrażenie kogoś i ewidentnie odpłacała

czymś takim Eskowi. Ludzkie istoty miały skłonność do ulegania przesadnym wpływom powierzchownych działań, zamiast kierować się rzeczywistymi i intelektualnymi przemyśleniami, jak robią to centaury. Było to jeszcze jedno z ludzkich obciążeń! Zastanawiała się czasami, w jaki sposób gatunek ludzki przeżył tak dobrze w Xanth. Z drugiego kopyta — mieli też pewne miłe cechy. Esk natychmiast ją zaakceptował i użył swojego magicznego talentu, żeby pomóc jej bezpiecznie wyjść z tarapatów. W samej rzeczy był bardziej wspaniałomyślny wobec niej niż centaury. Daleka była od potępiania ludzkich stworzeń! Prawdopodobnie ich cechy wartościowe równoważyły ich złe skłonności.

Mosiężna Bria pocałowała Eska i chłopiec, oczywiście, zadurzył się w niej. To naprawdę było przekleństwo! Na dodatek, jak na ironię, Esk w widoczny sposób nie dostrzegał tego aspektu klątwy. Czy możliwe, że jego wejście do tykwy naprawdę było błogosławieństwem? Jeżeli tak, musiało być potężne, ponieważ Latia wyjaśniła sposób, w jaki jej klątwy nabierały mocy, kiedy pozwalała im się akumulować.

Ta intelektualna zagadka była intrygująca, stanowiła więc dla niej rozrywkę podczas wspinaczki stromym zboczem. Załóżmy, że Esk został ugodzony bardzo potężnym błogosławieństwem. Zatem jej korzyść z pomocy Marrowa była tylko marginalna — była częścią tego błogosławieństwa ułatwiającą jej misję, a także misję Eska. A Bria... Możliwe, że będzie o wiele ważniejsza dla misji, niż przypuszczali.

Była jednak stworzeniem z tykwy. Oznaczało to, że będzie musiała do niej powrócić, ponieważ jej obecność w tym świecie nie była bardziej cielesna niż Eska w tykwie. Musi powrócić do swojego świata albo w końcu zniknie. Co wtedy z jej związkiem z Eskiem?

Założmy, że taki związek byłby możliwy. Mimo wszystko Bria naprawdę wyglądała jak człowiek, choć ciało miała z metalu. Przypuśćmy, że Esk nie zechce jej opuścić. Istniała olbrzymia tykwa, do której wszedł zombi. Esk mógłby wejść tam fizycznie i udać się za nią po to, by sprowadzić ją tutaj w ciele fizycznym.

Jeśli Marrow i Bria fizycznie pozostawali w tykwie, to nie powinno być możliwe wyprawienie ich z powrotem do domu po prostu przez odnalezienie jakiejś osoby lub stworzenia z zewnętrznego królestwa, które zajrzałoby do dziurki i zabrało ich ze sobą. Musieli zatem być fizycznie w świecie zewnętrznym. Chex była pewna, że żaden z obywateli tykwy nie osiedlił się tutaj, na zewnątrz. Nie było o tym wzmianki w historii; jej samka poinformowałaby ją o czymś takim. Musiała więc istnieć jakaś przyczyna, dla której nie mogli przeżyć przez dłuższy czas na zewnątrz. Co to mogło być?

Przypomniała sobie, że ma źródło informacji pod ręką.

— Marrow, jakie byłyby konsekwencje, gdybyś nie zdołał wrócić do swojego królestwa w tykwie?

— Powoli zacząłbym zanikać — odpowiedział wprost. — Mimo wszystko jestem je-



dynie personelem złych snów.

— Jeśli więc Bria, biorąc ją za przykład, chciałaby tutaj pozostać, to czy nie może?

— Nie może... chyba że ktoś odda jej prawo do duszy.

— Prawo do duszy?

— My, stworzenia z królestwa snów, nie mamy dusz, oczywiście. To jest podstawowa rzecz, która odróżnia nas od was, żyjących. Gdybyśmy mieli dusze, moglibyśmy przejść tutaj ożywieni i być w stanie normalnie przeżyć w tutejszych warunkach.

Teraz Chex przypomniła sobie: w tykwie było ogromne zapotrzebowanie na dusze! Powód stał się jasny.

— Moja samka dała połowę duszy nocnej marze Imbri.

— Tak. Połowa duszy staje się całą duszą, kiedy się wypełnia. Zajmuje to trochę czasu, ale w odpowiedniej chwili jest gotowa.

— Jeżeli więc ktoś dałby ci pół duszy, czy mógłbyś żyć tutaj przez czas nieograniczony?

— Tak, ale nie chciałbym tutaj mieszkać. Zdumiony jestem tym, że wy tutaj przykładacie tak dużą wagę do wstydlivosti i nieustannie robicie wokół tego zamieszanie.

Chex pokiwała głową. Wierzyła, że znalazła rozwiązanie problemu Eska, jeśli ta sprawa się rozwinie. Oczywiście, o ile ona przeżyje tę górską wędrówkę. Była pewna, że Esk nie będzie w stanie sam znaleźć rozwiązania; brak mu było rozsądku centaurów.

Otrząsnęła się z zamyślenia i odkryła, że trakt się zwęża. Byli teraz dość wysoko, a zbocze stawało się strome. Jej kopyta ledwie znajdowały miejsce oparcia na coraz bardziej zwiększającej się pochyłości ścieżki.

Potem stała się dla Chex zbyt wąska. Obwód jej ciała powodował, że środek ciężkości leżał daleko poza górską ścieżką. Jeżeli będzie próbowała iść dalej, niewątpliwie spadnie.

Musiała się zatrzymać. Ślad ścieżki zaznaczał się spiralnymi okrążeniami — coraz wyżej i wyżej. Nad nią wznosiła się wzbudzająca grozę stroma ściana, a poniżej była porażająca umysł przepaść. Nie mogła wspiąć się na to urwisko, bo groziło to upadkiem i śmiercią. Co mogła zrobić?

— Czy nie ma tu w pobliżu jakiejś jaskini? — zapytała Marrowa.

— Żadnej jaskini — odparł szkielet.

— Boję się więc, że nie możemy iść dalej. To jest, jak mi wiadomo, jedyna trasa, ale jest zbyt wąska dla mojego ciała.

Szkielet zastanowił się.

— Ale nie wygląda na za wąską dla mojego ciała.

— Masz rację, ale to ja muszę dotrzeć do miejsca spotkania na płaskowyżu i porozmawiać ze skrzydlatymi potworami. One nie wysłuchają ciebie, bo nie masz skrzydeł.

— Nadal uważam, że mógłbym ci pomóc. Czy poradziłabyś sobie ze ścieżką, gdybyś

miała linę, której mogłabyś się trzymać?

— Tak, sądzę, że mogłabym. Nie mam jednak ze sobą liny. Jestem centaurem — używam łuku i strzał. Moje ręce nie są dość silne, żeby utrzymać na linie ciężar mojego ciała. Rozumiesz? Mój dziadek Chester ma bardzo silne ręce, on mógłby to zrobić, ale nie ja. — Zgrzytnęła zębami w poczuciu bezsilności. — Och, jak bardzo chciałabym móc latać!

— Ale mogłabyś się utrzymać, mając oparcie dla kopyt.

— Cóż z tego? Nawet gdybym miała tę linę, nie mogłabym jej przymocować, ponieważ nie widzę drugiego końca ścieżki.

— Rozejrzę się. — Marrow zsiadł i ruszył ścieżką. Kiedy zwęził się występ skalny, musiał iść tuż przy ścianie i stąpać ostrożnie, ale było i oczywiste, że nie odczuwa lęku przed wysokością czy upadkiem. Była to jakby następna korzyść z bycia nieżyjącym.

Przebył zakręt i zniknął z pola widzenia. Po chwili wrócił.

— Tam jest skała, której mogłbym się przytrzymać — stwierdził.

— To dobrze — powiedziała Chex, usiłując nie być niegrzeczna.

— Więc jeżeli po prostu kopniakiem rozdzielisz mnie na części, a potem rozciągniesz wokół zakrętu, żebym mógł uchwycić się chociaż jedną ręką, wszystko będzie dobrze.

Chex aż zatrzęsała się z konsternacji. Czy Marrow sugerował, że ona ma mu pomóc w popełnieniu samobójstwa?

— Co?!

— Nie dopuść tylko, żebym spadł z tej krawędzi — powiedział. — A teraz kopnij mnie mocno.

— Ale to cię zniszczy! — krzyknęła przerażona.

— O nie. Potrafimy z łatwością odzyskać kształt, kiedy się przygotujemy. Rozrzuć mnie kopnięciem, a potem wyjaśnię ci następny krok.

Chex miała ogromne trudności z zaakceptowaniem tego, ale w końcu zrobiła to, o co prosił. Wycofała się ścieżką aż do miejsca, gdzie ta się rozszerzała, zawróciła i pobiegła tam, gdzie on przytrzymywał się solidnego głazu. Potem kopnęła go z całej siły tylnym kopytem w kość biodrową

Szkielet rozleciał się na kawałki. Kości poszybowały w powietrze. Wtedy jednak stało się coś dziwnego. Kości nie rozłączyły się zupełnie, a utworzyły linę, która zawisała na zboczu.

— A teraz podciągnij mnie wyżej — dobiegł ją głos Marrowa.

Cofnęła się do poprzedniego punktu, a potem znowu ruszyła do przodu. Zebrała odwagę i zerknęła w dół. Lina z kości zwisała na zboczu. Mniej więcej w połowie była czaszka, która znowu się odezwała:

— Wciągnij mnie.

To była dziwna magia! Chwyciła kość i podciągnęła ją do góry. Kość palca Marrowa

nie była już połączona z kością dłoni, a kość dłoni z kośćmi nadgarstka. Jedna kość palca połączona była z drugą kością palca, a ta z następną i tak dalej, tworząc linię. Wciągała linię do góry, kość po kości, zauważając, że palec i kości ramienia łączą się z żebrami i kośćmi szyi, a na końcu z czaszką.

— A teraz przerzuc resztę wokół góry — powiedziała czaszka. — Powyżej poziomu tej ścieżki. Ten głaz jest niemal w zasięgu twojego wzroku.

Chex posłuchała. Rozhuściła linię z kości, tam i z powrotem, jak wahadło, aż koniec liny znalazł się na odpowiedniej wysokości i wtedy puściła ją, a ta wystrzeliła do przodu i pacnęła o górę.

— Mam to! — wykrzyknęła czaszka. — Teraz ciągnij mnie mocno. Chex popatrzyła na łuk kości.

— Jeśli pociągnę za mocno, nie rozlecisz się?

— Nie sądzę. Ostrzegę cię, kiedy zbliżymy się do granicy mojej wytrzymałości.

Więc jeszcze raz pociągnęła linię, a ta naprężyła się. Po chwili czaszka wykrzyknęła:

— Wystarczy!

— Co teraz? — odkrzyknęła.

— Dotknij kością ramienia kości ręki.

Trzymała zwój liny z kości. Wykonała, co polecił — i natychmiast obydwie kości przywarły do siebie jak namagnesowane.

— A teraz użyj mnie dla podtrzymania twojej równowagi! — krzyknęła czaszka. — Spróbuj nie napręzać mnie za bardzo.

Chex spojrzała na wąską ścieżkę z rozciągniętą powyżej linią z kości. Wyglądało to na niesłychanie ryzykowne, ale Marrow wiedział, co robi, więc musiała mu teraz zaufać.

Chwyciła się liny i ruszyła nad przepaścią. Występ skalny był za wąski, żeby pomieścić jej masywną, końską część ciała i nie mogła podeprzeć się nogami. Skrzydła pogarszały jeszcze sytuację, ponieważ dodawały szerokości jej ciału, kiedy były złożone. Nie było tutaj miejsca na ich rozłożenie. Mocno przywarła do liny, a jej ciało coraz bardziej traciło równowagę i przechylało się nad przepaścią, poniżej ścieżki. Nigdy nie bała się wysokości, jedynie głębiny, ale teraz niesłychanie łatwo mogła nabawić się tego rodzaju fobii.

Ręce miała coraz bardziej spocone, ale nie mogła ich przetrzeć. Miała nadzieję, że kości nie mają łaskotek.

— Bardzo dobrze — powiedziała czaszka Marrowa, tuż pod jej ręką.

Przestraszona Chex nieomal wypuściła linię. Przez chwilę zapomniała o charakterze liny!

— Dziękuję ci — mruknęła krótko.

Posuwała się wzdłuż kości żeber, kręgosłupa i bioder, myśląc o ich prawdziwej naturze, o tym, że nie pochodzą od żadnej kapryśnej ludzkiej istoty. Nie chciała docie-

kać, w jaki sposób są one w stanie utrzymywać się razem w takiej postaci. Marrow był o wiele bardziej zdumiewającym stworzeniem, niż sądziła na początku!

Na końcu dotarła do miejsca, gdzie ścieżka rozszerzała się i był zaczepiony palec kończący linę. Znalazła wgłębienie w skale i zaczepiła się w nim. Zdała sobie sprawę, że tylko to utrzymywało linę, a co za tym idzie — jej przechylone ciało. Bardziej by uważała, gdyby wiedziała!

Stała na nogach i puściła linę.

— Przeszłam! — zawołała do czaszki. — Co teraz?

— Wciągnij mnie — zawołała czaszka, kiedy lina opadła luźno drugim końcem w dół. Tamten palec musiał ją puścić.

Wciągnęła kości.

— Dobrze — powiedziała czaszka, kiedy dotarła do góry, obrzucając ją szybkim spojrzeniem oczodołów.

— Jak ty pozbierasz się do poprzedniej postaci? — zapytała Chex.

— Do tego będę potrzebował pomocy — przyznała czaszka. — Będziesz musiała zostawić kości razem w prawidłowej kolejności.

— Ale ja nie znam prawidłowej kolejności. Mam o tym tylko bardzo ogólne pojęcie.

— Pokieruję tobą.

I tak się stało. Dotykała każdą kością innej kości wskazanej przez Marrowa, a ta przyczepiała się natychmiast. Wkrótce Marrow był z powrotem w prawidłowej postaci szkieletu.

— Im więcej się o tobie dowiaduję, tym bardziej cię szanuję — oznajmiła mu, kiedy robota była zakończona. — Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, że kości mogą być tak uniwersalne.

— Dziękuję ci. Muszę wyznać, że twoje ciało nie jest tak niezdarne i odpychające, jak przypuszczałem.

— Dziękuję ci — powiedziała, nieznacznie się uśmiechając.

Ruszyli w górę zbocza. Teraz droga była łatwiejsza, a zbocze stopniowo się wyrównywało. Zbliżali się do grani. W samą porę, ponieważ dzień dobiegał końca, a nie chciała być na tym szlaku w nocy. Gdyby jakiś skrzydlaty potwór pomylił ją z nocnym łupem, jej położenie stałoby się trudne.

Doszli do górskiej rozpadliny. Przecinała ścieżkę tuż przed nimi. Pewnie zaczęła się jako szczelina i rozszerzyła się z czasem, aż teraz stała się straszliwą przepaścią. Jak ona ma ją przejść?

Rozejrzała się wokół. Rosło tu kilka skarłowaciałych drzew i jakieś zielsko; zauważyła też uschnięte gałęzie i porozrzucane różne kamienie. To wszystko. Jeszcze raz spojrzała w kierunku płaskowyżu. Był absolutnie poza zasięgiem jej skoku. Dostrzegła, że prze-

paść nigdzie się nie zwięzła. W istocie najwęższa była tutaj. Cały wierzchołek góry był odłupany, a płaskowyz spotkań był po drugiej stronie.

— Chciałabym cię przerzucić na drugą stronę, ale to za daleko dla mnie — powiedziała do Marrowa.

— Nie widzę żadnego uchwytu dla rąk — zauważył szkielet. — A gdyby nawet był, obawiam się, że nie mógłbym utrzymać twojego pełnego ciężaru. Spoistość nie sięga tak daleko.

— Z całą pewnością — zgodziła się. — Zrobiłeś więcej niż można. Nie poprosiłabym cię o tę próbę, nawet gdybym miała wystarczająco silne ramiona, żeby podołać takiemu przejściu. Musi istnieć inny sposób.

Ale czy istniał? Żadne z uschniętych drzew nie było wystarczająco duże, żeby z niego zbudować most; kamienie też się do tego nie nadawały. Chyba że...

Wzięła się do pracy, odrzucając myśl o ryzykowności tego przedsięwzięcia. Pozbierała drewno i potoczyła kamienie. Utworzyła z nich stertę nad krawędzią przepaści. Ułożyła je najstaranniej jak mogła, budując rampę, która wznosiła się dość wysoko nad gruntem. Marrow przyglądał się tej działalności pustymi oczodołami.

— Czy nie tracisz w ten sposób siły, której potrzebujesz do przebycia przepaści? — zapytał.

— Buduję rampę — wyjaśniła. — Mam nadzieję, że ona umożliwi mi wykonanie dłuższego skoku.

Zastanowił się.

— Sądząc po zademonstrowanej przez ciebie sile nóg i obecnej masie, uważam, że opadniesz niedaleko od odległego brzegu — powiedział, pokazując ręką odległość, której może jej zabraknąć.

Chex przypomniała sobie, jak dokładnie było obliczone jej poruszanie się w wodnej jaskini. To ją przeraziło. Miała nadzieję, że dodane podwyższenie będzie udaną sztuczką. Zużyła cały dostępny materiał. Nie mogła zbudować wyższej rampy.

Miała jeszcze jedną szansę.

— Nie mogę latać, ale skrzydła trochę mnie unoszą. Czy to wystarczy do pokonania tej odległości?

— Nie mam wiedzy o parametrach latania — odrzekł.

— Będzie musiało wystarczyć — powiedziała. — Pozwól mi przerzucić cię teraz, a ja dołączę za chwilę.

— Jak sobie życzysz.

Chwyła go za kości szyjne i biodrowe, zamachnęła się do tyłu i cisnęła go nad przepaścią. Wylądował jak sterta kości, ale po chwili wyprostował się. Nie groziły mu sinia-ki. Przerzuciła też swój łuk i kołczan ze strzałami oraz plecaczek. Nie chciała mieć żadnego dodatkowego obciążenia podczas skoku.

Następnie, po chwili zastanowienia, znowu załatwiła swoje naturalne potrzeby. Bardziej już nie mogła zredukować swojej wagi. Nie jadła podczas tej wspinaczki i była głodna, ale w tej chwili to było korzystne.

Przyszedł czas na działanie. Podeszła do końca szerokiej ścieżki i zaczęła biec. Przyspieszała stopniowo, płynnie, oszczędzając się na końcowy wysiłek. Uderzyła kopytami o rampę i przy samej krawędzi odbiła się i skoczyła w powietrze.

W chwili, kiedy znalazła się nad przepaścią, rozłożyła skrzydła i trzepotała nimi z całej siły. Czuła od nich powiew, ale wiedziała, że to nie wystarczy. Jej wysiłki w tym względzie były tylko symulowaniem latania.

Kiedy jej przednie kopyta opadły na skałę — wiedziała już, że dokonała tego. Podsunęła tylne kopyta do przodu, żeby ubezpieczyć się przy lądowaniu, i wykonała drugi mały skok, żeby się dobrze nakierować. Po raz pierwszy w jej życiu, skrzydła odegrały znaczącą i pozytywną rolę. Jak bardzo była zadowolona, że rozbudowała mięśnie klatki piersiowej!

Zaryła kopytami i zwróciła się twarzą do Marrowa. Ciężko dysząc, powiedziała:

— Mam nadzieję, że to ostatni wyczyn hazardowy na tym szlaku!

— Interesujące — zauważył. — Twoje skrzydła znakomicie przedłużyły zasięg skoku.

— Bardzo interesujące — zgodziła się kwaśno.

Przypuszczała, że szkielety niezbyt ulegały emocjom, chyba że chodziło o wytwarzanie terroru złych snów. Zjadła kilka owoców, następnie założyła plecaczek, łuk i kołczan.

— Teraz już nie może być daleko — rzuciła.

— Nie jest — zgodził się Marrow. — Oni są tuż, za następną granią.

— Skąd to wiesz?

— Mogę wyczuć drganie gruntu, gdy lądują.

Widocznie szkielety były bardzo wyczulone na drganie gruntu!

— Bardzo dobrze! Pójdę skoczyć głową naprzód.

— Głową naprzód? Planujesz zbudowanie nowej rampy?

— Rampy? Nie, chyba że potrzebny jest następny skok!

— Skakanie głową naprzód to skłonność do pakowania się w kłopoty.

— To także skłonność do teatralnych gestów.

— Zadziwiająca.

Wspięli się na szczyt góry. Przed nimi otwierał się wyniosły płaskowyż, a na nim znajdowały się skrzydlate potwory. Wszystkie gatunki: gryfy, smoki, ptaki roki, sfinksy i inne mniej znane stworzenia, takie jak hipogryf.

Xap wystąpił do przodu. Zaskrzeczał.

— Rozumiem — powiedziała Chex. — Muszę zrobić to sama, bo inaczej nie wysłu-

chają mnie. Czy one teraz słuchają?

Zaskrzeczał potwierdzająco.

— Skrzydlate potwory! — zaczęła Chex. — Przybyłam tutaj w imieniu polników z Doliny. Demony wyprostowały rzekę Pocałuj-Mniee i stała się brzydka, ma już nawet inną nazwę. Demony przeszkadzają kopaczom w przywróceniu naturalnych meandrów rzeki. Czy pomożecie powstrzymać demony, żeby rzeka mogła być odtworzona?

Rozległa się paplanina skrzeczenia, syczenia i ryków. Następnie zaskrzeczał Xap.

— Zdecydują jutro — przetłumaczyła Chex. Xap znowu skrzeczał.

— Muszę spotkać się z Cheironem? — upewniła się. — Wspomniałeś o nim wcześniej. Ojcie, wiesz, że mam kłopoty z centaurami! Moja babka nie chce ze mną rozmawiać, a centaury z Wyspy nie pozwoliły mi nawet stanąć przed nimi.

Hipogryf wzruszył ramionami i poniechał tego tematu. Pomógł jej zdobyć coś na kolację i pokazał odpowiednie miejsce na nocleg. Marrow, który nie potrzebował snu, spędził noc spacerując dookoła i zawierając znajomości z różnymi potworami.

— Większość z nich wypadłaby wspaniale w złych snach — zauważył.

Rano Xap wyjaśnił mechanizm decyzji. Ponieważ język stanowił problem dla wielu potworów, było więc logiczne, że ich warunki będą przedstawione przez przywódców. Ona mogła reprezentować racje polników, a Cheiron racje skrzydlatych potworów. Wygra ta racja, która będzie najbardziej przekonująca.

Chex zrozumiała, że poprzedniego dnia popełniła błąd. Nie chciała być przedstawiona centaurowi, a teraz Cheiron był zły. Musiała być formalnie w opozycji do niego. Sądziła, że poprowadzi swoją sprawę przeciwko jednemu z obdarzonych ptasim mózdzkiem potworów i wygra. Centaur jednak to była inna sprawa. Teraz musiała stanąć przeciwko intelektowi porównywalnemu z jej własnym.

Tak, ale było już po wszystkim. Może Cheiron zrozumie ciężkie położenie polników i zapomni o osobistym afroncie. Będzie musiała przedstawić to możliwe najlepiej.

Wyszła na spotkanie Cheirona, ale nad płaskowyżem przesuwała się ogromna płachta mroku. Wyglądało to tak, jakby zbliżała się chmura burzowa.

— Co to jest? — zapytała zmieszana.

Xap zaskrzeczał.

— Światło i ciemność? — powtórzyła. — Ja jestem światłem, on jest ciemnością? Jak mogę przedstawić swoją sprawę?

Xap ponownie zaskrzeczał.

— Za pomocą umysłu?

Tak, o to chodziło. Zakładała, że przedstawienie prośby będzie werbalne i logiczne, teraz zrozumiała, że nie była to jedynie kwestia posiadania przywódców, żeby dokonać prezentacji. Same prezentacje musiały być przedstawione w postaci zrozumiałej dla mniej wyrafinowanych potworów. Stąd światło i ciemność. Latające stworzenia były do-

bre w rozpoznawaniu cieni.

Skrzydlate potwory ustawiły się w krąg. Były nieruchome jak posągi. Czekają.

Pomyślała o Dolinie Kopaczy, takiej jaką opisał Polney, w jej oryginalnym stanie. Pokrytej zielenią, spokojnej, przyjemnej. I o rzece Pocałuj-Mniee pieszczącej Dolinę meandrami. O tym, że wiele stworzeń, które napiły się z niej, napełniło się dobrą wolą i miłością, bez, stwarzania kłopotliwych i niezręcznych, romantycznych związków, jak to działo się zazwyczaj ze źródłami miłości.

Światło rozbłysnęło wokół niej, znikając na górze w ciemności, a w przestrzeni pomiędzy tymi dwoma kontrastami uformował się obraz tego, co przekazała w swojej wizji.

Potem myślała o tym, jak do Doliny wkroczyły demony i skanalizowały rzekę, zastępując jej łagodne zakręty linią prostą. Obraz uniósł się, by pokazać obecne oblicze Doliny, gdzie umierała roślinność, a stworzenia unikały się wzajemnie. Mottem było Kopnij-Mniee albo Zabij-Mniee.

W końcu zaczęła swoją „mowę obronną”. Na obrazie pojawiły się podobizny latających potworów, które nurkując w dół, wypędzały demony z Doliny. Pojawiły się postacie polników-kopaczy, drążących tunele przez groble i ziemię, korygujących koryto rzeki, żeby Pocałuj-Mniee wróciła do swego naturalnego stanu. Może skrzydlate potwory potrafią przeciwstawić się straszliwym demonom.

Kiedy myślała, jej światło pojaśniało i odepchnęło ciemności dalej niż poprzednio, a sylwetki na ekranie świeciły. Maszerujące ogry wyglądały prawie szlachetnie, a demony były przerażone, kiedy obydwie siły uderzyły z ziemi i powietrza. Zwycięstwo było możliwe!

Nadeszła przeciwna mowa Cheirona. Ciemność ponownie zgęstniała na jasnym obrazie, a ekran zmalął, jakby się wycofał, aż stał się maleńki i odległy. Czy skrzydlate potwory obchodzi to, co zrobiły lądowe potwory? Przecież demony nie stanowiły zagrożenia dla stworzeń powietrza!

Chex nie czekała, aż Cheiron skończy. Wezbrała w niej fala emocji. Skrzydlate potwory musiały się tym zainteresować, ponieważ to, co raniło jeden z rejonów Xanth, wyrządzało krzywdę wszystkim rejonom, a to, co szkodziło potworom z lądu, również wyrządzało szkodę tym potworom z powietrza. Ludzkie istoty mogły być nieczułe na problemy nie-ludzkich rejonów, a centaury mogły być obojętne na sprawy nie-centaurów. Z pewnością jednak skrzydlate potwory chciały mieć lepsze stosunki z innymi stworzeniami!

Kiedy wyświeciła te myśli, światło odzyskało siłę i odepchnęło ciemność. Ciemność jednak znów natarła. Nie było powodu, żeby zakładać, iż skrzydlate potwory były tak głupie, jak potwory urodzone na ziemi; wszystkie z nich mogły zginąć na tej idiotycznej wyprawie.



Chex nie traciła czasu. Nawet jeśli wyprawa jest beznadziejna, wciąż była tego warta. Ten czyn powinien być dokonany bez zważania na możliwość niepowodzenia. Inne stworzenia mogły maskować swoje tchórzostwo wyrażeniem obojętności, ale skrzydlate potwory, najdzielniejsze ze wszystkich stworzeń, nie powinny w ten sposób postępować. Lepiej umrzeć na takiej honorowej wyprawie, niż żyć w hańbie niemieszania się, tak jak zrobili to ludzie i centaury. Ludzkie istoty nie wykazały troski wobec nieszczęść ludku kopaczy, ale inne zwierzęta powinny.

Jej światło pojaśniało i rozszerzało się, znowu zwyciężając ciemność, aż pozostało jej niewiele, tylko mała chmura. Teraz następne źródła światła zaczęły unosić się w górę, jak płomienie rozpalone przez fruwające iskierki. Te pochodziły od potworów otaczających wieńcem płaskowyż. Zgadzały się z nią!

Ciemna chmura skurczyła się, aż ostatnia postać poruszająca się w niej stała się widoczna. I nagle Chex zrobiło się słabo.

Cheiron był skrzydlatym centaurum!

Powinna była zdać sobie z tego sprawę wcześniej! Prawidłowo zidentyfikowała jego imię jako typowe dla centaury, ale nie połączyła tego z faktem, że na tym płaskowyżu każde stworzenie jest skrzydlate. Ścieżka, którą szła na szczyt, była mało używana i nie zauważyła na niej śladów żadnego centaury. Jedynym sposobem, w jaki Cheiron mógł się tutaj dostać, było latanie. To powinno stać się dla niej oczywiste od razu. Popełniła błąd. Zraziła sobie jedyne stworzenie swojego unikatowego gatunku.

Ostatnie kłęby ciemności ponad nią rozwiały się i zaświeciło słońce, ale w sercu Chex zaległa nowa ciemność. Jak mogła być taka uparta!

Cheiron sfrunął ku niej, a słońce igrało w jego srebrnych skrzydłach i złotych podkowach. Był najprzystojniejszym centaurum, jakiego kiedykolwiek widziała! W dojrzałym wieku — z pewnością był starszy od niej — dobrze umięśniony i pięknie zbudowany. I potrafił fruwać!

Wylądował przed nią i złożył skrzydła, ale ona była zbyt zmartwiona, żeby spojrzeć mu w oczy.

— Podoba mi się twój umysł, źrebico — powiedział. — Przedarłaś się tutaj do góry, wywalczyłaś swoją drogę przez ciemność, którą rozsnułem. Twój ojciec miał racje, opowiadając mi o tobie. Jesteś wartościowym stworzeniem nie tylko dlatego, że jesteś jedyna z mojego rodzaju w Xanth. Przybyłem z daleka, kiedy usłyszałem o tobie, mając nadzieję, że jesteś tego warta.

Nieśmiało, oblewając się czerwienią w skandalicznie ludzki sposób, spojrzała na niego. Uśmiechał się.

— Ty... ty nie jesteś na mnie zły, że nie spotkałam się z tobą wcześniej?

— Byłem wściekły — powiedział. — Ale jesteś jeszcze młoda i nie można po tobie oczekiwać opanowania wszystkich towarzyskich grzeczności, szczególnie, kiedy więk-

szość centaurów cię odrzuca. Wiem, jak to jest, uwierz mi, wiem. Przynajmniej dało mi to pretekst do wypróbowania twojego temperamentu. Skrzydlate potwory polecą do Doliny Kopaczy. Przekonałaś je. A ja...

Popatrzyła na niego, ogarnięta pożądaniem młodocianego stworzenia w obecności cudu. Jakimż to stworzeniem on był!

— A ty...

— Zapraszam cię, przyleć do mnie.

Odwrócił się, rozłożył skrzydła i wystartował, pozostawiając ją w podmuchu powietrza, które tylko trochę było gwałtowniejsze od jej uczuć. Musiała nauczyć się latać!

## Rozdział jedenasty

### Ogr

Szli drogą do Zamku Roogna. Chex obiecała księżniczce Ivy, że wyśle Eska z wiadomością, kiedy go odnajdzie, a Ivy ze swojej strony obiecała, że coś jeszcze wymyśli, żeby zapewnić im jakąś pomoc w ratowaniu rzeki Pocałuj-Mniee. Jak się okazało, mała Ivy starała się prawie tak bardzo, jak powinni byli zrobić to jej rodzice.

— Kto to jest Ivy? — zapytała Bria.

Esk wyjaśnił, ponieważ Bria miała oczywiście bardzo niewielką wiedzę o hierarchii w Xanth.

— Ależ ona jest córką Iren! — wykrzyknęła Bria. — Moja matka, Blythe, znała Iren.

— Naprawdę? — zapytał zdumiony Esk. — Jak to możliwe?

— Kiedy twój ojciec ogr rozgromił społeczność Morrowa, ruszył dalej, żeby zniszczyć mosiężnych, i uprowadził Blythe do swojego świata. Tam poznała kilkoro interesujących ludzi, włącznie z twoją matką Tandy. Potem przybyła, żeby pomóc marze Imbri w ratowaniu waszych królów.

— Dlaczego wcześniej mi tego nie powiedziałaś? — zapytał.

— Nie sądziłam, żeby to było istotne. Poza tym dziewczyna musi być ostrożna z ogromi. Twój ojciec zrobił mojej matce wklęśnięcie.

— Nigdy nie zrobiłby czegoś takiego! Zawsze był lojalny wobec mojej matki!

— Mówisz, że to nieprawda? Wprawiasz mnie w zakłopotanie.

Esk zamyślił się. Zapowiadały się komplikacje.

— No nie, nie mówię tego.

— Więc co mówisz?

— Że musi to być jakieś nieporozumienie.

— Ach! — Wydawała się rozczarowana. — W końcu jednak wyszła za mojego ojca, ale myślę, że trochę tęskniła za światem zewnętrznym. Wyrastałam w wielkiej ciekawości tego świata. To dlatego się zgubiłam. Szukałam drogi wyjścia.

Esk uśmiechnął się.

— Tak, znalazłaś drogę wyjścia!

— Nie, to ty ją znalazłeś. Naprawdę to nie jestem na zewnątrz, chociaż utkwiałam w pułapce tutaj w taki sam sposób, jak ty byłeś uwięziony wewnątrz.

— Chcesz powiedzieć, że twoje ciało nadal jest na Ścieżce Zatracenia?

— Nie. Ale również nie jestem naprawdę na zewnątrz, ponieważ w chwili, kiedy wrócisz do tykwy, ja wrócę również. Albo rozpułnę się, albo coś jeszcze — nie wiem dokładnie, co się stanie, ale wiem, że nie będzie to dobre. Muszę znaleźć więc sposób, żeby się utrwalić, żeby nie wpaść tutaj w tarapaty.

— Chex znalazła fizyczną drogę do tykwy! — wykrzyknął Esk. — Przez zombi-tykwę! Może gdybyś wróciła przez nią...

— Przejdźcie przez nią też nie jest dla mnie lepsze.

— Ależ myślałem, że... Spojrzała na niego badawczo.

— Nie powinieneś starać się myśleć, Esk. To niedobre dla ogrów.

— A może powinnaś wrócić tam ze mną, a potem wyjść przez tę dużą tykwę. Wtedy wydostaniesz się bez niczyjej pomocy i nie będziesz zależna ode mnie.

— To też na nic. Pamiętaj, że jestem na Ścieżce Zatracenia.

— Tak, ale jeśli znajdziemy kogoś, kto wejdzie do tykwy w okolicy twojego domu, wtedy ta osoba będzie mogła cię ściągnąć z powrotem, i nie będziesz już zgubiona.

— Tak, ale nadal nie wiem, gdzie jest zombi-tykwa. Ponownie mogę się zgubić, kiedy będę jej szukała.

— To śmieszne! — warknął. — Możesz przecież wziąć mapę, czy coś takiego, i odzukać ją. Ktoś tam u was musi wiedzieć, gdzie to jest!

— Uważasz, że jestem śmieszna! — wrzasnęła, a jej mosiężna twarz nachmurzyła się.

— Wprawiasz mnie w zakłopotanie!

No tak. Usiłował unikać kłopotów, ale i tak w nie wdepnął.

— Przepraszam. Nie miałem na myśli...

— W ten sposób się nie przeprosza!

Esk popatrzył na nią, a potem na Latię z poczuciem bezsilności.

— Nie ociągaj się — powiedziała krótko Latia. — Przeprós ją we właściwy sposób.

— Taak — odparł Esk. Zatrzymał się i Bria się zatrzymała. Wziął ją w ramiona.

— Przepraszam, że wprawilem cię w zakłopotanie — rzekł i szybko ją pocałował.

Stała bez ruchu, przypominając mosiężny posąg.

— Nie sądzę, żebyś się do tego przyłożył — zauważyła Latia.

Esk spróbował jeszcze raz.

— Bria, bardzo żałuję, że cię zawstydziłem, i serdecznie cię przeproszam — powiedział i pocałował ją z całej siły.

Mosiężna dziewczyna dalej stała całkowicie znieruchomiała. Wyglądała jak odlana z metalu i postawiona tutaj dla zastygnięcia.

— Potrzebujesz instrukcji do całowania — parsknęła z pogardą Latia.

Dotknięty do żywego Esk, otoczył Brię ramionami, zakręcił nią i złożył pocałunek, który niemal pokaleczył jej wargi. Wtedy Bria w końcu się poruszyła.

— Przyjęte — wyszeptała.

— Ta dziewczyna byłaby znakomita na scenie — wymruczała Latia. — Rzadko spotyka się takie umiejętności kierowania.

— Co? — zapytał Esk.

— Nic — odparła stara kobieta, uśmiechając się nieznacznie.

Podjęli spacer w kierunku Zamku Roogna, ale Esk odczuwał teraz większe zawroty głowy, niż za pierwszym razem, kiedy Bria go całowała. Próbował przypomnieć sobie dokładnie, w jaki sposób ją obraził, ale nie udało mu się. Spróbował odkryć, co kobieta demoniaków miała na myśli, mówiąc o kierowniczych umiejętnościach Bria, ale natknął następną ślepą uliczkę.

W niedługim czasie doszli do Zamku Roogna. Księżniczka Ivy wybiegła im na spotkanie.

— Znalazłaś go! — krzyczała radośnie.

— Kopacz Polney go wywęszył — powiedziała Latia. — Centaurzyca i polnik musieli się udać na dodatkowe poszukiwania, ale sprowadziliśmy go z powrotem.

— Wygląda na oszołomionego — powiedziała dziewczynka.

— Spędził trochę czasu w tykwie.

— Och, to wszystko tłumaczy. — Wtedy dostrzegła Brię. — Cześć. Kim jesteś?

— Tylko tym czymś, co on wyłowił z tykwy — odparła Bria.

— Jesteś ze społeczności tykwy! Jakie to ekscytujące!

Esk odzyskał mowę.

— To mosiężna Bria. Jej matka znała twoją matkę.

— Mosiężna? Zatem twoją matką musi być mosiężna Blythe, którą ogr Smash obdarzył wkłęśnięciem!

Bria obrzuciła Eska drugim spojrzeniem. Esk prawie się zadławił. Na szczęście Ivy zmieniła temat.

— Znalazłam coś do pomocy! Zakłęcie odnajdywania ścieżki!

— Odnajdywanie ścieżki? — zapytał Esk, biorąc przedmiot, który mu podała. Wyglądał jak poskręcany drut.

— To zakłęcie odnajdzie dla ciebie ścieżkę — wyjaśniła Ivy. — Dokądkolwiek chcesz pójść.

— To proste. Chcę pójść i zapytać ogrów, czy nie pomogliby kopaczom. Ale nie obróć tam i z powrotem wcześniej jak za tydzień, chyba że masz więcej tych pigułek szybkości.

— Nie, nie ośmieliłam się wziąć ich więcej. Ktoś mógłby zauważyć, ale to zakłęcie jest

równie dobre. Zapytaj je o ścieżkę ogrów!

— Nie rozumiem. Potrafię znaleźć ogry. Potrzebuję tylko więcej czasu, niż mam.

— Więc poproś zakłęcie o ścieżkę, która zaprowadzi cię tam w czasie, którym dysponujesz — powiedziała rezolutnie.

— Czy zakłęcie może to sprawić?

— Jasne. Jest jednak jeden problem. Działa tylko raz dla każdej osoby.

— Cóż, mogę wrócić tą samą drogą, żaden problem.

Dziewczynka zmarszczyła czoło.

— Nie mam pewności, czy to możliwe. Nie sędzę, żebyś znalazł drogę bez niego.

— Znam ścieżkę tego rodzaju — zauważyła Bria. — Tylko ty nie możesz zejść z niej.

— Ojej, ale to musi być zabawa — stwierdziła Ivy.

— Myślę, że mógłbym użyć zakłęcia, żeby się tam dostać — powiedział Esk. — Miejmy więc nadzieję, że wrócę normalną drogą na czas. Może mi się uda.

— Możesz dostać się tu z powrotem, głuptasie — odpowiedziała Ivy. — Musisz mieć tylko przyjaciela, który użyje zakłęcia do odnalezienia drogi powrotnej.

— Ty masz rację! — wykrzyknął Esk. — Zawstydziałś mnie. Powinienem być o tym pomyśleć.

— Ho, ho! — zamruczała Latia.

— Zawstydziałś go — Bria zwróciła się do Ivy. — Będziesz musiała go przeprosić.

Ivy zainteresowała się.

— Ojej! Jak mam to zrobić?

— O, tak — odparła Bria i otoczyła Eska ramionami. — Przepraszam — wyszeptwała.

Potem pocałowała go.

— Nadzwyczajna — wymruczała z podziwem Latia. — Nie traci żadnej okazji!

— To wygląda jak zabawa — stwierdziła Ivy.

W tej samej chwili z fosy dobiegło pluśnięcie i coś zawyło.

— Och, Moatie\* znowu kogoś napastuje. Biegnę! — Ivy popędziła w stronę fosy.

Esk przyjrzał się zakłęciu.

— Myślę, że potrzebuję kogoś, kto by ze mną poszedł — rzucił w przestrzeń.

— Nie obawiaj się, obydwie z tobą pójdziemy — powiedziała Latia.

— Ale ja idę do krainy ogrów! — zaprotestował. — To może być niebezpieczne.

— Właśnie dlatego idziemy z tobą — powiedziała Bria. — Mężczyźni, kiedy są sami, zawsze wpadają w kłopoty.

Esk nie podzielał całkowicie jej argumentów, ale nadal był trochę wytrącony z równowagi ostatnimi pocałunkami, więc się zgodził.

Wiedział, że Bria drażniła się z nim tymi pocałunkami, ponieważ pochodziła z inne-

---

\*Moat — ang. fosa, tutaj zdrobnienie

go świata, do którego w końcu powróci. Pocałunki nadal jednak miały swoją moc. Gdyby tak mógł poznać prawdziwą dziewczynę podobną do niej!

— Lepiej dowiem się, jak używać tego zaklęcia — rzekł, spoglądając na odszukiwacz ścieżki.

— Z tym nie ma problemu — powiedziała Latia. — My, demoniaki, używamy ich od czasu do czasu. Unieś je, skup się na nim i wymów nazwę miejsca, do którego życzysz sobie znaleźć drogę.

— O! — Esk wyjął drut i otworzył usta.

— Zaznacz również, że chcesz najkrótszej drogi — dodała Latia. — Inaczej otrzymasz trasę widokową: będzie dłuższa niż ta, którą byś sam znalazł.

— Dziękuję ci za ten szczegół — powiedziała Bria.

Latia spojrzała na nią.

— Czy kpisz sobie ze mnie, dziewczyno? To by mnie zawstydziło.

— Nie. Wcale nie — odparła szybko Bria. — Ja tylko doceniłam to.

— Tak myślałam.

Kiedy Esk zobaczył demonstrację tych umiejętności kierowniczych, zdał sobie sprawę, że stara kobieta wcale nie była ciamajdą. Kobiety w każdym wieku wydawały się w tym lepsze od mężczyzn. Nawet mała Ivy potrafiła obejść zakaz ojca bez większych trudności.

Ponownie skierował swoją uwagę na zakłęcie odnajdywania ścieżki. Skoncentrował się.

— Najkrótsza ścieżka do Moczarów Bagiennych Ogrów — powiedział.

Zamrugał, ponieważ przed nim była ścieżka, której wcześniej nie widział. Była rozsądnie szeroka, twarda i czysta. Nie będzie kłopotów w podążaniu nią. Prowadziła jednak na południe.

— Moczary ogrów są na północy! — sprzeciwił się. — To jest niewłaściwa ścieżka.

— Bzdury — warknęła Latia. — Odszukiwacz ścieżki nigdy się nie myli. Lepiej zaufaj jemu, a nie prywatnemu osądowi.

Esk zrozumiał, że nie ma wielkiego wyboru. Jeśli nie zdecyduje się na zaoferowaną ścieżkę, będzie musiał znaleźć własną, co zajmie mu tydzień albo więcej, w jedną stronę. Wszedł na ścieżkę.

Latia i Bria poszły za nim. Ścieżka wiodła na południe, wchodząc w najgęstszą dżunglę. Potem, już poza zasięgiem Zaniku Roogna, zmieniła kurs, zakręcając na północ.

— Widzisz? Wie, dokąd prowadzi — powiedziała Latia.

— Ale jak to możliwe, że jest najkrótszą ścieżką, kiedy właśnie dodaje tę pętlę w kierunku południowym? — zapytał Esk.

— Może ma poczucie prywatności.

Ścieżka zakręcała w lewo i dalej się wiała, aż przecięła własną poprzednią trasę. Potem

wzięła ostry zakręt i zakończyła drugą pętlą tuż powyżej i wewnątrz samej siebie.

— Ta ścieżka bawi się z nami! — odezwała się Latia. — Nie krytykuj jej zbyt ostro, bo możesz ją obrazić.

Esk nie chciał całować ścieżki, więc powstrzymał się od dalszych komentarzy. Ścieżka dalej toczyła się spiralnie, aż podeszła dość wysoko i zwęziła się. Zataczali teraz koło pod kątem ostrym do poziomu wierzchołków drzew.

Potem ścieżka znowu wystartowała na północ, wzdłuż konaru; ogromnego drzewa.

— Widzisz, ona po prostu musiała podnieść się do tej wysokości — powiedziała zadowolona Bria. — To musi być żeńska ścieżka. Wie, co robi, nawet jeżeli inni tego nie wiedzą.

Esk miał taką nadzieję. Sękaty, poskręcany konar ginał w głębinie i listowia i cień był coraz głębszy. Musieli teraz bardzo uważać na stopy. Było tu wiele bocznych odgałęzień, ale potrafili rozróżnić, którędy iść, ponieważ to odgałęzienie, którym wiodła ścieżka, było bardzo zniszczone. Esk zastanowił się nad tym. Ścieżka Zatracenia w tykwie posługiwała się sztuczkami, żeby dotrzeć do miejsc, ponieważ była nie używana. Kto tak często używał tej?

— Prawdopodobnie jest tutaj kilka normalnych ścieżek — zauważyła Latia, odpowiadając jego myślom. — Może niektóre odnogi łączą się, koniec z końcem, żeby utworzyć jakąś szczególną trasę do szczególnego miejsca przeznaczenia. Ta odnoga była bardzo często używana, ale tylko przez stworzenia idące do innych okolic. Nie ma to wielkiego znaczenia, dopóki jej cel jest zbieżny z naszym.

Doszli do pnia drzewa. Była w nim dziura i ścieżka wchodziła do dziury. Wewnątrz było jak w tunelu. Był zdumiewająco rozległy, ciągnął się o wiele dalej, niż wynikało z obliczeń Eska, który sądził, że powinni wynurzyć się po drugiej stronie drzewa. Ściany stawały gładziej i wydawało się, że nieznacznie połyskują wilgocią.

Esk napotkał stalaktyt.

— Poczekajcie chwilę! — wykrzyknął. — Stalaktyty są w jaskniach!

— To jest dziwne — zgodziła się Latia. Przyłożyła dłoń do zwisającego stożka. — Mimo wszystko jest z drewna.

Esk dotknął go. Rzeczywiście, był z drewna. Ciemność nadała mu odmienny wygląd. W końcu tunel wyprowadził ich na inną gałąź.

— Czy to jest to samo drzewo? — zapytała Bria, mrużąc oczy od nagłego światła.

Rzeczywiście, wydawało się inne. Pień był gładziej i jego obwód wydawał się mniejszy. Zaciekawiony Esk zatrzymał się. Okrążył drzewo, aż znalazł się po stronie, gdzie weszli.

Nie było tam wejścia. Drzewo miało dziurę tylko po jednej stronie — po stronie, gdzie wyszli.

Zawrócił i zerknął ponownie do tunelu. Ciągnął się z powrotem i na końcu widocz-



ne było światło.

— Postępujesz tak, jakbyś nigdy wcześniej nie widział magicznej ścieżki — zauważyła Latia.

Esk zawstydział się, ale po męsku usiłował zwalczyć w sobie to uczucie, bojąc się bardziej konsekwencji niż samego zażenowania. Odwrócił się twarzą ku ścieżce i ruszył przed siebie.

To drzewo miało mniejsze gałęzie, które wyciągały się ku górze i zwisały. Niektóre obciążone były owocami. Esk sięgnął do góry i szarpnął pion, który huśtał się na przypominającym strunę pręciku. Piony zawsze rosły w ten sposób, prosto w górę i w dół, i huśtały się, kiedy dojrzały. Było to więc drzewo pionowe.

Chwilę potem natrafił na dwa pasujące owoce różnych typów. Były zielonkawo-żółte i grubsze u podstawy. Zerwał je równocześnie, ponieważ nie można ich było zerwać pojedynczo. Taka była natura par. Te również były bardzo dobre.

Trochę dalej był duży ananas. Ominął go, bo tego rodzaju owoc lubił wybuchać.

— To jest drzewo wszechstronnie owocowe — zauważyła Latia.

W końcu ścieżka zeszła z drzewa schodkami do ziemi i biegła wzdłuż małej rzeki.

Latia i Bria przyjrzały się jej. Ścieżka przecinała rzekę pod kątem, ale nie ciągnęła się po drugiej stronie.

— Jest tylko jedno wyjaśnienie — stwierdziła Latia i weszła do rzeki.

Nie zanurzyła stóp w wodzie. Pozostała na jej powierzchni, jakby jej stopy napotkały coś twardego. Zrobiła następny krok i stanęła na wodzie.

— Dokładnie to podejrzewałam — powiedziała. — Ta ścieżka prowadzi po rzece.

Esk w tym momencie wiedział, że lepiej tego nie kwestionować. Wszedł na wodę i stwierdził, że jest solidna jak lód, ale nie zimna. To była ścieżka. Powinien był zrozumieć to wcześniej, ponieważ ścieżka z zamku Dobrego Maga również przecinała wodę.

Bria poszła za nim.

— Myślę, że podoba mi się w zewnętrznym świecie — wyznała, obciążając spódnice.

Esk patrząc na nią odkrył, że woda, na której stała, ma właściwości odbijające. Mógł zobaczyć jej nogi aż do góry. Szybko spojrział w bok. Mimo że widział całe jej nogi w tyłku, zanim nałożyła sukienkę, poczuł się winny, że teraz na nie patrzy. Winny chęci zobaczenia ich.

— Czy ja cię zawstydzam? — zapytała Bria.

Był to drugi aspekt tej pułapki! Chciał jej powiedzieć prawdę, że ona wprawia go nieumyślnie w zakłopotanie, nie z własnej winy, ale wiedział, że to by tylko skomplikowało wszystko.

— Ja, hm, sam siebie wprawiam w zakłopotanie — powiedział.

Roześmiała się.

— Pakujesz się w kłopoty, usiłując to wszystko zrozumieć!

Kłopoty, rzeczywiście! Wiedział, że ona się tylko z nim drażni. Możliwe, że połapała się z tym odbiciem. Dlaczego jego emocje nie podporządkowały się intelektowi i nie pogodził się z tym, że mosiężna dziewczyna jest chwilową znajomością?

Rzeka rozszerzała się, aż odeszli dość daleko od brzegu. Teraz lilie wodne porastały jej spokojną powierzchnię, zasłaniając odbicia. Co za ulga! Dokąd zmierza ścieżka? Wydawało się, że mało dba o swój cel przeznaczenia. Czasami wiodła na północ, czasami na wschód albo zachód. Teraz prowadziła ich w kierunku czegoś, co zapowiadało się jako jezioro. Nagle się urwała. Latia, która teraz prowadziła, wpadła z pluskiem do jeziora, obok ogromnego liścia lilii wodnej.

Esk położył się na krawędzi solidnej części ścieżki, wysunął się do połowy i wyciągnął rękę, żeby ją przyholować. Szarpnął ją za rękę — i poczuł uderzenie. Co się dzieje?

Wtem Latia wystawiła głowę.

— Wybacz, Esk! Myślałam, że to pijawka albo coś podobnego. Wszystko w porządku. Ścieżka jest tutaj, w dole. Po prostu zejdziesz i zobacz sam.

Zanurzyła głowę.

— Czy zauważyłeś? Jej włosy nie były nawet mokre — powiedziała Bria.

Esk nie zauważył, ale teraz przypomniał sobie. Sięgnął pod wodę, ale rękę miał suchą.

Szedł brzegiem ścieżki i wpadł do wody. Wstrzymał oddech, ale okazało się, że niepotrzebnie. Tak naprawdę nie był zanurzony. W jednej chwili jego ciało przekręciło się, a stopy znalazły się po dolnej stronie liścia lilii wodnej. Stał w jeziorze do góry nogami!

Mógł oddychać. Zobaczył pływającą rybę, która była dla niego porównywalnie czymś innym — była powietrzem.

Spojrzał w dół (górze) drogi, którą przyszedł, i zobaczył nogi Bria. Były to bardzo ładne nogi. Oderwał jednak od nich wzrok i próbował opanować zmieszanie.

Wtedy wskoczyła Bria. Okręciła się wokół własnej osi i wylądowała obok niego na liściu lilii, który ugiął się pod ich ciężarem.

— Uważaj! — krzyknęła. — Nie chcemy go rozerwać i wypaść przez niego w niebo! Esk przeszedł na sąsiedni liść. Odkrył, że te liście nie mają łożyczek.

Przykucnął i dotknął palcem powierzchni jeziora pomiędzy liśćmi. Jego palec przebrał napięcie powierzchniowe i zawisł w powietrzu.

— Lepiej trzymaj się tych liści — powiedział. — Myślę, że są kamieniami umożliwiającymi przejście rzeki.

Szli dalej po nieregularnej trasie z zielonych liści. W końcu pochylenie łożyska rzeki obniżyło się tak, że musieli nachylać głowy. Kiedy stała się tak płytka, że nie mogli iść,

Esk spróbował przejść powierzchnię i odzyskać normalną orientację.

Znalazł się po biodra w wodzie, a przed nim była gęsta, kolczasta dżungla. Nie tędy prowadziła droga!

Wyłoniła się Latia.

— Tam są — powiedziała. — Chmury-kamienie.

Esk spojrział. Ponad jeziorem ciągnęła się wąska linia małych chmurek. Najbliższa i najniższa były w zasięgu kroku.

Wzruszył ramionami i wszedł na nią. Ugięła się nieznacznie, zachybotwała, ale utrzymała jego ciężar. Wszedł szybko na następną, która była wyżej i była większa, bardziej stabilna.

Wyłoniła się Bria.

— Och, lubię ten świat coraz bardziej! — wykrzyknęła. — W tykwie nie mamy niczego podobnego!

Esk powstrzymał się z uwagą, że on również nie widział tego w tym świecie, aż do chwili obecnej. Wcześniej nie podróżował zbyt wiele.

Chmurzaste kamienie przeprowadziły ich bezpiecznie przez jezioro, do odległego brzegu. Dlaczego ścieżka nie prowadziła prosto do brzegu, Esk nie potrafił odgadnąć. Nie miał jednak możliwości podważenia racjonalności zachowań ścieżki, dopóki nie zaprowadzi ich w ciągu trzech dni do krainy ogrów!

W końcu ścieżka wróciła na normalny szlak i skierowała się prosto na północ przez mieszane okolice — aż doszli do lustra.

Stało na ścieżce — pionowa tafla zamykająca ścieżkę, wystarczająco duża, żeby odbić całego człowieka. Esk byłby się zderzył z nim, ponieważ tak idealnie odbijało ścieżkę, że wyglądało to na jej kontynuację, ale zobaczył siebie zbliżającego się i zrozumiał, co ma przed sobą, zanim na nie wpadł. Zatrzymał się więc i podziwiał swoje trochę zniekształcone odbicie. Bria wyglądała o wiele lepiej, a Latia gorzej.

Zerknął za lustro. Za nim było gęste pole przeklętych osełek. Nie do przebycia. Po bokach rosły świerzbowe rośliny. Ponad tym wszystkim zwieszało się listowie dębu o trujących żołądźkach. To był koniec ścieżki i mógł być naprawdę śmiertelnym końcem!

— Musi być jakaś droga — zamruczała Latia. — Może to są drzwi. — Tytułem eksperymentu wetknęła palec w szkło.

Palec przeszedł bez oporu.

— Myślę, że znalazłam drogę — powiedziała, kiedy dłoń, a potem ramię zniknęło w lustrze. Odbicie pokazywało tylko tę część jej sylwetki, która była po tej stronie.

— Ale nie wiemy, co jest po drugiej stronie lustra! — ostrzegł Esk, ponieważ zobaczył, że jej ręka nie wyłania się z drugiej strony. Było jak dziura w drzewie; wychodziło się gdzieś indziej.

— Drugi koniec ścieżki, oczywiście — dokończyła Latia i przełożyła przez lustro

głowę. W jednej chwili zniknęła cała i lustro już jej nie odbijało.

— Wyglądasz okropnie — powiedziała Bria, kontemplując odbicie Eska. — Pozwól, że uczeszę ci włosy.

Wyciągnęła skądś mosiężny grzebień.

— Ale... — zaprotestował słabo.

— Czy cię obraziłam? Lepiej przeproszę.

— Nie, nie. Wszystko w porządku!

— Lepiej mieć pewność. — Otoczyła go ramionami.

Esk wiedział, że powinien bardziej protestować, lecz zabrakło mu sprytu. Przycisnęła go do siebie i pocałowała. Była ciepła, miękka i zachwycająca. Zamknął oczy i wiedział, że teraz nie odczuwa, iż ona jest mosiężna. Znowu odniósł wrażenie, jakby się unosił w powietrzu.

— Jeżeli... jeżeli jesteś zrobiona z twardego metalu — powiedział, kiedy go puściła — jak możesz być taka... taka...?

— Potrafię być całkiem miękka, kiedy tego chcę — odparła. — Poza tym, my, mosiężni, nie moglibyśmy dobrze się poruszać, gdybyśmy pozostali całkowicie twardzi.

— Ale twoja matka... to wklęśnięcie...

— Ten ogr wziął ją po prostu przez zaskoczenie. Podniósł ją do góry za biustonosz, a potem upuścił na mosiężny kapelusz tego mężczyzny na dole.

Esk zaczął pojmować, gdzie mogło być to wklęśnięcie.

— Rozumiem. Więc był to wypadek. Ale czy to wklęśnięcie nie mogło zniknąć, kiedy znowu stała się miękka?

— Nie, wgłębienia są najbardziej trwałe. Wciąż je ma. Udaje, że to jest dołeczek.

— Rozumiem teraz, dlaczego nie lubisz ogrów.

— Nieprawda. Zawsze uważałam, że to było romantyczne. Sama chciałam spotkać ogra.

— Ja częściowo jestem ogrem.

— Wiem — powiedziała miękko. — Och, czy cię nie obraziłam? Znowu się zaczerwieniłeś.

— Nie, wszystko w porządku! — rzekł zmieszany.

Zdecydowali jednak, że lepiej mieć pewność i przeprosiła go w swój sposób.

— No tak — zauważyła Latia, wychodząc z lustra. — Widzę, że naprawdę troszczyliście się o mnie, kiedy byłam w lustrze.

— Aha — powiedział Esk.

— Nie mów, pozwól mi odgadnąć. Ona cię zawstydziła.

— Jestem zdumiona tym, jak często to robi? — zauważyła niewinnie Bria. — Zapewne zachowuje się bardzo niezręcznie w zewnętrznym świecie.

— Z pewnością — zgodziła się sucho Latia. — Jestem tutaj, żeby donieść, iż ścieżka

ciągnie się dalej w lustrze Tam jest dziwna sceneria, ale przypuszczalnie to jest to, czego chcemy.

Weszli w lustro. Druga strona była rzeczywiście dziwna; nie była lustrem, przypominała przezroczystą szybę ukazującą ścieżkę, którą przyszli. Jednostronne lustro — co za dziwna magia.

Ścieżka przed nimi była również szklana. Odbijała wszystko jak powierzchnia jeziora. Otoczenie po obu stronach było jeszcze dziwniejsze: całe ze szkła, a drzewa miały na brązowo zabarwione pnie i zielonkawe korony. Zabarwiony na szaro królik dał susa w bok Czerwony ptak przefrunął nad nimi.

— Ta okolica przypomina mi dom — Powiedziała Bria — Tylko, że tam wszystko jest z mosiądzu.

— Dostarczymy cię do domu, kiedy będziemy mogli — zapewnił ją Esk.

— Och, nie jestem chora z tęsknoty za domem. To cudowna przygoda. Po prostu porównuję.

Szklany las otwierał się na szklaną równinę wieloma szklanymi źdźbłami. Szklane zwierzęta o kremowym odcieniu skubały szkło Wydały szkliste dźwięki „muu” i odbiegły, zmiepokojone przez nie-szklanych intruzów.

Skubały szkło? Pasły się na trawie, zrozumiał Esk.

Wtedy przygalopował szklany jednorożec, dosiadany przez szklanego mężczyznę. Mężczyzna zsiadł, wyciągnął szklany miecz i ruszył w kierunku grupki. Przemówił dźwiękiem tłuczonego szkła i zaczął wywijać mieczem.

— Szkło wasze zamieni się w kaszę.

— Nie — powiedział Esk, pojawiając, że szklany mężczyzna ma na myśli wyrządzenie im krzywdy.

Mężczyzna zmienił zamiar. Ponownie dosiadł szklanego rumaka i odgalopował, wzbijając tumany szklanego kurzu

— Poruszajmy się szybciej — zasugerowała Latia — Nie sądzę, żeby tutejszy ludek był przyjazny.

Przyspieszyli. Wkrótce dotarli do następnej szklanej tafli

— To powinno być nasze wyjście — powiedziała Latia — Ale na wszelki wypadek sprawdzę.

Przeszła przez szkło i zauważyli, że wyszła za zakrętem ścieżki

— Co wtedy robiliśmy? — zapytała wesoło Bria

— Ee...

— A tak, przepraszałam cię. Nie pamiętam za co, ale lepiej to dokończyć, niż czuć się winną.

— Ależ, nie musisz...

Przerwał mu jej ciepły pocałunek. Osądził, że nie ma sensu protestować. Bria miała

rację: potrafiła być bardzo miękka, kiedy chciała.

Jej ciało było jednak całe z mosiądzu i niektóre zwyczaje też miała mosiężne. Jakiekolwiek oczekiwania z jego strony były głupie. Wiedział o tym; w istocie był tego absolutnie pewien. Miał jednak pewną nadzieję.

Latia zawróciła, wyszła zza zakrętu i przeszła przez szkło.

— Tak, to nasza ścieżka — donosiła. — I wygląda na to, że moczary ogrów są blisko.

— Skąd to możesz wiedzieć? — zapytał Esk.

— Och, to nie jest trudne. Drzewa poskręcane w precle, popękane głązy z odciskami włochatych pięści, smoki wynoszące się chyłkiem, jakby przerażone wszystkim, co ma dwie nogi. Może się myłę?

Esk nie upierał się.

Przeszli przez szkło. Esk odwrócił się, żeby spojrzeć za siebie. Było tam lustro, które nie ukazywało niczego ze szkła. Było to następne interesujące doświadczenie.

Latia dokładnie opisała okolicę. Z całą pewnością byli w krainie ogrów. Esk poczuł się zdenerwowany; miał przodków ogrów, ale takie, bezpośrednie doświadczenie z prawdziwymi ogami mogło zakończyć się katastrofą.

Wkrótce usłyszeli potężny odgłos gruchotania, kiedy drzewa padały pod uderzeniami. Jakiś ogr, ciężko stąpając, pojawił się w polu widzenia. Jedną pięścią jak wielka szynka niedbale roztrzącał krzaki i głązy, a paznokciami drugiej grzebał w ogromnych żółtych zębach. To był prostacki, zwierzęcy brutal! Ogr był dwa razy wyższy od Eska i tak brzydki, że wszędzie, gdzie spojrzał, tworzyły się kłęby czarnego dymu.

— Ooo, co za bestia! — wymruczała z podziwem Bria.

Ogr usłyszał ją. Kudłata gęba obróciła się, żeby ją namierzyć.

— Co mój gęba wyniuchała, ona taka mała! — wykrzyknął.

— Przyszliśmy, żeby porozmawiać z wami, ogry! — zawołał Esk. Teraz ogr dostrzegł resztę grupy.

— Przychodzisz ty, rozmawiać my? — Ogrzy miały trudności z zaimkami, ponieważ były bardzo głupie.

— Tak, przyszliśmy porozmawiać — powiedział Esk. — Zabierz nas, proszę, do waszego przywódcy.

Ogr poskrobał się po głowie. Ogromne pchły-rezydentki uskakiwały z drogi jego brudnemu paznokciowi.

— Nie pomylić się, zabrać chce?

— Nie pomyliłem się — potwierdził Esk.

— Zgadza się, sam tego chce!

Ogr pochylił się, złapał Eska, podniósł i wcisnął do ogromnego wora, który nosił. Latię i Brię potraktował tak samo.

— Mam nadzieję, że wiesz, co on zrobi — wymruczała Latia.

— Ja też mam taką nadzieję — odmruczał Esk.

Ogr pognał, zmiatając ze swej drogi krzaki i drzewa, a wór podskakiwał gwałtownie przy jego ruchach. Cała trójka przywarła do krawędzi wora i rzemyków, ponieważ wypadnięcie groziło bolesną kontuzją.

Ogr przybiegł do wioski ogrów. Pośrodku paliło się ogromne ognisko, a nad nim wisiał wielki czarny kocioł.

— Garnek się gotuje! — zaryczał ogr. — Mój strawę przygotuje!

— Och! Och! — jęknął Esk.

Garnek był pełen wody, a na dnie dostrzegł trochę kości. Przypominały mu Marro-wa i nie dodawało mu to otuchy.

Ogr zdjął z rozmachem worek i niósł go do garnka. Zaczął go wywracać.

— Nie! — krzyknął Esk. Zdumiony ogr zatrzymał się.

— Nie? Czego chce?

— Przyszliśmy porozmawiać, a nie dać się ugotować! — wrzasnął Esk.

Pojawiły się inne ogry, w tym kilka samic. Jeżeli samce były brzydkie, to samice były przerażająco brzydkie.

— Się przypatrujemy, nie gotujemy? — zapytała jedna, drapiąc się tak energicznie po głowie, że pchły rozpierzchły się w popłochu.

— Chcemy waszej pomocy dla polników! — wykrzyknął Esk, żałując, że podjął się takiej głupiej misji.

— Polników w garnku kupa, dobra zupa! — krzyknął inny ogr, głośno mlaskając, a dźwięki, które wydawał, wypłoszyły ptaki z odległego drzewa.

— Przyszliśmy, żeby wywrzeć na was wrażenie potrzeby takiej pomocy — powiedział Esk, wiedząc, że szansę wywarcia wrażenia na tych potworach czymkolwiek, co mieli do powiedzenia, były więcej niż marne.

— Takie nieporozumienie, za wrażenie? — zapytał ogr, który ich przyniósł, a wszystkie ogry zaśmiały się wymownie i okrutnie, jak tylko ich gatunek potrafi.

— Tak, wywrzeć wrażenie — brnął uparcie Esk. — Żeby poprosić o waszą pomoc.

Pierwszy ogr zastanowił się nad tym. Czaszka rozgrzała mu się z wysiłku, a pchły oparzyły sobie nóżki i zeskoczyły. W końcu wykrzyknął:

— Mój ręka poda, zgoda!

Inne ogry, zadowolone, że uwolniono je od przerażającego wysiłku samodzielnego myślenia, zaryczały na zgodę.

— Cudownie — odezwała się Latia. — Teraz musimy jedynie wywrzeć na nich wrażenie i nasza sprawa jest wygrana.

— Może potrafimy tego dokonać — powiedziała wesoło Bria. — Każde z nas ma inną naturę i talent.

— Nie jestem pewien — wtrącił Esk.

— Na przykład ja; mogę być bardzo twarda, kiedy tego zechcę. Pokażę wam. — Wygramoliła się z worka, który ogr ustawił na ziemi obok garnka. — Zjedz mnie, ogrze! — krzyknęła. — Pogryź mnie.

Ogr nie czekał na powtórne zaproszenie. Złapał ją przed trzema innymi ogromnymi łapskami, które po nią sięgnęły. Wetknął sobie jej nogi do paszczy. Zacisnął zęby.

Znieruchomiał. Potem powolny wyraz zdziwienia odcisnął się na jego owłosionej gębie, w okolicach szczęk, ponieważ jego zęby natrafiły na coś twardszego od kości.

Wyciągnął Brię i przyjrzał się jej. Nadal wyglądała na jadalną.

— Ona soczysta, kładę do pyska — skonkludował i otworzył szeroko paszczę, pakując ją głową.

Jego zęby znowu uderzyły o twardy metal. Głowa dziewczyny pozostała na karku.

— Czy nie potrafisz zrobić tego lepiej, ogrze? — krzyknęła w pobliżu jego języka.

Zmieszany ogr wyciągnął ją. Natychmiast inny ogr mu ją wyrwał i ugryzł w ramię. Było to potężne ugryzienie z metalicznym odgłosem. Tak wystraszyło przepływającą chmurę, że wypuściła mały deszcz. Ogrowi wyleciały z pyska kawałki żółtawych zębów.

— Twarda ta, potwierdza ja — przyznał ogr.

— Czy zrobiłam na was wrażenie? — dopytywała się Bria.

Ogry wymieniły spojrzenia. Były to głupie spojrzenia; ogry myślały bardzo wolno, więc zabrało to trochę czasu. Pobliskie drzewa poruszyły się, zaniepokojone, że ogry zachowują się tak dziwnie. W końcu wszystkie pokiwały głowami: były pod wrażeniem.

— Więc tak to działa — powiedziała Latia. — Zobaczmy teraz, co ja mogę zrobić. Wysła z wora i zwróciła się do ogrow: — Które z was jest najbrzydsze?

Jakaś ogrzyca wystąpiła do przodu. Kiedy to zrobiła, uschły wszystkie pobliskie rośliny.

— Mówi z ochotą, słynie brzydota!

Z pewnością była brzydka. Esk nigdy nie widział bardziej przerażającej i bardziej owłosionej gęby.

— Potrafię być brzydsza od ciebie — zwróciła się do niej Latia.

Wszystkie ogry roześmiały się. Było oczywiste, że nikt nie mógł być brzydszy od ogrzycy.

— Brzydota jest tak brzydka jak to, co może zrobić — oświadczyła zdecydowanie Latia. — Co twoja brzydota może zrobić?

Ogrzyca odwróciła się i podeszła do swojej szopy. Wyleciało z niej stado nietoperzy wyglądających jak ogłuszone. Ogrzyca wyniosła poobijany dzban z mlekiem. Skrzywiła się na niego — i mleko skwaśniało.

Esk westchnął. To było rzeczywiście brzydkie! Przypomniawszy sobie historie, które



opowiadano o ograch, i stwierdził, że nie były przesadzone.

Wtedy Latia uniosła ręce do twarzy. Miała puder i kredę. Użyła ich do zrobienia makijażu.

— Co ona robi? — zapytała Bria.

— Jest aktorką — powiedział Esk. — Wszystkie demoniaczki są dobrymi artystkami. Sądzę, że potrafią zrobić się na całkiem ładne bądź na całkiem brzydkie, jeśli zechcą.

Latia podniosła głowę. Jej twarz, pocziwa na początku, uległa transformacji. Była teraz tak brzydka, że zbierało się na wymioty. Oгры jednak tylko popatrzyły, bez niesmaku; przywykły do brzydoty.

Wtedy Latia podeszła do dużego garnka.

— Podnieście mnie — powiedziała.

Jakiś ogr, zaciekawiony, podniósł ją i przytrzymał nad garnkiem. Latia nachyliła nad nim twarz i obrzuciła go gniewnym spojrzeniem. Woda się ścięła. Esk otworzył usta ze zdumienia. Tak samo zrobiły oгры.

— Dobrze? — zapytała Latia, kiedy ogr postawił ją na ziemi.

— Wyznamy ci, wrażenie zrobiłaś ty — zamruczały oгры. Wciąż gapiły się na garnek. Jeden ogr wetknął do niego palec.

Woda była definitywnie ścięta, ale nie zamarznięta. Rozrzedziła się jedynie w pobliżu jego palca.

Esk przypomniał sobie, jak jego babka, demoniaczka, gorliwie naśladowała ogrzycę i zdobyła miłość dziadka. Teraz zrozumiał, jak tego dokonała.

Teraz przyszła kolej na niego. Co mógł zrobić, żeby nie wypadło gorzej od tego, czego dokonały kobiety? Gdyby się wściekł, mógłby uzyskać na krótki czas siłę ogra — ale to nie różniłoby się od siły, którą posiadał każdy ogr. On nie będzie w tym lepszy. Nie wyrze na nich wrażenia.

Wtedy zrozumiał, jak ma postąpić.

— Kto jest najgłupszy? — zapytał.

— Ja! — zawołał pierwszy ogr, zapominając o rymie.

— Ja, ja! — krzyknął następny, przypominając sobie o tym.

Rozległ się chór okrzyków, ponieważ oczywiście każdy z nich szczyił się tym, że uważa się za najgłupsze stworzenie wszystkich czasów. W końcu wyłonił się ogr dominujący. Był największy i miał najbardziej obwisłe szczęki ze wszystkich. Był tak uświadomiony, że kiedy próbował myśleć, mięśnie wyrzuszały się na jego głowie, ale tak głupi był to wysiłek, że nawet nie potrafił poruszyć pcheł-rezydentek z miejsca. Jego czaszka nie rozgrzewała się dostatecznie.

— Jestem głupszy od ciebie — utrzymywał Esk. — Udowodnię to.

Potem skoncentrował się i jego strach przed niepowodzeniem wywołał w nim siłę ogra. Ruszył przed siebie i chwycił ogra za nogi, podniósł go, zakręcił dookoła, wyzw-

lając swoją pełną moc ogra, i walnął głową tamtego w drzewo. Drzewo rozłupało się, ale ogr oczywiście nie odniósł żadnej szkody.

Ogr też się rozzłościł. Ogry naprawdę nie lubią rozłupywania drzew swoją głową; do tego celu wolą raczej używać ogromnych pięści. Złapał przewrócony pień i zamachnął się nim na Eska, gotów wbić go w ziemię jednym ciosem.

Esk uzyskał przewagę.

— Czy może być coś głupszego nad to, co zrobiłem z takim jak ten ogrem? — zapytał.

Ogry zastanowiły się. Potem, kiedy drzewo uderzyło w ziemię, a Esk uskoczył w bok, zaczęły się śmiać. Sklepienie niebieskie zadrżało od ich „cha, cha!”, wprawiając słońce w wibracje. Słońce posiało kilka promieni i nawet ogr, którego zaatakował Esk, przyłączył się do nich. To był rzeczywiście dobry żart. Nie mogło być nic głupszego ponad to!

— To było cholernie głupie! — warknęła Latia.

— Totalnie idiotyczne — dodała Bria.

— Dokładnie tak — zgodził się Esk. — Była to najgłupsza rzecz, jaką mogłem zrobić.

Zapanowała cisza podkreślająca prawdziwość jego oświadczenia. W ten więc sposób grupa Eska wywarła wrażenie na ograbach i zdobyła ich poparcie dla tej misji. Teraz wszystko, co pozostawało im do zrobienia, to przeżyć powitalne przyjęcie ograbów i zdołać im wytłumaczyć, jak dojść stąd do Doliny Kopaczy. Ogry mogły być bardzo pomocne.

## Rozdział dwunasty

### Świdrzaki

Polney przekopywał się w kierunku księżniczki świdrzaków, prowadzony przez lokacyjny kamyczek, podarowany mu przez zwijki. Kamyk ten, tak jak poprzedni, działał na niego odwrotnie: musiał kierować się najgorszym smakiem, a unikać dobrego.

Świdrzaki, jak rozumiał, były najsilniejszymi spośród wszystkich klanów kopaczy. Mówiąc ściślej — ich larwy. Kiedy para świdrzaków miała gody, samiec wybierał odpowiednią skałę i robił w niej gniazdo. Kiedy czerwie się wylęgło, wywiercały w tej skałe coraz większą dziurę, aż znalazły dobre miejsce do karmienia i wzrostu. Tylko niewiele z nich miało szczęście. Olbrzymia większość z tysięcy larw ginęła, tracąc wszystkie siły w poszukiwaniu żył.

Problemem świdrzaków był ich wyszukany smak. Każda jednostka lubiła tylko jeden jedyny, szczególny smak skały i nie zjadła żadnej innej. Ponieważ istniały setki smaków, a żyły skalne porzrzucane były w sposób przypadkowy, szansa natrafienia przez pojedynczą larwę na ten szczególny smak była może jak jedna do tysiąca. W typowym roju było kilka tysięcy larw, więc zazwyczaj tylko kilka znajdowało swoje miejsce. To było przyczyną, dla której ziemia nie była opanowana przez Świdrzaki. Żeńskie Świdrzaki parzyły się tylko raz, a później były bezpłodne, ponieważ wszystkie komórki jajowe w ich ciałach jednorazowo zużywane były na złożenie jaj. W danym roku łągł się tylko jeden lub dwa roje, ograniczone do swoich szczególnych żył w skałe. Mogło to być dla nich zbawienne, gdy kamień odpowiedni do założenia roju był również odpowiedni do jedzenia. Wtedy wszystkie larwy mogłyby natychmiast osiedlić się w nim na stałe i jeść.

Kiedy te informacje przemykały mu przez mózg, Polney zrozumiał, dlaczego tak się nie działo. Gdyby wszystkie te tysiące larw świdrzaków jadły skałę, w której był rój, wkrótce by ją skończyły i żyła przerodziłaby się w pulsującą masę częściowo dojrzałych świdrzaków. Żaden nie osiągnąłby dojrzałości z powodu wyczerpania się pożywienia. Zginęłyby wszystkie, a rój wyginąłby bez potomków. Dla roju konieczne więc było

zróznicowanie smaków. Smak roju był identyczny dla wszystkich larw, ale smak podczas rozwoju był dla każdej z nich inny. System świdrzaków naprawdę był rozumny, kiedy poznało się jego uwarunkowania.

A ta szczególna księżniczka świdrzaków, wyjaśniły zwijki, była mutantem albo prawie nim była. Normalnie rój był ogromnie zróżnicowany, ze smakami indywidualnych larw: od zwyczajnych mundańskich skał do najbardziej egzotycznych. Smak wymagany do założenia roju odpowiadał smakowi pożywienia księżniczki. Ponieważ zazwyczaj konsumowała większość jedzenia w procesie dojrzewania, musiała odszukać podobną skałę, w innym miejscu, na swoje gniazdko. Ta szczególna samica miała niezwykle egzotyczny smak. Nie mogła więc znaleźć swojej skały. Nie mogła mieć partnera, dopóki nie była pewna, że będzie to właściwe miejsce na gniazdo. Kiedy je znajdzie, będzie mogła wezwać samca. Po odbyciu godów uda się do nowego miejsca, żeby zrobić gniazdo.

Powodem, dla którego Polney mógł być nią zainteresowany — dowodziły zwijki, które były dość sprytnymi stworzeniami — był smak księżniczki. Jej skała miała smak powietrza. Znalazła swoją żyłę i skonsumowała ją. Prawdopodobnie istniała tylko jedna taka skała. Świdrzaki generalnie wolały kamień o smaku skały; księżniczka była prawdziwym wyjątkiem. Ale na powierzchni, z czego mogła sobie nie zdawać sprawy, istniało całe mnóstwo kamienia o smaku powietrza, ponieważ powietrze nasączało wszystko, czego dotknęło. Prawdę mówiąc, podobny smak odpowiedzialny był za te nieliczne roje spotykane na powierzchni. Niekiedy zdarzała się samica świdrzaków, która dostawała się na powierzchnię i miała odpowiedni smak. Powierzchniowe stworzenia wierzyły, że muszą zniszczyć każdą larwę w roju, żeby zapobiec tworzeniu się nowych rojów. Wynikało to z ich niewiedzy. Prawda była taka, że ich wysiłek czynił niewielką różnicę, poza czasowymi komplikacjami spowodowanymi sposobem, w jaki larwy przewiercały się przez rzeczy, ponieważ żadna larwa nie miała takiego samego smaku jak matka. Tylko te z nich, które miały smak głębokiej skały i zdołały dotrzeć do odpowiedniej żyły, mogły przeżyć. Wszystko, co powinny powierzchniowe stworzenia robić, to zignorować rój, a ten odejdzie. Tak mówiły zwijki, które były więcej niż zadowolone z zapoznania swojego wyniosłego kuzyna z kopaczy z faktami z drugiego końca drzewa genealogicznego.

Wszystko to było nowością dla Polneya, który podzielał konwencjonalne przeczulenie stworzeń powierzchniowych wobec pojawiania się rojów świdrzaków. To pokazało, że nastawienie niższych gatunków ziemnych kopaczy do polników było trochę uzasadnione. Kopacze z Doliny utraciły z nimi kontakt i zapomniały o naturze swoich krewniaków. Będzie musiał odnowić tę wiedzę wśród swojej społeczności w Dolinie, kiedy jego misja się zakończy.

Najpierw musi doprowadzić ją do końca, a nie ma przed sobą optymistycznych perspektyw. Chociaż rój świdrzaków nie był taką katastrofą, jak przypuszczał, nadal pozo-

stawał wystarczająco niszczący w sensie czasowym.

Larwy torowały sobie drogę przez wszystko, co napotykały. Pozostawiały za sobą małe dziury. Takie dziury mogły być bardzo bolesne, a nawet śmiertelne dla żywych stworzeń. Umieszczenie roju w Dolinie Kopaczy — nie był do końca przekonany, czy to był mądry pomysł. Nawet przy założeniu, że polniki i inne stworzenia dostaną ostrzeżenie i ewakuują się z całego obszaru, dopóki rój nie przejdzie. Rozmyślenia nad tym problemem spowodowały, że zarzucił poszukiwanie księżniczki świdrzaków. Ale teraz, po niepowodzeniach dwojga członków grupy, musiał spróbować. Miał nadzieję, że nie popełnia straszliwego błędu.

Takie były jego myśli, kiedy kopał tunel, podążając za okropnym smakiem kamyczka. Co jakiś czas odpoczywał i zjadał trochę owoców i korzeni ze swojej torby, ponieważ była to męcząca praca. Potem spał, utrzymując węż w pogotowiu na wypadek ataku niklasów. Nie zamierzał znowu dać się złapać.

Po dwóch dniach kwaśny smak kamyczka właściwie sparaliżował mu język. Zbliżał się!

Rzeczywiście, niebawem przebił się do sieci tunelów księżniczki. Zamrugał, ponieważ było tam jasno. Ściany porastał błyszczący grzyb, który oświetlał cały obszar, kładąc pastelowe cienie. Panowała zdecydowanie żeńska aura. Gdyby znalazł się tutaj przez przypadek, natychmiast wiedziałby, że mieszka tu istota żeńska. Przystanął, żeby przygotować się na to spotkanie, a potem krzyknął w języku kopaczy.

Odpowiedziała natychmiast.

— Kto nieproszony wdziera się do moich tuneli?

Polneyowi zaparło dech. Jej głos, według pojęć polników, był słodki i melodyjny. Oczekiwał, że spotka się ze zgrzytliwym, drażniącym słuch dźwiękiem, ponieważ jego gatunek miał bardzo mały kontakt z jej gatunkiem.

— Jestem polnik Polney, proszę o grzeczność.

Te słowa przypomniały mu o ludzkiej i centaurzej manierze jego znajomych — syzczeniu przy dźwiękach „es”. Sprawiało to, że ich mowa brzmiała sztucznie. Był oczywiście za grzeczny, żeby zwrócić im uwagę. Rozumiał, że cierpieli prawdopodobnie na jakąś ułomność podniebienia.

Księżniczka nadeszła i znowu się zdziwił. Była zdumiewająco małym stworzeniem, przypominała kobiety jego własnego gatunku. Miała szare futro, które wydawało się otoczone poświatą. W najmniejszym stopniu nie przypominała larwy świdrzaków. Zdecydowanie należała do rodziny kopaczy.

— A ja jestem świdrzak Świda — odpowiedziała. — Byłabym, więcej niż szczęśliwa, mogąc wyświadczyć ci grzeczność, ale w tym momencie nie szukam partnera.

Zdziwiła go jej interpretacja. Nie był w jej typie! Polnik i świdrzak, jakkolwiek możliwe do pogodzenia fizycznie, były niezgodne genetycznie. Mogły jedynie parzyć się, ale

nie mogły wydać potomstwa.

— Grzeczność, o którą proszę, nie jest tego charakteru. Nie należę do twojego szczególnego gatunku.

— Zatem, o co chodzi?

Przeczesała futerko, wyglądając przy tym bardzo pięknie. Polney uświadomił sobie, jak brudne jest jego futerko. Dwa dni spędził na kopaniu. Powinien był znaleźć czas na wylizanie się do czysta! Miał jednak na to lekarstwo! Zmienił futerko na powierzchniowe. Teraz stało się szare, a jego oczy brązowe. Ponieważ nie miał go na sobie, gdy kopał, było czyste.

— Jestem z Doliny Kopaczy. Mamy poważny problem. Nękają nas demony, które na siłę wyprostowały naszą przyjazną rzekę Pocałuj-Mniee i zmieniły ją oraz Dolinę na nieprzyjazne. Poszukujemy jakiegoś sposobu, żeby wypędzić demony i przywrócić rzece jej naturalny bieg. Wtedy nasza Dolina znowu będzie przyjemna.

— Jestem pewna, że to jest bardzo interesujące — powiedziała grzecznie. — Sądzę jednak, że ta sprawa mnie nie dotyczy.

— Przyszło mi do głowy, że gdyby wyrojenie się świrdzaków nastąpiło w pobliżu Doliny, to popsułoby szyki demonom. Wtedy odejdą, co pozwoli nam odbudować rzekę.

— Ale świrdzaki nie roją się na powierzchni — zaprotestowała. — Tam nie ma przyzwoicie smakującej skały!

— Może jest — odrzekł. — Według zwijek, które kopią na głębokościach i blisko powierzchni, na powierzchni jest bardzo dużo kamienia o smaku powietrza.

— Kamienia o smaku powietrza?

— Rozumiem, że smak, który przedkładasz nad inne, jest tego charakteru.

— Wiem, co lubię, ale nigdy nie wiedziałam, jak się to nazywa. Czy chcesz powiedzieć, że na powierzchni istnieje kamień o smaku, którego pragnę?

— Zwijki tak uważają. Kiedy je po raz pierwszy spotkałem, wzięły mnie mylnie za ciebie z powodu zapachu mojego futra. Zatem sądzę, że szczególna atmosfera Doliny może ci odpowiadać.

— Nie pachniesz jak moja skała — stwierdziła.

— W tej chwili może nie, ponieważ już od dłuższego czasu jestem poza Doliną. Ale chyba zostało trochę zapachu w mojej torbie — powiedział, otwierając ją.

Powąchała.

— Tak. To mój zapach! Och, szkoda, że wcześniej nie wiedziałam! Muszę znaleźć samca i udać się tam natychmiast.

— Jest pewna komplikacja — rzekł. — Larwy z roju świrdzaków są szkodliwe dla stworzeń tamtej okolicy.

— Szkodliwe? Nic o tym nie wiem.

— Jest tak, ponieważ normalnie twój gatunek roi się w ograniczonych żyłach wy-

specjalizowanej skały, gdzie nie żyją inne stworzenia. Na powierzchni zasięg roju staje się dosłownie nieograniczony, ponieważ larwy podróżują przez powietrze, które stawia mały opór. Pozostawiają dziury w stworzeniach, co jest niemiłe.

— Ach, rozumiem. Sądzę, że to może być niemiłe, jak mówisz. Ale dlaczego nie użyjecie zakłęcia powstrzymania?

— Przepraszam?

— Zakłęcia powstrzymania. W czasach historycznych było używane przy tych rzadkich okazjach, kiedy nasze terytorium zachodziło na tereny innych stworzeń. Ograniczało to rój do ustalonego promienia i poza nim nie występowały żadne szkody.

— Ale czy to nie zakłóca waszego cyklu reprodukcji? Jeżeli czerwie nie podróżuje swobodnie, jak zdoła znaleźć skały, których potrzebuje?

— Nie wyrządza to gorszej szkody niż ograniczona żyła skały, w której jest rój — stwierdziła. — Świdrzaki są przyzwyczajone do ograniczeń. Jeżeli zakłęcie powstrzymania ogranicza jedynie promień, a nie głębokość, część larw znajdzie głęboką skałę. Te, które pozostaną na powierzchni, i tak nie mają szans, jako że szukają różnych smaków.

Polney był ogromnie zadowolony.

— Zatem wydaje mi się, że możemy wymienić grzeczności — podsumował. — Powiedz mi, gdzie jest to zakłęcie powstrzymania, a ja powiem ci, gdzie jest Dolina.

Widać było po niej zadowolenie. Jeszcze raz przeczesła futerko i spojrzała na niego oczami, które zmieniały się z brązowych na szare, w miarę jak jej futerko brązowało.

— W tej chwili jest zagubione. Ktoś zaniósł je do tykwy i zapomniał przynieść z powrotem.

— Czy jest ono może na Ścieżce Zatracenia? — zapytał, przypominając sobie, co mówił Esk.

— Przypuszczam, że tak. Jeśli tam pójdziesz, powinieneś je odszukać. — Popatrzyła na niego tymi dużymi oczami, które zmieniały się teraz z szarych na fioletowe, a jej futerko stawało się przyjemnie zielone. Było oczywiste, że Świdrzaki były bardziej wszechstronne w kolorystyce niż polniki.

— Jesteś przystojnym polnikiem, Polney.

— Ta Dolina jest... Czy znasz kontury krainy Xanth? Jest w środkowej części, na południe od Rozpadliny, na północ od Jeziora Ogrów i Pszczół Wodnych.

— Jestem pewna, że potrafię ją znaleźć — powiedziała. Jej oczy pojaśniały, stając się czerwone, podczas gdy futerko zmieniało się w srebrne. — Jestem bardzo zadowolona, że przyszedłeś się ze mną zobaczyć!

Było w jej zachowaniu coś, co nie dawało mu spokoju. Spojrzał w jej twarz i zrozumiał, jak nadzwyczajnie atrakcyjnym była stworzeniem. Te płonące czerwone oczy!

Czerwone oczy! To był kolor godowy!

— Teraz muszę kopać dalej — rzucił zakłopotany. — Bardzo mi było miło cię poznać.

— Zostań chwilę — szepnęła. — Moglibyśmy bardzo miło spędzić ten czas.

Teraz pojął, co się stało. Świda znalazła odpowiednie miejsce na gniazdo, ponieważ opowiedział jej o Dolinie i przekonał ją zapachem.

To wprowadziło ją w okres godowy, a on był najbliższym samcem. Świdrzaki nie były najmądrzejsze spośród kopaczy, tak samo jak świdrowce. Kierowały się głównie instynktem. Najpierw świdrzak znajdował miejsce do jedzenia i wzrostu, potem samce wyruszały na poszukiwanie zdobyczy, a samice wyszukiwały miejsce na gniazdo. Kiedy już te miejsca zostały znalezione, samice gotowe były do godów, a pierwszy samiec, który natrafił na taką zdobycz, był tym jedynym. Zwykle nie zabierało to dużo czasu, ponieważ feromonowy zapach godowy przyciągał każdego samca znajdującego się w pobliżu.

Zapach godowy! Oto dlaczego stawała się coraz atrakcyjniejsza! Zaczynała go wytwarzać, a on doświadczył jego początkowego działania. Mogli różnić się gatunkowo, ale widocznie tego rodzaju sygnał zapachowy był uniwersalny. Jeżeli zostanie, to wkrótce jej ulegnie, pomimo różnicy gatunkowej.

Był w pułapce. Nie dlatego, żeby istniało jakieś niebezpieczeństwo w samym akcie, który zapowiadał się na całkiem przyjemny, ale ponieważ byli z różnych gatunków.

— Pamiętaj, że ja jestem polnikiem, a ty jesteś świdrzakiem — przypomniał jej.

— Nie mów mi, że jesteś pruderyjny — wymruczała, ocierając się o niego futerkiem.

Przez całe ciało przebiegły mu rozkoszne dreszcze. Wciągnął głęboko powietrze — i pojął, że zapach godowy przenika go. Może mu ulec bardzo szybko i wtedy nie będzie się martwił różnicami gatunkowymi.

— To nie jest pruderyjność — wyjaśnił. — Chodzi o bezcelowość. Nie możemy niczego spłodzić; nie będziesz zdolna do składania jaj.

— Nie rozumiem — odparła. — Kiedy ktoś się parzy, to wydaje potomstwo. Jeden rój. Potem dołącza do dojrzałej społeczności i następne parzenia są bezpłodne.

— Różnimy się genami. Potrzebujesz partnera z własnego gatunku, samca świdrzaka. Myślę, że bardzo szybko go spotkasz, bo zapach godowy przenika przez skały, docierając do odpowiednich samców, które nie będą ani chwili zwlekały.

— Nie każ mi czekać — powiedziała, trącając go noskiem w szyję.

Zapach prawie nim zawładnął. Polney wiedział, dlaczego jest to niewłaściwe, ale teraz trudno było mu o tym pamiętać. Czy naprawdę ma to znaczenie? Ona była takim cudownym stworzeniem!

Wtedy przyszła mu do głowy desperacka myśl. Wyjął z pyszczka kamyczek-przewodnik i włożył go sobie do nosa. Paskudny, gorzki zapach zapanował nad ponętym



feromonowym, a jego umysł wrócił do normalności.

Teraz stało się dla niego jasne, dlaczego znalazł się w niebezpiecznej pułapce. Jeśli skorzysta z jej propozycji, niczego nie osiągnie. Ona nie zostanie zapłodniona i nadal nie zaspokoi instynktu spłodzenia potomstwa. W dalszym ciągu będzie pragnęła partnera, a jej zapach i wygląd będą odzwierciedlały to pragnienie. On znajdzie się wtedy w pułapce bezustannego parzenia się. Ona nie będzie mogła poszukać sobie innego, dopóki on tutaj zostanie. Żaden świrdzak nie będzie się wtrącał, choćby nie wiadomo jak tego pragnął. Żadne stworzenie z rodziny kopaczy nie było lubieżne w takich sprawach. Tak więc nie było sposobu, żeby stała się płodna. A dla niego nie istniał sposób ucieczki, ponieważ żaden samiec nie oprze się feromonom, kiedy osiągną one pełną moc.

Nigdy nie wyjdzie z tego tunelu, nawet żeby coś zjeść. Stopniowo będzie umierał z głodu, niezdolny do wyrwania się stąd. Jego ostatnim aktem przed śmiercią będzie następna kopulacja z nią. Nie nastąpi naturalne dokończenie tego aktu z powodu niezgodności genetycznej. Inne stworzenia Xanth mogły się krzyżować, ale nie kopacze. Były czystymi rasami. Utrzymywały czystość przez to ograniczenie.

Szczęśliwie kojarzenie umożliwić mógł jedynie eliksir z miłosnego źródła albo zakłęcie dostosowania. Ponieważ żadne z nich nie było dostępne tutaj, pomysł był więc bez znaczenia;

— Nie podobam ci się? — dopytywała się Świda.

Nie chciał jej obrazić, ponieważ pragnął jej współpracy, kiedy spłodzi potomstwo z kimś z własnego gatunku. Rój świrdzaków, odpowiednio ograniczony, powinien przeгнаć demony z Doliny. Z pewnością mógł doprowadzić do ruiny tamy demonów, co wyzwoli wodę z kanału rzeki Zabij-Mniee.

— Pragnę jedynie twojego dobra — odparł. — A takim będzie parzenie się z samcem twojego gatunku. Ja muszę pójść odszukać zakłęcie powstrzymania.

Była to niemal prawda — z tego, co w tej chwili zdolna była przyjąć.

— Nie rozumiem cię — powiedziała.

Połąskotała go po nosie swoimi wąsami. Łaskotanie sprawiło, że Polney kichnął. Śmierdzący kamyczek wypadł mu z nosa i zgubił się w kurzu. Nagle z całą mocą uderzył go zapach feromonowy. Nadszedł czas na rozpaczliwy krok. Polney wstrzymał oddech i dał susa w stronę ściany. Wcisnął na łapki swoje dodatkowe pazury i zaczął kopać w skale ze zdwojoną energią. Skała zamieniała się w pył pod dotknięciem magicznych pazurów i nowa dziura poszerzała się.

— Co się stało? — zapytała Świda. — Czy powiedziałam coś obraźliwego? Przepraszam!

— Nie przepraszaj! — powiedział Polney, łapiąc gwałtownie powietrze.

Przypomniał sobie następną rzecz, o której mówił Esk. Niektóre stworzenia w bar-dzo zażyły sposób wyrażały przeprosiny!

— Ależ ja tylko chce być dla ciebie miła! — błagała.

Wraz z oddechem wciągnął trochę feromonów. Właściwie dlaczego po prostu nie zawrócić i...?

Ale racjonalna część umysłu ciągle panowała jeszcze nad resztą — tak długo, dopóki znowu nie zaczerpnie oddechu. Kontynuował kopanie, przyciskając nos do nowych pokładów, żeby przefiltrować jej woń.

— Aha, chcesz poflirtować ze mną — powiedziała. — Pobawię się z tobą! Będę cię łapać!

— Tak. Złap mnie! — krzyknął Polney, łapiąc oddech.

Może przekopie się poza zasięg jej wonnych wydzielin, a zanim ona go znajdzie, jakiś samiec świrdzak przetnie jej drogę i zajmie się nią. Wtedy, już po wszystkim, przypomni sobie o Dolinie i nie będzie czuła się znieważona nagłą ucieczką Polneya.

Zapomniał jednak, jak dobrymi wiertaczami są świrdzaki. Świda robiła swój własny tunel, równoległy do jego tunelu, łatwo go doganiając. Nie miał więcej pigułek wzmacniających siłę, nie mógł się zaczarować żadnym zaklęciem, żeby się od niej oderwać. Kiedy zmęczy ją zabawa, zrobi pętłę i przetnie jego tunel. Wtedy jej feromony wezmą go w posiadanie i ugrzęzną w bezpłodnym wysiłku godowym.

Co mógł zrobić? Drażyła tunel ponad nim, co uniemożliwiało mu dotarcie do powierzchni. Mogła nie być bystra, jeśli chodziło o detale genetyki, ale była biegła w drażeniu tuneli, tak jak wszyscy członkowie wielkiej rodziny kopaczy. Była to umiejętność wrodzona. Każde spokrewnione stworzenie nie potrafiące robić tuneli bywało wypychane na powierzchnię ziemi. Jedną z większych wad stworzeń powierzchniowych była z pewnością nieumiejętność kopania tuneli.

Może skręci w przeciwną stronę i oszuka ją, a potem skieruje się ku powierzchni, zanim Swida zdoła go złapać. Nie ośmieli się wyjść na powierzchnię przed zakończeniem godów. Świrdzaki nie postępowały w ten sposób. Miał taką nadzieję.

Poszerzył tunel, robiąc miejsce dla obrócenia swojego ciała, a potem popędził z powrotem. Przedzieranie się przez rumowisko kamieni było o wiele łatwiejsze niż kopanie w solidnej pierwotnej skale. Posuwał się trzy razy szybciej. Wkrótce wgramolił się do jej apartamentów mieszkalnych.

— Jak miło — zamruczała, poruszając wąsami. — Wróciłeś! Polney zatrzymał oddech i raptownie przyhamował. Uprzedziła go!

Czuł, jak zapach pieści mu futerko, zrobił obrót w miejscu i skoczył z powrotem do swojego tunelu. Szybko dobiegł do jego końca i kopał dalej. Czy nie powinien skierować go w górę, zanim ona go dogoni? Nie mógł. Ona już przekopywała się do niego; stwierdził to po hałasie.

Wtedy wpadła mu do głowy ponura myśl. Znał miejsce, gdzie ona nie pójdzie!

Gwałtownie zakręcił w dół. Posiadał doskonałą pamięć przestrzenną kopacza, co

umożliwiało mu orientację w każdym wcześniej odwiedzonym obszarze. Wiedział, dokąd pójść.

Świda podążała za nim. Nie zbliżała się, widocznie była ciekawa jego nowego podstępu. Wiedziała, że nie będzie kopał w dół bez końca. Wreszcie będzie musiał zawrócić w górę. Wtedy ona zakończy flirty i dojdzie do finału.

Czy nie będzie łatwiej, rozmyślał, dać się po prostu złapać? Wtedy jednak zrozumiał, że to wpływ feromonów powoduje takie myśli. Za każdym razem, kiedy rył w popękanej strefie, przenikał go ten zapach, a teraz pokonywał jego wolę oporu. Jeżeli pozwoli się złapać, nigdy nie stawi się na spotkanie z przyjaciółmi na powierzchni, a Dolina Kopaczy nie będzie uratowana. Musiał to zwalczyć!

Zbliżał się do miejsca, gdzie był poprzednio, do wypływu żywej lawy. Jeśli zaryzykuje, zbliżając się za bardzo, nie uniknie tragicznego przeznaczenia. Będzie żałował, że nie pozostał mimo wszystko z księżniczką świdrzaków. Jeżeli zginie w lawie, wtedy Świda odbędzie gody z jakimś samcem i pójdzie do Doliny Kopaczy, a tam nie będzie zakłęcia powstrzymania.

Poczuł gorąco. Nie znał pełnego zasięgu lawy, ale wiedział na pewno, gdzie jest jego poprzedni tunel. Wykonał ostry skręt, żeby go przeciąć. Miał nadzieję, że Świda nie rozumie, do czego on zmierza.

Zwolniła tempo kopania, kiedy poczuła żar lawy. Nie był to jej ulubiony rejon! Wahała się, podczas gdy on posuwał się dalej. On też nie lubił tego rejonu i nie chciał iść dalej, niż było absolutnie konieczne.

Wtedy podjęła decyzję. Zakręciła swój tunel, by przeciął się z jego tunelem.

Polney zwiększył wysiłek. Był zmęczony dwoma dniami twardego kopania, które potrzebne było, by mógł dotrzeć do księżniczki. Wiedział jednak, że musi zebrać wszystkie siły. Jeśli Świda go złapie, wszystko stracone.

Skała była coraz bardziej gorąca. To sprawiło, że kopanie było łatwiejsze dla jego magicznych pazurów, ale jednocześnie martwiło go. Zbliżał się do lawy z drugiej strony i nie był pewny jej zasięgu.

Świda doganiała go. Zanim zdołał zlokalizować swój tunel sprzed kilku dni, przecięła mu drogę i włamała się do jego tunelu, a jej nos znalazł się przed jego nosem.

— To zabawne — powiedziała. — Nie podoba mi się jednak ten rejon. Wracajmy lepiej do moich apartamentów i Kochajmy się.

W tych okolicznościach była to oferta trudna do odrzucenia.

Polney próbował wstrzymać oddech, ale wysiłek kopania zmuszał go do łapania powietrza. Nie mógł teraz nie oddychać. Wiedział, że przegrał. Z oddechem wciągał jej zapach.

Ale, o dziwo, nie odczuwał teraz obezwładniającego pożądania. Była ładna, była miła, nie dostrzegał w niej żadnej skazy. Nie miał do niej żalu z powodu jej temperamentu.

W innej sytuacji chętnie poznałby się z nią bliżej. Teraz nie odczuwał już przymusu kochania się z nią. Co się stało?

Silniejszym zapachem uderzającym w jego nozdrza był teraz zapach lawy. Była bardzo blisko, a skała, przez którą kopali tunel, była gorąca.

To lawa spalała zapach godowy! Został uratowany przez lawę!

— Księżniczko Śwido — zwrócił się do niej łagodnie — lubię cię i stwierdzam, że jesteś bardzo atrakcyjna, ale ja nie jestem z twojego gatunku i nie wyświadczę ci przysługi przez próbę parzenia się z tobą. Muszę wrócić na powierzchnię, żeby poszukać zaklęcia powstrzymania. Wtedy twój rój będzie mógł rozwijać się w Dolinie bez skrzywdzenia jej mieszkańców. Poszukaj partnera z własnego gatunku i przyjmij moje najlepsze życzenia.

Jej wąsy zadrżały z żalu.

— Nie chcesz się ze mną kochać?

— Chciałbym, ale wiem, że to wyrządziłoby ci krzywdę — powiedział i zrozumiał, że nie do końca jest uczciwy. — Robię to, co jest najlepsze. Zawsze będę cię pamiętał i zawsze będę głęboko żałował tego, czego nie mogłem zrobić, ponieważ jesteś najbardziej zachwycająca wśród samiczek.

Wrócił do kopania, zakręcając w górę pod kątem prostym. Świda przycupnęła na chwilę w swoim tunelu, a następnie, niepokieszona, odwróciła się i ruszyła w drogę powrotną do domu.

Udało się. Nie odczuwał jednak radości. Gdyby tak mógł się poddać...

\* \* \*

Dotarcie na powierzchnię zabrało mu trzy dni, ponieważ był zmęczony. Podejrzewał, że zmęczenie było zarówno emocjonalne, jak i fizyczne. Nieznacznym śladem jej zapachu pozostał na jego futerku i za każdym razem, kiedy go wdychał, odczuwał żal niespełnionego marzenia. Księżniczka była świdrzakiem, to prawda, ale była rozkoszna. Teraz, kiedy jego decyzja była nieodwołalna, pojawił się żal. Snuł marzenia o tym, co mogłoby być, i wiedział, że to głupie. Potrafił zrozumieć problem Eski z mosiężną dziewczyną. Najśłodsza pokusa mogła być tym, co powszechnie uznaje się za najgłupsze.

Gdy znalazł się na powierzchni, pozostał mu jeden dzień do spotkania. Nie było to daleko, więc położył się i zasnął.

Następnego dnia ruszył w mozolną drogę do sadu przy Zamku Roogna. Byli tam: Esk, Chex, mosiężna dziewczyna, człowiek-kościotrup, stara demoniaczka i mała Ivy, która wyrwała się do przodu i uściskała go dokładnie tak, jak jednego ze swoich ulubieńców. Ku swojemu zdumieniu odkrył, że podoba mu się to. W tym momencie poczuł się o wiele bardziej polnikowato.

Opowiedzieli o swoich przygodach. Okazało się, że Esk zdobył zgodę ogrów na po-

moc. Olbrzymie humanoidy już organizowały się w swój głupawy sposób na przemarsz do Doliny. Chex zdobyła zgodę skrzydlatych potworów. Niedługo powinny się pojawić.

Potem Polney, z pominięciem tego i owego, wyjaśnił, co osiągnął.

— Księżniczka śświdrzaków! — wykrzyknęła Ivy z charakterystycznym dla człowieka kłopotem z „s”. — Jakie to eksscytujące!

Chex zachowała daleko większą rezerwę.

— Rój śświdrzaków? — zapytała zaalarmowana. — To jest duże ryzyko.

— Będziemy musieli poszukać zakłącza powsstrzymania na Śścieżce Zatracenia — powiedział Esk.

To doprowadziło do dyskusji na temat sposobów i środków. Tykwa stanowiła wielkie ryzyko. Kto więc powinien wejść przez trasę zombi, a kto powinien pozostać?

— Nie chcę wchodzić w ten sposób! — zaprotestowała Bria. — To może mnie zanieczyścić na stałe.

— Rozwiązanie jest proste — rzekła Chex. — Niech Essk odprowadzi cię na Śścieżkę Zatracenia, potem poszuka cię będąc w środku i jeszcze raz cię uratuje. Wtedy będziesz mogła powrócić do śświata Xsanth w fizycznej postaci lub powrócisz do swojego miasta. A przy okazji, jak się nazywa twoje miasto?

— Brassilia\* — odparła Bria. — Ale może ja nie chcę tam wrócić.

— Oczywiście, wybór należy do ciebie — zgodziła się centaurzyca.

Polney stwierdził, że zawahanie się Brii nie było zaskoczeniem dla Chex. Mosiężna dziewczyna chciała tutaj pozostać, bo rzucała swój zapach na Eska. Reszta członków grupy nie rozumiała tego, poza samym Eskiem. Chex zwróciła się do szkieletu.

— A ty, Marrow... Czy chcesz zaryzykować powrót okrężną drogą przez zombi-tykwę?

— Wyznam, że coraz bardziej interesuje mnie ten świat — odezwał się szkielet.

— Nie spiesz się z powrotem do Nawiedzanego Ogrodu. Chciałbym z wami podróżować, jeśli wyrażicie zgodę.

— Ryzykujesz jednak przemianę, której charakteru nie rozumiemy zbyt dobrze — przypomniała mu.

Marrow wzruszył kośćmi ramion. Był w tym bardzo dobry, z powodu stawów i obnażonych kości.

— To jest interesująca przemiana.

— Bardzo interesująca — zgodziła się Chex. — To daje cztery osoby. Myślę, że wystarczy. Latia i Bria czekają tutaj, a jeżeli nie wrócimy w ciągu tygodnia...

— Wtedy ja pójdę wass poszukać — powiedziała Bria. — A Latia poinformuje po-

---

\*Nieprzetłumaczalna gra słów: brass — mosiądz

lniki w Dolinie, że nadejdą śświdrzaki, ogry i sskrzydlate potwory. Niech będą przygotowani.

Omówili wszystko. Jutro czworo z nich wyruszy do ogromnej zombi-tykwy, którą znała Chex. Polney wiedział, że to jest konieczne, ale był chory z niepokoju. Wzmianka o fizycznym wejściu do tykwy przerażała go, ale nie tak bardzo, jak myśl o pozostawieniu jego ludu w Dolinie bez pomocy.

## Rozdział trzynasty

### Sny

Jeden dzień zajęło im dotarcie do zombi-tykwy, ponieważ pozostali nie mogli podróżować tak szybko, jak Chex. Planowali poświęcenie dwóch dni w tykwie na odnalezienie zaklęcia powstrzymania i tyle samo na powrót, co dawało im jeden dzień luzu. Margines pozostawał ten sam, ale zagrożenie rosło. Dolina Kopaczy mogła równie dobrze stać się zakładniczką swojego sukcesu.

Chex wyciągnęła zaklęcie odnajdywania drogi. Esk użył go dla ścieżki do moczarów ogrów — dla niego nie będzie działało, więc teraz wypadała kolej na Chex.

— W miarę najłatwiejsza i najbezpieczniejsza dla czworga ścieżka, do zaginionego zaklęcia powstrzymania — wypowiedziała starannie.

Esk zrozumiał, że było to mądre. Tykwa miała własne trudności i niebezpieczeństwa, takie jak uwięzienie na Ścieżce Zatracenia. On prosił o najkrótszą ścieżkę do moczarów ogrów i ta miejscami przedzierała się przez różne chaszczce. W tykwie mogło być gorzej.

Przed nimi pojawiła się ścieżka. Jak zakładali, prowadziła do ogromnej dziury. Esk denerwował się z powodu poprzedniego doświadczenia z tykwą, ale przypomniał sobie, że nie jest to ta sama sytuacja. Kiedy wchodzili w sposób fizyczny, mogli opuścić ją fizycznie, z własnej inicjatywy. Poza tym prowadziła ich ścieżka. Poprzednio nie spotkała go żadna krzywda, a nawet wy dostał się z niej z parą nowych przyjaciół.

Pozostali wskakiwali do środka i musiał pójść w ich ślady, zanim ich zgubi. Skoczył — i znalazł się wśród gnijącej roślinności. Polana wyglądała, jakby rzucono na nią jakiś potwornie zły urok, który spowodował, że roślinność chorowała i wymierała.

— Zombi-rośliny — wymruczał Polney, w widoczny sposób zmartwiony, tak samo jak Esk.

Chex pokazywała drogę wzdłuż zarośniętej i zabłoconej ścieżki, pomiędzy obniżeniami terenu. Esk dostrzegł przewrócony nagrobek i zrozumiał, że są to zapadnięte groby porośnięte chorymi roślinami. Zupełnie nie podobało mu się to miejsce!

— Uważaj, wąż! — zawołała Chex.

Esk popatrzył przed siebie i dostrzegł przerażającego zombi-węża, uderzającego w kość nogi Marrowa. Nie wycelował dobrze i ukąsił roślinę. Szkielet szedł dalej. Wrócił do swojego poprzedniego stanu. Był już bez ubrania, które dostał od Latii, a które jemu jednak wydawało się bezcelowe i zbyt afektowane.

Polney przystanął i obserwował węża. Kiedy chciał go wyminąć, wąż przygotował się do kolejnego uderzenia. Polnik pognął do przodu i wąż znowu chybił — ponownie ukąsił roślinę. Naprawdę nie był szczególnie bystry ani zwinny, jak bywają węże, choć pasował do obrazu przeciętnego zombi.

Najdziwniejsze było to, że roślina stawała się coraz zdrowsza. Jad w widoczny sposób wzmacniał ją.

— Zombi boją się zdrowia! — krzyknęła Chex. — Więc ukąszenia grożą tym, czego się obawiają. Ale my nie jesteśmy zombi i nie mamy pewności, jaki byłby tego skutek dla nas.

Rzeczywiście nie mogli być pewni! Esk w samą porę wyminął węża, ten chybił celu i Esk pobiegł, by dołączyć do pozostałych. Teraz znaleźli się w strefie walczących noży.

— Tą trasą szłam poprzednio — rzekła Chex. — Ścieżka musi gdzieś skręcać, ponieważ stąd prowadziła do Wyspy Centaura.

Wyciągnęła nóż z plecaka i rzuciła go w gąszcz noży. Natychmiast rozpoczęła się bi-jatyka, kiedy noże zaatakowały nóż-intruza. Cięły się wzajemnie podczas walki, coraz bardziej się wściekały, aż połamały się wszystkie. Cała czwórka mogła ruszyć tamtędy, ale odnajdywacz ścieżki już nie wskazywał tego kierunku.

Chex skinęła.

— To się zmienia.

Walka noży była tylko kluczem, a nie częścią ścieżki.

Ruszyła po nowej ścieżce, która prowadziła z powrotem tam, skąd przyszli.

Rozkładająca się roślinność zmieniała się w rozkładające kamienie i inne odpadki. Chex podeszła do zielonego kamienia, który już był tak dalece zaawansowany w gniciu, że przypominał grzyb. Uniosła kopyto i uderzyła o kamień. Rozleciał się. Kiedy kawałki opadły, wsiąkły w ziemię i uniósł się okropny zielonkawy ogień, rozszerzając się na całą ziemię i pożerając ją. W chwilę potem coś się pojawiło pod nią — drewniana płyta, która się nie paliła.

Chex postukała w koniec klapy, który opadł, a drugi jej koniec gładko uniósł się do góry. Odkryła dziurę i drewniane stopnie prowadzące w dół.

— Teraz ścieżka powinna zawrócić — zauważyła Chex.

Tak się jednak nie stało. Stopień zniszczenia schodów sygnalizował, że właściwa trasa prowadziła w dół.

— Przyznam, że jestem ciekawa, dokąd prowadzą — powiedziała centaurzyca. — Ale



to znaczy, że dalsza trasa nie jest mi znana. Sami widzieliście wystarczająco dużo podczas tej podróży; ta ścieżka może być niełatwa.

Rzeczywiście mogła!

— Ale w miarę najbezpieczniejsza i najłatwiejsza — powtórzył Esk.

Chciałby wiedzieć, co oznaczało „w miarę” w dziwnym świecie tykwy! Jeżeli uderzający zombi-wąż reprezentował bezpieczeństwo, co mogło stanowić niebezpieczeństwo?

Chex weszła do lochu dosyć niepewnie. Widoczne było, że centaury nie są zbudowane do pokonywania schodów. Na dole był podest, wystarczający, żeby zmieściła się na nim cała czwórka. Za nim ciągnął się szeroki, oświetlony korytarz. Była to bez wątpienia ścieżka.

Utworzyli linię wszerz korytarza i ruszyli. Do tej pory nie było źle. Może ścieżka jest wygodna według ludzkiej definicji.

Doszli do zardzewiałej, okratowanej bramy zagradzającej korytarz. Za nią stała czwórka groteskowo wyglądających zombi. Jeden był gnijącym człowiekiem, drugi rozkładającym się centaurem, trzeci zapleśniałym polnikiem, a ostatni niekompletnym szkieletem.

— Dzieje się tutaj coś specyficznego — zauważyła Chex. — Coś wie, że tu jesteśmy.

— Jehtem niehpokojny — odezwał się Polney.

— To nic nowego — powiedział Marrow. — My z tykwy jesteśmy animatorami pomysłów ze złymi snami. Ponieważ teraz wy i ja weszliśmy do tego królestwa fizycznie, te sny łączą się. Podejrzewam, że to może stać się dla was dość nieprzyjemne.

— A dla ciebie nie? — zapytała Chex.

— Ja oczywiście nie śnię, więc nie mogę mieć złych snów.

— Ale ta postać przed tobą bardzo przypomina zepsuty szkielet.

— Tak. To jest dziwne. Musiano mnie pomylić z żyjącym stworzeniem. Nie jestem pewien, czy mam to odebrać jako pochlebstwo, czy jako zniewagę.

— Co teraz zrobimy? — zastanawiał się Esk. — Czy mamy przedrzeć się przez bramę? Nie ma zaniku, a pręty są rozmieszczone zbyt blisko, żebyśmy przeszli między nimi.

— Jeżeli, jak domniemywam, są to animacje pochodzące z naszych umysłów, będziemy musieli stawić im czoło bezpośrednio — odezwał się Marrow. — Oczywiście, są po to, by nas odstraszyć. Złe sny tracą swoją moc, kiedy ich obiekt nie ucieka w przerażeniu. — Rozejrzał się dokoła. — Mam nadzieję, że nie powtórzycie tego w świecie zewnętrznym. Rozumiecie, sekret handlowy.

Esk roześmiałby się, gdyby nie to, że czuł słabość w kolanach.

— Zatem stawię czoło swojej karykaturze — powiedziała beznamiętnie Chex i podeszła do bramy.

Zombi-centaur zachował się podobnie, jakby był lustrzanym odbiciem. Spotkał się z nią tuż przy bramie. Wyciągnęła prawą rękę, a tamten wyciągnął lewą. Dotknęła jej — i jej ręka przeszła przez tamtą. Nie, nie przez — w nią. Obydwie dłonie stopiły się i zniknęły. Przestraszona Chex cofnęła rękę. To samo zrobił zombi i obydwie ręce ponownie się zjawiły.

— Jak woda! — wykrzyknął Esk. — Zupełnie jakbyś włożyła rękę do wody! Znika i to samo dzieje się z odbiciem.

— To musi być to — zgodziła się Chex z krzywym uśmiechem. Rozłożyła skrzydła, jakby zamierzała coś zrobić, i biła się z myślami. Zombi zrobił to samo.

Wtedy zrobiła krok do bramy. Karykatura powtórzyła jej ruch.

Stopiły się. Przednie partie ciała zniknęły jedna w drugiej, pozostawiając dwa zwierzęce zady. Potem zady stopiły się, a zostały tylko dwa ogony przecinające ze świstem powietrze. W końcu i ogony spotkały się pośrodku i zniknęły. Wtedy uformował się obraz, który nałożył się na bramę. Przedstawiał Chex galopującą przez las i rzucającą zmartwione spojrzenia przez ramię. Przed czym uciekała? Teraz w polu widzenia pojawił się pościg. Stado centaurów — samców, samic i młodzików — wymachiwało włóczniami i łukami. Wyraźnie zamierzały ją zabić!

Pole kończyło się surowym zboczem, usłanym skalnym rumowiskiem. Chex musiała zwolnić, żeby uniknąć skręcenia kopyta w rumowisku, a ścigające ją centaury zbiły się w grupę. Jeden wycelował łuk. Zejście było coraz bardziej ostre. Nie mogła się posuwać dalej bez ryzyka utraty oparcia dla kopyt. Dalej była już tylko przepaść otwierająca się na rwącą rzekę. Nie było szans na przeprowienie się w bród. Gdyby podjęła taką próbę, rozbije się o wystające z rzeki głazy. Widzieli, że była przerażona swoim ciężkim położeniem.

— To tylko wizja! — wołał Esk. — Nie może wyrządzić ci krzywdy! To tylko zły sen!

Chex usłyszała go. Spojrzała na niego ze zrozumieniem — i nagle znalazła się z powrotem w korytarzu, z nimi, a sen odszedł. Zombi-centaur był na powrót po swojej stronie bramy nie zmieniony. Droga przegrodzona była kratą.

Chex oddychała ciężko. Widocznie naprawdę się przestraszyła.

— Widzieliście to? — zapytała.

— Widzieliśmy — potwierdził Esk. — Byłaś ścigana przez centaury.

— Skazały mnie na śmierć z powodu skrzydeł — powiedziała. — Wzięły mnie za wybryk natury!

— Dokładnie tak, jak prawdziwe centaury — skwitował Esk.

— Więc to jest twój najgłębszy strach albo wstyd — rzekł Marrow. — Najgorszy sen, jaki mogą dostarczyć ci nocne mary: odrzucenie przez własny gatunek.

Zadrzała.

— Tak. Próbowалам nie myśleć o tym, ale to okropnie boli. Chciałam stać się częścią mojej rasy, ale nie mogę.

— Musisz to zignorować — poradził Marrow.

— Jak to zrobić? Zabiją mnie, jeśli nie ucieknę!

— Ale sen o śmierci nie jest prawdziwą śmiercią — zwrócił jej uwagę Esk.

— Mam nadzieję, że masz rację — powiedziała z kwaśnym uśmiechem. — Tym razem nie budź mnie.

Pomaszerowała z powrotem do swojego odbicia. Znowu zniknęły jedna w drugiej i sen powtórnie się pojawił.

Chex uciekała przez las, zmierzając w stronę pola. Tym razem jednak zmusiła się do zatrzymania i odwróciła twarzą do swoich prześladowców.

— Nie macie prawa do prześladowania mnie w ten sposób! — krzyknęła. — Jestem taka, jaka się urodziłam. To nie jest moja wina!

— Odmieniec! Odmieniec! — zawołały centaury chórem. — Śmierć wszystkim odmińcom!

Potem dźgały ją włóczniami, raziły strzałami z łuków i raniły ją nożami, aż pozostała tylko drgająca masa ciała.

Chex zbudziła się z krzykiem. Drugi sen był gorszy od pierwszego! Przerazający gwałt nie był blefem.

Esk podskoczył do niej i rozłożył ramiona. Pochyliła się i kurczowo przywarła do niego, nie zważając na fizyczną czy społeczną wstydlivość.

— Och, to było straszne! — krzyknęła. — Ja umarłam! Oni mnie zabili, to bolało. Byłam tam okaleczona i umarłam.

— Okropne — zgodził się Esk, trzymając ją najlepiej jak mógł, choć mięśnie jej klatki piersiowej uciskały go w szyję.

— Na pewno był to niewłaściwy sposób stawienia czoła temu strachowi — powiedział Marrow.

— Najpierw uciekałam, potem stawiałam im czoło! — histerycznie szlochała Chex. — Obydwa sposoby były złe. Co jeszcze mogę zrobić?

— Nad tym musimy Cię zażtanować — odezwał się Polney. — Ona próbowała hskrajnych hpohobów; co pozohtaje pomiędzy nimi?

Chex puściła Eska.

— Więc zachowałam się jak głupia kobyłka! Oczywiście, istnieje problem, który należy przeanalizować i rozwiązać. Posługuję się skrajnymi metodami, podczas gdy rzeczywistość ma wiele odcieni szarości. Sen stwarza pozory rzeczywistości i to mnie zestresowało.

— Że co? — zapytał Esk, zniechęcony ostatnim obco brzmiącym wyrazem.

— Był realistyczny — wyjaśniła. — Sprawił, że uwierzyłam, iż tam jestem, choć wie-

działam, jak jest naprawdę.

— Sprawił, że i ja uwierzyłem, że tam jesteś. W pierwszej chwili — dodał Esk.

— Dziękuję ci za wsparcie — powiedziała. — Zaczynam doceniać wartość przyjaźni.

— Phyjaciele... — powtórzył Polney. — Czy nie moglibyśmy dołączyć do ciebie tam i pomóc phecwihtawić hię centaurom?

— Powiedz „tak”! — krzyknął Esk. — Czworo to więcej niż jeden! A Marrow może ich naprawdę wystraszyć!

— Doceniam tę ofertę — powiedziała Chex. — Nie chciałabym jednak narażać was na tego rodzaju niebezpieczeństwo. Może nie zostalibyście dosłownie zabici, ale wierzcie mi, to może boleć. Ja odczuwałam ból. W każdym razie wierzę, że to jest osobiste wyzwanie dla mnie. Jeżeli podejmę je z waszą pomocą, nie będzie się liczyło.

W jej postawie dostrzegli prawość.

— Ale jeśli nie będziesz mogła ich zwalczyć albo przekonać, albo uciec... Co wtedy zrobisz? — zapytał Esk.

— Odrzuć ich — poradził Marrow. Oczy Chex rozszerzyły się ze zdumienia.

— Myślę, że masz rację! W obydwu snach potraktowałam ich poważnie, więc oni mieli moc. Ja dałam im tę moc!

— Jednocześnie wiedziałas, że są fikcyjnymi postaciami ze snu — powiedział Esk. — Mimo to zaatakowały cię. Nie jestem pewien, czy wystarczy, gdy powiesz im, że ich odrzucasz.

— Nie, nie wystarczy — zgodziła się. — Muszę tego dowieść. A ponieważ jest to sen, myślę, że wiem, jak to zrobić.

Stanęła przed bramą.

— Życzcie mi szczęścia.

— Całe morze powodzenia! — zawołał Esk.

— Hkhynię tego — powiedział Polney.

— Całe żeberka — dodał Marrow.

Widać było, że Chex opanowała nerwy i podbiegła do bramy. Zniknęła ponownie w zombi-centaurze. Uformował się obraz.

Tym razem wbiegła na pole, potem wyhamowała i szybko okręciła się wokół własnej osi. Horda centaurów ścigała ją z napiętymi łukami.

— Nie macie tutaj władzy! — krzyczała. — To jest mój sen! Odrzucam was i wszystko, co sobą reprezentujecie: ograniczoność, nietolerancję, przemoc! To nie jest mój sposób życia i nie powinien być wasz.

Natarły na nią, broń zalśniła.

Och, nie! — pomyślał Esk. To nie działa.

Wtedy Chex rozpostarła skrzydła i skoczyła. Skrzydła napięły się mocno, a odrzut

powietrza wzbił w górę obłok kurzu i rozwiął grzywy centaurów. Uniosła się ponad nimi, powoli i dostojnie.

Ona fruwała!

Centaury zagapiły się na nią. Zupełnie się tego nie spodziewały!

— Odrzucam wasze ziemskie sposoby myślenia! — krzyczała Chex. — Nie macie skrzydeł, więc prześladujecie tych, którzy mają! To jest wasz podstawowy błąd, skwaśniałe końskie bobki!

Teraz centaury się otrząsnęły. Uniosły łuki, a Chex przyspieszyła uderzenia skrzydeł i wystrzeliła w niebo, szybko znikając z zasięgu ich strzał.

— Nie potrzebuję waszej aprobaty, nie boję się waszego potępienia! — wołała. — Mam swoje własne życie do przeżycia! Zostawiam was!

Wtedy się zbudziła. Była z powrotem na podłodze. Dyszała głośno i poczerwieniała z poczucia odniesionego zwycięstwa. Sen odszedł.

— Ale to nie było prawdziwe życie; nadal nie potrafię latać — powiedziała smutno. — Doświadczyłam tego, że w kategoriach snu wszystko jest inne. Tam wprawdzie napotkałam straszne niebezpieczeństwo, ale miałam cudowne możliwości. Te skrajności występują w snach równocześnie. Sięgnęłam więc do pozytywów i przewyciężyłam negatywy. I wiecie, to jest prawdziwe! Nie potrzebuję już centaurów! Jestem wolna od swoich obciążeń i fałszywych pragnień. Już nie chcę być taka jak one, już nie muszę być przez nie zaakceptowana. Chcę zbadać nowe horyzonty, które się przede mną otwierają, a które są rozleglejsze od ich horyzontów! Ich rzeczywistość jest cenna dla nich. Dopóty nie mogłam im uciec, dopóki pragnęłam być przez nie zaakceptowana, i nie umiałam im się przeciwstawić tak długo, aż zrozumiałam, że ich senne przedstawicielstwo jest tylko karykaturalnym wyostrzeniem ich poglądów. Nie potrafiłam obronić się przed nimi, współzawodnicząc z ich przekonaniami, a kiedy przywołałam własne przekonania, były bezsilne.

Urwała, kiedy dotarło do niej, że wszyscy się w nią wpatrują.

— Co się dzieje? Nie zgadzacie się? Esk odzyskał głos.

— Przeszłaś — powiedział.

— Ja? — rozejrzała się wokół siebie. — Ależ jestem po drugiej stronie bariery!

— Twoje zwycięstwo — potwierdził Marrow.

— Przeszłam własne ograniczenia najgorszych obaw i wstydu — zgodziła się. — Już nie będzie mnie to straszyle.

Ten sen był tego manifestacją. Nic takiego już nie istnieje. Przeszła bez przeszkód przez bramę, zawróciła i jeszcze raz przeszła. Metalowe pręty nie były rzeczywiste.

Esk podszedł, żeby dotknąć prętów — i jego odbicie zrobiło to samo, wyciągając rękę; dla niego ta bariera pozostała realna!

— Zombi-centaur zniknął — zauważył Polney. — Ale inne pozohtały.

— Musimy przezwyciężyć własne sny — rzucił Esk.

— Ja zabieram Cię do hwojego — postanowił Polney i pomaszerował do bramy.

Zombi-polnik spotkał się z nim nos w nos. Obydwaj wniknęli w siebie i pojawił się sen.

Był w tunelu, którego ściany ładnie oświetlał kolorowy grzyb. Polnik dostał się tam, przekopując ścianę. Magiczne metalowe pazury na przednich łapach ryły w skale, jakby to było błoto.

Był tam inny kopacz. Esk zauważył pewne subtelne różnice w jego kształcie i ubarwieniu. Była to samica, niezupełnie z gatunku Polneya. Jej oczy i futerko również zmieniły color.

— Księżniczka świdrzaków — wymamrotała Chex. Znowu przeszła przez barierę i stała teraz obok Eska.

Och! Esk pomyślał o demonicy Metrii i zaczął rozumieć istotę najskrytszego wstyd polnika.

Polney doszedł i zatrzymał się przed świdrzakiem. Księżniczka zbliżyła się do niego i obwąchiwała go nosem. Doszedł ich przyjemny zapach, jakby kwitnących kwiatów. W dziwny sposób przypomniało to mosiężną Brię. Było to zabawne, ponieważ ona była z metalu i pachniała polerowanym mosiądzem.

Polney odskoczył i sen się skończył. Był z powrotem, z tej strony bramy.

— Obawiałem Cię, że tak będzie — wyszeptał.

— Pożadasz księżniczki świdrzaków — stwierdziła Chex.

— Ale to pułapka!

— Tak, wyjaśniłeś to — powiedziała spokojnie centaurzyca. — Przecież unikałeś jej, nie masz więc powodu, żeby wstydzić się tej znajomości. Postąpiłeś właściwie i dzięki temu jesteśmy na wyprawie po zakłęcie powstrzymania.

— Jednak blihki byłem phegranej — ciągnął Polney. — Z powodu mojej niegodziwohci.

— Twojego czego? — zapytał Esk. — Zawsze byłeś dla mnie wzorem polnika.

— Nie jehtem — westchnął Polney. — Odrzucenie przez włahną rahę, którego bała się Chekh, to także mój problem.

— To wymaga wyjaśnień — powiedziała Chex. — Czy nie przybyłeś z misją dla polników?

— Tak, lecz nie dlatego mnie wybrano, że jehtem najlephy, ale dlatego, że jehtem zbędny.

— Zbędny? — zapytała Chex. — Jak to możliwe?

Polney westchnął.

— Czah, żeby wyjawic whtydliwy hekret. Byłem konkurentem htarającym Cię o względy nadzwyczajnie polnikowatej hamiczki, ale ona odrzuciła mnie, a przyjęła in-

nego.

— Jakaś nadzwyczajnie polnikowata samiczka dała ci kosza? — powtórzyła Chex.

— Przecież to nie jest twoja wina!

— To jeht moja wina — upierał się Polney. — Polniki łączą się w pary na życie, a kiedy zohtałem odrzucony, nie pohiadam kwalifikacji na życiowego partnera. Nie pozoh-  
tało mi nic innego, jak odejhc!

— Jedno takie odrzucenie sprawia, że stajesz się zbędny? — zdziwiła się Chex.  
— Trudno to zrozumieć.

— Nie jehteh polnikiem — przypomniał jej. — Pomyhl, że tak jak dla ciebie proble-  
mem były skrzydła, tak dla mnie jest włahnne to, co mi się phytrafiło.

— Remis — zgodziła się.

— Ale potem poszedłeś po pomoc dla twojego ludu — powiedział Esk. — Nie masz  
się czego wstydzic.

— Nie podjąłem hię mihji dla dobra Doliny, ale jako pretekhtu do odejhcia — wyja-  
śnił Polney.

— Jednak chcesz ją doprowadzić do końca, prawda?

— Tak. Ale kiedy hpotkałem Świdę...

— Miałeś pokusę, żeby zapomnieć o misji — dokończyła Chex. — Potrafię to doce-  
nić. Ale oparłeś się tej pokusie, więc nie masz się czego wstydzic.

— Whtyd jeht w hamej pokuhie — oświadczył Polney. — Nie powinienem był do  
niej dopuhcic.

— Wątpię w to — wtracił się Marrow. — Oparłeś się tej pokusie zarówno w życiu, jak  
i we śnie.

Chex potaknęła.

— Myślę, że jeszcze nie stawileś czoła swojemu najgłębszemu strachowi i wstydowni.  
Polney westchnął przeciągle, wydając dźwięk „ha”.

— Zatem muhę zrobić to terah — powiedział.

Ruszył w kierunku swojego karykaturalnego bliźniaka. Obraz powtórzył się. Słod-  
ka świdrzak Świda wyszła mu na spotkanie, stykając się nosem z jego nosem. Zapach  
kwiatów był mocniejszy.

Polney zawahał się, potem zagłębił się w ziemi. Jeśli uwodzenie przez nią nie jest jego  
najgłębiej ukrytym wstydem, to co nim jest? Podszedł, żeby objąć ją w sposób polni-  
ków.

Zmarszczyła nosek. Zwęszyła coś. Nad nimi uformował się obraz; scena na scenie: ja-  
kaś samica-polnik odwracała się tyłem do Polneya na wewnętrznym obrazie.

— Ona rozumiała, że Polney jest odrzutkiem — wymruczała Chex.

Nagle księżniczka odwróciła się. Zapach kwiatów zniknął. Polney został sam — po-  
nownie odrzucony.

Zbudził się raptownie i znalazł z powrotem w korytarzu — z nimi. Najgłębszy problem Polneya był oczywisty: jego głęboka wiara w swoją nieprzydatność jako polnika zraziła do niego księżniczkę, mógł więc igrać z pokusą flirtowania z nią. Czuł się podwójnie winny: zdradzenia swojej misji i Doliny oraz niepowodzenia z księżniczką.

— Istnieje tylko jedno rozwiązanie — powiedziała Chex. — Dokończ swoją misję. Jeżeli jest w tym jakiś błąd, to na pewno nie twój i już nie potrzebujesz się wstydzić. Księżniczka świrzaków nie odrzuciła ciebie, ale gdyby to zrobiła, wiedziałbyś, że to jej błąd, a nie twój.

— Ale jehtem winien niepolnikowej hłabohci — zaprotestował.

— Tylko w twoim złym śnie — powiedziała. — Obawiasz się słabości, a nie doświadczyłeś jej w życiu.

Polney wzruszył ramionami. Potem przemaszerował do zombi-polnika. Sen uformował się i natychmiast rozwiął, pozostawiając Polneya po drugiej stronie bramy.

— Teraz wierzę — zgodził się Polney. — Dokończę moją mihję beh względu na pokuhę czy odrzucenie.

Esk wciągnął głęboko powietrze.

— Moja kolej — powiedział.

Zombi-człowiek wyszedł mu na spotkanie. Esk stopił się z nim — i otworzył się jego sen.

Przedstawiał wirujący wszechświat gwiazd, pyłu i księżyców. Wszystkie te obiekty poruszały się dostojnie po oddzielnych trajektoriach, nie przytwierdzone do swoich powłok, tak samo jak w rzeczywistości. Księżyc, zamiast być masą twarogu, w tej dziwnej wizji był monstrualną kulą złożoną z poprzecinanej kraterami skały. A najdziwniejsze ze wszystkiego wydawało się to, że Królestwo Xanth było jedynie półwyspem na powierzchni gigantycznej mundańskiej kuli. Esk wiedziałby, że to jest halucynacja, nawet gdyby nie zachował świadomości, że to tylko sen. Obraz zaczął się do niego przybliżać. Szczegóły ulegały powiększeniu, aż stały się mapą Xanth, na której on stał. Wtedy uformował się obraz równoległy, identyczny z pierwszym, z tą tylko różnicą, że nie było w nim Eska.

To było wszystko. Stał tak uwolniony od powłoki cielesnej, studiując obydwie obrazy: jeden z jego podobizną, a drugi bez niego. Nie było pomiędzy nimi absolutnie żadnych innych różnic.

Krzyczał. W chwilę potem znalazł się z powrotem w korytarzu. Chex podbiegła i objęła go, dodając mu odwagi, podobnie jak on ją obejmował pomiędzy jej snami, aż jego strach powoli się rozwiął.

— Co to znaczy? — zapytał zdumiony Polney. — Nie widziałem żadnych potworów, żadnego whtydu, tylko dwa obrazy.

— Niczym się nie różniły! — krzyknął Esk. — Absolutnie niczym!



— To prawda — wymruczała Chex. — Ale dla nas nie był to horror. Dlaczego miałby być dla ciebie?

W miarę jak się nad tym zastanawiał, zaczynał rozumieć.

— Jestem w jednym śnie, nie ma mnie w drugim... I nie ma różnic. Ja nie stanowią żadnej różnicy.

— Tak, Esk — przytaknęła Chex.

— Nie ma znaczenia, czy żyję, czy umarłem — ciągnął Esk. — Xanth pozostaje dokładnie ten sam. Jakie jest usprawiedliwienie dla mojej egzystencji?

— To tylko twój strach, a nie rzeczywistość — przypomniała mu Chex.

— Ale możliwe, że to jest rzeczywistość! — sprzeczał się. — Jestem niczym i nikim. To, co robię, nie ma znaczenia. Zrozumiałem, że wyruszyłem na spotkanie z Dobrym Magiem, ponieważ potrzebowałem jakiegoś potwierdzenia, iż jestem coś wart, że mam do spełnienia jakąś misję w życiu. Pozbycie się demonicy, uratowanie moich staruszków od niej — to był jedynie pretekst. Miałem nadzieję, że Dobry Mag mógłby jakoś uczynić mnie wartościowszym.

— Ależ ty jesteś wartościowy! — zawołała Chex. — Jak możesz w to wątpić?

— Wmówiłem sobie, że jestem — tłumaczył Esk. — Ale w głębi nie jestem pewien, że tak jest. Co ja takiego zrobiłem, żeby mogło to zmienić coś w Xanth? Gdybym się nie urodził, czy miałoby to znaczenie dla kogoś lub czegoś? Obraz ze mną jest dokładnie taki sam, jak obraz beze mnie.

Chex zadumała się.

— Przypuszczam, że może tak być, ale ta prawda może dotyczyć nas wszystkich. Patrząc na to obiektywnie — wszyscy możemy być nieważni i zbędni. Sądzę jednak, że istnieje na to odpowiedź. Nie powinno się przywiązywać wagi do tego, czym jest się w danym momencie. Możesz pracować nad tym, żeby sprawiało to różnicę. To właśnie robi Polney. Wtedy obrazy ulegną zmianie.

Esk potaknął.

— To, co mówisz, wydaje się mieć sens. Ale jak mam to osiągnąć? Xanth jest ogromny, a ja taki mały.

— Jak wielką różnicę stanowi przywrócenie koryta rzeki Pocałuj-Mniee?

— Ogromną, ale to jest misja Polneya. My tylko pomagamy.

— Jeżeli jednak on nie może zrobić tego bez ciebie?

— Jeżeli ja pomogę mu w tym, wtedy bez mojego udziału nie byłoby zmiany — zauważył Esk, smakując tę myśl.

Ponownie podszedł do bramy. Zombi spotkał się z nim. Złączyli się i znowu nadszedł sen.

— Teraz jestem niczym — powiedział Esk. — Mogę jednak to zmienić i zamierzam spróbować. Jeśli mi się uda, stanę się kimś. To wszystko, co mogę zrobić... — wszystko,

co ktokolwiek może zrobić. Uczciwie spróbować. Jeżeli to nie wystarczy, nic nie wystarczy i nie jest warte żadnego złego snu.

Obraz zadrgał. Potem obraz z jego podobizną zafalował. Jakaś rzeka, która była prawie prosta na drugiej mapie, tutaj zaczęła się skręcać.

To wszystko. Był to tylko sen, ale sprawił Eskowi ogromną satysfakcję. Wiedział, co musi zrobić, żeby pokonać swój najgłębszy strach. Musi udowodnić, że jego życie ma jakieś znaczenie, chyba że nie dokończy swojej misji.

Wizja rozwiała się. Esk znalazł się po drugiej stronie bramy.

Tylko Marrow pozostał po tamtej stronie.

— Moja kolej — odezwał się szkielet. — Ale się waham.

— To zrozumiałe — powiedziała Chex. — My wszyscy mieliśmy bardzo różne doświadczenia.

— .Nie obchodzą mnie złe sny — rzekł Marrow. — Ja nie śnię naprawdę, ponieważ nie jestem żywy. Martwię się o to, że nie będzie żadnej reakcji, ponieważ nie ma we mnie niczego do wytworzenia jej: żadnego strachu, wstydu, winy, sekretu. Moje usiłowanie przejścia może też wyzwolić mechanizm, który zmaże cały program.

— Co zrobi? — zapytał Esk.

— Ta próba jest wyłącznie dla żyjących, którzy śnią — wyjaśnił Marrow. — Jeśli wejdzie w nią ktoś bez snów, to mechanizm, nie mogąc się dostosować, ulegnie rozregulowaniu. Całe urządzenie będzie narażone na zniszczenie. Nie mam pewności, czy powinienem zaryzykować.

— On ma rację — wymruczała Chex. — Jest stworzeniem ze złych snów; jak może sam im podlegać?

— Co się stanie, jeżeli program, na przykład, skasuje się? — zapytał Esk.

— Wtedy wejście do wywołania programu tykwy zostanie zamknięte — odparł Marrow. — Możecie zostać uwięzieni tutaj bez możliwości ucieczki. Może też zaistnieć psychiczne lub fizyczne zagrożenie dla waszej trójki.

— Marrow jest dobrym phewodnikiem — powiedział Polney. — Możliwe, że nie uda nam się dokończyć wyprawy bez jego rad.

— Myślę, że powinniśmy zaryzykować — dodał Esk. Chex potaknęła.

— Może powinniśmy. Mimo wszystko nie ma sygnałów o kłopotach, a zombi-szkielet czeka. Przechodź przez bramę, Marrow.

Szkielet wzruszył ramionami.

— Jak to mówią, nie zedrą ze mnie skóry.

Pomaszerował do kraty. Zombi-szkielet wyszedł mu na spotkanie i obydwaj się stopili.

Zaczął się tworzyć obraz. Pokazywał Marrowa stojącego w korytarzu dokładnie tam, gdzie był. Potem zniknął, a Marrow znalazł się z powrotem tam, skąd wyszedł.

— Próbowano zrobić dla niego sen! — wykrzyknął Esk.

— I nie znalazło się nic, czego można by się uchwycić — dopowiedział Marrow.

— Nie jestem tego pewna — rzuciła Chex. — Musiało coś być, chociażby dlatego, że zaczęło się tworzenie obrazu. Myślę, że powinniśmy to zrozumieć. Może być ważne.

— Został trafiony bez snu — tłumaczył Esk. — Sen był zamierzony, więc się zaczął, ale potem okazało się, że nie jest potrzebny, więc się skończył.

— Ale był jakiś sen — upierała się. — Prosty, ale jednak sen. To sugerowałoby, że Marrow posiada pewną realność, mierząc to naszymi kategoriami.

Teraz Polney zainteresował się.

— Co to może być za realność? On nie ma życia.

— Obraz był tylko z nim, nie zmienionym — wtrącił Esk. — Dopóki nie zniknął, myślałem, że to jest on.

— To rzeczywiście byłem ja — powiedział Marrow. — Ponieważ ja nie mam życia, nie mam snów. Był to po prostu obraz przedstawiający mnie takiego, jakim jestem.

— Tak było — zgodziła się Chex. — Na pewno przedstawia twój najskrytszy strach lub wstyd.

— Ja nie mam strachu ani wstydu — powtórzył Marrow.

— Może dlatego zostałeś odrzucony — zastanowiła się Chex.

— Ponieważ akceptuje tylko tych, którzy mogą pojednać się ze swoimi snami, a ja nie mam z czym się godzić — ciągnął Marrow, kiwając czaszką.

— Nie. Ponieważ odmówiłeś dojścia do porozumienia z nim.

To ubawiło Eska.

— Dlaczego miałby dochodzić do porozumienia z czymś, co nie istnieje.

— Ponieważ to naprawdę istnieje — powiedziała Chex stanowczo. — Gdyby nie istniało, przeszedłby bez podejmowania wyzwań. Tam jest oczekujący na niego zombi i Marrow nie przejdzie, dopóki nie odnajdzie w sobie tego ukrytego upiora.

— Niczego we mnie nie ma — zaprotestował Marrow. — Moja czaszka i klatka piersiowa są kompletnie puste, co sami możecie zobaczyć. Postukał się po czaszce kostką palca i rozległ się pusty dźwięk.

— Taki sam był szkielet we śnie — zgodziła się.

— Chcesz powiedzieć, że on boi się siebie samego? — zapytał niedowierzająco Esk.

— Być może. — Spojrzała na Marrowa. — Czy to prawda?

— Czy możliwy jest taki strach? — zdziwił się Marrow.

— Unikasz odpowiedzi.

— Ależ nie ma we mnie niczego, czego bym się bał — powiedział szkielet. — Istnieję tylko po to, żeby wzbudzać strach w żywych ludzkich istotach. Nie mam innej rzeczywistości.

— To samo sugerował twój sen — wyjaśniła Chex. — Czy to cię zadowala?

— Dlaczego nie miałyby mnie zadowalać? Nie mam prawa być zadowolony albo niezadowolony. Taka jest po prostu moja rola.

— Znowu unikasz odpowiedzi.

— Jak sądzicie, co czuję? — zapytał Marrow.

— Ja byłbym zmartwiony — odezwał się Esk. — Moim najskrytszym strachem było, że zupełnie nie liczę się w Xanth, więc moje życie może być bezsensowne. Ty nawet nie jesteś żywy. Jesteś nawet szczebel niżej ode mnie.

— Pragnienie życia byłoby głupotą z mojej strony — wyjaśnił grzecznie Marrow.

— Życie oznacza zamieszanie.

— W jaki sposób stworzenie, które nie jest żywe, może być głupie? — zapytała Chex.

— Życie jest tylko nagromadzeniem niedogodności związanych z konsumowaniem substancji, eliminowaniem i przetwarzaniem substancji — powiedział Marrow. — Jest przykrością z powodu bólu i wstydu. Koniec jest dokładnie tym, czym ja już jestem: śmiercią. To nie ma sensu.

— Ale życie ma uczucia — wtrąciła się Chex. — A ty masz uczucie. Czy twój najgłębiej ukryty strach nie jest obawą, że nigdy nie będziesz mógł być czymś więcej, niż teraz jesteś?

— Ja nigdy nie będę czymś więcej!

— Dlaczego nie spróbujesz z bramą jeszcze raz? — zasugerowała.

Marrow wzruszył ramionami i wrócił do zombi. Tym razem uformował się bardziej wyrazisty obraz — jego samego, jakim był.

— Ja nie chcę być taki na zawsze! — wykrzyknął nagle Marrow. — I może nie będę musiał! Jeśli Esk może zrobić coś, żeby stać się wartościowy, dlaczego ja nie mogę mieć aspiracji, żeby być czymś więcej niż kościotrupem?

Sen utrzymywał się jeszcze chwilę, następnie zniknął. Marrow był po drugiej stronie bramy.

— Uściskam cię — powiedziała Chex. I zrobiła to.

Marrow wyglądał na oszołomionego. Esk zrozumiał to. Szkielet stawał się żywy, przynajmniej w aspiracjach. Był to ogromny postęp.

Esk w głębi duszy nie mógł się temu nadziwić. Rozumiał, że żyjący mogli stać się martwi, ale nie pojmował, jak martwi mogą stać się żywi czy był to proces autentyczny, czy zaledwie iluzja, wytwór królestwa Snów? Przypuśćmy, że Marrow tylko pomyślał, że zaczyna śnić, a tym samym żyć?

— Chodźmy dalej — zarządziła Chex. — Teraz mamy lepsze poznanie naszych motywów i charakterów, ale niewiele nam to pomoże, jeśli nie znajdziemy zaklęcia powstrzymania.

Absolutna prawda! Poszli wzdłuż korytarza, który teraz wydawał się jaśniejszy.

— Nie czuję już zgnilizny — zauważył Polney, obwąchując podłogę. — Jesteśmy już poza terenem zombi.

— Bardzo mnie to cieszy! — powiedziała Chex. — Nie tylko dlatego, że jestem uprzedzona do gnijących ciał, ale także dlatego, że dowiedziałam się, iż istnieje dojście do całego świata tykwy nie tylko przez teren zombi. Ta ścieżka jest tego dowodem.

\* \* \*

Wtem korytarz skończył się ślepą ścianą. Ścieżka prowadziła do ściany i przez nią, ale nie mogli przejść przez litą skałę.

— Co teraz? — jęknął rozczarowany Esk.

Chex przejechała dłońmi po murze, poszukując szczelin lub pustych miejsc. Polney obwąchiwał go u podstawy, szukając jakiejś nieszczelności. Obydwoje niczego nie znaleźli. Mur pozostał całkowicie jednolity i nie do poruszenia.

— Masz jakiś pomysł, Marrow? — zapytał kwaśno Esk.

— Możliwe. Jest oczywiste, że droga prowadzi przez tę barierę, tak jak prowadziła przez poprzednią. Musimy jedynie odkryć sposób.

Esk zdusił w sobie ostrą odpowiedź na temat wygłaszania banałów.

— Zatem jaki jest twój pomysł?

— To jest Królestwo Snów. Może jakiś sen jest potrzebny na tę ścianę.

— Sugerujesz, że jeśli będziemy śnili, to możemy ją przejść, a inaczej nam się nie uda?

— Jest bardziej prawdopodobne, że będziemy musieli wyprodukować sen, jak to tutaj zazwyczaj się robi.

Chex zainteresowała się.

— W jaki sposób ktoś może wyprodukować sen o przejściu przez mur?

— Projektuje się go i puszcza w obieg — powiedział zupełnie poważnie Marrow.

— Czy nie mógłbyś wyrazić się jaśniej? — gniewnie zapytała centaurzyca.

— Nie ma problemu. Możliwe, że gdyby udało się nam utworzyć korytarz przechodzący przez mur, to stałoby się tak, jak w naszym śnie.

Chex w widoczny sposób wątpiła w to, ale dalej badała ścianę, aż znalazła kawałek kamienia, który był czarny i rozsypywał się. Użyła go do narysowania czarnej linii na murze. W końcu powstał zarys topornie narysowanych drzwi. Wtedy pchnęła te drzwi. Nic się jednak nie wydarzyło.

— Pozwól mi spróbować — poprosił Esk.

Wziął odłamek i narysował klamkę. Potem zrobił ruch, jakby chciał ją chwycić, i nacisnął.

Poruszyła się. Drzwi w murze otworzyły się.

Wstrząśnięci, przeszli przez nie i znaleźli się w ogromnej galerii, gdzie wisiało mnó-

stwo pięknych obrazów.

— Wystawa obrazów — stwierdziła Chex, rozglądając się dookoła.

Ścieżka prowadziła obok widoków rzek, jezior i wodospadów, mijała pustynie i zamieszkane rejony, opuszczone zakątki, ośnieżone lasy i rozkwitnięte krzewy, dziwacznym wyglądem domy, włącznie z takimi na kurzych nóżkach, aż zatrzymała się przed portretem Chimery. Z paszczy potwora tryskał strumień wody i wpadał do stawu na dole obrazu.

Ich ścieżka prowadziła w górę, do stawu na obrazie.

Esk westchnął.

— Teraz ja spróbuję — powiedział.

Wepchnął palec do stawu. Palec wszedł do obrazu i poczuł wilgoć wody. Wepchnął całą rękę. Również była mokra. W końcu włożył obie ręce po pachy, za nimi głowę i dał nurka w obraz.

Z pluskiem wpadł do stawu, który okazał się głębszy, niż wyglądał. Popłynął. Chwilę później znalazł się na chodniku za stawem, cały przemoczony. Obejrzał się za siebie, ale nie dostrzegł niczego poza krajobrazem. Była to miła wiejska okolica, której źródło wody znajdowało się ewidentnie w tej fontannie. Słońce było wysoko na niebie, podpierane przez kędzierzawe chmurki. Wszedł do świata z obrazu.

Ścieżka prowadziła dalej, do drogi, która wiodła przez zwyczajny las. Nic nie wskazywało na to, że jest to Świat Hipnotykwy.

Z tym za nim rozległ się plusk. Polnik Polney pojawił się w wodzie. Po chwili również dotarł do brzegu stawu.

Następny przybył Marrow, pojawiając się znikąd. Szkielet nie mógł pływać; po prostu przeszedł po dnie, aż dotarł do krawędzi. Wtedy Esk pochylił się, złapał kościstą rękę i pomógł Marrowowi podciągnąć się do góry.

— Zaraz będzie plusk — ostrzegł Marrow.

Rzeczywiście był, kiedy Chex wylądowała w stawie. Tym razem Esk pilnie obserwował. Pojawiła się, jakby wyskoczyła z lustra: najpierw przód, potem tylna część. Masa jej ciała spowodowała, że woda w stawie uniosła się i przelała. Przeżyła trudne chwile przy próbach wyjścia ze stawu. Ludzka część z łatwością znalazła się nad wodą, ale Esk musiał złapać ją za ręce, żeby pomóc jej w utrzymaniu równowagi i podniesieniu tylnego kopyta. Marrow złapał za nie i podniósł je do krawędzi stawu. Potem pomogli jej przetoczyć się przez tę krawędź, kiedy podnosiła następne kopyto. Jej brzuch ryzykownie zawisnął nad jeziorem, aż w końcu zdołała odzyskać równowagę i stanąć na suchym gruncie.

— Jeżeli to jest najłatwiejsza i najbezpieczniejsza ścieżka — mruknęła — to znienawidzę te najtrudniejsze i najbardziej ryzykowne! — Otrząsnęła się, rozpryskując wokół wodę. — Mam nadzieję, że to już niedaleko!

Ruszyli drogą do lasu. Kiedy minęli pierwsze drzewa, ścieżka raptownie odbiła od głównej drogi i dała nurka w najgęstsza płataninę roślinności. Chex westchnęła.

— Powinnam była wiedzieć.

Coś nie dawało spokoju Eskowi.

— Ta ścieżka wygląda jakoś znajomie.

— Naturalnie — odparł Marrow. — To jest Ścieżka Zatracenia.

— A zaginione zakłęcie powstrzymania będzie na tej ścieżce! — krzyknął Esk.  
— Zbliżamy się!

Podniesieni na duchu, pospieszyli w kierunku krętej ścieżki. Tylko Marrow okazał rezerwę.

— Może się okazać, że tym razem nie będzie ucieczki z powodu przerwania kontaktu twojego oka z otworem w tykwie — ostrzegł.

To zwarzyło entuzjazm Eska. Nie widział jednak innej możliwości niż podążanie do przodu. Jeśli zostaną uwięzieni na Ścieżce Zatracenia, pomimo przewodnika, którym było zakłęcie odnajdywania ścieżki, to ich sen o uratowaniu Doliny Kopaczy okaże się ułudą. Jeśli Jednak nie pójda tą ścieżką, sen zostanie zaprzepaszczony.

## Rozdział czternasty

### Elementy

Ścieżka wiła się nietypowo, ale wyglądała dość porządnie, tak jak wtedy, gdy Esk był tu poprzednio. Wkrótce nie mogło już być mowy o pomyłce; przypomniał sobie rzeźbę okolicy. Niedługo dojdą do miejsca, gdzie...

— Powiedz, Marrow! — wykrzyknął. — Czy będziesz tam, gdzie cię spotkałem?

— Jestem tutaj, oczywiście — odparł szkielet.

— Chodzi mi o to, że wszedłeś do mojego świata, tak jak ja wszedłem do twojego; raczej w umyśle niż cieleśnie, więc twoje ciało powinno...

— Wątpię w to. My, stworzenia magiczne, nie chwytny się tak mocno, jak wy, rzeczywistości; jesteśmy w całości tam, gdzie mamy się pojawić. Więc ani ja, ani mosiężna Bria nie będziemy na tej ścieżce. Znalazłeś nas, więc już nie jesteśmy zgubieni.

Chex potaknęła w milczeniu głową. Widocznie doszła do tego sama.

— To brzmi sensownie — powiedział Esk.

Pozostał jednak zdenerwowany: przypuśćmy, że szkielet naprawdę pojawi się na ścieżce?

Kiedy doszli do tamtego miejsca, na ścieżce znaleźli jedynie wgłębienie w ziemi po kości miednicy Marrowa. Wyjaśnienia szkieletu były prawidłowe. Istniał w całości tam, gdzie w danej chwili był widziany. Rzeczywiście, istniały różnice pomiędzy stworzeniami żyjącymi a magicznymi.

Wcześniej musiał podać Marrowowi rękę, żeby wydostać go z zagubienia; teraz Marrow spacerował sobie samodzielnie, ponieważ został odnaleziony. Widocznie ścieżka zaklęcia odnajdywania wyparła własności Ścieżki Zatracenia i żadne z nich nie było zgubione.

Coś czerwonego przebiegło im drogę. Chex przestraszyła się, ale Esk dodał jej otuchy.

— To tylko sarna. Sarny są czerwone.

Obrzuciła go dziwnym spojrzeniem, ale nie odezwała się. Doszli do zasadzonej w do-



niczce rośliny.

— To jest fiołek — powiedział niedbale Esk. — Fiołki są niebieskie. Znowu popatrzyła na niego i jeszcze raz wstrzymała się od uwag.

— Miał być zasadzony na miedzy, ale odrzucili go — ciągnął Esk. W końcu nie wytrzymała.

— Dlaczego?

— Ponieważ nie chcieli więcej fiołków pośrodku — wyjaśnił niewinnie.

— Tu cię mam! — krzyknęła. — Wrzucę cię w kolczaste krzaki!

— Proszę, nie! To mnie rozdrażni.

Zrobiła krok w jego kierunku, ale przerwał jej wybuch śmiechu Polneya. Zbita z tropu odwróciła się w tamtym kierunku.

— Podejrzewam, że to ona jest rozdrażniona — zauważył Marrow.

Szli dalej w milczeniu. Wkrótce minęli oczorośl, zagubioną witaminę F i inne rzeczy, aż doszli do miejsca, gdzie poprzednio była Bria. Esk przypomniał sobie jej pocałunki na przeproszenie i poczuł, że się czerwieni.

— To stąd mosiężna zabrała zaklęcia dostosowania — zauważył Marrow.

— Co takiego? — odezwał się wstrząśnięty Esk.

— Zagubione zaklęcia dostosowania. Elfy i inne stworzenia używają ich, kiedy chcą się krzyżować ze stworzeniami niewłaściwych rozmiarów czy rasy.

— Czyż ono może być zgubione, jeśli elfy go używają? — zapytała Chex.

— Nie jest umieszczone w Leksykonie, tak samo jak oczorośl, więc jest zgubione — wyjaśnił cierpliwie Marrow.

— W jaki sposób to zaklęcie dostosowania dostosowuje? — zainteresował się Esk. Przypomniał sobie, jak bardzo zaprzyjaźnił się z Brią, i pożałował, że wcześniej nie wiedział o charakterze tego zaklęcia.

— Jeśli jakiś elf zechce skrzyżować się z człowiekiem lub ogrem, albo jeszcze z czymś, wtedy przywołuje zaklęcie dostosowania, a ono sprawia, że mają podobne wymiary. Wtedy mogą zaspokoić swoje żądze w rozsądny sposób.

— Przypuśćmy, że obydwójce różnią się gatunkiem, a nie wymiarami? — zapytał Esk. — Jeśli, na przykład, jedno jest z ciała, a drugie z metalu?

— Zaklęcie dostosowuje ich do siebie — odparł Marrow. — Te zaklęcia elfów są dość potężne. Mogliby się rozmnażać.

— Podejrzewam, że ktoś tu ma plany wobec kogoś innego — zauważyła Chex. Popatrzyła na zaczerwienionego Eska. — A ten ktoś drugi nie ma nic przeciwko temu.

— Czy ono jest jednym z tych jednorazowych zaklęć — zapytał Esk. — Podobnie jak odnajdywacz ścieżki, kiedy tylko jedna osoba może...

— Nie, można je stale przywoływać — powiedział Marrow. — Pewnego razu straszylem elfa we śnie, a on żył z rusałką na normalnych zasadach. Bał się śmierci, a nie utra-

ty rusałki, z którą był od wielu lat. — Uśmiechnął się krzywym, bezcielesnym uśmiechem. — Przybrałem postać szkieletu elfa i ścigałem go prosto do brzegu wody. Wtedy jednak rusałka wzięła go w ramiona i osłoniła przed strachem, który ja reprezentowałem. Musiałem się więc wycofać. Miała biust podobny do Chex, z wyjątkiem tego, że lśnił od wody.

— Moje mięśnie klatki piersiowej też lśnią wilgocią, kiedy ćwiczę podczas upalnej pogody — zauważyła Chex.

— Ale co się dzieje, gdy chodzi o nierzeczywistą osobę? — pytał Esk dręczony niepewnością. — Jak ona mogłaby...

— Zaobserwowaliśmy już pewien postęp u samego Marrowa — wymruczała Chex. — Czasami nierzeczywiści stają się rzeczywistymi.

Szli dalej ścieżką, ale Esk prawie niczego po drodze nie zauważał. Czy przeprosiny Brii naprawdę wynikały z charakteru jej kultury, czy z chęci wywarcia na nim wrażenia? Oczywiście, wywarła na nim wrażenie! Ale co nią kierowało? Czy naprawdę się nim interesowała, czy chciała tylko odnaleźć się, czy też wreszcie próbowała stać się rzeczywista? Im więcej nad tym rozmyślał, tym bardziej nabierał przekonania, że chciała wydostać się ze swojego kłopotliwego położenia, a on znalazł się pod ręką. Opuściła więc z nim tykwę, a teraz uzyskiwała pewnego rodzaju niezależność. Mogła użyć tego zaklęcia dostosowania na jakimś innym mężczyźnie. Dlaczego miałyby przejmować się nim? Wolałyby, żeby ta myśl nie trapiła go tak bardzo.

— Popatrzcie na to! — krzyknęła Chex, wrywając Eska z zamyślenia. — Nasza ścieżka odbija od Ścieżki Zatracenia!

— Czy zaklęcie powhthymania... czy ono nie jeht zgubione? — zapytał Polney.

— Może jednak nie na drodze, którą wybraliśmy — powiedziała Chex. — Albo istnieje odcinek tej Ścieżki Zatracenia, który nie jest ani łatwy, ani bezpieczny, więc musimy go ominąć.

Podążyli ścieżką zaklęcia. Prowadziła do okolicy całkowicie odmiennej od miejsc ich poprzednich doświadczeń. W powietrzu ponad nimi tworzyły się rozbryzgi kolorów. Rozprzestrzeniały się, zmieniały barwę i zanikały. Rozległy się dziwne dźwięki, pomruki, kwilenia i nieprzyjemny śmiech. Owiewały ich różne zapachy; niektóre przypominały perfumy, inne gnijące mózgi.

— Jak dobrze jest wrócić do konwencjonalnych horrorów — powiedział z entuzjazmem Marrow.

— To prawda — dodała Chex. — Stąd pochodzą złe sny; niemal zapomniałam.

— Tak. Tutaj doświadczają wrażeń samotni i nerwowi. Czy nie są wspaniałe?

— Wspaniałe — zgodziła się z rezygnacją.

Ponad nimi uformowała się nagle ogromna twarz o świecących oczach.

— Ktoś nachodził mnie w mojej posiadłości? — zapytała ze świstem.

— Ach, zmykaj na Ścieżkę Zatracenia! — warknęła na to Chex. — Już nam tego wystarczy.

— Oooo, taaak? — zaskomlała twarz.

Otworzyła szeroko usta, niemożliwie szeroko, aż stały się większe niż sama twarz. Wysła z nich następna twarz, brzydsza od pierwszej, z ogromnym, pokrytym brodawkami nosem i zębami jak sztylety.

— Narruszszaście ccudzy grrunt — wysyczała nowa twarz.

— Słuchaj, czy mógłbyś być grzeczny? — zapytała zniecierpliwiona Chex. — Próbuujemy gdzieś dojść i już jesteśmy zmęczeni tymi rutynowymi strachami. Zostaw nas w spokoju.

— Wrrrrr! — zawarczała twarz.

Otworzyła usta i błysnęły zęby-sztylety. Z paszczy wyłoniła się trzecia twarz, jeszcze gorsza, z małymi tańczącymi płomykami zamiast oczu, dziobem zamiast nosa i dziurą głęboką jak jaskinia w miejscu ust.

— A pójdziesz ty! — wrzasnęła Chex.

Wyciągnęła łuk, nasadziła strzałę i wystrzeliła, trafiając w dziób.

— Uff, to mogło nie być mądre — powiedział Esk, cokolwiek za późno.

Zdumiała go łatwość, z jaką Chex zaatakowała twarz. Wiedział, że centaury są dobre we władaniu łukiem, ale nie zdawał sobie sprawy, że aż tak dobre.

Strzała przeszła dokładnie przez dziób, ponieważ był to pojedynczy obraz na niebie. Twarz zareagowała wściekłością. Zaryczała i wypuściła gwałtowny strumień lodowatego powietrza, pomieszanego ze śniegiem i deszczem. I spadła na nich z góry. Zanim zdążyli się ruszyć, zamknęła się na nich rozwarta paszcza. Potwór połknął całą ich grupę!

Temperatura spadła i mokry śnieg szybko pokrył ich warstwą lodu. W chwilę potem stwierdzili, że stoją na pokrytym śniegiem wzgórzu, a wokół nich hula wiatr, wywiewając resztę ciepła z ich osłabionych ciał.

— Miałeś rację — wyjąkała Chex, szczękając zębami. — Nie powinnam była tego robić.

Zbili się w grupkę, żeby zaoszczędzić cenne ciepło, z wyjątkiem Marrowa, który nie cierpiał z powodu zimna, chociaż śnieg oblepiał mu kości. Wokół nich szalała burza, zakrywając słońce. Nie mogli patrzeć pod wiatr, a cała okolica wirowała od jego podmuchów. Oznaczało to, że byli w brzuchu powietrznego potwora!

Burza się wzmagала! Siła wiatru groziła zmiecieniem ich ze wzgórza, jeśli wcześniej nie zamarzną na śmierć.

— Ttaka łatwa ścieżka! — wykrztusił Esk.

— Myślę, że jest to Królestwo Elementu Powietrza — oświadczył Marrow. — Przedłużenie tykwy, oczywiście. Powietrze staje się dość burzliwe.

— Mam pomysły! — wymamrotał Polney, prawie spod śniegu.

— Mam pomysł — powtórzyła Chex. — Przekopmy się niżej do czegoś cieplejszego i przeczekajmy to.

— Burza nie przejdzie — powiedział Marrow. — Kiedy powietrze jest obrażone, nie spocznie, zanim nie zniszczy tego, kto go obraził.

Burza rzeczywiście wciąż się wzmagala. Deszcz ze śniegiem uderzał w nich jak kłujący piasek. Zbicie się w gromadkę nie przynosiło efektu. Zbyt duża część ich ciał była odsłonięta, a wiatr i zimno były zbyt intensywne.

— Musimy przekopać tunel pod tym — ciągnęła Chex. — Ja, niestety, nie umiem dobrze kopać tuneli i boję się ograniczonej przestrzeni. Jedynie świadomość, że to wszystko dzieje się w świecie tykwy, umożliwiła mi przebycie podziemnych korytarzy, którymi tu dotarliśmy.

— Ja umiem kopać tunele — odezwał się Polney.

Nałożył swoje specjalne pazury i zanurkował w śniegu, wysyłając w górę tumany bieli. W chwilę potem zniknął cały w wykopanej przez siebie dziurze i jedynie wylatujący śnieg sygnalizował jego działalność.

— Twój strach przed ograniczoną przestrzenią nie zmanifestował się w twoim złym śnie — zauważył szkielec.

— To prawda — zgodziła się zaskoczona centaurzyca. — Bardziej bałam się odrzucenia aniżeli tego, że mogę zostać zmiażdżona. Gdybym przewyciężyła swój największy strach, mogłabym pokonać również i te mniejsze. — Rozprostowała ramiona. — Tak czy inaczej, spróbuję. Myślę, że w tej sytuacji wolałabym raczej być zgniecioną niż zamarznąć.

— Wykopanie w ziemi dziury, dość dużej dla nas wszystkich, zajmie za dużo czasu — powiedział Esk.

— Możemy zbudować śnieżny fort dla częściowej osłony, zanim zakończy się kopanie — zaproponowała Chex.

Spróbowała przesunąć śnieg rękami, ale szybko zrobiły się sine i nie mogła nimi poruszać. Zamarzała.

— Gdybym tylko miała szufłę! — wykrzyknęła, wciskając dłonie pod skrzydła.

— Ja będę twoją szufłą! — zwrócił się do niej Marrow. — Kopnij mnie.

— Co? — zapytała centaurzyca.

— Rozrzuc mnie kopniakiem, a z moich kości zróbcie szufłę — wyjaśnił szkielec.

Marrow pochylił się, a Chex cofnęła się i wymierzyła mocnego kopniaka w jego kościany tył. Kości pofrunęły we wszystkie strony, ale po wylądowaniu na ziemi złączyły się w łańcuch. Chex uformowała z tego łańcucha prymitywną szufłę. Długie kości nóg służyły za trzonek, a żebra klatki piersiowej za szufłę. Pozostało jeszcze sporo kości, więc Esk zbudował drugą, jeszcze niezdarniejszą szufłę z uśmiechniętą krzywo czaszką jako

łopatą. Widocznie Marrow nigdy nie rozdzielał się całkowicie.

Zaczęli kopać i szło im niezłe. Energia, którą przy tym wyzwolili, ogrzewała ich, a szuflę pracowały bardzo dobrze, chociaż wyglądały niezgrabnie. Zapewne magia szkieletu ułatwiała każde zadanie, którego podejmowały się jego kości. Wkrótce mieli wykopaną solidną pieczarę, a siła wyjących wiatrów najpierw zmaląa, a potem przycichła.

W tym samym czasie Polney bez przerwy przekopywał się niżej. Nagle w dziurze pojawiła się jego głowa.

— Znalazłem jahkinię — ogłosił. — Jednak wejście do niej może nie okazać się zbyt mądre.

— Dlaczego? — zapytał Esk. — Nie możemy pozostać tutaj dłużej, bo zamrzniemy!

— Tam może być inny potwór.

Chex przerwała prace.

— Czy to jest ciepła jaskinia?

— Wygodna. Ale...

— Zatem zaryzykujemy spotkanie z potworem! — krzyknęła.

— Co będzie ze ścieżką? — zastanowił się Esk. — Musimy przecież kierować się ścieżką!

— Hcieżka tam jeht — wtrącił Polney.

Wrócił do kopania i dziura gwałtownie się poszerzyła. Wkrótce była wystarczająco szeroka, aby Chex mogła się przez nią przecisnąć.

— Popchnij mnie, jeśli będzie trzeba — powiedziała do Eska, wręczając mu swoją szuflę. — Zignoruj mój krzyk; mogę ulec głupiej panice.

Musiała pochylić głowę i plecy, żeby wejść. Chwyliła się rękami za przednie nogi, a tylne mocno wyrzuciła za siebie. Ta pozycja wyglądała na bardzo niewygodną dla niej, ale musiała ją przyjąć, żeby się przecisnąć. Polney próbował pomóc, ciągnąc ją od spodu, a Esk pchał ją z góry. Najszersza część jej ciała utknęła jednak mocno w dziurze i nie można jej było poruszyć. Była uwięziona.

— Co teraz zrobimy? — zapytał rzeczowo Esk.

— Użyj jednej z moich kości jako dźwigni, żeby wyważyć ją z dziury — powiedziała czaszka.

Wstrząśnięty nagłym odezwaniami się czaszki, Esk niemal ją upuścił. Ale dlaczego Marrow miałby nie rozmawiać, kiedy przerobiono go na szuflę? Przecież mówił dzięki magii.

Esk przystawił swoją szuflę, która miała trzonek z kości rąk, do końcówki szuflki Chex i utworzył w ten sposób dość długi drag.

— Czy możesz trzymać się sztywno, kiedy będę naciskał z jednej strony?

— Oczywiście — odparła czaszka. — My, szkielety, jesteśmy dumne z naszej sztyw-

ności.

Esk nacisnął końcówkę szufli-draża tam, gdzie utknęła centaurzyca, potem powoli odchylił rączkę i próbował wbić klin pomiędzy jej ciało a ścianę, żeby umożliwić jej przejście. Nie udało się.

— Bardziej w lewo — zasugerowała czaszka.

Esk spróbował jeszcze raz z lewej strony, obok jednego z jej złożonych skrzydeł.

— Tak, tutaj — mówiła czaszka. — Czuję tutaj luz. Trochę bardziej zdecydowanie!

Esk nacisnął trochę mocniej. Nagle Chex przepchnęła skrzydło i jej ciało przesunęło się trochę w dół. Zadziałało!

Esk podważał ostrożnie w kilku miejscach, zgodnie ze wskazówkami Marrowa, za każdym razem przeciskając nieco jej tors w dół. W końcu przecisnęła się cała reszta. Przeszła!

Esk wskoczył za nią. Dziura prowadziła do jaskini, gdzie teraz stali polnik i centaurzyca. W świetle dochodzącym z dziury, którą przeszedł, Esk dostrzegł, że Chex dotyka ran na boku.

— Och, to ja musiałem cię skaleczyć — powiedział.

— Już dobrze — odparła. — Groziło mi uduszenie się, nie mówiąc o wpadnięciu w panikę.

Naprawdę wyglądała na wstrząśniętą.

W jaskini było cieplej. Odebrali to jako wielkie dobrodziejstwo. Esk dostrzegł słabą poświatę ich ścieżki; rzeczywiście przechodziła tędy. Co z potworem?

Z kierunku, w którym prowadziła ścieżka, rozległ się rozdierający uszy ryk. Był tam potwór!

Wymienili spojrzenia.

— Nie możemy się cofnąć — rzekła Chex. — Nawet gdybym mogła przecisnąć się z powrotem w górę, nie mam na to ochoty. Tam, w górze, jest tylko rozwścieczony Element Powietrza.

— Być może potwór nie jest niebezpieczny — powiedział Esk. — Przestraszył nas tylko, ale nie wyrządził żadnej szkody.

— Do tej pory... — zauważył Polney, ruszając z dezaprobatą wąsami.

Weszli na ścieżkę. Niedługo potem odkryli źródło ryku. Była nim umieszczona w podłodze jaskini ogromna twarz, której usta były jamą w samej twarzy, a oczy wypuszczającymi parę kanałami.

Chex przystanęła na brodzie.

— Ostatnia twarz była Elementem Powietrza — powiedziała. — Przynajmniej tak jest personifikowana tutaj, w tykwie. Ta powinna być personifikacją Elementu Ziemi.

— Grrrrrr! — zaryczała paszcza i wypuściła siarkowe gazy, zmuszając ich do kaszlu.

Ścieżka wiodła prosto do tej paszczy.

— W tym czasie, kiedy będziemy się zastanawiać, co robić dalej, poskładajmy z powrotem Marrowa — powiedziała Chex.

— Nie ma potrzeby — odezwała się czaszka. — Może znowu będziecie potrzebowali szufli albo dźwigni, albo broni. Poczekajmy, aż uwolnimy się od tych trudności. Na razie, jeśli nie sprawi wam to kłopotu, poniesiecie mnie.

— Ja nie mam nic przeciwko — odezwał się Esk. Odczuwał coraz większy respekt wobec właściwości szkieletu. Marrow był bardzo wszechstronnym kumplem!

— Jeżeli obrazimy tę twań, wpadniemy w gorhe tarapaty — ostrzegł Polney.

To nasunęło Eskowi pewien pomysł.

— Będziemy więc jej schlebiać! — zdecydował.

Chex potaknęła.

— Może byłoby nam łatwiej przemieścić się przez Powietrze, gdybym nie straciła cierpliwości. To, co teraz robimy, jest zupełnie nie po centaury.

— Czy widzieliście kiedykolwiek przystojniejszą twarz? — zapytał głośno Esk. — Z bardziej, hm, ziemskimi rysami?

— Prawie na pewno nie widziałam — odparła Chex. — Ta ma najproporcjonalniejszą rzeźbę.

Olbrzymie usta rozciągnęły się w uśmiechu. Ryk ucichł.

— Wejźmy do środka i przyjrzyjmy się innym cudom, które tam są — powiedział Esk. — Jestem pewny, że wewnątrz jest nawet ładniej niż na zewnątrz.

— To z pewnością jest możliwe — zgodziła się Chex. — Z łatwością zapominamy, ile zawdzięczamy Elementowi Ziemi. Bez niego mielibyśmy bardzo mało substancji.

Uśmiech zamienił się w grymas zadowolenia. Z ust wysunął się ogromny kamienny jęzor i utworzył pomost.

Poszli tym pomostem w dół, do ust. Przestrzeni wokół nich było dość. Po krótkiej chwili pomost wyprostował się i utworzył krętą drogę, która prowadziła przez sieć jaskiń. Z góry zwisały się stalaktyty, a z dołu wznosiły się wspaniałe stalagmity. Ich ostrza wyszukiwały z doskonałą precyzją końcówki stalaktytów. Niektóre były z kolorowego kamienia, połyskiwały zielenią, czerwienią i żółcią w miejscu złączenia ze stalaktytami. Inne kolumny stalagnatów były krystalicznie przezroczyste. Wydawały się zbyt delikatne, żeby przetrwać jakiegokolwiek trzęsienie ziemi w tym rejonie. Niektóre rzucały przyciemnione światło na ścieżkę. Teraz nie trzeba było uciekać się do wyobraźni, żeby pochwalić piękno tego rejonu. Rzeczywiście było tu cudownie.

Były również komory z pokruszonymi kamieniami, ale nawet te godne były uwagi. Znajdowały się tu różnorodne drogie kamienie, od wielokolorowego kwarcu do iskrzących się diamentów. W tym miejscu wyszła z Chex jej kobieca natura.

— My tylko przechodzimy tędy — powiedziała — ale zastanawiam się, czy byłoby

w porządku, gdybym wzięła sobie jeden maleńki okruch tego cudownego, purpurowego ametystu? To taki ładny kamyczek!

— Jeżeli Element Ziemi się nie sprzeciwi — powiedziała czaszka.

Chex pochyliła się i wybrała jeden kamyczek ze stosu sięgającego połowy jej wysokości.

— Czy mogę zatrzymać ten jeden? — zapytała. — Obiecuję zachować go na zawsze, na pamiątkę wrażeń z tego rejonu.

Od ścian jaskini dobiegł ich cichy pomruk aprobaty.

Esk obiecał sobie, że we wszystkich przyszłych spotkaniach z dziwnymi stworzeniami i mocami najpierw spróbuje pozytywnego podejścia. Jakże pozytywne wyniki przyniosło ono w tym przypadku!

W końcu doszli do ściany ognia.

— Ta obiecuje nam większe wyzwanie — zauważyła Chex. — Czy możemy wejść do Aneksu Elementu Ognia bez obawy przed spalaniem?

— Podejrzewam, że będziecie zmuszeni zamienić się w płomień — odezwała się czaszka.

Chex zaśmiała się, potem spoważniała.

— To nie był dobry dowcip — skarciła czaszkę.

— Z pewnością nie ma w tym nic zabawnego — powiedział Esk. — Nie chcę spłonąć.

— Może pothebujemy więcej wyobraźni? — zapytał Polney.

— Masz na myśli wykonanie drugiego rysunku drzwi, by przejść przez nie? — zapytała Chex. — Jeżeli poza nimi jest również królestwo ognia, to i tak spłonimy.

Esk ważył coś w myślach.

— Obraziliśmy Powietrze i prawie zmiotła nas burza śnieżna. Prawiliśmy komplementy Ziemi i mieliśmy przyjemną wycieczkę. Pochwalmy też Ogień. Te elementy posiadają moc i mogą spowodować, że będzie nam ciężko bądź łatwo.

Chex potaknęła.

— Jeżeli Powietrze prawie zamroziło nas na śmierć, to może Ogień potrafi się powstrzymać od spalania nas, jeśli zechce. W jaki sposób pochwalić Ogień?

— Możecie spróbować mówić mu prawdę — zasugerowała czaszka Marrowa.

— Prawdę? — zapytał Esk. — Że nie chcemy być spaleni?

— Że mamy misję do spełnienia i potrzebujemy jego pomocy. Teraz wypadła kolej na Eska.

— Spróbuję.

Zwrócił się twarzą do ognia.

— Elemencie Ognia — zaintonował — jesteśmy czwórką wędrowców, którzy muszą przejść przez twoje królestwo. Czy możemy z tobą porozmawiać?



W ścianie uformowała się gigantyczna twarz, o oczach jak słoneczne krążki i ustach przypominających monstrualny roztopiony magnez.

— Heeee? — zapytała gorąco.

— Tak, przemierzyliśmy Powietrze i Ziemię, a teraz doszliśmy do ciebie. Używamy cię przy gotowaniu i do ogrzewania nas, kiedy marzniemy. Szanujemy twoją moc, ale nie możemy cię dotknąć bez wyrządzenia sobie krzywdy. Czy pozwolisz nam przejść bez spalenia nas?

Twarz zamyśliła się.

— Mu-si-cie za-mie-nić się w pło-mie-nie — powiedziała, przedzielając każdą sylabę z wybuchem ognia.

— Ale... — zaczął Esk.

— Czy możemy stać się płomieniami bez wyrządzenia sobie krzywdy? — włączyła się Chex.

— Tak, jeś-li to za-ak-cep-tu-je-cie — odparł ogień.

— I wtedy możemy przejść do sąsiedniego królestwa?

— Tak.

— Więc akceptujemy — potwierdziła centaurzyca. — W jaki sposób mamy stać się płomieniami?

W odpowiedzi usta otwarły się w duże ogniste koło.

— Musimy zaufać słowom Elementu Ognia — powiedziała Chex i wskoczyła do koła.

Zniknęła. Tam, gdzie była, tańczyły teraz płomienie o zarysie centaury.

Esk wpatrywał się w to przerażony.

— On ją spalił! — wyszeptał.

Płomienisty centaur odwrócił się i przywołał ich kiwnięciem głowy.

— Nie. To jest Chex — odezwała się czaszka. — Zamieniła się w płomień. Rzuć mnie jako następnego.

Eskowi trzęsły się ręce, ale cisnął kości przez obręcz. Zamieniły się w płomień o kształcie szkieletu.

— To muhi być prawda — rzekł Polney. — Pamiętaj, że ta hciezka ma być bezpieczna. Przerzuc mnie nahtëpnego.

Esk pochylał się i złożył razem ręce. Polnik postawił na nich tylne łapki, potem wziął zamach, a Esk podrzucił go i Polney zdołał przelecieć przez obręcz. On również zniknął w płomieniach.

Teraz przyszała kolej na Eska. Kontemplował pierścień ognia i opuściła go odwaga. Czy naprawdę bezpieczne było przejście przez tę obręcz, czy może tamci się spalili i zastąpiły ich szydzące z niego płomieniste postacie? Czy mógł mieć pewność? Chex zwalczyła swoją klaustrofobię i weszła do ziemi; czy on mógł pokonać swój strach przed

spłonieniem i zaufać Ogniewi?

Wahał się, niezdolny do wykonania skoku. Trójka ognistych postaci przywoływała go zza obręczy. Potrafiły to sprawić ogniste demony — to nie był dowód, że jego przyjaciele są bezpieczni.

Pomyślał też o tym, w jaki sposób mógłby stąd uciec, gdyby nie zdecydował się wejść w płomień. Ścieżka, która przyprowadziła ich tutaj, nie mogła być użyta w powrotnej drodze. Zbyt wiele było na niej barier, ślepych ścian, obrazów w jedną stronę i tym podobnych utrudnień. Nie mógł wrócić sam; musiał być z kimś, kto miałby zakłęcie odnajdywania ścieżki, żeby wyszukać nową ścieżkę. Był więc i tak zgubiony. Równie dobrze mógł zginąć w płomieniach.

Napełniło go to wątpliwym zaufaniem do ognia. Zaczerpnął powietrza, wstrzymał oddech i skoczył przez obręcz.

— Witamy na pokładzie — powiedziała Chex. — Przez chwilę myślałam, że nie masz zamiaru do nas dołączyć.

Esk obejrzał się od stóp do głów. Był utworzony z płomienia!

— Uważaj, nie odchodź od źródła paliwa — ostrzegł go Polney. — Możesz szybko wygasnąć, jeżeli nie będziesz uważał.

Esk zareagował z opóźnieniem.

— Ty nie seplenisz! — wykrzyknął, a jego ciało rozbłysnęło jasno ze zdumienia.

— Nigdy nie sepleniałem! — powiedział z naciskiem ognisty polnik. — To ty powinieneś poprawić swoje syczenie.

Esk postanowił nie spierać się z nim. Szybko przekonał się, jak wygląda sytuacja z paliwem. Kiedy odchodził od wytrysku paliwa, jego ciało stawało się anemiczne i groziło wygaśnięciem. Było tutaj jednak wiele dysz, musiał tylko przechodzić od jednej do drugiej.

Popatrzył na Chex. Zmieniała kształt!

— Płomień jest giętki — rzekła, dostrzegając jego spojrzenie.

Nie miał pojęcia, w jaki sposób potrafiła widzieć, słyszeć lub mówić, ale robiła to.

— Mam kłopoty z utrzymaniem mojego płonącego zadu, więc eksperymentuję z kształtem, który byłby wygodniejszy.

Kontynuowała transformację, aż zupełnie straciła podobieństwo do centaura i bardziej przypominała płomień dużej świecy. Potem rozciągnęła się w pseudokokon ognia przylegający do dyszy i rozbłysnęła w górę, a jej zad zniknął.

Esk spróbował tego. Złączył obydwie stopy i poczuł się o wiele lepiej, bo więcej paliwa wlewało się do jego istoty. Sięgnął do następnej dyszy i stwierdził, że jej płomień jest bardziej rozciągnięty, niż jego ramię. Po co robić sobie kłopoty z tworzeniem bezużytecznej ręki, kiedy potrzebowali przede wszystkim połączenia.

Wkrótce wszyscy przypominali bardziej płomień świec, nawet Marrow. Rozpoczę-

li swoją podróż przez Królestwo Ognia. Ścieżka ukazywała się w postaci wzoru dysz zawierających tylko gaz albo płynną ciecz bądź paliwo stałe. Mogli korzystać z każdego paliwa, chociaż różnicowały one ich kolor i temperaturę. Paliwa miały odmienne smaki i wytrzymałość. Gaz był zielony i migoczący, podczas gdy węgiel był niebieski i płonął równo, drewno natomiast trzeszczało i dawało płomień żółty. Stali się koneserami paliw, ponieważ były niezbędne do życia. Pozostać bez paliwa oznaczało zginąć.

Przeszli przez pole ognia i doszli do ostrej linii granicznej: wody. Na równinie rozlewało się bezkresne jezioro, ograniczając paliwo i tym samym ogień. Wyglądało naprawdę nieprzystępnie. Ścieżka prowadziła jednak do niego.

— Dziękujemy ci za twoją gościnność, Ogniu — odezwał się Esk. — Teraz musimy przejść przez Wodę.

Ponownie ukazała się płomienna twarz.

— Nie za-zdrosz-czę wam — rzekła i zgasła.

— Elemencie Wody — powiedział Esk, zwracając się do jeziora — jesteśmy czwórką wędrowców, którzy muszą przejść przez twoje terytorium. Czy możemy zrobić to bezpiecznie i wygodnie?

Na powierzchni wody uformowała się twarz z oczami jak wiry wodne.

— Zanurkujcie — zaproponowała mokro.

— Ale w tej chwili jesteśmy w postaci płomieni — powiedział Esk. — Boimy się nagłego zgaszenia ognia.

Usta wody po prostu otwarły się w rozszerzające się, pierścieniowate zmarszczenie. Nie było innej odpowiedzi.

— Ja spróbuję — powiedział Marrow. — Nie mam życia do stracenia.

Szkielet-płomień wskoczył do wody, straszliwie zasyczał i płomień zgasł.

— Uff! — jęknął Polney.

Wtedy z wody wytknęła pysk biała jak kość ryba. Parsknęła w nich strumieniem wody i uderzyła ogonem. Esk popatrzył na Chex.

— Marrow?

— Na to wygląda — odparła.

— Zatem teraz ja — powiedział Esk i dał nurka w wodę.

Doznał szoku z powodu gwałtownego odcięcia płomienia, ale jednocześnie odczuł przyjemny nacisk chłodnej wody. Wziął wdech i poczuł wodę wpływającą do skrzel. Był teraz rybą.

Rozległ się następny plusk i pojawiła się nowa ryba. Ta miała brązowe łuski i wielkie ciało z białymi płetwami, które trzepotały jak skrzydła.

— Witaj, Chex! — odezwał się w języku ryb.

— To bardzo przypomina latanie — odparła zadowolona.

— To bardzo przypomina życie — wtrąciła się ryba z białych kości, poruszając ko-

ścistymi płetwami.

Następny plusk i pojawiła się pękata ryba o krótkich płetwach.

— To bardzo przypomina robienie tuneli — powiedziała zadowolona.

Płynęli przez Element Wody, podążając za błyszczącym szlakiem bąbelków oznaczających ścieżkę. Mijali kołyszące się rośliny wodne, wypuszczające bąbelki podwodne źródła i obszary, gdzie światło słoneczne rozświetlało cętkami górną warstwę wody, a także płycizny, gdzie biały piasek układał się w diuny jak na pustyni, i głębiny, gdzie dno ginęło w mroku nie zgłębionego nieznanego.

Rzeczywiście, przypominało to fruwanie. Chex tańczyła w wodzie uradowana, uderzała górnymi płetwami, jakby to były skrzydła, płynąc to w górę, to w dół. Esk nigdy nie tęsknił za fruwaniem, ale teraz rozumiał ją dobrze. W tym sposobie poruszania istniała wyjątkowa wolność, która sprawiała, że lądowa podróż stawała się przytłaczająco nudna.

Podpływały inne ryby i obserwowały ich, ale nie wchodziły na oznakowaną ścieżkę. Niektóre były ogromne i wyglądały na zgłodniałe, ale ścieżka widocznie czarowała je, żeby trzymały się z daleka.

W końcu dotarli do odległego brzegu Elementu Wody, tykwowego aneksu. Dalej nie było nic. Ścieżka wiodła przez przezroczysty pionowy mur i przejście przez nią nie wydawało się jakimś szczególnym wyzwaniem. Jediną przeszkodą wydawał się ich rybi status.

— Pustko — odezwał się Esk — jesteście czwórką wędrowców, którzy muszą przejść przez twoje terytorium z misją. Czy możesz...

Urwał, przerażony.

— Co ja mówię? To jest Void\*! Nikt z niego nie może uciec!

— Z wyjątkiem nocnych mar — potwierdziła Chex, również przerażona. — Moja samka raz tam była i musiała być wyniesiona stamtąd przez nocne mary. Musiała za to zapłacić połówką swojej duszy!

— I moja samka, to jest matka, również! — dodał Esk. — I mój ojciec! I została im tylko jedna pełna dusza do podziału pomiędzy nich! Nie możemy tam iść!

— Zapomniałeś — włączył się Marrow — że to nie jest prawdziwy Void, ale zaledwie jego wyobrażenie. To jest sen o Void, który przeraża śpiących; nawet wy jesteście teraz przerażeni. Nie jest dla was bardziej wiążący niż sama tykwa.

Chex kiwnęła głową, co było niezłym osiągnięciem w jej rybiej postaci.

— Przypuszczam, że możemy zaryzykować, ponieważ prowadzi do niej ścieżka, a po tej ścieżce oczekuje się, że będzie bezpieczna.

---

\*Void — piąty żywioł (element, pierwiastek), dodawany do czterech elementarnych: powietrza, wody, ognia, ziemi. Wg starożytnych Greków — wyższe, świecące regiony powietrza (eter), przestrzeń niebios (otchłań, pustka, próżnia). Pierwotny chaos. Wg Arystotelesa najdoskonalszy, najważniejszy składnik budowy kosmosu; eteryczne tworzywo ciał niebieskich, kwintesencja (duch, dusza rzeczy) (przyj. red.)

Jej głos zdradzał jednak, że nie była tego całkowicie pewna.

— Albo jej zaufamy, albo nie — powiedział Esk. — Ponieważ i tak musimy przez nią przejść, żeby dotrzeć do zaklęcia powstrzymania, więc musimy to uczynić.

Miał nadzieję, że mówił bardziej przekonująco, niż czuł. Kolana miał miękkie, co było alarmujące, ponieważ w tej chwili nie miał żadnych kolan.

Esk powtórzył swoje rytualne wezwanie do Void, ale nie było odpowiedzi. Sprzecza-  
li się i w końcu doszli do wniosku, że jeżeli przepłyną przez barierę, prawdopodobnie  
będzie to bezpieczne i przyjmą odpowiednie formy w następnym Elemencie. Być może  
nawet będą to ich własne formy.

Tym razem wszyscy byli jednakowo zdenerwowani. Podali sobie ręce (płetwy) i ra-  
zem wpłynęli do bariery. Unosząc się w powietrzu, zobaczyli pod sobą jakąś bezkształt-  
ną równinę. Woda zniknęła, ale oni pozostali rybami.

— Myślę, że mogłabym powrócić do własnej postaci — odezwała się Chex ze zdzi-  
wieniem.

Po tych słowach stała się centaurem unoszącym się w powietrzu bez fruwania.

— I być związana z ziemią — dodała, zaszokowana przemianą. Natychmiast opadła,  
a jej kopyta uderzyły z łoskotem w ziemię.

— Dlaczego więc reszta z nas nie wraca do swoich postaci? — zapytał Esk.

Reszta również wróciła do swoich form. Marrow był w swojej kompletnej postaci  
szkieletu.

— Myślę, że mógłbym uzyskać cielesny stan — rzucił z nadzieją. I stał się żywym  
człowiekiem, z nagim ciałem.

— Znajdujemy się tutaj w szczególnej sytuacji — odezwała się Chex z typowym cen-  
taurzym niedomówieniem.

— Bardzo szczególnej — zgodził się Polney, przyjmując postać drugiego mężczy-  
zny.

— To przypomina Królestwo Ognia — stwierdziła Chex. — Tam mogliśmy kształto-  
wać nasze formy, a Polney mówił tak samo jak my, ale tutaj jest jeszcze inaczej.

— Zauważyłem poprawę waszej wymowy — zgodził się Polney. — Zawsze zastana-  
wiałem się, jak to jest, gdy chodzi się w wyprostowanej, człowieczej postawie.

— Albo wtedy, gdy ma się ciało jak żyjące istoty — dodał Marrow, przyjmując po-  
stać samca centaury.

— Albo, gdy się jest męskim — powiedziała Chex, zamieniając się w samca.

— Hmm, możemy wpaść w niebezpieczeństwo odwrócenia uwagi od naszej misji  
— ostrzegł Esk.

Pozostali natychmiast wrócili do swoich naturalnych postaci.

— Odetchnę, kiedy w końcu dojdziemy do zaklęcia powstrzymania — powiedzia-  
ła Chex. — W takim miejscu jak to można mieć rozproszoną uwagę przez wieczność,

a niebezpieczeństwo może być podobne do tego z tykwą, do której zagłębia się przez dziurkę, nie wspominając o ryzyku dla Doliny Kopaczy.

— Wszystko to jest zbyt prawdziwe — zgodził się Polney. — Tu są niebezpieczeństwa inne niż fizyczne.

Szli ścieżką, która zakręcała w dół. W pierwszej chwili otoczenie wydawało się puste, ale stopniowo wyłaniały się pola i krzewy.

Chex zatrzymała się.

— Pod ryzykiem odwrócenia uwagi, pozwól mi postawić pytanie — powiedziała. — Czy jest możliwe, że tutaj nie ma żadnej scenerii i że sobie ją tylko wyobrażamy? Jeżeli tak jest, to rzeczy mogą nie być takie, jakimi się wydają.

— Łatwo sprawdzić — powiedział Esk. — Skoncentrujmy się wszyscy na tym, że tutaj nie ma scenerii, i zobaczymy, czy zniknie.

Skupili się i zniknęła.

— Chciałam również zapytać — mówiła wolno Chex — czy ścieżkę także sobie wyobrażamy?

Esk zagwizdał.

— Lepiej sprawdźmy! Skoncentrowali się, ale ścieżka pozostała.

— Przynajmniej ta jest prawdziwa — powiedziała z ulgą Chex. — Nie musimy wyobrażać sobie żadnej scenerii, jeśli nie zgubimy ścieżki.

Posuwali się dalej, a sceneria znowu zaczęła się formować, tym razem bardziej wypracowana, ale mniej wiarygodna. Wydawała się połączonym wysiłkiem; z polnikami i skrzydlatymi centaurami fruującymi w oddali, z drzewami rosnącymi na sposób kości i rodzącymi czaszki zamiast owoców, z mosiężnymi dziewczętami zerkającymi zza przezroczystych metalowych zasłon, które ukazywały ich brązowe nogi.

Wtem ścieżka doprowadziła ich do pętli. Nie było co do tego wątpliwości; zatoczyli koło kilka razy, przekonując się, że prowadzi donikąd.

— Myślę, że doszliśmy do końca — odezwał się Esk. — Ale gdzie jest zakłęcie powstrzymania?

— Odrzućmy scenerię — zasugerował Marrow.

Skoncentrowali się i otoczenie znowu stało się puste. Teraz zobaczyli, że ścieżka zatacza pętlę blisko głębokiej dziury. Teren po prostu zwił się w dół, aż ginał w ciemności tak głębokiej, że wydawało się, iż ich wessie. Musieli oderwać wzrok.

— Co to jest? — zapytał Polney.

— Podejrzewam, że to jest środek Void — powiedział Marrow. — To czarna dziura, z której nic nie wraca.

— Jeżeli zakłęcie jest tam, na dole, jak możemy je wydostać? — zapytał Esk.

— Znowu zapomniałeś — odparł Marrow. — To jest aneks Void, a nie sam Void. To jest wyobrażenie środka. Może rzeczywiście moglibyśmy pójść i przynieść coś stam-

tąd.

— Ścieżka nie dochodzi jednak do tego, tylko okrąża — rzucił Polney. — To sugeruje, że zakłęcia tam nie ma, ale...

— Ale to jest to! — wykrzyknęła Chex.

— Zakłęcie powstrzymania jest Pustką? — zapytał Esk, wytrącony z równowagi.

— Myślę, że jest w tym logika — zwróciła się do niego Chex. — Co powstrzymuje rój świrdzaków?

— Nic — odrzekł Esk. — Trzeba wyłapać i zabić każdego, albo później będzie następny rój.

— To nie jest tak — zaprotestował Polney.

— Doszliśmy do punktu, w którym dalsza dyskusja jest bez sensu — wtrąciła szybko Chex. — Ale zgadzamy się wszyscy, że nie istnieje ściana, która może powstrzymać rojące się larwy świrdzaków. One przejdą przez wszystko, aż skończy się im energia, i albo znajdą swoją specjalną skałę, albo zginą.

— Prawda — zgodził się Polney.

— Pomysł z zakłęciem powstrzymującym jest dość dziwny — kontynuowała. — Zakłada powstrzymanie niepowstrzymywalnego. Jednakże jest jedna rzecz, która zawiera w sobie wszystko bez wyjątku, a to jest...

— Void! — wykrzyknęli razem Esk i Polney.

— Void — potwierdziła. — Moja samka i rodzice Eska uciekli z zewnętrznego obszaru Otchłani tylko dzięki interwencji nocnych mar, które mogą swobodnie przebywać takie rejony. Zewnętrzny mur Void powinien również powstrzymywać świrdzaki, nie wyrządzając im krzywdy, po prostu nie pozwalając im uciec, dopóki nie stracą energii i przestaną istnieć. Mogą umrzeć szczęśliwie, wyobrażając sobie, że są w ulubionej skale wszystkie, z wyjątkiem tych, które przekopią się w głąb ziemi i naprawdę odnajdą swój typ skały w zamkniętej strefie. Void jest zakłęciem powstrzymującym.

Logika jej myślenia budziła szacunek.

— Ale w jaki sposób moglibyśmy zabrać Void z nami, do Doliny? — zapytał Esk.

— Oczywiście, że nie możemy — odpowiedziała. — Natomiast jest możliwe zabranie jego wyobrażenia, a to wystarczy.

— Wyobraźnię nie powstrzymamy roju świrdzaków! — zaprotestował Esk. — Larwa świrdzaka ma bardzo małą wyobraźnię: ma tylko jeden płat mózgu.

— To prawda, ale podejrzewam, że Void z tykwy działa jak dziurka do podglądania. Gdybyśmy zabrali go do Doliny i ustawili tam, to zamknąłby świrdzaki w prawdziwym Void, który jest podobny, tylko bardziej rozciągnięty, i efekt byłby ten sam. Potem pozostałoby jedynie zanieść go z powrotem do tykwy i...

Urwała, pozostawiając zakryte skojarzenia nie dokończone. Marrow wypowiedział to na głos:

— Jak zdołamy ustawić tam tę dziurę i sami do niej nie wpaść? Jak dostarczymy ją z powrotem do tykwy, kiedy będzie po wszystkim?

— Musi istnieć jakiś sposób — powiedział Esk. — Naprawdę to mamy dwa problemy: zabrać ją stąd i dostarczyć z powrotem... bez złapania się w nią.

Marrow pochylił się nad dziurą i zerknął w dół,

— Nie rób tego! — wykrzyknęła Chex. — Wpadniesz do...

— To tylko wyobrażenie — przypomniał jej szkielet.

Sięgnął w dół, złapał za krawędź dziury i zwinął ją do połowy. Potem, kiedy wszyscy się na niego gapili, złożył ją jeszcze raz w ćwiartkę i kontynuował to, aż uzyskał mały wałeczek, który mieścił się w kościstej dłoni.

— Problem pierwszy, zabrania jej, został rozwiązany. Martwiłem się, że nie uda mi się tym manipulować, ponieważ demoniczne istoty nie mogą manipulować niczym w tykwie, ale widocznie nie jestem zrobiony z tej samej substancji co demony.

— Widocznie nie — zgodziła się Chex. — Nie wiedziałam, że demony mają jakieś ograniczenia pod tym względem.

— Demony nie mają duszy, nie mogą więc manipulować rzeczami blisko spokrewnionymi z duszami — wyjaśnił Marrow. — Większość rzeczy w tykwie jest spokrewniona z duszami, ponieważ tykwa jest żyjącą świadomością, strażnikiem dusz, który przywołuje sny.

Otoczająca ich pusta sceneria zniknęła. Stali teraz w ogromnej komnacie. Iluzja zniknęła wraz ze zwinięciem jej centralnej części.

— Hm, tak. Więc tak to wygląda — stwierdził Esk. — Możemy zabrać ją stąd i przynieść z powrotem tą samą drogą. Jeżeli jednak znajdziemy się w jej pobliżu, po to żeby podnieść ją i zabrać, kiedy świdrzaki się wyroją, sami zostaniemy przedziurawieni dziurami i umrzemy.

— Reszta z nas może pozostać w oddaleniu — powiedziała Chex. — Marrow, myślę, że umożliwiłeś nam zakończenie tej misji! Pochyliła się i pocałowała go w czubek czaszki.

Szkielet wyglądał na zakłopotany.

— Czy to były przeprosiny?

— Jakie przeprosiny? — zapytała.

— Albo mnie całujesz, albo rozkładasz mnie na części, a to oznacza...

Roześmiała się.

— Tak, to były przeprosiny za każdą myśl, że nie jesteś autentyczną osobą, taką jak każde z nas! — Spojrzała na pozostałych. — A teraz niech się zastanowię... Polney użyje zaklęcia odszukiwania ścieżek do odnalezienia drogi wyjścia poza zombi-tykwę. On jeszcze nie używał zaklęcia.

Wyciągnęła zaklęcie i wręczyła Polnikowi.

— Z przyjemnością — powiedział Polney.



## Rozdział piętnasty

### Potwory

Trzy kobiety powitały ich powrót do Zamku Roogna: stara Latia, dojrzała Bria i młoda Ivy. Wszyscy inni zajęci byli poszukiwaniami zaginionego Dobrego Maga Humfrey'a.

Tak się złożyło, że Esk szedł na czele, kiedy weszli do sadu, więc na nim skupiła się cała ciekawość.

— Czy przynieśliście zakłęcie powstrzymania? — zapytała Latia.

— Czy zawstydziłam cię? — zapytała Bria.

— Jak było w tykwie? — zapytała Ivy.

Esk odpowiedział im po kolei:

— Tak, mamy je. Owszem, zawstydziłaś. Było dziwnie i niesamowicie.

Potem Marrow pokazał pięć wypełnioną Void, przyciągając uwagę Latii. Chex opowiadała Ivy wrażenia z podróży. Pozostała tylko Bria.

— Muszę cię przeprosić — powiedziała z zapalem. — Co mam zrobić?

— Wykorzystałaś mnie do wydostania się z tykwy i przeze mnie chciałaś stać się rzeczywistością.

Już miała go objąć, ale powstrzymała się.

— Tak, to prawda. Zrozum jednak, że moja matka Blythe zawsze żałowała, iż nie poznała bliżej twojego ojca, ogra, albo że nie pozostała dłużej w tym świecie. Mówiła mi o tym czasami i widziałam, jak bardzo jej smutno. Nie dlatego, że jest nieszczęśliwa w Mosiężnym Mieście, tylko dlatego, że zastanawiała się, jak mogłoby być. Odziedziczyłam tę jej ciekawość. Dlatego właśnie włóczyłam się i w końcu zgubiłam. Szukałam drogi wyjścia, ale nie mogłam jej znaleźć. Wtedy ty przyszedłeś i natychmiast zrozumiałam, że nie tylko wydostaniesz mnie stamtąd, ale że jesteś także miły. Potem, kiedy dowiedziałam się, że jesteś synem ogra z opowiadania matki, wiedziałam, iż chcę właśnie ciebie. Kiedy znalazłam zakłęcie dostosowania, pojęłam, że to możliwe. Wiedziałam, że szukasz dziewczyny z ciała, i że nie spodoba ci się bez mnóstwa zachęt z mo-

jej strony. Musiałam więc działać szybko, żeby w ogóle mieć jakąś nadzieję. Taka jest cała prawda.

— Ja tak nie myślę — odezwał się Esk. — Dlaczego sądzisz, że nie spodobałabyś mi się?

— Nie jestem dokładnie taka, jak dziewczyny z ciała.

— Nadal nie mówisz całej prawdy.

— Cokolwiek przydarzyło ci się w tykwie, nauczyłeś się dużo! — wykrzyknęła.

— Dowiedziałem się o moim najgłębszym strachu i teraz potrafię rozpoznać go u innych. Musisz mieć powód, żeby sądzić, iż nie będziesz mi się podobać, gdy poznam prawdę.

— Chodzi o duszę — wyszeptała.

— Co takiego?

— My, stworzenia z Królestwa Snu, nie mamy dusz. Bez nich nie możemy być realni.

— Chcesz mojej duszy? — wykrzyknął wstrząśnięty.

— Może... połówki duszy? — wyznała nieśmiało.

— Nie dostaniesz ani kawałeczka z niej! — krzyknął z oburzeniem.

— Tak, oczywiście — szepnęła prawie niedosłyszalnie. — Więc pozwól mi przeprosić cię i zostawić w spokoju.

— Nie. Żadnego przepraszania! Dość tych sztuczek! — Zakręcił się na pięcie i odmaszerował.

Pozostałe rozmowy toczyły się dalej.

— Muhimy pójhc do Doliny — mówił Polney. — Potwory hą już w drodze.

— Ruszamy rano! — zdecydowała Ivy.

Zgodzili się, choć byli zmęczeni wielodniowymi podróżami. Ścieżka, która wyprowadziła ich z tykw, była prawie tak samo zawila, jak ta, którą do niej weszli. Potem musieli przejść od tykw do Zamku Roogna. Lepiej będzie, jeśli wyruszą wypoczęci, naza-jutrz.

Następnego dnia wyruszyli w drogę. Na czele szedł Polney, za nim Chex, Esk, Mar-row, Latia i Bria.

Mosiężna dziewczyna nie odzywała się do Eska od czasu, kiedy odtrącił jej marzenie, i teraz czuł się trochę winny, ale o wiele bardziej rozwścieczony prośbą o taką rzecz. Połowę jego duszy! Wtem przypomniał sobie, co kiedyś powiedziała Chex, i przyspieszył kroku, żeby ją dogonić.

— Czy twoja matka nie straciła połowy swojej duszy, żeby wydostać się z Void?

— Tak. Taka była cena nocnych mar. Dusze są ogromnie pożądane w Królestwie Hipnotykw. Twój rodzice płacili nimi również.

— Nigdy nie opowiadali dużo o tym aspekcie ich życiowego doświadczenia — po-

wiedział. — Nie wiedziałem, że mają połowę duszy.

— Bo nie mają. Nocny Ogier ostatecznie oddał duszę, więc każde z nich znowu ma pełną. Prawdopodobnie od tamtego czasu nigdy o tym nie pomyśleli.

Esk nie był tego pewien.

— A twoja matka?

— Moja matka nigdy nie odzyskała swojej, ale naprawdę nie ma to dla niej znaczenia. Widzisz, to była połówka duszy, która poszła do mary Imbri. Umożliwiła jej stanie się realną i przeżycie utraty ciała w prawdziwej Otchłani. Stała się dzięki temu dzienną marą. Chem, po jakimś czasie, odrosła reszta duszy, więc tak naprawdę niczego nie straciła.

— Czy dusze mogą odrastać? — Słyszał o tym, ale teraz najważniejsze było uzyskanie całkowitej pewności.

— O tak, jeśli tylko mają z czego. Wydaje mi się, że w ten sposób dzieci dostają dusze. Biorą część od każdego z rodziców i hodują resztę, a rodzicom odrasta to, co stracili. Potrafię więc zrozumieć, że utrata części duszy nie jest zabawna, ale też nie jest katastrofą. Ja nie miałabym duszy, gdyby moja samka nie potrafiła wyhodować swojej z powrotem do pełnej mocy. Dlaczego pytasz?

— Bria chce połowę mojej.

Chex przeszła go wzrokiem na wskroś.

— Och, więc doszło już do tego? Nie mogę powiedzieć, że jestem zdziwiona.

— To dlatego była taka miła dla mnie. Chodziło jej o moją duszę, bo chce stać się rzeczywistością.

— Więc w ten sposób to widzisz?

— A jak mam to widzieć? Postanowiła posłużyć się mną do wydostania się z tykwy. Myślałem, że mnie lubi.

— Czy istnieje jakaś rozbieżność pomiędzy tymi dwoma celami?

— Nie istnieje? Nie wykorzystujesz przecież kogoś, kogo naprawdę lubisz.

— Nie jestem pewna. Lubienie i dzielenie się mogą iść razem.

— Sądzę, że polubiłaby mnie za połowę mojej duszy!

— Ależ ona ma dom w tykwie. Dlaczego miałyby pragnąć zostać tutaj?

Esk rozłożył ręce.

— Myślę, że tu jej się bardzo podoba. Mówi, że lubi poznawać nowe tereny, a jej matka знаła mojego ojca.

— Dlaczego miałyby się jej bardziej podobać, kiedy tutaj wszystko jest dla niej obce?

— Do czego zmierzasz?

— Ja nie chciałabym zawędrować do obcego królestwa i pozostać tam na resztę życia, chyba że miałabym naprawdę silną motywację.

— Nie widzę u niej żadnej motywacji.

— Gdybym poznała kogoś, kto mieszka w innym królestwie i chciała z nim być, a nie mogłabym zrobić tego inaczej, tylko zostając tam, myślę, że wtedy zrobiłabym wszystko, żeby pozostać.

Esk zamyślił się.

— Czy sugerujesz, że istnieje inny powód? Nie wykorzystywała mnie, ponieważ chciała zostać, ale chciała zostać dlatego, że mnie lubi?

— Tak. Zastanawia mnie, dlaczego nie poprosiła innego mężczyzny o duszę? Z pewnością miała do tego okazję, kiedy byliśmy nieobecni. Ivy opowiadała, że Bria trzymała się głównie jej i nie mówiła dużo. I nie zajmowała się badaniem okolicy. Wyglądała na przygnębioną, dopóki ty nie wróciłeś.

Esk potrząsnął głową.

— Chciałbym poznać jej prawdziwą motywację.

— Dlaczego?

— Ponieważ to stanowi różnicę! — wybuchnął. — A jeżeli doszła po prostu do wniosku, że trafił się jej idiota, któremu łatwo zabrać duszę?

— Dlaczego miałoby to stanowić jakąś różnicę? Nie musisz jej niczego dawać, jeżeli nie chcesz.

— Jeśli dam jej moją duszę, a ona po prostu gdzieś odejdzie?

— Może więc warto rozwiązać tę niepewność. W ten sposób poznasz jej prawdziwą motywację.

Zmieszany Esk nie odpowiedział. Wycofał się i pogрузzył w grzęzawisku myśli.

Doszli do dróg, z których jedna prowadziła na północ do zamku Dobrego Maga, a druga na południe — do Doliny. Polnik skręcił na południe, a oni ruszyli gęsiego za nim.

Ścieżka szybko się zwęziła i skręciła na wschód, poddając się ukształtowaniu terenu. Polney prowadził ich pewnie, ale nie uszli daleko, ponieważ zapadł wieczór. Musieli rozłożyć obóz na noc.

Przetrząsnęli okolicę w poszukiwaniu owoców i bulw. Marrow i Bria pomagali im, chociaż sami nie potrzebowali jedzenia. Westchnienia mosiężnej dziewczyny poruszyły Eska. Chciała tylko jego duszy i nie dostała, dlaczego nie poszła więc gdzie indziej? Nie miała obowiązku im pomagać, jeśli nie chciała.

Chex zapytała, dlaczego miałoby to robić mu jakąś różnicę. Dlatego, że Bria pocałowała go, i była miękka w jego ramionach, a on chciałby doznawać tego częściej. Może i był głupcem, ale w ten sposób to czuł.

Chex powiedziała mu dokładnie, w jaki sposób może dowiedzieć się prawdy.

Podszedł do Brii.

— Dam ci połowę mojej duszy — powiedział.

— Po co? Żeby się mnie pozbyć? — warknęła. — Nie chcę!

— Dlaczego więc wcześniej prosiłaś o nią?

— Ja... — Odwróciła się od niego. — Nieważne. Zupełnie nie tego oczekiwał.

— Ależ ja naprawdę chcę wiedzieć.

— Ponieważ byłam głupia — odparła. — Myślałam... — Znowu urwała. Esk zaczął rozumieć odpowiedź.

— Ponieważ myślałaś, że moglibyśmy żyć razem?

— Powinnam była wiedzieć! Jestem tylko mosiężną dziewczyną z tykwy! Nie jestem nawet żywa! Dlaczego ktoś miałby chcieć... — Przyłożyła rąbek spódniczki do oczu.

W jej słowach zabrzmiała taka niepewność własnej wartości, jakiej on doznawał wcześniej. Przyznanie się do tego musiało być bardzo bolesne. Wreszcie zrozumiał.

— Ktoś mógłby chcieć.

— No jasne — powiedziała zgryźliwie. — Kto?

— Tylko inny głupiec — odrzekł. — Myślę, że jestem ci winien przeprosiny. Spojrzała na niego, a po policzkach ciekły jej mosiężne łzy.

— Chcesz powiedzieć, że ty...

— Źle zrozumiałem twoją motywację. Sądziłem, że chcesz tylko mojej duszy, a nie mnie. To zabołało.

— Och, Esk! — westchnęła, nagle mięknąc. — Ja...

— Bierz połowę mojej duszy. Potem rób, co chcesz.

— Przepróśmy się teraz — powiedziała. — Chcę, żebyś miał pewność. Przeprasza-  
li się wzajemnie na jej sposób.

Esk już był całkiem pewien, ale Bria jeszcze nie wzięła jego duszy.

Chex zobaczyła, jak trzymają się za ręce, ale nie skomentowała tego. Podobnie zachowali się pozostali współtowarzysze. To oznaczało, że zrozumieli.

\* \* \*

Rano podjęli wędrówkę. Teraz Bria szła razem z Eskiem. Ścieżka prowadziła na wschód bez niezwykłych wypadków. Widocznie była zaczarowana i teraz, kiedy małe smoki odeszły, nie istniały żadne inne zagrożenia.

Pod wieczór dotarli do Doliny Kopaczy. Przedstawiała smutny widok: rozległa dolina porośnięta zagajnikami, z których większość usychała. Przez nią przebiegał kanał, prosty jak metalowy drąg, którym płynęła brzydka, brązowa woda. Wszędzie unosiło się irytujące, ogłuszające buczenie.

— Myślałem, że tylko demony mogą słyszeć te bucuki — odezwał się Esk.

— Pogorhyło hię — odparł Polney. — Terah jeht ich tak wiele, że każdy może je hłyheć, ale one bardziej phehkadzają demonom nih nam.

Demony również tam były; krążyły jak szalone tam i z powrotem. Polniki widocznie schowały się pod ziemię, żeby nie ściągać uwagi rozzłoszczonych demonów.

— Gleba jest bardzo zniszczona — powiedziała Chex.

Jakiś demon, w postaci małej czarnej chmury, zawrócił pod kątem prostym i skierował się wprost na nią.

— Jak mnie nazwałaś, koński pysku? — zapytał.

— Nie mówiłam do ciebie — odparła Chex. — Nawet nie wiedziałam, że tam jesteś.

— To kłamstwo! Nazwałaś mnie zniszczoną gębą! — zaskrzeczał demon. — Zgniotę cię na miazgę! — Z chmury wyłoniło się muskularne ramię i zacisnęło w pięść wymierzoną w twarz Chex.

— Nie! — krzyknął Esk.

— Ech, nie jesteś warta wysiłku, końska grzywo — oświadczył nagle demon i oddryfował.

— Mogę się mylić — rzekła Latia — ale sądzę, że rozumiem, dlaczego polniki chcą się pozbyć demonów.

— Nie były dokuczliwe, dopóki to buczenie nie było tak intenhywne — powiedział Polney. — Teraz rzeka Zabij-Mniee powoduje, że whyhcy, polniki i demony, mają zły humor.

— Skrzydlate potwory i ogry mogą przybyć w każdej chwili — rzucił Esk. — Lepiej poszukajmy kryjówek na noc, zanim zrobi się tutaj gorąco.

— Tak, masz rację — przytaknęła Chex. — Musimy się również zorganizować. Czy mamy jakiś plan kampanii?

— Plan kampanii? — powtórzył bezmyślnie Esk.

— Kto poprowadzi potwory? Co zrobimy, kiedy przybędą?

— No, one po prostu zaatakują demony i przepędzą je stąd — odparł Esk.

— Jest bardziej prawdopodobne, że ogry zaatakują skrzydlate potwory, chyba że będzie to jakoś zorganizowane.

— Chyba tak — zgodził się zrzędlawie Esk. — Ale jak zorganizować ogry?

— Sporządzisz plan ogólny, następnie wyznaczysz kogoś na łącznika z dowódcą. Tak samo postąpimy ze skrzydlatymi potworami. Organizacja i dyscyplina to klucz do zwycięstwa w każdym konflikcie. Najpierw jednak potrzebujemy dowódcy.

— Myślę, że ponieważ ty wiesz, jak to zrobić... — zaczął niezręcznie Esk.

— Klacz? Nie bądź śmieszny. To musi być mężczyzna.

— Dlaczego?

— Ponieważ taki jest charakter armii. Musi mieć męskich dowódców.

— To głupie! — zaprotestował Esk. — Dowódcą powinien być ktoś najbardziej kompetentny.

— Nie. Dowódcą musi być ktoś do przyjęcia dla wszystkich. — Uśmiechnęła się.

— Myślę, że to musisz być ty. Jesteś jedynym męskim ludzkim stworzeniem w tej grupie. Jesteś więc spokrewniony ze wszystkimi pozostałymi przez krew lub płęć.

— Krew lub płęć? — powtórzył Esk, zaalarmowany.

— Ogry, demoniaki, mosiężni, centaury, człekokształtne szkielety, one wszystkie w okrężny sposób wywodzą się z ludzkiego pnia. To jest krew, symbolicznie. Polney jest samcem, tak jak ty. Przyciągasz więc każdego z nas i możemy współpracować. Masz pewne podstawy, żeby zrozumieć punkt widzenia każdego z nas. Wszyscy wiemy o tym, więc gotowi jesteśmy zaakceptować ciebie jako naszego dowódcę bardziej niż inne stworzenie. Czy ktoś się sprzeciwia? — Rozejrzała się wokoło. Pozostali wzruszyli ramionami.

— Ale ja nie wiem nic o dowodzeniu! — zaprotestował Esk.

— Dobry dowódca prosi, oczywiście, o rady i wybiera tę, którą uważa za najlepszą. Sugeruję ci, żebyś sporządził plan kampanii i wyznaczył łączników dla kilku grup.

— Dobrze — zgodził się Esk, wciąż nie będąc pewnym, czy sprosta zadaniu. — Plan zakłada zaatakowanie demonów i wypędzenie ich z Doliny. Jakies sprzeciwy?

— Tak — zgłosił się Polney. — Demony potrafią Cię dematerializować, a robią to, kiedy Cię przetrącają. Jak więc je przepędzimy?

— Masz rację — przytaknął Esk. — Jak mogłem o tym zapomnieć! Czy ktoś ma jakieś sugestie?

— Tak — odezwała się Latia. — Tak się składa, że wiem coś o demonach. To prawda, że mogą się dematerializować, kiedy zechcą, ale prawdą jest również to, że nie mogą pozostać w tym stanie w nieskończoność. Inaczej stracą spójność. Sądzę, że muszą spędzać około dziewięćdziesiąt procent swojego czasu w postaci materialnej, w przeciwnym razie zaczynają zamieniać się w parę i nie mogą wrócić do swojej postaci.

— A ja myślałem, że demony są wieczne — powiedział Esk.

— Są wieczne, ale nie ich materialne formy. Jeśli wyparują, nie mogą odzyskać swojej postaci i muszą pozostać w formie mgły, niezdolne do posiadania rzeczywistego wpływu na rzeczy fizyczne. Nie lubią tego. Znam jeden taki przypadek o wiecznie złym charakterze. Nazywa się Cumulo Fracto Nimbus, Król Chmur. On jest naprawdę demonem, który zamienił się w parę. Służy jako negatywny przykład dla innych demonów; one nie chcą być wpędzone w taki stan.

— Demony mogą więc dematerializować się na krótko — podsumował Esk. — Mogą to zrobić, kiedy potwory zaatakują, a potem odtworzyć swoje postaci. Jak sobie z tym poradzimy?

— Właśnie zmierzałam do tego. Gdyby potwory atakowały bez przerw, zmuszając demony do ciągłej dematerializacji, to w szybkim tempie ich limit czasu do wyparowania wyczerpie się i będą musiały odejść. Skoncentrowany, ciągły atak powinien tego dokonać w dzień lub dwa. Nie możemy tylko pozwolić demonom na odpoczynek

w formie stałej.

— Powiedzcie, że się zgadzacie! — wykrzyknął Esk. — Musimy przekonać potwory, żeby to zrobiły! Dziękuję ci, Latio! To wielka pomoc z twojej strony.

— Po to tu przyszłam — odpowiedziała z uśmiechem, niemal zapominając o swojej surowej naturze.

— Są jakieś inne sugestie lub obiekcje? — zapytał Esk, czując się coraz pewniej.

— Przypuśćmy, że demony zaatakują nas... — odezwała się Chex. — Mam na myśli nie potwory, które same zatroszczą się o siebie, ale tych spośród nas, którzy nie są zabezpieczeni przed atakiem. One mogą zniszczyć nasze zorganizowanie się, nie wspominając o naszym życiu.

Esk poczuł ciężar w sercu.

— O tym nie pomyślałem! Musimy zastanowić się, jak obronić siebie samych. Ja mogę powiedzieć „nie” tym, którzy zaatakują mnie czy kogokolwiek przy mnie, a co inni mogą uczynić, nie wiem.

— Ja mogę rzucić klątwę — powiedziała Latia. — Mam zmagazynowane dwie złe. — Spojrzała na Brię. — Opieram się na założeniu, że ta, którą na ciebie rzuciłam, była mimo wszystko błogosławieństwem.

— Myślę, że tak — zgodził się Esk, a Bria uśmiechnęła się do niego.

— Ja mogę ukryć się wśród hwoich — odezwał się Polney. — Demony nie rozróżniają dobrze polników; whyhtkie wyglądamy dla nich podobnie. Będę bezpieczny jak każdy z nich.

— Mianuję cię więc łącznikiem z polnikami — rzucił Esk. — A Chex będzie łączniczką ze skrzydlatymi potworami, które powinny ją ochraniać. Myślę, że Bria i Marrow nie mogą być zranieni. Może więc nie jesteśmy tak bezbronni, jak wcześniej sądzieliśmy.

— Kto będzie łącznikiem z ogrami i z demonami? — zapytała Chex.

— Z demonami?! — wykrzyknął Esk. — Przecież mamy z nimi walczyć!

— Potrzebujemy również łącznika z wrogiem. Musimy poinformować demony, że żądamy ich wycofania się z Doliny.

Esk zastanowił się.

— Może Latia będzie łącznikiem z ogrami? Wywarła na nich ogromne wrażenie tym swoim sposobem ścięcia wody.

— Swoją brzydota — poprawiła go Latia. — Najwyższy czas, żeby spłacić dług! Z pewnością przysłużę się swoimi zdolnościami.

— Do kontaktów z demonami pozostają Marrow i Bria. Czy któreś z was podejmie się tego zadania?

— Ja — rzuciła Bria. — Zrobię się dla nich niezwykle twarda.

— Zatem Marrow jest naszą rezerwą — powiedział Esk.



— Będziesz potrzebował posłańca, aby przesyłać informacje bądź nowe zarządzenia dla rozrzuconych sił. Mogę przydać się w takim charakterze — oświadczył Marrow.

— Dobrze — zgodził się Esk. — Myślę, że jesteśmy właściwie zorganizowani. Prześpijmy się teraz.

Położyli się do snu, ale upłynęło sporo czasu, a on się nie odprężył. Teraz uświadał sobie z całą mocą, jak straszliwe ma przed sobą wyzwanie. Przypuszczał, że kiedy uzyskają pomoc i dotrą do Doliny, wszystko się jakoś samo gładko rozegra. Nie zanosił się na to. Jego ludzie mogli odnieść rany!

Podeszła do niego Bria....

— Połóż głowę na moich kolanach — powiedziała. — Ja nie potrzebuję snu.

Zrobił tak i przekonał się, że jej nogi są zadziwiająco miękkie. Gładziła go po włosach i było mu tak miło, że zasnął.

\* \* \*

Rano była burzowa pogoda, która sprzyjała rozpoczęciu kampanii. Ogry uwielbiały paskudną pogodę i możliwe, że skrzydlate potwory również. Słychać było trzaskanie drzew, co sygnalizowało, że coś dużego gwałtownie zbliżało się do Doliny. Ze skłębionego, pochmurnego nieba sfrunął ogromny skrzydlaty kształt.

— Łącznicy, wystąp! Dołączyć do swoich oddziałów! — gromkim głosem wydawał polecenia Esk.

Chex pogalopowała do miejsca, gdzie wylądował skrzydlaty potwór, podczas gdy Latia przybrała swoją najbrzydszą twarz i pobiegła ciężko w kierunku trzeszczących drzew.

— Zawiadomię kopaczy — rzucił Polney. — Czy potraficie mnie, znaleźć, gdy zajdzie potrzeba?

— Daj mi włos z twojego futra — zwrócił się do niego Marrow. Mogę go użyć, żeby cię namierzyć.

Polney dotknął swojego boku pazurem i wyrwał kilka włosów. Szkielet wziął jeden i włożył sobie do nosa.

— Tak, rozpoznam ten zapach.

— W jaki sposób odnajdziesz po zapachu jednego kopacza wśród setek innych? — zapytał zdziwiony Esk.

— Niezupełnie po zapachu — odparł Marrow. — Wyczuwam istotę rzeczy w sposób magiczny, obojętnie, czy przez światło, dźwięk, zapach czy substancję. Mówię w taki sam sposób. Nie zamierzam cię obrazić, ale wydaje mi się, że wasze cielesne mechanizmy są relatywnie prymitywniejsze.

— Sądzę, że masz rację — powiedział Esk. — My, stworzenia cielesne, robimy większość rzeczy w mundański sposób, zachowując naszą magię na specjalne okazje. Może

dlatego mamy talenty. Mówi się, że w Xanth niektóre stworzenia dysponują magią, podczas gdy inne są magiczne. Ja jestem tym pierwszym z nich, ty — drugim.

— Tak, potrzebuję całej mojej magii w posługiwaniu się percepcją, do komunikacji, poruszania się i utrzymania swoich kości razem. Nie pozostaje miejsca na żaden oddzielny talent. Może dlatego chciałbym osiągnąć stan życia.

Aspiracje szkieletu zwiększały się w widoczny sposób. Poprzednio Marrow często robił uwagi na temat niewygody i brzydoty życiowych funkcji.

— Myślę, że to samo mnie dotyczy — wtrąciła się Bria. — Tylko, że ja nie tęsknię za magicznym talentem, jedynie za...

— Duszą — dopowiedział Esk. — Powiedziałem ci, możesz mieć połowę mojej.

— A ja ci powiedziałam, że poczekam, aż będziesz pewny. Nie myślę, żeby dusza była tym, czego pragnę; to tylko środek do celu.

— Do celu? — zapytał Esk. — Jakiego celu?

— Miłości. Nie sądzę, żebym mogła naprawdę jej doświadczyć bez duszy. Teraz doświadczam tylko beznadziejnej tęsknoty za nią.

— Dusza jest potrzebna. Zastanawiam się, czy ktoś nie podzieliłby się duszą ze mną — rzekł Marrow.

— Może, jeżeli bardzo się z kimś zaprzyjaźnisz — zasugerował Esk. — Z pewnością jesteś tego wart.

Wracały Chex i Latia, a za nimi podążał jakiś ogr i coś, co okazało się koniem z ptasią głową.

— Dziadek! — wykrzyknął Esk. — Ogr Crunch!

To rzeczywiście był on, ogr wegetarianin, który poślubił aktorkę demoniaków, teraz już posiwiaily, ale wciąż okaz ogra: duży, brzydki i głupi.

— Słyszałem twój plan, — wiem, co robić mam — wyrecytował Crunch.

— A to mój własny ojciec, hipogryf Xap — powiedziała uszczęśliwiona Chex. — Użył tego pretekstu, żeby mnie sprawdzić.

— Tych dwoje może rozmawiać ze swoimi grupami — rzekła Latia i uśmiechnęła się krzywo. — Twój dziadek mówi, że przypominam mu jego żonę, która jest pięknie brzydka.

— To wspaniale! — wykrzyknął Esk. — Teraz wiem, że będziemy mieli dobry kontakt z ogami i skrzydlatymi potworami. Czy wyjaśniłyście, że nie wolno im walczyć ze sobą?

Hipogryf zaskrzeczał z niesmakiem, a ogr wydał potworny ryk. Była to wystarczająca odpowiedź. Zrozumieli.

— Będziecie mogli wygrzmocić wszystkie demony — ciągnął Esk. Tym razem skrzeczenie było radosne, a ogr uśmiechnął się, co było oczywiście gorsze od jego ryku.

Esk wyjaśnił im potrzebę ustawicznego nękania demonów, aż opuszczą Dolinę, żeby

poszukać sobie innego miejsca, gdzie mogą w spokoju przeżyć w cielesnych postaciach. Potwór i ogr pokiwali głowami. Zaczynało im się to podobać!

Las za nimi trząsł się od straszliwego marszu wielu ogrów, a zaniepokojone niebo pociemniało od przybywających w dużej liczbie skrzydlatych potworów. Crunch i Xap pośpieszyli na spotkanie swoich grup, by wyjaśnić im, w czym rzecz.

— Zlokalizuj Polneya i powiedz mu, że bitwa zaraz się zacznie — powiedział Esk do Marrowa. — Polniki będą chciały przekopać się ze swojej drogi.

— Natychmiast to robię — zgodził się szkielet.

— W jaki sposób mam się kontaktować z demonami? — zapytała Bria. — Nie znam ich przywódcy, nawet nie wiem, czy mają przywódcę.

— Myślę, że musisz się po prostu przejść i zobaczyć, który z nich wygląda jak dowódca, a potem zwrócisz się właśnie do tego. Jeżeli nie jest przywódcą, to może się przydać jako łącznik. Powiesz mu, że nie przestaniemy, dopóki demony nie odejdą.

— Zrobię to — rzuciła.

— Lepiej dołączmy do wyznaczonych nam grup na wypadek jakichś pytań lub niedomówień — zaproponowała Chex.

— Tak — zgodziła się Latia. — Wiesz już, zrozumiem, dlaczego moja przyjaciółka poślubiła tego ogra. W całej tej brutalnej mocy jest pewna wspaniałość, nie skażona ograniczeniami umysłu.

— Oгры mają swoje zalety — przytaknął Esk, odczuwając głupawą dumę ze swojego dziedzictwa.

Odeszli i Esk pozostał sam. Dużo czasu upłynęło, odkąd był sam, i poczuł, że mu z tym niewygodnie.

Oгры uderzyły na Dolinę Kopaczy, grzmocąc demony z całą siłą i z wielkim zapalem. Natomiast skrzydlate potwory przefrunęły przez Dolinę, rozrywając demony pazurami z równym zapalem. Pogoda nadal się psuła, ale Esk stał na wietrze i w deszczu, obserwując tę rzeź z prymitywną radością. Kampania ratowania rzeki Pocałuj-Mniee zaczęła się!

Obok Eska pojawiła się demonica.

— Więc to ty! — zawołała. — Mosiężna dziewczyna mówiła prawdę!

Esk przyjrzał się jej dokładnie.

— Och, nie! Metria! — wykrzyknął. — Co tu robisz?

— Usłyszałam, że las się trzęsie. Zobaczyłam mnóstwo potworów ponad nim i zaciekało mnie to. Potem zobaczyłam dziwną, metalową kobietę, która powiedziała mi, że to ty kierujesz tym przedstawieniem. Jak myślisz, co ty robisz Desk?

— Jestem Esk! Mamy nadzieję, że wyczyścimy Dolinę Kopaczy z demonów.

Rzeczywiście, kiedy to mówił, rozległ się ogromny plusk. To oгры doszły do skanalizowanej rzeki i brodziły w niej, rozwalając tamujące wodę ściany.

— Nie będziecie już mieli rzeki Kopnij-Mniee do rozdawania kopniaków dookoła.  
— Kopnij-Mniee — powtórzyła. — Dosyć pomysłów, Esk.  
— Dziękuję ci. A teraz wynoś się stąd. Musimy odnowić rzekę, którą demony zrujnowały.

— Zrobiliśmy to tylko po to, żeby pozbyć się buczków! — zaprotestowała.

— I czy to pomogło?

— Nie — wyznała. — Są jeszcze gorsze.

— Cóż, my robimy to tylko po to, żeby pozbyć się demonów.

— Myślisz, że to się uda?

W tonie, jakim zadała pytanie, było coś, co go zaniepokoiło.

— Dlaczego nie wrócisz do mojej kryjówki i nie zrelaksujesz się? — zapytał złośliwie.

— Było coraz nudniej, kiedy zrezygnowałaś. My, demony, nie jesteśmy szczęśliwe, kiedy nikomu nie dokuczamy. — Przeszyła go wzrokiem. — Myślę, że jesteś czymś więcej, niż sądziłam. Pozwól, że wyświadczę ci przysługę, o której rozmawialiśmy. Jej sukienka rozwiła się, pozostawiając ją nagą.

— Absolutnie nie! — wykrzyknął Esk. — Budzisz we mnie odrazę!

— Nie. Nigdy nikomu nie opowiadałam o tobie. Do chwili obecnej nawet nie pamiętałam o tobie.

— To taka odraza, jak wtedy, kiedy używa się „phi” — powiedział Esk. — Znowu mieszasz słowa.

— Phi — zgodziła się. — Dziękuję, że mnie poprawiłeś. Zróbmy to szybko, żebym miała jeszcze czas pobić ptaszyska, zanim uciekną. — Wyciągnęła do niego ramiona.

Starał się ją odepchnąć, ale ręce przeszły mu przez jej głowę. Objęła go pożądliwie, ocierając się o niego swoim lubieżnym ciałem.

— Pozwól, że ściągnę z ciebie to ubranie, mój kochany, śmiertelny mężczyzno — wymamrotała.

— Nie! — krzyknął Esk.

Tym razem odczuła moc jego magii i musiała odstąpić. Odsunęła się trochę i obserwowała go z zainteresowaniem.

— Dlaczego nie, Esk? Nie lubisz kobiet?

— Z pewnością lubię kobiety! Nie lubię tylko demonów!

Strzeliła palcami.

— Ta mosięzna oślica! Ona jest tą jedyną. Powinnam się była domyślić!

— A co, jeżeli jest? — zapytał, przyjmując pozycję obronną, zakłopotany, że musi tłumaczyć się przed demonicą.

— Esk, ona nie jest bardziej ludzka niż ja. Nie ma żywego ciała, nie ma duszy. Dlaczego jesteś takim głupcem?

— Co cię obchodzi, jakim jestem głupcem? Masz moją kryjówkę; mnie zostaw w spokoju!

— Tak. Pomyślę o tym — odparła. — A tak przy okazji, będę łączniczką między moimi ludźmi a tobą.

— Nie chcę ciebie jako łączniczki!

— Niedobrze — powiedziała, uśmiechając się z wyższością i zniknęła.

Deszcz ustawał i chmury się przerzedziły, ale bijatyka przybierała na sile. Esk przyglądał się temu i ku swojemu przerażeniu odkrył, że ogry i skrzydlate potwory zaczynają walczyć ze sobą. Wtedy przybiegł z powrotem Marrow.

— Powiedziałem Polneyowi, potem dostałem się w środek potyczki — mówił szkielet.

— Nasze potwory zaczynają walczyć ze sobą! — powiedział Esk. — Idź, poszukaj naszych łączniczek z ogrami i skrzydlatymi potworami i powiedz, żeby powstrzymały to! Jeszcze nie pozbyliśmy się demonów.

— Już się robi! — krzyknął Marrow i wybiegł. Przybiegła Bria.

— Znalazłam łącznika! — wołała. — Demonicę, która mówi, że przekaże wiadomość.

— Nie chcę tej! — powiedział Esk. — To ta, którą poznałem wcześniej! Przyszła tutaj i usiłowała... Nieważne!

— Zrobiła to, zrobiła? — zapytała Bria szorstkim głosem. — Dobrze, dwie mogą grać w to samo!

Jej sukienka zniknęła.

— Co ty robisz? — odezwał się zaniepokojony.

— Uwodzę cię, oczywiście.

Podeszła i wzięła go w objęcia.

— Ależ toczy się bitwa!

— Tak, nie musimy się śpieszyć.

— Myślałem, że chcesz połowę mojej duszy! Znieruchomiała, jakby się czegoś przestraszyła, potem się ocknęła.

— Tak, daj mi połowę twojej duszy!

Esk obiecał, ale nie podobało mu się to wcale. To nie była ta sama Bria, co wcześniej.

— No, pośpiesz się! — ponagliła go.

— Nie. Nie teraz — powiedział, czując się paskudnie. Dlaczego był takim kłamcą?

— Dobrze. Będziesz jeszcze tego pragnął! — wykrzyknęła i sukienka znowu pojawiła się na jej ciele.

Odbiegła i wkrótce zniknęła z pola widzenia.

Kampania brała w łeb, ponieważ ogry i skrzydlate potwory walczyły ze sobą, zamiast

z demonami. Trzeba to powstrzymać. Rozkazał im, żeby nie walczyły ze sobą!

Wrócił Marrow.

— Polniki chcą wiedzieć, dlaczego potwory walczą pomiędzy sobą, a nie z demonami.

— Ja też chciałbym to wiedzieć! — odparł Esk. — Może potworom brak dyscypliny? Może lepszy dowódca potrafiłby temu zapobiec?

Przygalopowała Chex.

— Mój ojciec mówi, że to ogry sprowokowały bójkę! — krzyczała. — Po prostu zaczęły okładać pięściami te skrzydlate potwory, które znalazły się w zasięgu ręki.

— Musimy też wysłuchać raportu Latii — powiedział zniechęcony Esk. — Och, wszystko idzie źle!

— W każdym razie bitwa — zgodziła się.

— Z Brią również. Ona...

— Właśnie nadchodzi — zauważyła centaurzyca.

Rzeczywiście Bria wracała. Esk zdecydował, że otwartość będzie najlepszą polityką.

— Bria, wybac mi! — wykrzyknął. — Dam ci moją duszę teraz! Zatrzymała się w miejscu.

— Co?

— Nie chciałem być podły! Ja tylko... byłem zażenowany.

— Esk, mówiłam ci, że chcę poczekać. To zbyt ważna decyzja, żeby podejmować ją pochopnie pod wpływem impulsu.

— Tak, ale kiedy poprosiłaś o to przed chwilą i...

— Nie zrobiłam tego! Jak mogłeś coś takiego wymyślić?

— Ale przed chwilą, kiedy byłaś tutaj...

— O czym ty mówisz? Byłam przez cały czas tam, na dole, i szukałam łączniczki demonów.

— Była tam — włączyła się Chex. — Widziałam ją blisko kanału rzeki.

— Ale... — zająknął się Esk, a jego zażenowanie jeszcze bardziej się pogłębiło.

— I znalazłam — mówiła Bria — demonicę, która powiedziała, że porozmawia ze swoją rasą.

— Tak, to była Metria, ta, która...

Na górkę wbiegła ciężko zadyszana Latia.

— Crunch mówi, że to skrzydlate potwory zaczęły! Sfrunęły z nieba i zaczęły atakować ogry, więc ogry zaczęły im oddawać! Dlaczego tamte złamały rozejm?

— To ogry zaczęły! — zaprotestowała Chex. — Mój ojciec by mnie nie okłamał!

— Crunch nie okłamałby żadnej brzydkiej demoniaczki — odparowała Latia — nawet, gdyby był dość mądry, żeby podjąć taki wysiłek. Ogry tego nie zaczęły.

— Jedni oskarżają drugich o to samo przewinienie! — krzyknął Esk. — Ale ktoś mu-

siał zacząć!

Wszyscy doszli z opóźnieniem do tego samego wniosku.

— Demony zmieniają postacie — powiedziała Chex.

— I potrafią siać niezgodę — dodała Latia.

— I mają motywację do załamania naszej kampanii — dokończyła Bria. — Kiedy rozmawiałam z Metria, wiedzieli, co zamierzamy i kto jest naszym dowódcą!

— Więc demony w formie ogrów zaatakowały skrzydlate potwory — rzekła Chex.

— A demony w formie skrzydlatych potworów zaatakowały ogry — dorzuciła Latia.

Esk pstryknął palcami.

— A Metria musiała przyjąć twoją postać, Brio! Teraz sobie przypominam: twoje ubranie ponownie pojawiło się na tobie w sposób magiczny. Ty nie potrafisz ubierać się w ten sposób!

Bria zagryzła wargi.

— Udawała mnie i próbowała dostać twoją duszę?

Esk był oszołomiony tym nowym zmartwieniem. Poczzerwieniał chyba na całym ciele.

— Myślę, że powinniśmy pobiec z powrotem i wyjaśnić to naszym łącznikom — odezwała się Chex. — I zarządźmy chwilowy odwrót.

— Tak — przytaknęła Latia.

Pobiegły obydwie. Bria zbliżyła się do Eska.

— Niewiele brakowało, a dałbyś jej duszę — powiedziała. — To byłaby katastrofa!

— Jak mogłem być takim głupcem? — jęknął Esk.

— Ponieważ jesteś miłym mężczyzną o miłej duszy, który po prostu nie chce wierzyć w niegodziwość kogokolwiek — odparła. — Myślę, że będzie lepiej, jak po tym wszystkim pozostanę w pobliżu. Demonica może tutaj dostarczyć każdą wiadomość.

— Myślałem, że ona jest tobą i powiedziałem jej „nie” — tłumaczył się Esk wciąż opanowany poczuciem winy.

— I ona zdjęła ubranie — dokończyła Bria. — Sądzę, że powinnam być obrażona, ale nie jestem, bo nie zachowała się jak ja, więc nabrałeś podejrzeń i dlatego powiedziałeś jej „nie”.

Esk rozpogodził się.

— Tak! Ona nie zachowywała się jak ty, ale nie zdawałem sobie z tego sprawy.

— Jeżeli poproszę cię o coś albo coś ci zaproponuję, powiedz tylko „nie” — mówiła Bria. — Ponieważ to nie będę ja, to będzie ona.

— Jestem zadowolony, że to nie byłaś ty. Wybacz!

— Przyjęte — powiedziała i pocałowali się.

Bitwa zaczęła wygasać, kiedy ogry i skrzydlate potwory otrzymały wiadomość. Wy-

cofały się. Spisek demonów upadł, ale bitwa nie była jeszcze wygrana.

Zanim ukończono manewr wycofywania, zrobiło się późno. Esk miał wrażenie, że upłynęła zaledwie godzina, ale to było wiele godzin.

Przedyskutowali wypadki tego dnia i pracowali nad nowym planem na jutro. Każdy potwór zajmie oddzielne terytorium i będzie walczył ze wszystkim, co się na nim znajduje, bez względu na to, jak będzie wyglądało. W ten sposób demony nie będą ich mogły oszukać, a każdy potwór będzie wiedział, że żaden sojusznik nie wtargnie na wyznaczone dla niego terytorium. Marrow będzie pełnił rolę obserwatora, ale nie posłańca, ponieważ żadnemu posłańcowi nie można ufać. Demony mogły naśladować posłańców i przynosić fałszywe wiadomości. Może też i tak się zdarzyć, że setka szkieletów znajdzie się na polu bitwy, a tylko jeden będzie prawdziwym Marrowem. Esk będzie go mógł zidentyfikować, używając swojej magii. Powie tylko każdemu szkieletowi „nie”, utrzymując w myśli, że jego wygląd jest niewłaściwy. Jeżeli będzie to demon, wtedy zmieni wygląd. Tylko prawdziwy Marrow nie będzie mógł się zmienić. Esk mógł to zrobić z Metrią, gdyby wtedy wpadł na taki pomysł.

— Jutro więc będę słucał Marrowa — zakończył.

— A ja będę rozmawiał z innymi bezpośrednio, pokazując moją magię, więc będę wiedział, co są warci, a oni będą wiedzieli, kim ja jestem.

Potem położyli się, każdy po swojemu, do snu. Bria przyłączyła się do Eska.

— Chcę ci coś dać — wyszeptła.

— Nie — powiedział, zaalarmowany. Roześmiała się.

— Nie martw się. Nie jestem demonicą! To zaklęcie dostosowania. Chcę, żebyś je miał.

— Ja? Dlaczego?

— Mogę być bardzo miękka, kiedy tego chcę, ale nie tak miękka. Jest kilka rzeczy, których cielesni nie mogą robić z mosiężnymi. Dlatego potrzebne jest to zaklęcie. Zatrzymaj zaklęcie. Jeżeli go nie przywołasz, nie będę mogła cię uwodzić.

— Hm — mruknął z zakłopotaniem.

— Jeżeli więc mi się to uda, będziesz wiedział, że to nie ja, tylko demonicą.

— Ale...

— Ja tylko pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć, jak dalece jest to bezpieczne. — Wręczyła mu zaklęcie.

Esk popatrzył na przedmiot, który mu dała. Wyglądał jak ziarenko ryżu.

— To jest to?

— Niektóre z zaklęć elfów są bardzo małe, ale mimo to mają dużą moc. — Uśmiechnęła się pogodnie. — Tak się mówi.

— Ależ ja je zgubię!

— Połknij je. Wtedy na pewno go nie zgubisz.



— Przetrawię je i wszystko na nic.

— Nie. Stanie się częścią ciebie, na całe życie. Będziesz mógł przywołać je w każdej chwili, wykonując ten gest. — Wykonała gest, jakby obejmowała powietrze. — Wszystko, co masz zrobić, to znaleźć się blisko kogoś, do kogo chcesz się dostosować, ktokolwiek to ma być.

— Ależ ja nie chcę nikogo, oprócz ciebie!

— Drażniłam się z tobą, Esk — powiedziała miękko. — Chociaż to prawda, że może ono działać na każdą kobietę. Jeżeli wybierzesz niewłaściwą, wtedy musisz tylko odwrócić ten gest.

— Ale to jest t woj e zakłęcie — zaprotestował. — Ty je znalazłaś!

— A ty znalazłeś mnie, więc jestem twoja.

— Przecież to ty go potrzebujesz, nie ja. Miałem na myśli, że ty jesteś mosiężna w królestwie cielesnych, więc...

— Istnieje tylko jedna osoba, do której chcę się dostosować, więc ona może mieć to zakłęcie.

— Ale to jest tak...

— Esk — powiedziała poważnie — prosiłam cię o połowę twojej duszy, żebyś mógł mnie lepiej kochać i być bardziej taka jak ty. Możesz mi ją dać, kiedy nadejdzie właściwy czas. Ryzykujesz, że jeśli to zrobisz, a jak okaże się nie taka, jaka się wydaję, utracisz połowę swej duszy i nie otrzymasz nic w zamian. A ja chcę, żebyś miał coś w zamian, i myślę, że może to być zakłęcie. Ryzykuję dając ci je, bo ty możesz odejść i ja nie dostanę niczego w zamian. Podzielimy więc ryzyko, ale jeśli wygramy, to wygramy wspólnie. Połknij zakłęcie: niech będzie twoje na zawsze.

Esk połknął zakłęcie. Potem ułożył się do snu i trzymał ją w objęciach, aż zmęczył się i usnął. Potem ona go obejmowała, aż znowu się zbudził. Wymienili jedne przeprosiny i drugie, ale równie dobrze mogły to być zwykłe pocałunki.

\* \* \*

Następnego dnia Esk znów objął dowodzenie kampanią. Ogry pomaszerowały do swoich kwadratów, a skrzydlate potwory do swoich. Latia i Chex poszły nawiązać kontakt ze swoimi łącznikami, a Polney udał się do swoich. Obydwie grupy rozpoczęły uderzenie na demony. Jeżeli demony przypominały ogry albo potwory — obrywały jeszcze więcej. Polniki, ostrzeżone wcześniej, zakopały się głęboko w ziemi.

Marrow spacerował tam i z powrotem po Dolinie, kontrolując sytuację. Wkrótce wrócił.

— Potwory znowu grzmocą się między sobą! — krzyknął. — Ogłoś odwrót.

— Podaj mi rękę — poprosił Esk.

Zaskoczony szkielet wyciągnął kościaną rękę, a Esk ujął ją w swoją.

— Nie — powiedział.

Szkielet zamigotał i zmienił się w parodię samego siebie.

— Zmykaj, demonie! — rzucił Esk.

— Demonico! — powiedział szkielet i przyjął oblicze Metrii. — Skąd wiedziałeś?

— Marrow by nie kłamał — odparł.

Rozpuściła się w kłęby wściekłej pary i wyparowała.

— Pokazałeś jej — rzekła Bria, biorąc go za rękę. — Chodź, zabawimy się, a kampa-  
nia sama się potoczy.

Esk rozejrzał się wkoło i zobaczył Brię siedzącą nieco dalej. Ponownie spojrzął na  
pierwszą. Obydwie były identyczne.

— Zignoruj tamtą, jest demonicą — powiedziała ta bliższa. — Ona się nie liczy.  
— Przyciągnęła go do pocałunku.

Esk przypomniał sobie, co powiedziała mu Bria zeszłej nocy. Mógł odróżnić mosięż-  
ną od demonicy, ale tylko robiąc coś, czego nie chciałby robić, ponieważ możliwe było  
jedynie z demonicą, chyba że użyje zaklęcia dostosowania, czego nie miał ochoty robić.  
Nie pozostawało mu żadne wyjście z tej sytuacji.

Nagle pstryknął palcami wolnej ręki.

— Co za głupiec ze mnie! — wykrzyknął.

— Że czekałeś tak długo — zgodziła się z nim ta bliższa Bria.

— Nie — powiedział, przywołując swoją magię.

Kontury jej ciała zamazały się, potem powróciła do postaci Metrii.

— A niech to lichy, moje wysiłki znowu poszły na marne! — zawołała z niesmakiem  
i wyparowała.

Popatrzył na Brię.

— Nie odezwałaś się nawet słowem! — zwrócił się do niej z wyrzutem.

— Wiedziałam, że potrafisz nas rozróżnić, jeżeli tylko zechcesz — powiedziała.

— Chciałem, ale... — Wzruszył ramionami. — Nie w ten sposób, który sugerowałaś.

— Wiem, że nie powinnam była drażnić się z tobą w ten sposób! To mogło spowo-  
dować kłopoty.

— Już nie — rzucił. — Teraz ostatecznie zrozumiałem to, co jest oczywiste.

— Wydaje mi się, że czasami twój cielesny mózg funkcjonuje nieudolnie.

— Czuję się obrażony.

— Więc muszę cię przeprosić. — Podeszła do niego i objęła go ramionami.

— Nie — powiedział. Zatrzymała się.

— Chciałabym, żebyś mi pozwolił.

— Musiałem się tylko upewnić — wyjaśnił. — Nie rozpuściłaś się w parę, więc je-  
steś tą właściwą.

Kiwnęła głową na zgodę, ale wciąż nie mogła go pocałować z powodu jego magii,

więc on ją pocałował.

Bitwa zamierała. Potwory albo były zmęczone, albo cel im się wymykał.

— Jak sądzisz, czy demony uciekły? — zapytała Bria.

— Nie wierzę, żeby zrezygnowały tak łatwo — odparł. — W tym musi być jakaś sztuczka. Nie potrafię jednak powiedzieć jaka, ponieważ wygląda na to, że demony naprawdę odeszły.

Wrócił szkielet.

— Bitwa zakończyła się wszędzie — donosił. — Potwory przegnały demony.

— Podaj mi twoją dłoń.

Szkielet wyciągnął rękę.

— Nie — powiedział Esk.

— Zdaję sobie sprawę, że nie ufasz temu raportowi, ale tak się stało — tłumaczył się zmieszany Marrow.

— Wiem, że tak jest — przytaknął Esk. — Miałem wcześniej wizytę fałszywego demona, więc teraz sprawdzam każdego.

— O tak, oczywiście. Zapomniałem.

Nadeszły Chex i Latia. Esk dotknął każdej, używając swojej magii, i obie okazały się prawdziwe. Możliwe, że demony nie użyły żadnej sztuczki.

— Może powinniśmy sprawdzić to osobiście... — zastanowił się Esk.

— Jak mamy to zrobić? — zapytała Chex.

— Ja mogę dotykać wszystkiego, żeby się upewnić, że to nie postać demona. Latia mogłaby rzucić klątwę. To by je poruszyło.

— Myślę, że tak — zgodziła się Latia. — W ten sposób mogę jednak sprawdzić tylko ograniczony obszar, a poza tym mam tylko dwie klątwy, zanim dojdę do błogosławieństwa.

— To jest również mój problem — powiedział Esk. — Mogę odkryć jednego demona na jeden raz. Wieczność zajęłoby mi odkrycie ich wszystkich. Miejmy więc nadzieję, że naprawdę odeszły.

Przeszli przez dolinę do najbliższego kwadratu zajmowanego przez ogra. Ogr stał tam i zaciskał potworną pięść, gotów do zrobienia z nich miazgi.

— Ojej, nie pomyślałem o tym — zmartwił się Esk. — On oczywiście sądzi, że jesteśmy demonami udającymi nas.

— Ty powstrzymaj ogra, żebym mogła dostatecznie się zbliżyć, aby zakłócić jego terytorium — zaproponowała Latia.

— Dobry pomysł.

Kiedy dotarli do granicy kwadratu, ogr zaatakował.

— Nie! — powiedział ostro Esk.

Ogr, głupio zaskoczony, cofnął się. Latia podeszła bliżej i cisnęła swoją klątwę. Głaz,

krzak i kupa błota zamgłiły się i wyparowały. W chwilę później pojawiły się trzy demony pocierające się w okolicach swoich pośladek. Jasne, że było to miejsce, w które trafiła klątwa.

— Łap ich, ogrze! — krzyknął Esk, kiedy Latia się wycofała.

Ogr, rycząc przeraźliwie, złapał dwa demony i trzasnął ich głowami, a trzeciego rozdeptał. Demony zdematerializowały się, ale zostały zdemaskowane.

— Jeżeli na twoim terytorium pojawią się jakieś nowe obiekty, rozwal je! — zawołał Esk do ogra.

— Rozumieć cię, hę, hę, hę! — zgodził się ogr, tupiąc z zadowoleniem. Zrozumienie pobudziło go do życia.

Chex westchnęła.

— Oczywiście, że demony nie odeszły. Uzyskały teraz mnóstwo cielesnego czasu przez ukrycie się w bezwładnych obiektach. Nie mogą nam zaszkodzić w ten sposób, ale nie możemy ich również wypędzić. Boję się, że przegramy tę kampanię.

Esk skinął głową z ponurą miną.

— Na szczęście mamy nowe posiłki. Miałem nadzieję, że nie będziemy musieli użyć roju świrdzaków, ale widocznie nie ma innego wyjścia.

— Phypuhczam, że zawhe wiedzieliśmy, iż dojdzie do tego — odezwał się przybyły właśnie Polney. — Inaczej nie phygotowalibyśmy hię.

— Oznacza to również, że kopacze pozostający w Dolinie będą musieli się ewakuować — dorzuciła Chex. — Nie spodoba im się to.

— Zrobimy to, jehli będzie konieczne — powiedział z zawziętością w głosie Polney. — Daję na to moje hłowo.

Odmaszerował, żeby odszukać swojego łącznika.

— Co za ironia — zauważyła Chex. — Chcąc uratować Dolinę musimy ją niemal zniszczyć.

— Nam samym niedaleko do potworów — dodała Bria.

Bardzo przygnębieni, ruszyli z powrotem, w kierunku swojego obozowiska.

## Rozdział szesnasty

### Rój

— Obudź się, Esk! — szepnęła Bria ponagłająco.

— Hę? — zapytał niewyraźnie, widząc, że jest jeszcze ciemno. — Jaki teraz czas?

— Północ lub coś koło tego — odparła. — Esk, słyszę coś. Złapał ją za rękę.

— Nie — powiedział.

— Och, musisz mi teraz uwierzyć! — krzyknęła. — Jestem prawdziwą mosiężniczką! Posłuchaj tylko.

Była zestalona i nie wyparowała, kiedy rzucił jej wyzwanie. Bał się, że Metria próbuje wyprowadzić go w pole w nocy, kiedy nie widzi jej dobrze. Nasłuchiwał.

Z oddali dobiegał rosnący huk.

— Może to ogry, wracające do domu — rzekł.

Zwolnili ogry i skrzydlate potwory, wiedząc, że ich wysiłki będą próżne. Nie wysiedlą z tego miejsca demonów.

— Może Marrow będzie wiedział. Chodzi wszędzie. Nie śpi, tak samo jak ja.

— Gdzie on jest?

— Gdzieś niedaleko. Może powinniśmy go zawołać.

Huk wydawał się głośniejszy.

— Tak. — Esk złożył dłonie w trąbkę i zawołał: — Marrow! Marrow!

W chwilę później usłyszeli zbliżający się szkielec.

— Słyszeliście to? — zapytał Marrow.

Wziął kościaną rękę i sprawdził jego tożsamość.

— Tak. Wiesz, co to jest?

— To jest woda, toruje sobie drogę. Czy to ma znaczenie?

— Woda? Skąd?

— Z rzeki Zabij-Mniee, oczywiście, albo z jeziora Zabij-Mniee. To jedyne znaczące zbiorniki wody w tej okolicy.

— My jesteśmy na wzgórzu, z dala od Doliny. W jaki sposób mogła się tu dostać

woda?

Chex weszła wyżej. W ciemności rozległy się odgłosy stąpania jej kopyt.

— Demony musiały to zrobić. Są dobre w kopaniu kanałów. Możliwe, że zrobiły nowy kanał, który nakierowały na nas, i za pomocą czarów podniosły stan wody.

— Po co?

— Sądzę, że po to, aby się nas pozbyć — wyjaśniła. — Nieźle im namieszaliśmy i planujemy więcej, możliwe więc, że podjęły działania odwetowe. Nie sądziłam, że potrafią się zorganizować w tym celu, ale mogły tak zrobić.

— Możecie się założyć, że tak — dobiegł ich głos Metrii. — Nauczyliśmy się tego od ciebie. Fatalnie, że zbudziłeś się za wcześnie.

— Lepiej zbierajmy się stąd — rzucił Esk.

— Połamiecie sobie nogi, usiłując biec w ciemności — powiedziała demonica. — A jeśli nie pobiegniecie, to nie uda wam się uciec od tego. Nadchodzi nasza wezbrana fala! Całe jezioro Zabij-Mniee wlewa się tutaj rwącą kaskadą.

— Dookoła jest płaska równina — doniósł Marrow. — Sądzę, że ona ma rację, nie zdołacie w porę uciec przed wodą. Ja, oczywiście, nie jestem zagrożony, jako że nie mogę utonąć, ale reszta...

— Ja też nie mogę utonąć — dorzuciła Bria.

— Może zdołamy wybudować tamę — powiedział Esk z rosnącą rozpaczą.

— Marne szansę, śmiertelniku! — zawołała Metria. — Nie wykorzystałeś szansy. Żałuję jedynie, że byłeś za głupi, aby cię odwieść od tej twojej głupiej kampanii.

Huk przybrał przerażająco na sile. Woda przelewała się do niżej leżących kanałów, z każdej strony samotnej góry, gdzie obozowali.

— Musimy spróbować! — krzyknął Esk. Wtem dobiegł ich nowy odgłos — miażdżenia.

— Ej, hej! Niech się drą, gdzie oni są? — ryczał głos Cruncha.

— Zjeżdżaj stąd, ty duży, brzydki idioto! — wrzasnęła Metria.

— Miła demonica, sekutnica — odryczał ogr, zadowolony z komplementu. Kilka następnych ciężkich kroków i dobiegł do nich. — Mokra wszędzie, pomocy trzeba im będzie?

— Zabierz Polneya w bezpieczne miejsce! — zawołał Esk, wiedząc, że polnik, mający najbliżej do ziemi, był najbardziej zagrożony.

Gdyby było więcej czasu, Polney mógłby przekopać tunel w dół i zbudować zamkniętą ze wszystkich stron komnatę, która byłaby suchym schronieniem przed wezbranymi potokami wody. Teraz trzeba było go stąd wydostać.

— Mój się stąd wytoczy, zabiera polnika, gdzie nie widzą oczy — zgodził się ogr.

Usłyszeli, jak wymacuje Polneya w ciemności i podnosi do góry.

— A niech was cholera! — wrzasnęła Metria. — Jeden mi się stąd zabiera!

Usłyszeli szum ogromnych skrzydeł i olbrzymi kształt zasłonił te kilka gwiazd, które ośmieliły się pokazać swoje światło tej strasznej nocy.

— Skuauk?

— Ojczel! — wykrzyknęła Chex. — Zabierz Eska w bezpieczne miejsce!

— Nie! — zawołał Esk. — Weź Latię! Wiedział, że jest starsza i słabsza od niego.

Xap nie dyskutował. Znalazł Latię, posadził sobie na grzbiecie, rozłożył skrzydła i odleciał.

— Drugi raz niech was cholera! — przeklinała demonica. — Drugie stąd się zabiera, ale koniec z tym! Ty, głupcze, nie widać innych potworów, więc po tobie!

Rzeczywiście, woda atakowała radośnie wzgórze, wydłubując z niego kawałkami ziemię. Sądząc po hałasie, przybierała jeszcze na sile. Marrow i Bria mogli przeżyć ten popop, ponieważ byli martwi, ale Chex i Esk znaleźli się w prawdziwych tarapatach.

— Jaka szkoda, że nie potrafię latać! — krzyczała centaurzyca, prawie zagłuszając ryk wody.

— Żałuję, że ja też nie potrafię! — odkrzyknął Esk. Wtedy wpadł na pewien pomysł. — Bria, czy zaklęcie dostosowania mogłoby pomóc jej latać?

— Może pomóc jej kochać się z tobą, ale to wszystko — odpowiedziała zasmucona Bria. — Och, Esk, ja nie chcę cię stracić.

— Bierz moją duszę! — krzyknął do niej. — Weź ją, zanim i tak ją stracę!

— Nie chcę! Ona tylko pogłębi moją miłość do ciebie, a ciebie już nie będzie!

— Więc daj ją mnie — wtrąciła się Metria. — Nie ma sensu, żeby tracić użyteczną duszę.

Esk zasugerował jej, żeby zrobiła ze sobą coś, co może tylko demony potrafiły zrobić. Gdyby śmiertelnik tego dokonał, musiałby wyjść z siebie i stanąć obok, albo jeszcze gorzej.

— Wsiadaj na mój grzbiet! — zawołała Chex. — Spróbuję przebrnąć przez wodę.

— Nigdy to ci się nie uda, ośla grzywo! — krzyknęła demonica. — Woda jest za warka!

Esk był aż do bólu pewien, że miała rację, ale ruszył chwiejnie przez płytką wodę w kierunku centaurzycy.

— Gdzie jesteś, Chex?

— Tutaj! — odkrzyknęła.

Smagneła go ogonem w prawe ramię, co odczuł nadspodziewanie lekko. Przysunął się do niej i próbował dosiąść, ale rozbryzgująca się woda sprawiała, że jej skóra stała się śliska. Rozłożyła skrzydła i uderzała nimi, żeby utrzymać równowagę, lecz ich podmuch pogarszał jeszcze sytuację. Esk ześlizgnął się z pluskiem do wody.

— Spróbujmy jeszcze raz — nalegała. — Może Marrow albo Bria mogliby cię podsadzić.

Nerwowo zamachała ogonem, trafiając go w plecy. Nagle Esk poczuł się nieprawdopodobnie lekki. Skoczył — i przeskoczył przez jej grzbiet, lądując z pluskiem po drugiej stronie.

— Co się z tobą dzieje? — przekrzyzczała huk wody.

— Ja przeskoczyłem nad tobą! — wykrzyknął, sam prawie w to nie wierząc. — Czuję się taki lekki!

— To prawda — potwierdził Marrow. — Jej ogon sprawia, że rzeczy są lekkie. Poczuję to po smagnięciu ogonem, kiedy na niej jechałem. Zapomniałem o tym.

— Mój ogon sprawia, że coś jest lekkie? — powtórzyła z niedowierzaniem Chex.

— Chex! — krzyczała Bria, kiedy Esk ponownie skoczył, tym razem ostrożniej, i znalazł się na jej grzbiecie. — Uderz ogonem samą siebie!

— Dlaczego? — zapytała Chex.

— Ona ma rację! — potwierdził Esk. — Twoja magia musi być w ogonie! On sprawia, że coś staje się wystarczająco lekkie, żeby fruwać! To pewnie dlatego gryzące robaki wylatują w powietrze, kiedy je śmigniesz ogonem.

Chex trzasnęła się ogonem.

— Ach, wielkie nieba, czuję to! Czuję to! — krzyczała. Radość przesłoniła jej przeżenie przed spienioną wodą. — Jestem lekka... Myślę, że jestem wystarczająco lekka, żeby latać!

— Startuj! — krzyczała Bria. — Marrow i ja poradzimy sobie! Wzbij się w niebo!

— Trzymaj się! — zawołała Chex, ale Esk nie potrzebował ostrzeżenia. Z całej siły zacisnął ręce na jej grzywie.

Mocniej uderzyła skrzydłami. Jej ciało uniosło się w górę, jakby miała stanąć na tylnych nogach. Potem wyrównało się, kiedy tył uniosł się również. Podróżowali w powietrzu!

Bez przerwy okładała się ogonem. Obróciła się w powietrzu, kiedy znalazła się już wyżej, co przyprawiło Eska o zawrót głowy. Byli już ponad powodzią, bezpieczni.

— Po prostu utrzymuj się w górze! — krzyczał. — Nie musisz nigdzie dotrzeć, tylko trzymaj się z dala od wody!

— Szkoda, że nie mogę lepiej widzieć! — odkrzyknęła do tyłu. — Bardzo się boję, że uderzę w coś i spadniemy!

— Więc fruń w górę, w kierunku gwiazd! — odparł. — Gwiazdy możesz widzieć!

— Tak!

Powoli wznosiła się do góry. Ryk wody stopniowo zamierał, kiedy zwiększyli odległość.

— Męcę się! — wy dyszała. — Nigdy wcześniej nie latałam!

— Zawołaj o pomoc! — zarządził Esk, nie mając pewności, czy Chex nie żartuje.

Wzięła to dosłownie.



— Pomocy! — krzyknęła.

W odpowiedzi dobiegło z oddali skrzeczenie.

— Tata! — krzyknęła uszczęśliwiona.

Hipogryf Xap spłynął ku nim i wkrótce unosił się obok swojej źrebicy.

— Tato, jestem zmęczona i muszę zejść w dół! — krzyknęła Chex. — Czy możesz poprowadzić mnie do bezpiecznego lądowania?

Usłyszeli potwierdzające: skuauk. Xap poprowadził, a Chex podążała za nim, trzymając się wyznaczonego kursu, nawet jak jej skrzydła zaczęły tracić siłę.

— Uderz się znowu! — zasugerował Esk. Zrobiła to.

— O tak, to naprawdę pomaga! Myślę, że teraz mi się uda!

To była prawda. Lekkość wywołana uderzeniami jej ogona stopniowo zanikała, ale można ją było odnowić przez powtórzenie smagnięć. Teraz potrzebowała tylko silnych skrzydeł, ale to stanie się w sposób naturalny wraz z praktyką.

Wkrótce dotarli do suchego wzgórza, gdzie czekali Crunch, Polney i Latia. Pierwszą rzeczą, którą usłyszał Esk, nim kopyta Chex dotknęły ziemi przy niezdarnym, ale udanym lądowaniu, były słowa udręczonej Latii:

— O cholera! O cholera!

Przeżyli kontratak demonów.

\* \* \*

Nad ranem woda zaczęła opadać. Nawet jezioro Zabij-Mniee nie mogło na długo zalać całego terenu. Woda płynęła nowymi kanałami, żeby ponownie trafić do rzeki i wezbraną falą wlać się do Jeziora Ogrów i Pszczół Wodnych, gdzie z pewnością rozłożyły się demoniaki. Wszystko naznaczone było mokrymi śladami, które sięgały wysoko na pniach drzew. Wielkie kłęby wyrwanych krzaków zaczepiły się w gęstwinie większych krzewów. Chwilowo powstałe niewielkie stawy parowały w promieniach słońca.

Patrząc na to, Esk zrozumiał, że mógł wspiać się na wysokie, mocne drzewo i uciec przed powodzią. Ale skąd mógł w ciemnościach wiedzieć, że drzewo jest bezpieczne? Wiele ogromnych drzew zostało podmytych i obalonych. Poza tym nie było to schronienie dla Chex. Ich decyzja zatem wyszła im na dobre.

Czwórka obdarzonych ciałem członków grupy była bezpieczna dzięki powrotowi Cruncha i Xapa, ale dwa stworzenia z tykwy zniknęły.

— Mówili, że sobie poradzą — powiedział Esk, starając się, żeby zabrzmiało to przekonująco.

— Są z metalu i z kości — zgodziła się z nim Chex.

— Mój pokuśtyka, gdzie strumyk znika — zaproponował Crunch. Xap zaskrzeczał.

— Ojciec sprawdzi z powietrza — przetłumaczyła Chex. Rozłożyła próbnie skrzydła, ale skrzywiła się z bólu i z powrotem je złożyła. — Moje mięśnie są sztywne od wiel-

kiego wysiłku. Jeszcze nie jestem gotowa do ponownej próby lotu. — Potem popatrzyła na nich ze zdumieniem. — Ale one są sztywne tutaj — dodała, sięgając do tyłu, żeby dotknąć się pod skrzydłami. — Nie tutaj, gdzie mam mięśnie klatki piersiowej. — Zgarnęła w dłonie swoje piersi.

— Ty ciamajdo — powiedziała Latia. — Czy naprawdę myślałaś, że one są muskułami, które rozwinęłaś dzięki ćwiczeniom? Stałaś się dojrzałą kobietą twojego gatunku!

— Ale ja ćwiczyłam! — zaprotestowała Chex.

— Ćwiczyłaś i wzmocniłaś mięśnie skrzydeł, to prawda. Stajesz się jednak również klaczą, albo kobietą, czy jak tam chcesz, by cię nazywać. Każdy mężczyzna może ci to powiedzieć.

Wzburzona Chex spojrzała na Eska, który mógł tylko skinąć w odpowiedzi. Jej piersi nigdy nie wyglądały dla niego jak mięśnie.

Po raz pierwszy zobaczył, że centaurzyca się czerwieni.

— Tak, pohukajmy Marrowa i Brii — odezwał się Polney dyplomatycznie. — Możemy uhtawić hię w tyralierę i thymać każdego w zahięgu wzroku. Okrążymy dolinę, aż ich znajdziemy.

Tak zrobili. Chex szła najbliżej Doliny od wschodu, potem Esk bliżej zachodu, a Polney i Latia wysunęli się najbardziej na zachód. Szli na południe, przedzierając się przez splątane gęstwiny, brnąc przez osiadły szlam, ubabrani błotem od stóp do głów. Daleko przed sobą słyszeli Cruncha maszerującego na sposób ogrów, miażdżącego wszystko. W górze zataczał koła Xap, a jego orli wzrok przeszywał okolicę.

Poszukiwali ich cały ranek, ale bezskutecznie. Serce Eska powoli zamierało, jakby utknęło w błocie, po którym brnął. Co robi, jeśli nie uda się odnaleźć Brii?

Pod wieczór wiedzieli już, że poszukiwania były daremne. Przeszli ten obszar wzdłuż i wszerz, zaglądając wszędzie i nawołując. Nie znaleźli nawet śladu po obydwu zaginionych stworzeniach.

— Oni nie mogą umrzeć, ponieważ nie są żywi — odezwał się Esk ze ściśniętym gardłem. — Nie można ich skrzywdzić!

— Ale można ich zgubić — powiedziała Chex. — Możliwe, że woda dopadła ich i poniosła aż do Jeziora Ogrów i Pszczół Wodnych. Może czekają tam, aż woda opadnie, żeby mogli dobrnąć z powrotem tutaj.

— Zapewne tak było — zgodził się Esk.

Wiedział, że Chex, tak samo jak on, czyni wysiłki, żeby w to uwierzyć ze względu na niego. Bria i Marrow powinni byli przytrzymać się czegoś i pozwolić nieść wodzie, a potem wołać o pomoc, gdyby utknęli w gąszczu wyrwanych krzaków. Mogli również wspiąć się na drzewo z o wiele większym zaufaniem niż Esk, ponieważ, gdyby spadli, nie groziła im śmierć. Ich zniknięcie było niewytłumaczalne.

— Zrobiliśmy, co mogliśmy — powiedziała energicznie Latia. — Musimy po prostu

czekać na ich powrót, a tymczasem zająć się naszą sprawą. Wkrótce może przybyć rój świdrzaków.

Poszukali czegoś do jedzenia, zjedli i rozłożyli się na noc. Esk spał samotnie, ale nie podobało mu się to. Niewiele czasu zajęło mu przyzwyczajenie się do towarzystwa Brii.

Kiedy zbliżała się noc, pojawiła się jakaś postać.

— Cześć, Esk!

— Bria! — wykrzyknął uradowany. Szybko jednak zorientował się w sytuacji. — Metria. Odejdź.

— Nie bądź taki — powiedziała demonica. — Straciłeś swoją metalową dziewczynę, ale demonie ciało może być równie dobre. Pozwól, że pokaże ci, co mogę dla ciebie zrobić.

— Próbujesz mnie przekupić, żebym nie sprawiał demonom dalszych kłopotów! — rzucił ze złością.

— To również, ale nabrałam do ciebie szacunku, Esk. Jesteś interesującym mężczyzną. Mogłoby nam być bardzo zabawnie ze sobą.

Położyła się obok niego i ułożyła mu głowę na swoim brzuchu. Pachniała lekko dymem.

— Myślałem, że chciałaś tylko, żeby zostawić cię w spokoju — powiedział zrzędlowie.

— Tak, ale teraz chcę czego innego. Źle cię oceniłam wcześniej, więc teraz się poprawię. No dalej, spędź ze mną przyjemną noc; twoi przyjaciele nie muszą o tym wiedzieć.

— Nie! — zgrzytnął zębami.

— Och, ty partaczu! — krzyknęła. — Dalej się upierasz, głupcze. Rozwiąła się w parę i zniknęła.

Demony wiedziały więc o ich stracie. Pogłębiło to tylko zły humor Eska. Wiedział, że nie może ufać Metrii, jednak przez krótką chwilę w swoim smutku i samotności, niemal uległ pokusie. Czuł się winny z tego powodu.

\* \* \*

Następnego dnia woda wyschła, ale wciąż nie było śladu Brii ani Marrowa. Pojawił się jednakże inny przybysz. Xap donosił, że jakiś ładny, maleńki kopacz nadchodzi ścieżką od wschodu. Wygląda bardzo dobrze, do jedzenia.

— To jeht Hwida — powiedział Polney. — Teraz musimy przygotować hię na rój hwidrzaków.

Ta wiadomość oderwała ich myśli od zaginionych przyjaciół. Zajęli się energicznie nowym elementem ich kampanii.

Świdrzak Świda była rzeczywiście bardzo ładną postacią w pełni rozkwitłej seksowności. Miała powierzchniowe szare futerko i intensywnie brązowe oczy. Futerko prawie świeciło, a kształty miała miękko zaokrąglone. Esk był pewien, że gdyby był polnikiem, stwierdziłby, iż jest nieodparcie zmysłowa. Ciężko było uwierzyć, że to słodkie stworzenie mogło być źródłem najgorszego zagrożenia dla Xanth: roju świdrzaków.

— Czy maf to miefce? — zapytała, przemawiając ludzkim językiem równie dobrze jak Polney, ale z akcentem.

— Mamy to miejsce — zapewnił ją Esk.

— Macie zakłęcie?

— Mamy.

— Wfpaniale. Już jeftem zapłodniona i rojna i mufę fybko zrobić fobie gniazdo.

— Przygotowaliśmy to w ten sposób — wyjaśnił Esk — że byłoby najlepiej, gdybyś wybrała miejsce pośrodku Doliny. Potem, zanim larwy się wylęgną i wyroją, ty i wszystkie inne podatne na zranienie stworzenia ewakuują się z Doliny. Wtedy rozłożymy zakłęcie powstrzymania, które tak naprawdę jest aspektem Void. Zostawimy je tam, dopóki nie zakończy się wyrojenie. Potem ponownie zwiniemy zakłęcie, a polniki wrócą i odtworzą rzekę. Oczywiście, tamy demonów zostaną całkowicie zrujnowane, więc odnowa będzie łatwa.

Świda zamyśliła się.

— Mam dwa pytania — powiedziała, marszcząc delikatnie nosek. — Jeftef pewien, że demony odejdą?

— Tak. Uważamy, że odejdą, ponieważ wcale nie ucieszą się z roju, a kiedy już raz ich tamy zostaną zniszczone, musiałyby wykonać całą pracę od nowa, a demony nie są znane z cierpliwości. Jeżeli to nie zadziała, będziemy musieli wymyślić coś innego.

— A kto uftawi Ftrefę Void, a potem pójdzie i zabierze ją z powrotem?

— Marrow to robi — odparł Esk. — Nie poznałaś jeszcze Marrowa; on jest... — Urwał.

— Ooch! — westchnęła Chex.

— Och, nie! — jęknęła Latia. — Zapomnieliśmy, że potrzebujemy go do tej drobnej, czarnej roboty!

— Czy wy, ludzie, macie jakiś problem? — zapytała Metria, przybierając widoczne kształty.

— Podśluchiwałaś! — powiedział oskarżycielsko Esk.

— Oczywiście — odparła. — Jestem przecież łączniczką demonów. Twoja mosiężna dziewczucha mnie wyznaczyła.

— Nie dziewczucha — warknął Esk. — Dziewczyna!

— Nie sądzicie chyba, że odnajdziecie waszego kościanego przyjaciela na czas, albo tę metalową — rzekła demonica. — Zważywszy na to, że trzymamy oboje jako zakład-

ników.

— Co? — wykrztusił Esk.

— Tak. Nie oczekuję, że mi uwierzysz, ale to prawda. Nie mogliśmy pozwolić, żebyście realizowali swój plan bezkarnie. Możecie dostać ich z powrotem w chwilę po tym, jak zgodzicie się zaprzestać niepokojenia nas i pójdziecie do domu.

— Do Demona X(A/N)th wszechmocnego z tobą! — zaklął Esk.

— To życzenie jest trudne do spełnienia, tak jak trudno jest zabić twoich martwych przyjaciół. Możemy ich jedynie przetrzymać. Czy jesteś gotowy do pertraktacji?

— Nie! — wrzasnął Esk opanowany wściekłością i bólem. — Sam poradzę sobie z tą Strefą!

— Esk, będziesz podziurawiony! — zaprotestowała Chex. — Nie przeżyjesz tego!

— Ja jestem starą babą, ja to zrobię — oświadczyła Latia. — Moja śmierć nie będzie miała wielkiego znaczenia.

— Nigdy nie rozumiałam waszej woli poświęcania się, śmiertelnicy — powiedziała Metria. — To jednak i tak na nic się nie przyda, ponieważ każdy, kto pozostanie w Dolinie, zostanie podziurawiony i zabity. I tak nie będzie mógł usunąć Void.

Zamienili spojrzenia.

— Ona ma rację — odezwała się Chex. — Żadne cielesne stworzenie nie może tego zrobić.

— Ale demoniczne stworzenie mogłoby — wtrąciła się Metria. — Dlaczego nie poprosicie mnie?

— Co?

— Powiedziałam.

— Wiem, co powiedziałaś. Nawet jeżeli jakiś demon mógłby sobie poradzić z Nicością, czego żaden demon nie może, dlaczego właśnie ty? Czynimy to przecież, żeby wypędzić cię z Doliny!

— Nie mogę dotknąć Próżni, to prawda, ale mogłabym ochronić śmiertelnika przed rojem, zamieniając się w niewidzialną osłonę.

— Wiem, że mogłabyś — powiedziała Chex. — Ale...

— Ale dlaczego? Powiem wam dlaczego — ciągnęła Metria. — Ponieważ my, demony, nie musimy bać się świrdzaków. Możemy albo wyparować, albo stać się dla nich zbyt twardymi do przeniknięcia. Nie podoba nam się tylko nieporządek, jaki robią z naszymi tamami. Wy, śmiertelnicy, nie uwierzycie, będziemy więc musieli to udowodnić w brutalny sposób. Jesteś gotowy pertraktować?

— Pertraktować? — powtórzył Esk. Miał coraz większy chaos w głowie, jak zawsze, kiedy wypadki toczyły się coraz szybciej i w sposób coraz bardziej zadziwiający.

— Pomogę ci z Otchłanią — zaproponowała. — I wypuścimy zakładników. Jeśli...

— Jeśli co? — zapytał ostrożnie.

— Jeśli zapewnicie, że nie przepędzicie nas wszystkich z Doliny, i włożycie tyle samo wysiłku w rozwiązanie naszego problemu, ile włożyliście w próbę pozbycia się nas stąd.

— My mamy pomóc wam? — zapytał Esk. — To byłoby szaleństwem!

— Rób, jak uważasz — powiedziała zaczynając się rozpuszczać.

— Poczekaj! — krzyknął. — Nie powiedziałem, że nie. Ponownie przybrała swoją postać.

— Teraz mówisz rozsądniej. Mimo wszystko nie prosimy o wiele.

— Poczekaj, nie wiem, czy dobrze to zrozumiałam — odezwała się Chex. — Pozwalacie nam na jeszcze jedną próbę wyparcia demonów z Doliny Kopaczy, a jeśli przegramy, wtedy z takim samym zapałem, z jakim próbowaliśmy pozbyć się was, spróbujemy pozbyć się buczenia.

— Dokładnie tak — zgodziła się Metria.

— Jeżeli natomiast nie uda się nam pozbyć was, równie dobrze może nam się nie udać pozbyć buczenia.

— Ale jeżeli bardzo się postaracie, może osiągniecie większy sukces — dokończyła demonica. — Wy, cielesne stworzenia, macie duszę i tym samym pewien stopień honoru; sądzimy, że warto pertraktować.

— I dostaniemy Brię i Marrowa z powrotem — upewnił się Esk.

— W momencie, kiedy zaczniecie pracować dla nas — potwierdziła Metria.

— W porządku — rzucił Esk. — Zgadzam się na te warunki.

— Ależ zaczekaj! — zaprotestowała Chex. — Warunki nie są wyrównane. Jeśli wypędzimy demony, odzyskamy zakładników i...

— Nieważne — stwierdził Esk. — Mam swój powód. Ja pertraktuję, nie ty. Zwrócił się do demonicy: — Ja zajmę się Void, a ty będziesz mnie osłaniać.

— Ona może tego nie zrobić! — powiedział Polney. — Jak może powierzyć jej hwoje życie?

— Ponieważ zawarłem ugodę — wytłumaczył mu Esk. — To moja odpowiedzialność. Jeśli umrę, wtedy umowa wygasa i wy możecie zrobić, co chcecie. Demonica ma więc bodziec do uhonorowania swojej obietnicy i utrzyma mnie przy życiu.

Metria przytaknęła.

— Ty naprawdę zmańdrzałeś, śmiertelniku.

— Ale wtedy zakładnicy nie będą uwolnieni — zawahała się Chex.

— To ja jestem zakochany w Brii, nie ty — ciągnął Esk. — Jeżeli zginę, umowa was nie obowiązuje. Demony nie chcą wcale zakładników, one ich tylko używają przeciwko nam. Więc jeśli mi się nie uda, po prostu zrezygnujecie i odejdziecie z Doliny; wtedy nie będzie z niej dalszego pożytku ani dla polników, ani dla demonów. Gramy o podwójną stawkę albo o nic. Posłuchajcie: jeżeli Metria da mi umrzeć, demony stracą na tym tak

samo jak my czy polniki. Co więcej, demony w chwili obecnej kontrolują Dolinę, a polniki będą wypędzone, jeśli demony zostaną.

— Nauczyłeś się gry twardą piłką — powiedziała Chex.

Określenie wywodziło się z Mundanii, gdzie piłka mogła być miękka, ale gra rozbijała głowy. Ogry były wielbicielami mundańskiej gry w piłkę, która była mundańską polityką dawania upustu ekstremalnej przemocy.

— Jeden dzień zajmie mi zbudowanie gniazda, a naftępnny złożenie jaj — odezwała się Świda. — Czy polniki mogą ewakuować fię w tym czafie?

— Będą muhiały — odparł Polney. — Biehmy hię do roboty.

Zabrali się. Pomagali w zorganizowaniu ewakuacji polników z Doliny, podczas gdy Świda budowała gniazdo w centrum, obok rzeki Zabij-Mniee. Polniki z rodzinami wyszły ze swoich głębokich tuneli.

Ładne maluchy dreptały za swoimi rodzicami. Wszystkie zmieniły podziemne ubarwienie na powierzchniowe futra, których szary kolor lepiej ochraniał je przed jasnością i gorącym słonecznego światła.

Demony obserwowały je z cynicznym uśmiechem. Nie dbały o to, czy kopacze pójdą, czy zostaną. Bez względu na okoliczności, zamierzały zarządzać Doliną na swój sposób. Podobnie obserwowały, jak Świda pracowicie buduje swoje gniazdo. Zgromadziła patyki, kamienie, połamane kości, piasek, muł i inne śmieci. Zbudowała mały, okrągły domek, dokładnie zatykając każdą szczelinę. Potem wspięła się na tę budowlę, weszła do środka i dokładnie zasunęła pokrywę.

Polniki były zaledwie w połowie ewakuacji, ale odbywała się według rozkładu, ponieważ miały jeszcze jeden dzień. W pocie czoła pięły się w górę przez cały dzień i całą noc, aż Dolina całkowicie została opuszczona. Demony pozostawały tam, gdzie nie były niepokojone.

Esk wziął poskładany Void, który Chex schowała wcześniej w swoim plecaczku, i zaniósł w poblize gniazda.

— Gdzie jesteś, Metria? — zawołał. Demonica zmaterializowała się obok niego.

— Tutaj jestem, śmiertelniku. Co ci chodzi po twoim szalonym mózgu?

— Już czas. Chcę, żebyś tu była ze mną, kiedy otworzę Pustkę.

— Będę tak blisko ciebie, jak druga skóra — zapewniła go. Z gniazda uniosła się pokrywa. Wyrzała z niej głowa Świdy.

— Mam godzinę na wydoftanie fię ftąd — powiedziała, dostrzegając Eska. — Czy wfyftko przygotowane? Żaden polnik nie pozoftał?

— Gotowe — odparł Esk.

Świda wygramoliła się z gniazda, zasunęła pokrywę i pobiegła w kierunku lasu. Wiedziała, że larwy świdrzaków nie mają zdolności rozróżniania; mogły ją przedziurawić równie dobrze jak cokolwiek, co napotkają na swojej drodze.

Gdy zanurzyła się w lesie, Esk usłyszał hałas dobiegający z gniazda. Czerwie zaczynało się wykluwać.

Wyciągnął Strefę Void i rozwinął ją. Rozłożył ją na ziemi i odsunął się od czarnej dziury, która się pojawiła. Mógł to być jedynie aspekt Otchłani, jej aneks z tykwy, ale wyglądała na głęboką i nie chciałby do niej wpaść.

Hałas w gnieździe przybierał na sile.

— Czas, żebyś mnie osłaniała — powiedział do Metrii.

— Zrobię to, śmiertelny człowieku — zgodziła się.

Zafalowała i zamieniła się w płaską taflę. Tafla podpłynęła w jego kierunku, stała się półprzezroczysta, a potem przezroczysta. Otarła się o niego, przemknęła przez ubranie i oblepiła sobą jego ciało.

— Hej! — zaprotestował, kiedy przywarła mu do twarzy, grożąc uduszeniem.  
— Wiesz, że muszę oddychać!

— Więc rób to, śmiertelniku — powiedziała. — Zapomniałam.

Utworzyła się zmarszczka i powłoka nie przylegała dokładnie do jego twarzy; powietrze mogło przedostawać się bokiem.

Świdrzaki zaczynały się roić. W gnieździe pojawiły się dziury i bzyczenie rozprzestrzeniało się we wszystkich kierunkach.

— Jeśli przeszłaś przez moje ubranie, to w jaki sposób możesz powstrzymać Świdrzaki? — zapytał zdenerwowany.

— Przenikam tam i z powrotem — odparła osłona.

Dalej owijała jego ciało i piersi, potem ramiona i nogi. Nie żartowała mówiąc, że będzie tak blisko niego, jak druga skóra.

— Hej! — wykrzyknął, kiedy osłona nagle połaskotała go w krocze. Dopasowywała się precyzyjnie do jego intymnych części. — Przestań!

— Zmusz mnie, śmiertelniku! — odparła osłona, obdarzając go zawstydzającym uściskiem.

Esk podskoczył, odwrócił się i zaczął iść dużymi krokami.

— Nie odwracaj się! — krzyknęła osłona.

— Bzzz!

— Ojej! — Uderzył się dłonią w pośladek.

— Mówiłam ci, żebyś się nie odwracał — powiedziała osłona. — Pokrywam cię tylko z przodu. Zostałeś draśnięty przez larwę.

Rzeczywiście, na jego ręce, którą dotknął pośladka, była krew. Przemieszczająca się larwa zadrasnęła go. Szybko odwrócił się twarzą do gniazda — i poczuł, że coś odbija się mu od piersi.

— W samą porę — rzekła osłona. — Gdyby to uderzyło cię w plecy, zrobiłoby w tobie dziurę.



Teraz bzyczenie larw świdrzaków rozlegało się wszędzie dookoła, tak że nie było sposobu uniknięcia ich. Metria rzeczywiście go ochraniała. Wolałby, żeby nie była tak skrupulatna, jeżeli chodzi o pewne miejsca na jego ciele.

— Nigdy nie obiecywałam ci, że nie będę się tym bawiła — powiedziała osłona, znowu łaskocząc go w kłopotliwym miejscu. Jednocześnie w tę samą część ciała ugodziła go przemieszczająca się larwa, przekonał się więc, że jej bliskość była jednak konieczna. Dokuczała mu, ale również wykonywała robotę, którą wykonać obiecała. Interesowała się przy okazji jego ciałem, chociaż zupełnie nie rozumiał, z jakiego powodu. Jeśli chciała tego ciała, dlaczego nie skłoniła jakiegoś demona, żeby przyjął ten kształt?

Rzeź wywołana przez rój świdrzaków przybrała zastraszające rozmiary. Krzaki i drzewa były podziurawione i poszarpane, kiedy przenikały przez nie maleńkie stworzenia podobne do dżdżownic. Każda larwa świdrzaka mogła skoczyć do przodu na małą odległość, a potem unosić się w powietrzu, absolutnie nieruchoma. Widocznie smakowała otoczenie, żeby odkryć, czy pasuje do jej potrzeb. Potem znienacka znowu skakała do przodu. Jeżeli coś znajdowało się na jej drodze, w magiczny sposób robiła w nim po prostu tunel. Powietrze wypełniając powstałą próżnię wydawało ostrzegawczy dźwięk „zzap!” Właśnie dlatego świdrzaki uważano za najgorszą plagę w Xanth. Każdy rój niszczył niemal wszystko, co znalazło się w jego pobliżu. Z wyjątkiem demonów. Demony nie zwracały uwagi na larwy, a przynajmniej nie obawiały się ich. Demony w postaci pary nie mogły być zranione przez podziurawienie, a kiedy były w stałej postaci, osiągały taką zwartość, że świdrzaki odbijały się od nich. Metria miała rację: to nie był sposób na pozbycie się demonów posługujących się magią.

Jednakże, jeżeli coś się stanie Eskowi, wszystkie demony zostaną schwytane w pułapkę Void i nie będą mogły z niej uciec. Nie będzie im w niej źle, po prostu nie będą mogły przekroczyć zewnętrznej krawędzi, którą była granica Doliny. Był to jedyny sposób na pozbycie się ich z Doliny! Kłopot w tym, że w ten sam sposób Dolina przestałaby być dostępna dla wszystkich innych. Każdy polnik, który wszedłby do tej Otchłani, nigdy więcej by jej nie opuścił.

Nie, chwileczkę! Pomylił się. Kiedy rój świdrzaków zniknie, każdy człowiek lub polnik będzie mógł wejść, zwinąć centralną dziurę i zlikwidować aneks Void. Dlaczego nie pomyślał o tym wcześniej? Nie musiał wcale ryzykować swojego życia!

Demonica również tego nie zrozumiała, ani Chex, więc przynajmniej miał towarzystwo w głupocie. To był komfort. Inaczej ktoś inny musiałby zaryzykować życie, żeby rozwinąć zakłęcie, i ta osoba zostałaby podziurawiona przez świdrzaki. Jedynym, którego Metria miała ochotę ochraniać, był Esk, więc wychodziło na to samo.

Godziny mijały, trwał proces niszczenia. Loty świdrzaków przerzedziły się w tym miejscu, ponieważ destrukcyjny promień zwiększał zasięg, ale Esk wiedział, że lepiej nie kusić losu. Jedna dziura zrobiona przez spóźnioną larwę wciąż mogła go wyelimi-

nować. To oznaczało pozostanie w bliskim — bardzo bliskim! — kontakcie z Metria. Po dłuższej chwili znudziła się poszturchiwaniem i łaskotaniem jego intymnych okolic. Widocznie miała z nim tyle uciechy, ile chciała. Nadal jednak zmuszeni byli do bliskiego towarzystwa.

— Dlaczego przyjęłaś tę ugodę? — zapytał.

— Żeby być blisko ciebie bez tego twojego „nie” — odpowiedziała natychmiast. — Jakże inaczej mogłabym otoczyć twoje ciało moim, napinając je do granic możliwości na całe godziny?

Uścisnęła go w określonym miejscu, dając do zrozumienia, o czym myśli, znacznie wyraźniej, niż chciałby to wiedzieć.

— Nie sądzę — odparował. — Twoim jedynym celem było wprawienie mnie w zakłopotanie albo wyeliminowanie mnie, żebym nie mógł być dobrym dowódcą przeciwko demonom. Teraz, kiedy współpracujemy, moje towarzystwo nie może być dla ciebie wielką przyjemnością. Musiałaś wiedzieć, że skazujesz się na długi, nudny dzień. Więc dlaczego to zrobiłaś?

— Znowu stajesz się mądrzejszy — powiedziała. — Przypuszczam, że nie ma powodu, abym teraz nie mogła powiedzieć ci prawdy. My naprawdę chcemy pozbyć się tego buczenia buczków. One są dla nas dokładnie tak samo szkodliwe, jak dla was rój świ-drzaków. Za każdym razem, kiedy zbieramy się do odpoczynku w substancjalnej postaci, doprowadzają nas do szału swoim brzęczeniem. Próbowaliśmy wszystkiego, żeby się ich pozbyć, ale pogorszyło to tylko sytuację. Kiedy zobaczyliśmy, jak zdeterminowani i sprytni jesteście w próbach pozbycia się nas, pomyśleliśmy, że moglibyście rozwiązać nasz problem z buczkami, jeżeli umiejętnie sprowokujemy was do tego. Taka jest prawda. Jesteśmy zdesperowani i chcemy waszej pomocy. Bez niej i tak będziemy musieli opuścić Dolinę.

— Sugerujesz, że gdybyśmy nie robili niczego, wy, demony, i tak odeszlibyście, a problem polników byłby rozwiązany? — zapytał Esk, zmartwiony.

— Co za ironia, prawda? — zapytała zadowolona z siebie.

— Nie wiesz, jak ja się teraz czuję!

— Och, wiem — odparła. — Nawet, kiedy nie rozwiążesz naszego problemu, będę czerpała przyjemność z przypominania sobie, ile frustracji spowodowałam, mówiąc ci tylko prawdę.

Esk zaśmiał się gorzko.

— Przechytryłaś mnie. Gdybym jednak miał zrobić to jeszcze raz, prawdopodobnie postąpiłbym tak samo, ponieważ...

— Z powodu tej metalowej dziewczyny? Wy, śmiertelnicy, przykładacie nadmierną wagę do wzajemnych związków.

— Czy naprawdę jest waszą zakładniczką? Nie powiedziałaś tego tylko po to, żeby

spowodować większe zamieszanie?

— Mamy obydwoje. Przypomnij sobie, byłam z tobą, kiedy ich opuściłeś. Wiedzieliśmy dokładnie, gdzie są. Nie mogliśmy uprowadzić ciebie, ponieważ chcieliśmy twojej pomocy. Oni natomiast, kiedy ich zostawiłeś, stali się łatwą zdobyczą. W pierwszej chwili myśleli, że ich ratujemy, ale gdy zrozumieli, kim jesteśmy, dziewczyna zaczęła krzyczeć, wołała cię po imieniu. Było to całkiem zabawne.

— Do Demona z tobą! — powtórzył Esk.

— Przedyskutowaliśmy to wcześniej — przypomniała mu.

Esk zamilkł. Wciąż go zadręczała, gdy tylko miała okazję. Już zdecydował, że jej pomoże, ale nie chciał dawać jej dodatkowej satysfakcji.

Zapadła noc. Położył się i zasnął, starannie układając się twarzą w kierunku gniazda świrdzaków. Demonica gładziła go po włosach w taki sam sposób, jak Bria, używając poły osłony, ale nie chciało mu się przeklinać jej jeszcze raz. Jutro znowu będzie z Brią! Ta myśl pozwoliła mu znieść to wszystko.

Do południa następnego dnia świrdzaki odeszły. Mógł bezpiecznie zwinąć zakłęcie. Zrobił to, a Metria wywołała u niego ostatni raz gęsią skórkę i odłączyła się. Przegrał, jak przepowiadała. Teraz miał przed sobą nową czarną robotę.

Dolina wyglądała jak jedna wielka jatka. Tamy zbudowane przez demony były zrujnowane, podziurawione tak gęsto, że zawaliły się. Drzewa były rozszarpane i wiele z nich umrze. Woda, zalewając dziury i jamy, utworzyła ogromne błotniste grzęzawisko. Nad całym tym obszarem zapanowała martwa cisza.

Esk, który już zabierał się do zwijania Void, nagle zmarł.

— Metria, czy coś zauważyłaś? — zapytał. Przyjęła swoją naturalną formę.

— Zauważyłam, że swoim głupawym wysiłkiem zrujnowałeś Dolinę polnikom i demonom. Odbudowa tych tam będzie prawdziwie czarną robotą.

— Dlaczego chcecie je odbudować?

— Żeby pozbyć się buczków, oczywiście.

— Posłuchaj, Metria. Co słyszysz?

Nasłuchiwała.

— Absolutnie nic. To jest dziwne.

— A co z buczkami?

Była tak zdziwiona, że rozpuściła się w parę i potem wróciła do swojej postaci.

— Odeszły!

Esk myślał szybko. To przedarło się tak szybko, jak szybko słońce przedziera się przez okrywającą je chmurę.

— Nie pojmujesz, demonico! To właśnie środowisko zaprasza buczki do składania jaj! Rozlana woda w oczywisty sposób wydusiła je. Kiedyś w Dolinie było dużo wody, dzięki meandrującej rzece Pocałuj-Mniee. Potem wy skanalizowaliście ją i ziemia ule-

gła wysuszeniu, a liczba buczków zwiększyła się. Może one potrzebują nieruchomych zbiorników wody, takich jak te, które utworzyliście, odcinając meandry. Płynąca woda wymywa buczki. Nie wiem dokładnie, jak to się dzieje, ale teraz jestem pewien, że wiąże się to ze zniszczeniem naturalnego biegu rzeki. Teraz buczków nie ma, ale jeśli skanalizujecie rzekę, wróca, gorsze niż kiedykolwiek! To jest odpowiedź na wasz problem: odbudować rzekę Pocałuj-Mniee i utrzymywać każdy meander!

Wyglądała na oszołomioną, co było niezwykle u demonów.

— Kiedy wyprostujemy rzekę, buczki zrobią się jeszcze gorsze. Teraz zniknęły. Nie możemy jednak zostawić Doliny w postaci tego błotnistego stawu. Nawet polniki nie będą mogły z niej skorzystać. Demony i polniki potrzebują do zamieszkania suchego łądu.

— Możecie wysuszyć teren — powiedział ciepło Esk. — Po prostu zróbcie go naturalnym. Niech natura uczyni to na swój sposób. To oznacza meandry i okresowe powodzie. Może być wam z tym niewygodnie, ale dla buczków będzie to wyniszczające. One prawdopodobnie potrzebują do rozmnażania nieruchomej stojącej wody, takiej, jak w tych waszych zatrzymanych meandrach, i suchego łądu do żerowania, takiego, jaki zrobiliście z Doliny. Pozwólcie rzece zmieniać swój poziom według życzenia, a łąd niech raz będzie zalewany, raz osuszany. Wtedy powinniście mieć niewielki problem z buczkami. Oczywiście, są to jedynie moje domysły, ale czy nie wydają ci się logiczne?

Wśluchiwała się jeszcze raz i nadal nie słyszała buczków.

— To jest dla mnie logiczne, śmiertelniku. Pozwól, że skonsultuję się z moją rasą.

Wyparowała.

Esk starannie poskładał zakłęcie powstrzymania, aż uzyskał kulę wielkości pięści. Będą musieli odnieść je do tykwy, ale mógł to zrobić jeden z przyjaciół, który jeszcze nie używał zakłęcia odszukania ścieżki. Może Marrow. On, Esk, musi pozostać tutaj, aż demony będą usatysfakcjonowane jego rozwiązaniem problemu buczków. Mógł sobie na to pozwolić, bo nie miał żadnych naglających spraw do załatwienia.

Kiedy brnął w błocie, wychodząc z Doliny, pojawiła się przed nim Metria.

— Damy ci szansę, śmiertelniku. Nawet pomożemy kopaczom odbudować rzekę. Jednocześnie uwolnimy zakładników, bo i tak mamy kłopot z utrzymaniem ich.

I wtedy na skraju lasu pojawili się Marrow i Bria. Mosiężna dziewczyna rzuciła się biegiem i zatnęła mu w ramionach.

— Tak się bałam, że spadłeś i utonąłeś! — krzyczała. — Demony nie powiedziały nam niczego!

— One są demoniczne — zgodził się z nią. — Myślę, że rozwiązałem ich problem z buczkami. Zamierzają pomóc w przywróceniu rzece Pocałuj-Mniee jej naturalnego stanu.

Potem rozgorzała dyskusja nad całą tą sprawą. Świdrzak Świda, która przeszła przez

swój cykl reprodukcyjny, była teraz gotowa do osiedlenia się z jakimś samcem dla przyjemności i towarzystwa. A nadal lubiła Polneya. Rozmawiali obydwój nad poszarpanym brzegiem rzeki i wydawało się, że coś z tego porywającego uczucia wraca, ponieważ dotykali się nosami w sposób, który z pewnością był pocałunkiem kopaczy.

Marrow zamierzał odnieść Void, potem zobaczy, co da się zrobić, żeby stać się rzeczywistym. Pomyślał, że może ludzie z Zamku Roogna potrzebowaliby jego pomocy w poszukiwaniu zaginionego Dobrego Maga. Latia wracała do swoich, jej misja była zakończona. Sukces z pewnością zapewni jej odpowiedni szacunek na czas emerytury. Xap i Crunch odeszli razem, stając się teraz przyjaciółmi. A Chex...

— Mam randkę ze skrzydlatym centaurem — powiedziała, rozkładając skrzydła.  
— Nie sądzę, żebym musiała się więcej martwić o akceptację mojego gatunku. Mam zamiar stworzyć własny.

Smagneła się ogonem i uniosła w powietrze. Widać było, że promienieje szczęściem.

Na niebie pojawił się jakiś kształt. Przez chwilę Esk myślał, że to wraca Chex, ale zamiast tego zobaczył jej ojca, Xapa. Hipogryf wylądował obok Eska i zaskrzeczał.

Esk nie rozumiał języka skrzydlatego potwora, ale próbował odgadnąć sens jego wypowiedzi.

— Mówisz, że masz wiadomość od mojego dziadka, ogra Cruncha, iż dokonałem aktu ogromnej destrukcji, całkowicie rujnując Dolinę? Więc jestem teraz uważany za dorosłego, zgodnie z ogrową tradycją?

Xap zaskrzeczał potwierdzająco i wzbił się w powietrze.

— Powiedz mu, że doceniam tę nowinę! — zawołał Esk. — Inaczej sam bym na to nie wpadł!

Ostatnie skrzeki Xapa bardzo przypominały śmiech. Z całą pewnością poczucie humoru hipogryfa było bardziej liberalne niż jego centaurzej żrebicy.

— Będę musiał pozostać tu jakiś czas — powiedział Esk do Brii. — Obiecałem to demonom. Chciałbym zobaczyć Dolinę Kopaczy przywróconą do jej pierwotnego piękna i rzekę Zabij-Mniee w jej dawniejszej, uczuciowej postaci. Jeżeli ty...

— Jeśli chodzi o uczucia... — wyszeptała — to chodźmy do jakiegoś odosobnionego miejsca i wypróbujmy to zakłęcie dostosowania. Teraz, kiedy twój dziadek mówi, że jesteś dorosły, myślę, iż powinienes sobie poradzić z dorosłym związkiem.

— Hm, sądzę, że jeśli chciałabyś połowę duszy teraz...

— To również — zgodziła się.

Uściskała go, wiedząc, że ważne jest tylko jedno: będą razem.

## SPIS TREŚCI

Rozdział pierwszy	
Metria	3
Rozdział drugi	
Chex	16
Rozdział trzeci	
Polney	30
Rozdział czwarty	
Tajemnica	43
Rozdział piąty	
Ivy	56
Rozdział szósty	
Centaur	70
Rozdział siódmy	
Brama	85
Rozdział ósmy	
Świdrowiec	110
Rozdział dziewiąty	
Hipnotykwa	123
Rozdział dziesiąty	
Cheiron	137
Rozdział jedenasty	
Ogr	155
Rozdział dwunasty	
Świdrzaki	171
Rozdział trzynasty	
Sny	183
Rozdział czternasty	
Elementy	200
Rozdział piętnasty	
Potwory	217
Rozdział szesnasty	
Rój	237